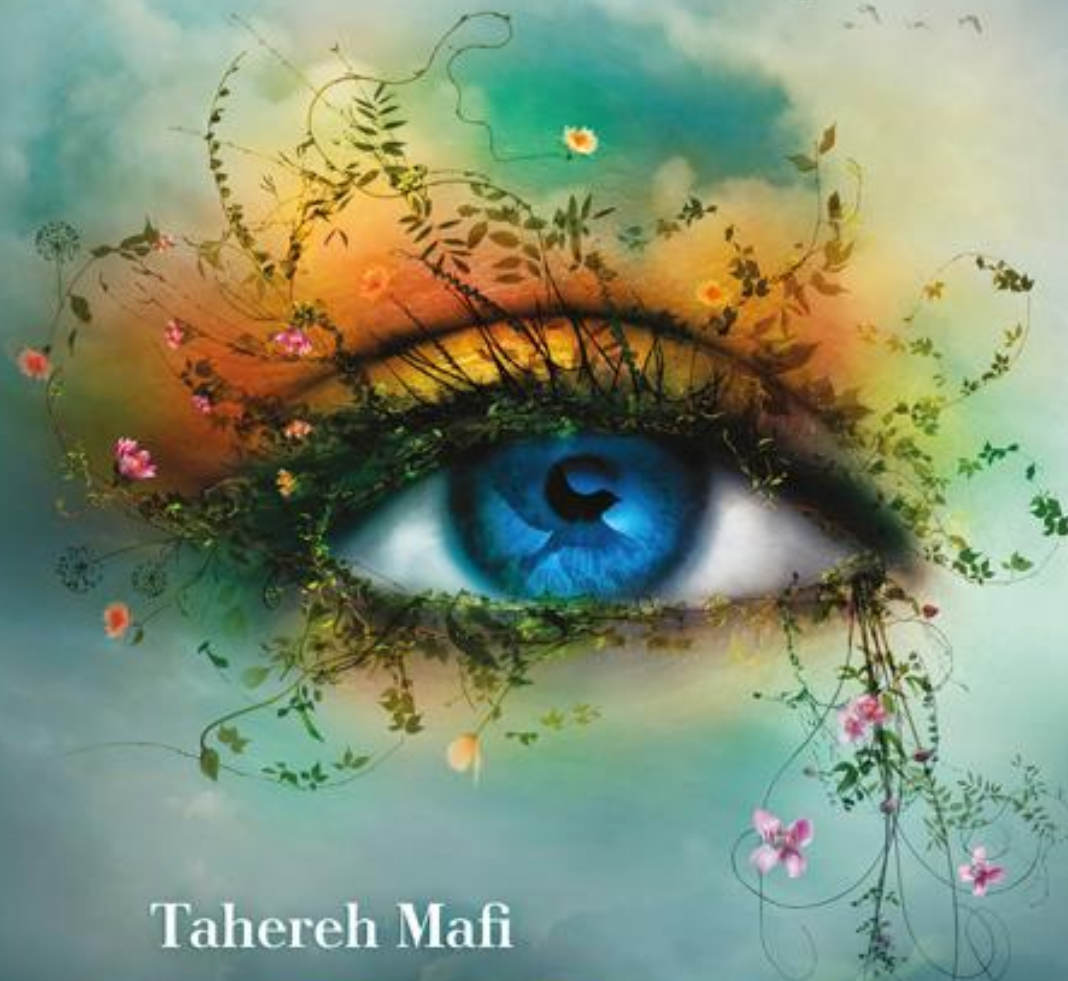


Strach nauczy się mnie bać



Tahereh Mafi

DAR JULII



Tahereh Mafi

DAR JULII

tłumaczenie Małgorzata Kafel

WYDAWNICTWO
otwarte

Kraków 2014

*Dla moich Czytelników.
Dziękuję za Waszą miłość i wsparcie.
Tę książkę dedykuję Wam*



Jestem klepsydrą.

Siedemnaście lat przesypało się przeze mnie i pogrzebało mnie w mym własnym wnętrzu. Czuję, że mam zrośnięte, ciężkie od piasku nogi, umysł przepełniony ziarenkami wahania i niedokonanych wyborów, tracę cierpliwość, w miarę jak czas przecieka mi przez ciało.

Mała wskazówka poklepuje mnie na raz, dwa, trzy i cztery, szepcząc:

dzień dobry, wstawaj, rusz się,

obudź się

obudź się

– Obudź się – szepcze.

Biorę głęboki wdech i budzę się, choć nie wstaję, zaskoczona, ale nie przestraszona, nie wiedząc, jak to się stało, że mam przed sobą te beznadziejnie zielone oczy. Wydaje mi się, że znam je zbyt dobrze, na wskroś. Aaron Warner Anderson pochyla się nade mną i patrzy z niepokojem, z ręką wyciągniętą przed siebie, jakby miał zamiar mnie dotknąć.

Cofa się gwałtownie, nie odrywając ode mnie wzroku. Jego pierś unosi się i opada.

– Dzień dobry. – To przypuszczenie, bo nie jestem pewna ani własnego głosu, ani godziny, ani dnia, słów opuszczających moje usta i ciała, w którym jestem uwięziona.

Ma na sobie białą koszulę z przypinanym kołnierzykiem, której dół częściowo wystaje z zaskakująco niepomiętych czarnych spodni. Rękawy koszuli są podwinięte, podciągnięte powyżej łokci.

Uśmiecha się, ale mam wrażenie, że ten uśmiech sprawia mu ból.

Unoszę się do pozycji siedzącej, a Warner spieszy mi z pomocą. Zamykam oczy, żeby powstrzymać nagle zawroty głowy, i czekam nieruchomo, aż miną.

Jestem zmęczona i osłabiona głodem, ale poza bólem w kilku częściach ciała chyba nic mi nie dolega. Żyję. Oddycham, mrugam, czuję się jak ludzka istota i dobrze wiem dlaczego.

Patrzę mu w oczy.

– Uratowałeś mi życie.

Kula trafiła mnie w pierś.

Ojciec Warnera wpakował kulę w moje ciało, wciąż słyszę echo wystrzału. Gdy się skoncentruję, natychmiast powraca chwila, kiedy to się stało, ból tak silny, tak nieznośny, że nigdy go nie zapomnę.

Gwałtownie nabieram powietrza.

Wreszcie dostrzegam znajomą obcość pokoju, w którym się znalazłam, i od razu ogarnia mnie panika. Coś we mnie krzyczy, że nie obudziłam się w miejscu, w którym zasnęłam. Serce łomocze mi w piersi. Powoli odsuwam się od Warnera, uderzam o wezgi łóżka, zaciskam dłonie na pościeli, próbując oderwać wzrok od żyrandola, który pamiętam aż zbyt dobrze...

– W porządku – mówi. – Już dobrze...

– Co ja tu robię? – Panika, panika. Przerażenie mąci mi umysł. – Dlaczego znowu mnie tu przywiozłeś?

– Julio, proszę, nie zrobię ci krzywdy...

– W takim razie po co mnie tu zabrałeś? – Głos zaczyna mi się załamywać, chociaż usiłuję nad nim panować. – Dlaczego znowu zabrałeś mnie do tego okropnego miejsca?!

– Musiałem cię ukryć. – Wypuszcza powietrze, odwraca wzrok wyżej, na ścianę.

– Co? Dlaczego?

– Nikt nie wie, że żyjesz. – Patrzy na mnie. – Musiałem wracać do bazy. Musiałem

udawać, że wszystko wróciło do normy, i to szybko.

Ze wszystkich sił próbuję nie dopuszczać do siebie strachu.

Przyglądam się badawczo jego twarzy, analizuję jego cierpliwy, poważny ton. Pamiętam, że wczoraj wieczorem... to musiało być wczoraj wieczorem... pamiętam jego twarz, pamiętam, że leżał w ciemności obok mnie. Był delikatny, troskliwy, czuły i uratował mnie, uratował mi życie. Zaniósł mnie do łóżka. Położył obok siebie. To musiał być on.

Ale kiedy zerkam na swoje ciało, zdaję sobie sprawę, że mam na sobie czyste ubranie, bez plam krwi i dziur. Zastanawiam się, kto mnie umył i przebrał. Obawiam się, że to mógł być Warner.

– Czy ty... – Milknę, dotykając brzegu koszulki, którą mam na sobie. – Czy... to znaczy... moje ubrania...

Przygląda mi się z uśmiechem, aż zaczynam się czerwienić. Dochodzę do wniosku, że trochę go nienawidzę, ale on kręci głową. Patrzy na swoje dłonie.

– Nie – mówi. – Dziewczeta się tym zajęły. Ja tylko zaniósłem cię do łóżka.

– Dziewczeta – szepczę oszołomiona.

Dziewczeta.

Sonya i Sara. One też tam były, bliźniaczki-uzdrowicielki, to one pomogły Warnerowi. Pomogły mu mnie uratować, bo teraz tylko on może mnie dotknąć, jest jedyną osobą na świecie, która mogła bezpiecznie przekazać ich uzdrowicielską moc mojemu ciału.

Moje myśli stają w ogniu.

Gdzie są dziewczeta co się z nimi stało gdzie jest Anderson i wojna i o Boże co się stało z Adamem i Kenjim i Castle'em muszę wstać muszę wstać muszę wstać podnieść się z łóżka i iść ale

kiedy próbuję się podnieść, Warner mnie łapie. Tracę równowagę, chwieję się. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że moje nogi są przykute do łóżka. Nie mogę złapać tchu, przed oczami mam ciemne plamki, robi mi się słabo. Muszę wstać. Muszę wyjść.

Nie mogę.

– Warner. – Wbijam oszalały wzrok w jego twarz. – Co się stało? Co z bitwą?

– Proszę, nie wolno ci wstawać za szybko, powinnaś coś zjeść... – mówi, przytrzymując mnie za ramiona.

– Powiedz mi...!

– Lepiej najpierw coś zjedz. Weź prysznic.

– Nie – słyszę swój głos. – Muszę wiedzieć natychmiast.

Chwila. Dwie chwile. Trzy.

Warner bierze głęboki oddech. Jeszcze milion. Kładzie prawą dłoń na lewej, obraca nefrytową obrączkę na małym palcu, bez końca bez końca bez końca

– To koniec – mówi.

– Co?

Wypowiadam to słowo, ale moje wargi nie wydają dźwięku. Tracę czucie. Mrugam i nic nie widzę.

– To koniec – powtarza.

– Nie.

Wyrzucam z siebie to słowo, odrzucam to, co niemożliwe.

Kręci głową. Przecząco.

– Nie.

– Julio.

– Nie – mówię. – Nie. Nie. Nie bądź idiotą – mówię. – Nie bądź śmieszny – mówię. – Nie

kłam, do cholery – ale mój głos staje się piskliwy, załamuje się i drży i – Nie – dyszę – nie, nie nie...

Tym razem udaje mi się wstać. Moje oczy szybko napełniają się łzami mrugam mrugam ale świat jest chaosem i chcę się roześmiać bo mogę myśleć tylko o tym jakie to koszarne i piękne że nasze oczy rozmywają prawdę kiedy nie możemy znieść jej widoku.

Podłoga jest twarda.

Nie mam co do tego wątpliwości, bo nagle czuję jej powierzchnię przyciśniętą do mojej twarzy, a Warner próbuje mnie dotknąć, ale chyba krzyczę, odpycham jego dłonie, bo znam już odpowiedź. Sądzę, że znam już odpowiedź, bo czuję, jak wzbiera we mnie odraza, jak porusza moje wnętrze, ale i tak pytam. Leżę, a mimo to i tak się przewracam, w mojej głowie powstają dziury, wpatruję się w punkt na dywanie oddalony o niecałe trzy metry i nie jestem pewna, czy w ogóle żyję, a jednak muszę go zmusić, żeby to powiedział.

– Dlaczego? – pytam.

To tylko słowo, głupie i proste.

– Dlaczego to koniec? – pytam. Nie oddycham już, właściwie wcale nie mówię, po prostu wyrzucam litery z ust.

Warner na mnie nie patrzy.

Wpatruje się w ścianę, w podłogę, w pościel, we własne zaciśnięte pięści, tylko nie patrzy na mnie nie na mnie jego słowa brzmią tak miękko.

– Bo oni nie żyją, skarbie. Nikt nie przeżył.

Moje ciało się blokuje.

Krew, mózg, nawet kości zastygają w bezruchu, zatrzymując się jak pod wpływem nagłego paraliżu, który następuje tak szybko, że nie mogę już nawet oddychać. Biorę głębokie, świszczące wdechy, ale ściany przede mną nie przestają się kołysać.

Warner bierze mnie w ramiona.

– Puść mnie! – krzyczę, lecz chyba tylko w wyobraźni, bo moje usta odmówiły współpracy, serce przestało nadawać się do użytku, umysł skończył już na dzisiaj pracę i poszedł do diabła, a moje oczy, moje oczy zdaje się, że krwawią... Warner szepcze słowa pocieszenia, których nie słyszę, jego ramiona otaczają mnie, jakby czysto fizycznym wysiłkiem mogły utrzymać mnie w całości, ale to nie pomoże.

Nic nie czuję.

Dopiero po jakimś czasie zdaję sobie sprawę, że Warner mnie ucisza, kołysze mnie w przód i w tył, a ja wydaję z siebie nieznośny, przesywający dźwięk, bo rozdziera mnie cierpienie. Chcę coś powiedzieć, zaprotestować, oskarżyć Warnera, obwinić go za wszystko, nazwać kłamcą, ale nie mogę wydusić słowa, wydaję wyłącznie dźwięki tak żałosne, że prawie się za siebie wstydzę. Uwalniam się z jego ramion. Oddycham z trudem, zgięta w pół, trzymając się za brzuch.

– Adam – wykrztuszam jego imię.

– Julio, proszę...

– Kenji – dyszę na dywan.

– Skarbie, proszę, pozwól, że ci pomogę...

– Co z Jamesem? – Słyszę swój głos. – Został w Punkcie Omega... Nie pozwoliliśmy mu iść-ść...

– Wszystko zostało zniszczone – mówi Warner powoli, cicho. – Wszystko. Torturami wydobyli z kilkorga członków waszego ruchu dokładne położenie Punktu Omega. A potem zbombardowali wszystko.

– O, Boże. – Zasłaniam usta ręką, nieruchomy wzrok wbijam w sufit.

– Tak mi przykro – mówi. – Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro.

– Kłamca – szepczę jadownicie. Jestem wściekła i zachowuję się podle, ale nic mnie to nie obchodzi. – Wcale nie jest ci przykro.

Spoglądam na Warnera przez chwilę dostatecznie długą, żeby dostrzec w jego oczach błysk bólu. Odchrząkuje.

– Przykro mi – powtarza cicho, ale pewnie. Bierze kurtkę z wieszaka, narzuca ją na siebie bez słowa.

– Dokąd idziesz? – pytam, ogarnięta nagłym poczuciem winy.

– Potrzebujesz czasu, żeby się z tym oswoić. Widzę, że moje towarzystwo nie jest ci do niczego potrzebne. Zajmę się paroma sprawami i wrócę, kiedy będziesz gotowa rozmawiać.

– Proszę, powiedz mi, że się mylisz. – Mój głos drży. Oddech się załamuje. – Powiedz mi, że możesz się mylić...

Mam wrażenie, że Warner wpatruje się we mnie przez długi czas.

– Gdyby istniała choćby najmniejsza szansa, żeby oszczędzić ci tego bólu – mówi wreszcie – wykorzystałbym ją. Na pewno wiesz, że nie powiedziałbym tego, gdyby to nie była prawda.

I właśnie to: jego szczerość – ostatecznie sprawia, że pękam na pół.

Bo prawda jest tak nieznośna, że wolałabym, by podarował mi kłamstwo.

Nie pamiętam, kiedy Warner wyszedł.

Nie pamiętam, jak wyszedł ani co powiedział, wychodząc. Wiem tylko, że leżę skulona na tej podłodze dostatecznie długo. Dostatecznie długo, żeby z moich łez wytrąciła się sól, dostatecznie długo, żeby moje gardło wyschło, wargi spierzchły, a w głowie rozległ się łomot donośniejszy niż w piersi.

Siadam powoli, czuję, jak mój mózg zwija się wewnątrz czaszki. Udaje mi się wspiąć na łóżko i usiąść. Nadal jestem odrętwiała, jednak powoli odzyskuję już czucie. Przyciągam kolana do piersi.

Życie bez Adama.

Życie bez Kenjiego, Jamesa, Castle'a, Sonyi i Sary, Bren-dana, Winstona i wszystkich z Punktu Omega. Wszyscy moi przyjaciele zginęli za przyciśnięciem jednego przycisku.

Życie bez Adama.

Obejmuję mocno kolana, modlę się, żeby ból minął.

Nie mija.

Adama nie ma.

Moja pierwsza miłość. Mój pierwszy przyjaciel. Mój jedyny przyjaciel w czasach, kiedy nie miałam nikogo, a teraz go nie ma. Nie wiem, jak opisać swój stan. Czuję się dziwnie. Delirycznie. Czuję się pusta, załamana, oszukana, winna, wściekła i beznadziejnie, beznadziejnie smutna.

Oddalaliśmy się od siebie od dnia naszego przybycia do Punktu Omega, ale to była moja wina. On prosił mnie o więcej, lecz ja chciałam dla niego długiego życia. Chciałam go chronić przed bólem, który mogłam mu sprawić. Próbowałam o nim zapomnieć, żyć bez niego, przygotować się na przyszłość, w której będę sama, próbowałam trzymać się od niego z daleka.

Sądziłam, że postępując w ten sposób, zachowam go przy życiu.

Idiotka.

Świeże łzy płyną teraz szybko, przemierzają cicho moje policzki, spływają do otwartych ust szybko chwytających powietrze. Moje ramiona nie przestają drżeć moje dłonie zaciskają się w pięści moje ciało się kurczy kolana mi drżą a stare przyzwyczajenia wypełzają spod skóry. Liczę pęknięcia i kolory i dźwięki i dreszcze i kołyszę się do tyłu do przodu do tyłu do przodu do tyłu do przodu muszę pozwolić mu odejść muszę pozwolić mu odejść muszę muszę.

Zamykam oczy

i o d d y c h a m.

Biorę gwałtowne, głębokie, charczące wdechy.

Wdech.

Wydech.

Liczę je.

Byłam już kiedyś w tym miejscu, mówię sobie. Byłam już bardziej samotna, bardziej niepocieszona, bardziej zrozpaczona niż teraz. Już tutaj byłam i przetrwałam. Tym razem też jakoś przez to przejdę.

Ale nigdy jeszcze nie zostałam tak doszczętnie ograbiona. Miłość i nadzieja, przyjaźń i przyszłość – straciłam wszystko. Muszę zacząć od nowa. Samotnie stawić czoło światu. Muszę dokonać ostatecznego wyboru: poddać się albo iść naprzód.

Więc wstaję.

W głowie mi się kręci, myśli odbijają się od siebie nawzajem, lecz powstrzymuję łzy. Zaciskam pięści i próbuję nie krzyknąć, chowam przyjaciół w swoim sercu i myślę że zemsta

jeszcze nigdy
nie wydawała się taka słodka.

Trzymaj się

Dasz radę

Głowa do góry

Bądź gotowa

Nie daj się

Nie poddawaj się

Nie okazuj słabości

Bądź twarda

Pewnego dnia może będę

Pewnego dnia może

będę

w o l n a

Warner nie kryje zdumienia, kiedy wchodzi do pokoju.

Podnoszę wzrok, zamykam notatnik.

– Zabieram to z powrotem – mówię.

Mruga.

– Czujesz się lepiej.

Ruchem głowy wskazuję za siebie.

– Mój notatnik leżał na nocnym stoliku.

– Tak – mówi wolno. Ostrożnie.

– Zabieram go z powrotem.

– Rozumiem. – Wciąż stoi przy drzwiach, wciąż nieruchomy, wciąż się we mnie wpatruje. – Czy ty... – Kręci głową. – Przepraszam, wybierasz się dokądś?

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że jestem w połowie drogi do wyjścia.

– Muszę się stąd wydostać.

Warner milczy. Robi kilka ostrożnych kroków w głąb pokoju, zsuwa marynarkę, wiesza ją na krzesło. Wyjmuje z futerałów na szelkach trzy pistolety i niespiesznie odkłada je na stół, na którym leżał mój notatnik. Kiedy wreszcie podnosi wzrok, na jego twarzy dostrzegam lekki uśmiešek.

Ręce w kieszeniach. Trochę szerszy uśmiech.

– Dokąd się wybierasz, skarbie?

– Mam parę spraw do załatwienia.

– Naprawdę? – Opiera się ramieniem o ścianę, splata ramiona na piersi. Nie może powstrzymać uśmiechu.

– Tak. – Zaczynam odczuwać irytację.

Warner czeka. Przygląda mi się. Skinieniem głowy daje mi znak, żebym mówiła dalej.

– Twój ojciec...

– Nie ma go tu.

– Och.

Próbuję ukryć zaskoczenie, choć właściwie sama nie wiem, dlaczego byłam tak święcie przekonana, że Anderson nadal tu będzie. Jego nieobecność trochę komplikuje moje plany.

– Naprawdę myślałaś, że możesz po prostu wyjść z tego pokoju – pyta Warner – zapukać do drzwi mojego ojca i z nim skończyć?

Tak.

– Nie.

– Kłamie, kłamie, powiem mamie – mówi Warner cicho.

Patrzę na niego gniewnie.

– Nie ma tu mojego ojca – powtarza Warner. – Wrócił do stolicy razem z Sonyą i Sarą.

Wydaję stłumiony okrzyk przerażenia.

– Nie.

Warner już się nie uśmiecha.

– Czy one... żyją?

– Nie wiem. – Wzruszenie ramion. – Sądzę, że tak, inaczej nie miałby z nich żadnego pożytku.

– Więc one żyją? – Moje serce zaczyna bić tak szybko, że grozi mi zawał. – Muszę je uratować... Muszę je odnaleźć...

– Co? – Warner przygląda mi się uważnie. – Jak dostaniesz się do mojego ojca? Jak zamierzasz z nim walczyć?

– Nie wiem! – Zaczynam chodzić po pokoju. – Ale muszę je odnaleźć. Możliwe, że nie mam na tym świecie żadnych innych przyjaciół..

Staję.

Obracam się gwałtownie, serce podchodzi mi do gardła.

– A może są inni? – szepczę, bojąc się dopuścić do siebie nadzieję.

Podchodzę do Warnera.

– Może ktoś jeszcze przeżył? – pytam, tym razem głośniej. – Może gdzieś się ukrywają?

– To nie wydaje się prawdopodobne.

– Ale jest jakaś szansa, prawda? – Jestem zrozpaczona. – Jeśli jest choćby najmniejsza szansa...

Warner wzdycha. Mierzi włosy z tyłu głowy.

– Gdybyś widziała te zniszczenia, które ja widziałem, nie mówiłabyś takich rzeczy.

Nadzieja znowu złamie ci serce.

Czuję, jak uginają się pode mną kolana.

Drżącymi rękami, oddychając ciężko, chwytam się ramy łóżka. Nic już nie wiem.

Właściwie nie wiem, co się stało z Punktem Omega. Nie wiem, gdzie jest stolica ani jak się tam dostać. Nie wiem, czy zdołam dotrzeć do Sonyi i Sary na czas. Ale nie mogę się wyzbyć tej nagłej, głupiej nadziei, że ktoś z moich przyjaciół jakimś cudem przeżył.

Nie są przecież aż tak słabi... ani głupi.

– Przygotowywali się do wojny od dłuższego czasu. – Słyszę swój głos. – Musieli mieć jakiś plan awaryjny. Jakaś kryjówkę...

– Julio...

– Do diabła, Warner! Muszę spróbować. Musisz mi pozwolić to zobaczyć.

– Zapomnij o tym dla własnego dobra. – Nie patrzy mi w oczy. – To szaleństwo trzymać się nadziei, że ktoś został przy życiu.

Wpatruję się w jego zdecydowany, opanowany profil.

On patrzy na swoje dłonie.

– Proszę – szepczę.

Wzdycha.

– Jutro lub pojutrze będę musiał pojechać na teren osiedli, żeby dopilnować odbudowy. – Mówiąc to, robi się spięty. – Straciliśmy wielu cywilów – stwierdza. – Zbyt wielu. Pozostali oczywiście są w szoku i bez oporu się podporządkowują, zresztą mojemu ojcu o to chodziło. Odebrano im resztki nadziei na to, że można przeciwstawić się władzy.

Z trudem nabiera powietrza.

– Teraz trzeba szybko posprzątać – mówi. – Usunąć i spalić zwłoki. Uszkodzone bloki mieszkalne zastąpić nowymi. Dopilnować, żeby cywile wrócili do pracy, sieroty trafiły w odpowiednie miejsce, a pozostałe dzieci uczęszczały do szkół w swoim sektorze. Komitet Odnowy nie da ludziom czasu na żałobę.

Zapada posępna cisza.

– Kiedy pojedę nadzorować osiedla, mógłbym spróbować cię zawieźć do Punktu Omega – mówi Warner. – Na własne oczy zobaczyłabyś, co tam się stało. Ale potem będziesz musiała podjąć decyzję.

– Jaką decyzję?

– Zdecydować, co dalej robić. Możesz zostać ze mną – mówi z wahaniem. – Albo, jeśli będziesz wolała, mógłbym umożliwić ci życie w ukryciu gdzieś na terytoriach nieuregulowanych. Lecz to oznaczałoby samotny żywot – dodaje cicho. – Nikt nie może się o tobie dowiedzieć.

– Och.

Cisza.

– Tak – mówi Warner.

Znowu cisza.

– Albo – odpowiadam – opuszczę to miejsce, znajdę twojego ojca, zabiję go i sama uporam się z konsekwencjami.

Warner próbuje powstrzymać uśmiech, bezskutecznie.

Spuszcza wzrok i śmieje się cicho, a potem patrzy mi prosto w oczy. Kręci głową.

– Co w tym śmiesznego?

– Moja droga dziewczynka.

– S ł u c h a m?

– Tak długo czekałem na tę chwilę.

– Co masz na myśli?

– Nareszcie jesteś gotowa – mówi. – Nareszcie jesteś gotowa do walki.

Ogarnia mnie zdumienie.

– Oczywiście, że jestem.

Wspomnienia z pola bitwy spadają na mnie jak bomby, znowu trafia mnie śmiertelna kula. Nie zapomniałam o przyjaciołach ani swoim postanowieniu: żeby zrobić wszystko inaczej. Żeby wszystko zmienić. Żeby nareszcie podjąć prawdziwą walkę, bez wahania. Nieważne, co się stanie – nieważne, jakiego dokonam odkrycia – nie ma już odwrotu. Nie ma innego wyjścia.

Nie zapomniałam.

– Zabiję go albo zginę.

Warner wybuchł śmiechem. Wygląda, jakby miał się rozpłakać.

– Naprawdę zamierzam zabić twojego ojca – mówię. – I zniszczyć Komitet Odnowy.

Wciąż się uśmiecha.

– Zrobię to.

– Wiem – mówi.

– W takim razie dlaczego się ze mnie śmiejesz?

– Nie śmieję się z ciebie – mówi cicho. – Zastanawiam się tylko, czy chcesz, żebym ci pomógł.

– Co? – Mrugam szybko, z niedowierzaniem.

– Zawsze ci powtarzałem – mówi do mnie Warner – że moglibyśmy stworzyć doskonały zespół. Zawsze powtarzałem, że czekam, aż będziesz gotowa, aż zdasz sobie wreszcie sprawę ze swojego gniewu, z tego, jaka drzemie w tobie siła. Czekam na to od dnia, w którym cię poznałem.

– Przecież chciałeś mnie wykorzystać dla Komitetu Odnowy... Chciałeś, żebym torturowała niewinnych ludzi...

– Nieprawda.

– Co? O czym ty mówisz? Sam mi mówiłeś...

– Kłamałem. – Wzrusza ramionami.

Szczęka mi opada.

– Są trzy rzeczy, które powinnaś o mnie wiedzieć, skarbie. – Robi krok naprzód. – Po pierwsze – mówi – nienawidzę swojego ojca bardziej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić. – Odchrząkuje. – Po drugie, jestem niewybaczalnie samolubny, robię prawie wyłącznie to, co mi przynosi korzyści. A po trzecie. – Milknie na chwilę, spuszcza wzrok. Śmieje się cicho. – Nie miałem zamiaru wykorzystać cię jako broni.

Brakuje mi słów.

Cofam się w stronę łóżka, siadam.

Oślupiała.

– To była tylko intryga, która miała zmylić mojego ojca – mówi Warner. – Musiałem go przekonać, że warto zainwestować w kogoś takiego jak ty, że moglibyśmy wykorzystać cię do celów wojskowych. I jeśli mam być szczery, do tej pory nie mam pojęcia, jak to się stało, że on to kupił. Sam pomysł jest niedorzeczny. Przeznaczyć tyle środków, energii na przystosowanie najprawdopodobniej chorej psychicznie dziewczyny wyłącznie do tego, żeby torturowała ludzi? – Kręci głową. – Od początku było jasne, że to bezsensowny wysiłek, kompletna strata czasu. Są znacznie skuteczniejsze metody wydobywania informacji od tych, którzy nie mają ochoty ich udzielać.

– Więc dlaczego... do czego ci byłem potrzebna?

Mam wrażenie, że jego oczy iskrzą. Dostrzegam w nich szczerość.

– Chciałem cię poddać badaniom.

– Co?! – krzyczę.

Znowu odwraca się do mnie.

– Czy wiesz, że w tamtym domu mieszka moja matka? – pyta tak cicho, że muszę wyciąć słuch, żeby go słyszeć. Spogląda na zamknięte drzwi. – W tym, do którego mój ojciec kazał cię zawieźć? Tam, gdzie cię postrzelił? Była w swoim pokoju. Tuż obok tego, w którym umieścił ciebie.

Nie odpowiadam, Warner znowu patrzy mi w oczy.

– Tak – szepczę. – Twój ojciec o niej wspominał.

– Och? – Na jego twarz pada cień niepokoju. Szybko go maskuje. – A co takiego o niej mówił? – pyta, bardzo się starając zachować opanowanie.

– Że jest chora – mówię, nienawidząc się za dreszcz, który przebiega przez moje ciało. – Że przechowuje ją tam, bo ona źle znosi osiedla.

Warner opiera się o ścianę. Wygląda, jakby tego potrzebował. Oddycha głęboko.

– Tak – mówi wreszcie. – To prawda. Jest chora. Zachorowała nagle. – Jego wzrok

skupia się na jakimś odległym punkcie w innym świecie. – Kiedy byłem mały, wydawała się zupełnie zdrowa – mówi, cały czas obracając nefrytową obrączkę na palcu. – Ale potem pewnego dnia po prostu... zaatakowała ją choroba. Całymi latami walczyłem z ojcem, żeby szukał skutecznego lekarstwa, ale jego to nie obchodziło. Sam próbowałem znaleźć dla niej pomoc, lecz nikt, z kim się kontaktowałem, żaden lekarz nie był w stanie jej pomóc. Nikt nie wiedział, co jej się stało – mówi, prawie nie oddychając. – Ona żyje w nieustannym cierpieniu, a ja zawsze byłem zbyt samolubny, żeby pozwolić jej umrzeć.

Podnosi wzrok.

– I wtedy dowiedziałem się o twoim przypadku. Słyszałem różne rzeczy na twój temat, krążyło o tobie wiele plotek – mówi. – I po raz pierwszy obudziła się we mnie nadzieja. Chciałem mieć do ciebie dostęp. Przeprowadzić badania. Poznać cię osobiście i zrozumieć. Wszystkie moje wcześniejsze poszukiwania okazały się bezowocne, nie słyszałem o nikim innym, kto mógłby udzielić mi odpowiedzi na pytania dotyczące stanu mojej matki. Byłem zrozpaczony – mówi. – Byłem gotów spróbować wszystkiego.

– Co masz na myśli? – pytam. – Dlaczego akurat ktoś taki jak ja miałby pomóc twojej matce wrócić do zdrowia?

Nasze spojrzenia znowu się spotykają. Na jego twarzy maluje się cierpienie.

– Dlatego, że ty, skarbie, nie możesz nikogo dotknąć. A ona nie może znieść niczyjego dotyku.

Odebrało mi mowę.

– W końcu zrozumiałem jej ból – mówi Warner. – Wreszcie zrozumiałem, jak ona musi się czuć. Dzięki tobie. Bo przekonałem się, co twój dar znaczył dla ciebie w przeszłości i co znaczy teraz: dźwigać taki ciężar, żyć z taką mocą wśród ludzi, którzy nic z tego nie rozumieją.

Odchyła głowę i opiera ją o ścianę. Przyciska do oczu nasady dłoni.

– Moja matka, podobnie jak ty, musi się czuć, jakby drzemał w niej potwór. Tylko że w jej wypadku, inaczej niż w twoim, ofiarą jest wyłącznie ona sama. Nie może żyć we własnej skórze. Nikt nie może jej dotknąć, nawet jej własne ręce. Nie może odgarnąć kosmyka włosów z czoła ani zacisnąć pięści. Boi się mówić, poruszyć nogami, otworzyć ramiona, a nawet zmienić pozycję na wygodniejszą, ponieważ jej skóra, ocierając się o siebie, sprawia jej nieznośny ból.

Opuszcza ręce.

– Wygląda na to – mówi, starając się uspokoić głos – że kontakt z ciepłem ludzkiego ciała wyzwala w niej jakąś straszliwą, autodestrukcyjną moc, a ponieważ jest zarazem sprawczynią i ofiarą, najwyraźniej nie może sama siebie zabić. Żyje więc jak więzień własnego ciała, nie mogąc uciec przed torturami, które sobie zadaje.

Czuję, że straszliwie pieką mnie oczy. Zaczynam szybko mrugać.

Przez tyle lat myślałam, że moje życie jest trudne. Sądziłam, że rozumiem, co znaczy cierpienie. Ale to... To jest coś, czego nie mam szansy pojąć. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że komuś może być jeszcze ciężej niż mnie.

Jest mi wstyd, że się nad sobą użalałam.

– Przez długi czas – ciągnie Warner – sądziłem, że to zwykła choroba, że na przykład rozwinęła się u niej jakaś wada systemu odpornościowego, coś, co sprawiło, że jej skóra stała się tak wrażliwa i bolesna. Zakładałem, że przy odpowiednim leczeniu matka kiedyś wyzdrowieje. Nie traciłem nadziei, ale w końcu okazało się, że minęły lata, a nic się nie zmieniło. Ciągłe cierpienie zaczęło zagrażać jej zdrowiu psychicznemu, właściwie zrezygnowała z walki. Pozwoliła, żeby ból zwyciężył. Nie chciała wstawać z łóżka ani jadać regularnych posiłków, przestała dbać o higienę. A mój ojciec ograniczał się do podawania jej leków. Trzyma ją zamkniętą w tamtym domu, tylko pielęgniarka dotrzymuje jej towarzystwa. Mama jest uzależniona od morfiny i zupełnie odeszła od zmysłów. Nie wie nawet, kim jestem. Nie rozpoznaje mnie. Kilka razy próbowałem odstawić jej leki – mówi cicho. – Ale wtedy ona chciała mnie zabić. – Milknie na chwilę. Wygląda, jakby zapomniał o mojej obecności. – W dzieciństwie życie wydawało mi się czasem prawie znośne – stwierdza – wyłącznie dzięki niej. A ojciec, zamiast się nią opiekować, sprawił, że jej nie poznaję.

Podnosi wzrok ze śmiechem.

– Zawsze sądziłem, że zdołam ją uratować – mówi. – Wierzyłem, że gdybym tylko mógł znaleźć przyczynę... że mógłbym coś zrobić, tak myślałem... – Milknie. Przeciąga dłonią po twarzy. – Sam nie wiem – szepcze. Odwraca głowę. – W każdym razie nie miałem zamiaru cię wykorzystać ani do czegokolwiek zmuszać. To nie w moim stylu. Po prostu musiałem zachować pozory. Ojciec nie pochwała mojego zainteresowania dobrym samopoczuciem matki.

Uśmiecha się dziwnie, krzywo. Patrzy na drzwi. Śmieje się.

– Nigdy nie chciał jej pomóc. Jest dla niego ciężarem, którym się brzydzi. Myśli, że trzymając ją przy życiu, wyświadcza jej wielką łaskę, a ja powinienem mu być za to wdzięczny. Uważa, że to dla mnie wystarczające dobrodziejstwo, że mogę patrzeć, jak moja matka zamienia się w zdziczałą istotę, której ból przesłania wszystko, sprawiając, że odchodzi od zmysłów. –

Przeciąga drżącą dłonią po włosach, opiera ją na karku. – Ale mnie to nie wystarczało – mówi cicho. – Nie wystarczało. Obsesyjnie chciałem jej pomóc. Przywrócić ją do życia. I poczuć, jak to jest – ciągnie, patrząc mi prosto w oczy. – Chciałem wiedzieć, co czuje człowiek, który znosi tego rodzaju ból. Chciałem wiedzieć, czego musi doświadczać każdego dnia. Nigdy nie bałem się twojego dotyku. Prawdę mówiąc, wyczekiwałem go. Byłem przekonany, że w końcu mnie zaatakujesz, że będziesz próbowała się przede mną bronić, i czekałem na tę chwilę. Ale ty nigdy tego nie zrobiłaś. – Kręci głową. – Wszystko, co przeczytałem w twoich aktach, świadczyło o tym, że jesteś bezwzględna istotą, która nie cofnie się przed niczym. Spodziewałem się, że okażesz się bestią, że przy najbliższej okazji będziesz próbowała zabić mnie albo moich ludzi, że będziesz wymagała ścisłego nadzoru. A ty zupełnie mnie rozczarowałaś. Okazałaś się taka ludzka, taka śliczna. Tak nieznośnie naiwna. Nie mściłaś się.

Patrzy w dal niewidzącym wzrokiem, wspominając.

– Nie reagowałaś na moje groźby. Rzeczy ważne nie miały dla ciebie znaczenia. Zachowywałaś się jak rozkapryszone dziecko – mówi. – Nie podobały ci się ubrania. Nie chciałaś jeść wyszukanych potraw. – Śmieje się głośno i przewraca oczami, a ja nagle zapominam o całym swoim współczuciu dla niego.

Kusi mnie, żeby czymś w niego rzucić.

– Byłaś taka urażona, bo poprosiłem, żebyś włożyła sukienkę – ciągnie. Patrzy na mnie z rozbawieniem. Oczy mu błyszczą. – Byłem gotów bronić swojego życia przed nieokiełzanym potworem, który zabija gołymi rękami... – Znowu powstrzymuje śmiech. – A ty dostawałaś napadu złości na widok czystego ubrania i gorącego posiłku. Och – wzdycha. Kręci głową wpatrzony w sufit. – Zachowywałaś się idiotycznie i to była najlepsza rozrywka w moim życiu. Nie potrafię opisać, jak świetnie się bawiłem. Uwielbiałem doprowadzać cię do wściekłości – mówi, patrząc złośliwie. – Wciąż uwielbiam doprowadzać cię do wściekłości.

Szarpię jedną z jego poduszek tak mocno, że pewnie za chwilę ją podrę. Patrzę na niego gniewnie.

Śmieje się ze mnie.

– Nie mogłem się skupić – mówi z uśmiechem. – Chciałem cały czas być z tobą. Udawałem, że planuję twoją domniemaną przyszłość w Komitecie Odnowy. Byłaś niegroźna, piękna i ciągle na mnie krzyczałaś – mówi z szerokim uśmiechem. – Boże, krzyczałaś na mnie z najbardziej błahych powodów – wspomina. – Ale nigdy mnie nie dotknęłaś. Ani razu, nawet po to, żeby ratować własne życie.

Jego uśmiech przygasa.

– To mnie martwiło. Przerazało mnie, że wolisz poświęcić siebie, niż użyć swoich zdolności, żeby się bronić. – Bierze oddech. – Więc zmieniłem taktykę. Próbowałem cię zmusić, żebyś mnie dotknęła.

Wzdrygam się. Zbyt dobrze pamiętam tamten dzień w niebieskim pokoju. Prowokował mnie, manipulował mną do tego stopnia, że byłam bliska zrobienia mu krzywdy. Udało mu się w końcu znaleźć słowa idealne, którymi zranił mnie tak mocno, że chciałam zranić jego.

Prawie to zrobiłam.

Przekrzywia głowę. Powoli, z rezygnacją wypuszcza powietrze.

– Ale to też mi się nie udało. Za to szybko straciłem z oczu swój pierwotny cel. Byłem tak zajęty tobą, że zapomniałem, po co w ogóle sprowadziłem cię do bazy. Irytował mnie twój upór, to, że nie atakujesz, chociaż wiedziałem, że tego chcesz. Lecz zazwyczaj kiedy już byłem gotów się poddać, zdarzały się te chwile. – Kręci głową. – Te niewiarygodne chwile, kiedy okazywałaś przebłyski czystej, nieokiełzanej siły. To było niesłychane. – Milknie. Opiera się o ścianę. – Ale potem zawsze się wycofywałaś. Jakbyś się wstydziła. Jakbyś nie chciała się przyznać do tego, co

potrafisz. Więc znowu zmieniłem taktykę. Spróbowałem czegoś innego. Nie miałem cienia wątpliwości, że dzięki temu przekroczysz granicę. I muszę przyznać, że mnie nie zawiodłaś. – Uśmiecha się. – Pierwszy raz wyglądałaś, jakbyś naprawdę żyła.

Moje dłonie nagle stają się zimne jak lód.

– Sala tortur! – wykrztuszam.

– Chyba można to tak nazwać. – Warner wzrusza ramionami. – My to nazywamy komorą symulacyjną.

– Zmusiłeś mnie, żebym torturowała dziecko – mówię. Powracają gniew i wściekłość, które czułam tamtego dnia. Jak mogłabym zapomnieć to, co wtedy zrobił? Do czego mnie zmusił? A teraz zmusza mnie, abym przeżywała ponownie koszmar tych wspomnień, a wszystko dla własnej rozrywki. – Nigdy ci tego nie wybaczę – rzucam z jadem w głosie. – Nigdy nie wybaczę ci tego, co zrobiłeś tamtemu chłopczykowi. Tego, do czego mnie zmusiłeś!

Warner marszczy czoło.

– Słucham?

– Znęcałeś się nad d z i e c k i e m! – Głos mi drży. – Wykorzystałeś je do swoich głupich gier! Jak mogłeś zrobić coś tak obrzydliwego! – Rzucam w niego poduszkę. – Ty chory zwyrodnialcu!

Warner łapie poduszkę, która trafia go w pierś, i wpatruje się we mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Potem nagle na jego twarzy pojawia się błysk zrozumienia, a poduszka wyślizguje mu się z rąk. Spada na podłogę.

– Och... – mówi powoli. Zaciska powieki, próbując stłumić wesołość. – Poddaję się. – Teraz otwarcie się śmieje. – To mnie przerasta...

– O czym ty mówisz? Co się z tobą dzieje? – pytam.

– Powiedz mi, skarbie – mówi, wciąż z uśmiechem. – Po-wiedz mi, co według ciebie wydarzyło się tamtego dnia.

Zaciskam pięści, obrażona jego nonszalancją. Drzę w nowym przypiływie gniewu.

– Dałeś mi idiotyczne, kuse ubranie! A potem zabrałeś mnie na dół, do podziemi, i zamknąłeś w tym obskurnym, brudnym pokoju. Pamiętam go dokładnie. – Ze wszystkich sił staram się zachować spokój. – Były w nim ohydne żółte ściany. Stary zielony dywan. Wielkie weneckie lustro.

Warner unosi brwi. Daje mi znak, żebym mówiła dalej.

– I... pstryknąłeś w jakiś przełącznik. – Zmuszam się, by mówić dalej. Nie wiem, dlaczego teraz zaczynam wątpić we własne słowa. – I z podłogi wysunęły się wielkie metalowe kolce. A potem... – Waham się, zbieram się w sobie. – Wszedł tam mały chłopczyk. Z zawiązanymi oczami. A ty powiedziałaś, że przysyłasz go w zastępstwie. Powiedziałaś, że jeśli ja go nie uratuję, ty też tego nie zrobisz.

Warner przygląda mi się uważnie. Badawczo patrzy mi w oczy.

– Jesteś pewna, że tak powiedziałem?

– Tak.

– Tak? – Przekrzywia głowę. – Tak, widziałaś na własne oczy, jak to mówię?

– N-nie – odpowiadam szybko. Zaczynam się bronić. – Ale tam były głośniki. Słyszałam twój głos...

Bierze głęboki oddech.

– Jasne. Oczywiście.

– Słyszałam – powtarzam.

– Więc co się stało, kiedy usłyszałaś, jak to mówię?

Przełykam głośno ślinę.

– Musiałam uratować tego chłopca. On był w niebezpieczeństwie. Nic nie widział i zaraz zostałby przebity kolcami. Musiałam wziąć go na ręce i próbowałam trzymać tak, żeby go nie

zabić.

Sekunda milczenia.

– I co, udało ci się? – pyta Warner.

– Tak – szepczę, nie rozumiejąc, dlaczego mnie o to pyta, skoro widział to wszystko na własne oczy. – Ale chłopczyk zemdłał – mówię. – Został chwilowo sparaliżowany, kiedy go trzymałam. A potem przestawiłeś przełącznik i kolce znik-ły... Upuściłam go, a on... znowu zaczął płakać i wpadł na moje gołe nogi. I zaczął krzyczeć. A ja... ogarnęła mnie taka wściekłość...

– Że przebiłaś się przez betonową ścianę – mówi Warner. Na jego ustach tańczy słaby uśmieszek. – Przebiłaś się przez ścianę z betonu, żeby mnie udusić.

– Zasłużyłeś na to. – Słyszę swój głos. – Zasłużyłeś na coś gorszego.

– Cóż – wzdycha. – Gdybym zrobił to, co mi zarzucasz, niewątpliwie bym na to zasłużył.

– Co znaczy „gdybym zrobił”? Przecież to właśnie zrobiłeś...

– Na pewno?

– Oczywiście, że tak!

– Więc powiedz mi, skarbie, co się stało z tym chłopcem?

– Co? – Zastygam. Na moich ramionach wyrastają sople lodu.

– Co się stało z tym chłopczykiem? – pyta ponownie. – Twierdzisz, że postawiłaś go na podłodze. A potem rzuciłaś się na betonową ścianę z grubym lustrem o szerokości dwóch metrów, najwyraźniej nie zważając na roczne dziecko, które, jak twierdzisz, spacerowało po pokoju. Nie sądzisz, że musiałyby zostać ranne w wyniku tego szalonego, lekkomyślnego popisu? Moi żołnierze nie wyszli z tego bez szwanku. Rozwaliłaś ścianę z betonu, skarbie. Zmiażdżyłaś ogromny kawał szkła. Nawet się nie zatrzymałaś, żeby sprawdzić, gdzie spadł gruz i odłamki szkła i czy kogoś nie trafiły. – Milknie. Wpatruje się we mnie. – Prawda?

– Nie – wykrztuszam. Czuję, że krew odpływa mi z ciała.

– Więc co się stało, kiedy wyszłaś? – pyta. – Może tego nie pamiętasz? Odwróciłaś się i wyszłaś zaraz po tym, jak zniszczyłaś ten pokój, zraniłaś moich ludzi i powaliłaś mnie na podłogę. Odwróciłaś się i po prostu wyszłaś.

Cierpnę. Ma rację. Tak było. Nie zastanawiałam się nad tym. Wiedziałam tylko, że muszę jak najszybciej się stamtąd wydostać. Musiałam uciec, żeby zebrać myśli.

– Więc co się stało z tym chłopcem? – dopytuje Warner. – Gdzie był, kiedy wychodziłaś? Widziałaś go? – Unosi brwi. – A co z kolcami? – pyta. – Obejrzałaś podłogę i sprawdziłaś, czy są w niej jakieś otwory, z których wystawały? Albo jak mogły ją przebić razem z wykładziną, nie powodując żadnych szkód? Czy czułaś, że powierzchnia pod twoimi stopami jest pocięta albo nierówna?

Oddycham z trudem, usiłując zachować spokój. Nie mogę się uwolnić od jego spojrzenia.

– Julio, skarbie – mówi cicho. – W tym pokoju nie było głośników. To pomieszczenie jest dźwiękoszczelne, są tam tylko czujniki i kamery. To komora symulacyjna.

– Nie – wyduszam z siebie. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w to, że się myliłam, że Warner nie jest tym potworem, za którego go uważałam. On nie może się tak po prostu zmieniać jak kameleon. Nie może tak mi mącić w głowie. Nie pozwolę mu na to. – To niemożliwe...

– Przyznaję się do tego, że zmusiłem cię do udziału w okrutnej symulacji – mówi. – Rozumiem swój błąd i już za niego przeprosiłem. Chciałem tylko skłonić cię wreszcie do jakiejś reakcji, bo wiedziałem, że tylko w ten sposób uda mi się coś w tobie wyzwolić. Ale, dobry Boże, skarbie... – Kręci głową. – Musiałaś mieć o mnie bardzo złe zdanie, jeśli sądziłaś, że ukradłbym czyjeś dziecko tylko po to, żeby patrzeć, jak je torturujesz.

– To nie było naprawdę? – Nie poznaję własnego zachryp-łego, nabrzmiąłego paniką głosu. – To się nie działo naprawdę?

Uśmiecha się współczująco.

– Zaprojektowałem podstawowe elementy symulacji, ale piękno tej aplikacji polega na tym, że wirtualna rzeczywistość ewoluuje w trakcie ćwiczeń, przetwarzając najbardziej podstawowe odruchy żołnierza, a potem dostosowuje się do uzyskanych tą drogą informacji. Szkolimy w ten sposób ludzi do zadań specjalnych albo takich, którym trzeba pomóc w przezwyciężeniu określonego rodzaju strachu. Potrafimy zrekonstruować prawie każde otoczenie. Nawet żołnierze, którzy są na to przygotowani, zapominają, że to symulacja. – Odwraca wzrok. – Wiedziałem, że to będzie dla ciebie przerażające, jednak nie cofnąłem się przed poddaniem cię tej próbie. I szczerze żałuję tego, że sprawiłem ci ból. Ale – mówi cicho, znowu patrząc mi w oczy – to nie miało nic wspólnego z prawdą. Wyobraziłaś sobie mój głos w tym pokoju. Wyobraziłaś sobie ból, dźwięki, zapachy. Wszystko było wytworem twojego umysłu.

– Nie wierzę ci – szepczę.

Próbuje się uśmiechnąć.

– Jak sądzisz, dlaczego dałem ci tamto ubranie? – pyta. – Materiał miał podszewkę z substancją rozpoznawalną przez czujniki w pokoju. A im mniej masz na sobie, tym łatwiej kamery śledzą ciepło twojego ciała, twoje ruchy. – Kręci głową. – Nie miałem okazji wytłumaczyć ci, czego doświadczałaś. Zamiast od razu iść za tobą, uznałem, że dam ci trochę czasu, żebyś mogła się pozbierać. To było głupie z mojej strony. – Zaciska zęby. – Popelnilem błąd. Bo okazało się, że przyszedłem za późno. Byłaś gotowa uciekać przede mną przez okno.

– Nie bez powodu – warczę.

Podnosi ręce w geście kapitulacji.

– Jesteś odrażający! – wybucham, rzucając mu w twarz pozostałe poduszki, wściekła, przerażona i upokorzona jednocześnie. – Jak mogłeś postawić mnie w takiej sytuacji, wiedząc, przez co przeszłam, ty głupi, arogancki...

– Julio, proszę – mówi, podchodząc bliżej. Uchyła się przed poduszką, dotyka moich ramion. – Naprawdę przykro mi, że sprawiłem ci ból, ale jestem przekonany, że było warto...

– Nie dotykaj mnie! – Odskakuję, rzucając mu mordercze spojrzenie, i chwytam się kurczowo jego łóżka, jakbym mogła się nim zasłonić. – Powinnam wpakować ci kolejną kulę za to, co mi zrobiłeś! Powinnam... Powinnam...

– Tak...? – Śmieje się. – Rzucić we mnie jeszcze jedną poduszką?

Próbuję go odepchnąć, ale on ani drgnie, więc zaczynam okładać go pięściami: tors, ramiona, brzuch, nogi – biję gdzie popadnie. Po raz pierwszy naprawdę żałuję, że on potrafi wchłaniać moją moc, że nie mogę po prostu zmiażdżyć mu wszystkich kości i sprawić, żeby wił się z bólu w moich rękach. – Ty... egoistyczny... p o t w o r z e! – Cały czas zadaję ciosy na oślep, nieświadoma tego, jak mnie to wyczerpuje, nie zdając sobie sprawy, jak szybko mój gniew zamienia się w ból. Nagle czuję, że chciałabym tylko płakać. Zaczynam drzeć. Przerazenie miesza się z ulgą, wreszcie uwolniłam się od lęku, że kolejne niewinne dziecko ucierpiało z mojego powodu, ale nie opuszcza mnie groza na myśl o tym, że Warner wymusił na mnie coś tak okropnego. Bo chciał mi p o m ó c.

– Tak mi przykro – mówi, podchodząc bliżej. – Naprawdę, szczerze żałuję. Wtedy jeszcze cię nie znałem. Nie tak dobrze jak teraz. Teraz nigdy czegoś podobnego bym nie zrobił.

– Nie znasz mnie – mamrocę, ocierając łzy. – Sądzisz, że mnie znasz tylko dlatego, że przeczytałaś mój dziennik, ty szpiclu, ty... głupi, wścibski dupku...

– Właśnie... skoro o tym mowa... – Uśmiecha się, wyszarpuje jedną ręką dziennik z mojej

kieszeni i kieruje się do drzwi – ... obawiam się, że jeszcze nie skończyłem czytać.

– Hej! – protestuję, zamierzając się na wychodzącego Warnera. – Powiedziałeś, że mi to oddasz!

– Niczego takiego nie mówiłem – odpowiada spokojnie, chowając dziennik do kieszeni spodni. – A teraz proszę, zaczekaj tu chwilę. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Nadal krzyczę, kiedy zamykają się za nim drzwi.

Opadam na łóżko.

Wydaję z siebie wściekły pomruk. Ciskam poduszką o ścianę.

Muszę coś zrobić. Muszę zacząć działać.

Muszę wymyślić jakiś plan.

Długo wycofywałam się i uciekałam, a mój umysł często był pochłonięty skomplikowanymi, beznadziejnymi marzeniami o obaleniu Komitetu Odnowy. Przez większość z 264 dni, które spędziłam w celi, fantazjowałam na temat niemożliwych zdarzeń. Marzyłam o tym, żeby splunąć w twarz każdemu, kto mnie dręczył, i każdemu, kto się nawinie. I choć obmyślałam niezliczone scenariusze tego, jak staję do walki i zaczynam się bronić, nigdy właściwie nie myślałam, że będę miała szansę je urzeczywistnić. Nie sądziłam, że będę miała siłę, okazję i odwagę, aby to zrobić.

Ale teraz?

Nikogo nie ma.

Być może zostałam tylko ja.

W Punkcie Omega odpowiadało mi to, że Castle dowodzi. Sama na niczym się nie znałam, w dodatku byłam jeszcze zbyt przerażona, żeby działać. On za wszystko odpowiadał i miał przygotowany plan, a ja wierzyłam, że wie, co robi, że wszyscy oni wiedzą, co robią.

Błąd.

W głębi duszy od początku wiedziałam, kto powinien kierować tym ruchem. Czulałam to już od dłuższego czasu, wtedy jednak byłam zbyt przerażona, żeby te słowa mogły przejść mi przez usta. Powinien to być ktoś, kto nie ma nic do stracenia i wszystko do zyskania. Ktoś, kto już się nikogo nie boi.

Nie Castle. Nie Kenji. Nie Adam. Nawet nie Warner.

To powinnam być ja.

Po raz pierwszy przyglądam się uważniej temu, co mam na sobie, i zdaję sobie sprawę, że to stare ubrania Warnera. Znowu. Tonę w wyblakłej pomarańczowej koszulce i szarych spodenkach gimnastycznych, które zsuwają mi się z bioder za każdym razem, gdy wstaję. Powoli próbuję złapać równowagę, stawiam boscie stopy na grubym pluszowym dywanie. Roluję w pasie spodenki, tak że opierają się na moich kościach biodrowych, a potem skręcam luźny materiał koszulki i związuję z tyłu. Domyślam się, że muszę wyglądać śmiesznie, ale to prowizoryczne dopasowanie ubrania daje mi jakąś namiastkę poczucia kontroli, której próbuję się ucześcić. Sprawia, że czuję się bardziej gotowa, że w jakiś sposób panuję nad sytuacją. Teraz przydałaby mi się jeszcze gumka do włosów. Moje włosy są za ciężkie, mam wrażenie, że mnie duszą, bardzo bym chciała pozbyć się ich z szyi. Prawdę mówiąc, marzę o tym, żeby wziąć prysznic.

Obracam się na dźwięk otwieranych drzwi.

Jestem akurat w środku jakiejś myśli, trzymam włosy uniesione do góry, jak prowizoryczny koński ogon. Nagle zaczynam dotkliwie odczuwać to, że nie mam na sobie żadnej bielizny.

Warner trzyma tacę.

Wpatruje się we mnie bez mrugnięcia okiem. Jego spojrzenie prześlizguje się po moim ciele: szyi, ramionach. Zatrzymuje się na talii. Podążam za jego wzrokiem i zdaję sobie sprawę, że koszulka podjechała mi do góry, odsłaniając brzuch. I dociera do mnie, dlaczego się gapi.

Wspomnienie jego pocałunków, jego dłoni przemierzających moje plecy, moje gołe nogi, tylne części moich ud, jego palce zahaczone o gumkę moich majtek...

Och.

Opuszczam ręce, włosy natychmiast opadają, brązowe fale rozsypują się, uderzając mocno o ramiona, plecy. Twarz mi płonie.

Warner ni stąd, ni zowąd wpatruje się jak sparaliżowany w jakiś punkt nad moją głową.

– Chyba powinnam skrócić włosy – mówię sama do siebie, nie rozumiejąc, po co w ogóle to powiedziałam. Wcale nie chcę obcinać włosów. Chcę się zamknąć w łazience.

On nie odpowiada. Niesie tacę w stronę łóżka. Dopiero na widok szklanek z wodą i talerzy z jedzeniem zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem głodna. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. Żyję dzięki energii przekazanej mojemu ciału, kiedy zostałam uzdrowiona.

– Siadaj – mówi, nie patrząc mi w oczy. Wskazuje głową podłogę i sam siada na dywanie. Zajmuję miejsce naprzeciwko niego. Podsuwa mi tacę.

– Dziękuję – mówię ze wzrokiem wbitym w talerz. – Wy-gląda smakowicie.

Jest sałatka i aromatyczny, kolorowy ryż. Pokrojone w talarki przyprawione ziemniaki i niewielka porcja parujących warzyw. Filiżanka czekoladowego puddingu. Miseczka pokrojonych owoców. Dwie szklanki wody.

Taki posiłek oburzyłby mnie, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy.

Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, nie przepuściłabym żadnej okazji. Jadłabym zamówione przez Warnera potrawy i wkładała ubrania. Zbierałabym siły i uważnie przyglądała się bazie. Szukałabym możliwości ucieczki i pretekstów do zwiedzania osiedli. A potem wzięłabym nogi za pas. Znalazłabym sposób, żeby przeżyć. Nie pociągnęłabym za sobą Adama. Nie wpakowałabym siebie ani tylu innych osób w tarapaty.

Gdybym tylko jadła to głupie jedzenie.

Byłam przerażoną, naiwną dziewczynką, która broniła się tak, jak umiała. Nic dziwnego, że skutki okazały się opłakane. Brakowało mi zdrowego rozsądku. Powstrzymywały mnie własna słabość i przerażenie, nie potrafiłabym dostrzec otwierającej się przede mną możliwości. Brakowało mi doświadczenia w konspiracji, nie umiałam wywierać wpływu na innych. Prawie nie byłam w stanie porozumiewać się z ludźmi, z trudem rozumiałam słowa, które rodziły się w mojej głowie.

Nie mogę uwierzyć, jak bardzo się zmieniłam w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Jakbym stała się kimś zupełnie innym. Sprytniejszym. Zdecydowanie twardszym. I po raz pierwszy w życiu jestem gotowa przyznać się do gniewu.

To wyzwala.

Podnoszę wzrok, czując na sobie ciężar spojrzenia Warnera. Wpatruje się we mnie zaintrygowany, zafascynowany.

– O czym myślisz? – pyta.

Wbijam widelec w plasterek ziemniaka.

– O tym, że musiałam być idiotką, skoro odmawiałam zjedzenia gorącego posiłku.

Unosi brew.

– Trudno mi się z tym nie zgodzić.

Rzucam mu złowrogie spojrzenie.

– Byłaś taka załamana, kiedy się tu znalazłaś – mówi, nabierając powietrza. – Nie rozumiałem, co się z tobą dzieje. Czekałem na to, aż wpadniesz w szal, wskoczysz na stół i zaatakujesz moich żołnierzy. Sądziłem, że będziesz próbowała wszystkich pozabijać, a tymczasem ty siedziałaś uparta i nadąsana, odmawiając przebrania się w czyste ubranie i zjedzenia warzyw.

Czerwienię się.

– Z początku myślałem, że coś knujesz – mówi ze śmiechem. – Myślałem, że tylko

udajesz lekceważenie po to, żeby odwrócić moją uwagę od jakiegoś ważniejszego celu. Myślałem, że twój gniew z powodu drobnostek to podstęp – mówi z kpiną w oczach. – Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Krzyżuję ramiona na piersi.

– Ta rozrzutność była obrzydliwa. Tyle pieniędzy zmarnowanych na armię, podczas gdy ludzie umierają z głodu.

Warner macha ręką, kręci głową.

– Nie o to chodzi – mówi. – Chodzi mi o to, że nie dawałem ci tych rzeczy z jakiegoś wyrachowanego, pokrętnego powodu. To nie był żaden test. – Śmieje się. – Nie próbowałem ani sprawdzać ciebie, ani twoich skrupułów. Wydawało mi się, że wyświadczam ci przysługę. Przybyłaś z tej obrzydliwej, żalostnej nory. Chciałem, żebyś miała prawdziwy materac. Żebyś mogła spokojnie wziąć prysznic. Ubierać się w piękne, czyste ubrania. No i musiałaś jeść – mówi. – Byłaś straszliwie wygłodzona.

Nieruchomieję. Czuję się już trochę udobruchana.

– Może – mówię. – Ale zachowywałaś się jak wariat. Maniacko mnie kontrolowałaś. Nie pozwalałaś mi nawet rozmawiać z żołnierzami.

– Bo to zwierzęta – rzuca niespodziewanie ostrym tonem.

Zaskoczona podnoszę wzrok i patrzę w jego gniewne, błyszczące, zielone oczy.

– Większość swojego życia spędziłaś w zamknięciu – mówi. – Nie miałaś okazji zdać sobie sprawy z tego, jaka jesteś piękna ani jaki wpływ może to wywierać na mężczyzn. Martwiłem się o twoje bezpieczeństwo – mówi. – Byłaś nieśmiała i słaba, a mieszkałaś w bazie pełnej samotnych, uzbrojonych, tępych żołnierzy trzy razy większych od ciebie. Nie chciałem, żeby próbowali cię napastować. Urządziłem widowisko kosztem Jenkinsa, bo chciałem, żeby na własne oczy zobaczyli, co potrafisz, żeby przekonali się, że jesteś dla nich groźnym przeciwnikiem. Kimś, od kogo lepiej trzymać się z daleka. Próbowałem cię chronić.

Nie mogę oderwać wzroku od jego poważnych oczu.

– Ależ ty musisz mieć o mnie niskie mniemanie. – Kręci głową wstrząśnięty. – Nie miałem pojęcia, że tak bardzo mnie nienawidzisz. Że wszystko, co próbowałem zrobić, żeby ci pomóc, zostało opacznie zrozumiane.

– Nie rozumiem twojego zdziwienia. Czego miałam się po tobie spodziewać, jeśli nie najgorszego? Byłeś aroganckim prostakiem, traktowałeś mnie, jakbym była twoją własnością...

– Nie mogłem inaczej! – Przerzywa mi, nie okazując ani odrobiny skruchy. – Każdy mój ruch, każde słowo są monitorowane, kiedy tylko znajdę się poza swoją kwaterą. Muszę uchodzić za człowieka o określonym typie osobowości. Od tego zależy moje życie.

– A co z tym żołnierzem, któremu strzeliłeś w głowę? Sea-musem Fletcherem? – rzucam. Znowu ogarnia mnie gniew. Teraz, kiedy wpuściłam gniew do swojego życia, zdaję sobie sprawę, że przychodzi mi trochę zbyt naturalnie. – Czy to też było częścią twojego planu? Nie, zaraz, nic nie mów! – Unoszę rękę. – To była tylko symulacja, tak?

Warner sztywnieje.

Prostuje się, szczęka mu drga. Spogląda na mnie z mieszaniną smutku i gniewu w oczach.

– Nie – mówi w końcu lodowatym szeptem. – To nie była symulacja.

– Więc to dla ciebie chleb powszedni? – pytam. – Bez mrugnięcia okiem zabijasz człowieka za to, że ukradł trochę jedzenia? Za to, że próbował przeżyć tak samo jak ty?

Warner na pół sekundy przygryza dolną wargę. Splata dłonie na kolanach.

– Proszę – mówię. – Jak szybko stajesz w jego obronie.

– To był niewinny człowiek – mówię. – Nie zasługiwał na śmierć. Nie za coś takiego. Nie w taki sposób.

– Seamus Fletcher – mówi Warner spokojnie, wpatrując się w swoje otwarte dłonie – był zapijaczonym draniem, który katował żonę i dzieci. Nie jedli przez dwa tygodnie. Uderzył dziewięcioletnią córkę pięścią w twarz, wybijając jej dwa zęby z przodu i łamiąc szczękę. Pobił swoją ciężarną żonę tak, że straciła dziecko. Miał jeszcze dwoje dzieci. Siedmioletniego syna i pięcioletnią córkę. – Cisza. – Połamał im ręce.

Zapominam o jedzeniu.

– Uważnie obserwuję życie naszych obywateli – mówi Warner. – Lubię wiedzieć, kim są i jak sobie radzą. – Wzrusza ramionami. – Pewnie nie powinienem się tym przejmować – mówi. – Ale się przejmuję.

Chyba już nigdy nie otworzę ust.

– Nigdy nie twierdziłem, że kieruję się w życiu jakimiś zasadami – mówi Warner. – Nigdy nie twierdziłem, że mam rację, że postępuję słusznie, nawet nie próbowałem usprawiedliwiać swoich czynów. Prawda jest taka, że po prostu mnie to nie obchodzi. Zmuszano mnie, żebym robił rzeczy straszne, skarbie. Nie szukam twojego wybaczenia ani aprobaty. Nie mogę sobie pozwolić na luksus filozofowania i posiadania skrupułów, skoro codziennie muszę się kierować podstawowym instynktem.

Patrzy mi w oczy.

– Możesz mnie osądzać – mówi. – Jak chcesz. Ale nie mam wyrozumiałości – mówi ostro – dla mężczyzny, który bije swoją żonę. Nie potrafię być wielkoduszny wobec kogoś, kto bije swoje dzieci. – Oddycha z trudem. – Seamus Fletcher nie cofnąłby się przed zamordowaniem członków swojej rodziny – mówi. – Możesz to sobie nazywać, jak chcesz, mam to gdzieś. Nigdy nie będę żałował, że zabiłem człowieka, który miażdży żonie twarz o ścianę. Nigdy nie będę żałował, że zabiłem człowieka, który uderza dziewięcioletnią córkę pięścią w twarz. Nie jest mi przykro. Nie będę przepraszał. Bo jego dzieci mają się lepiej bez ojca, a żona bez męża takiego jak on. – Przyglądam się, jak z trudem poruszają się mięśnie w jego gardle. – Wiem coś o tym.

– Przepraszam... Warner, ja...

Podnosi rękę, żeby mnie uciszyć. Opanowuje się, skupia wzrok na talerzach z nietkniętym jedzeniem.

– Już to mówiłem, skarbie, i przykro mi, że to powtarzam, ale nie rozumiesz wyborów, których muszę dokonywać. Nie wiesz, ile w życiu widziałem ani co jestem zmuszony oglądać każdego dnia. – Waha się. – I lepiej, żebyś tego nie wiedziała. Ale nie sądz, że rozumiesz moje postępowanie – mówi, wreszcie patrząc mi w oczy. – Bo mogę cię zapewnić, że go nie rozumiesz. A jeśli upierasz się przy tym, żeby dokonywać założeń dotyczących mojego charakteru, mogę doradzić ci tylko jedno: załóż, że zawsze się pomylisz.

Podnosi się z niedbałą elegancją, która mnie zaskakuje. Wygląda spodnie. Podwija rękawy.

– Kazałem przenieść rzeczy z twojej szafy do mojej – mówi. – Tam masz ubrania, gdybyś chciała się przebrać. Łóżko i łazienka są do twojej dyspozycji. Ja muszę wracać do obowiązków – stwierdza. – Będę dziś nocował w swoim gabinecie.

Z tymi słowami otwiera drzwi do gabinetu, po czym zamyka się w środku.

Wystygło mi jedzenie.

Grzebię widelcem w ziemniakach i zmuszam się, żeby dokończyć posiłek, chociaż straciłam apetyt. Chcąc nie chcąc, zastanawiam się, czy tym razem nie za mocno naciskałam na Warnera.

Kiedy sądziłam, że usłyszałam już wszystkie rewelacje, okazało się, że znowu się pomyliłam. Zastanawiam się, ile ich zostało, czego jeszcze się o nim dowiem w ciągu najbliższych dni. Miesiącey.

I ogarnia mnie przerażenie.

Bo im lepiej go poznaję, tym mniej znajduję powodów, żeby go odepchnąć. Odkrywa się przede mną ktoś, kogo nie znałam, kto napawa mnie niespodziewanym lękiem.

Jedyna myśl, jaka przychodzi mi do głowy, to: n i e t e r a z.

Nie tutaj. Nie w czasie, gdy tak wiele spraw pozostaje niewiadomą. Gdyby tylko moje uczucia miały lepsze wyczucie chwili.

Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że Warner był nieświadomy głębi mojej nienawiści do niego. Teraz chyba trochę lepiej rozumiem to, jak on sam siebie oceniał. Nie postrzegał swoich czynów jako złe czy przestępcze. Może sądził, że nie skreślę go tak łatwo. Albo że potrafię go przejrzeć z taką samą łatwością, z jaką on umie odczytywać moje uczucia.

Ale nie potrafiłam. Nie. A teraz mimo woli zastanawiam się, czy go rozczarowałam.

Dlaczego w ogóle się tym przejmuję?

Wstaję z westchnieniem, nienawidząc własnego niezdecydowania. Bo choć nie mogę zaprzeczyć, że on mnie fizycznie pociąga, wciąż nie umiem się pozbyć swojego początkowego wyobrażenia o jego charakterze. Nie jest mi łatwo nagle się przestawić, skoro tak długo widziałam w nim potwora manipulującego ludźmi.

Potrzebuję czasu, żeby nauczyć się myśleć o nim jak o normalnym człowieku.

Na razie jednak jestem zmęczona myśleniem. Chcę tylko wziąć prysznic.

Wlokę się w stronę otwartych drzwi łazienki, kiedy nagle przypominam sobie, co Warner mówił o moich ubraniach. Że przeniósł je do swojej szafy. Rozglądam się w poszukiwaniu jakichś drzwi, ale nie widzę nic poza zamkniętym na klucz wejściem do jego gabinetu. Niemal kusi mnie, żeby zapukać i po prostu go o to zapytać, ale rezygnuję. Przyglądam się więc uważniej ścianom, wychodząc z założenia, że Warner zostawiłby mi dokładniejsze wskazówki, gdyby trudno było znaleźć tę szafę. Coś dostrzegam.

Przełącznik.

To właściwie przycisk, tylko umieszczono go w równej linii z powierzchnią ściany, więc właściwie nie sposób go zauważyć, jeśli się nie szuka.

Wciskam przycisk.

Część ściany się przesuwają i moim oczom ukazuje się przejście do drugiego pomieszczenia. A kiedy przestępuję próg, jego wnętrze samo się rozświetla.

Ta szafa jest większa niż cała jego sypialnia.

Ściany i sufit są wyłożone białymi kamiennymi płytkami, które lśnią w świetle ukrytych fluorescencyjnych lamp. Podłogę zdobi orientalny dywan. Na środku stoi mała zamszowa kanapa w jasnozielonym nefrytowym kolorze. To właściwie dziwna kanapa: pozbawiona oparcia, przypomina raczej zbyt duży podnózek. Jeszcze dziwniejsze wydaje mi się to, że nie ma tu ani jednego lustra. Obracam się, rozglądam, przekonana, że musiałam je przeoczyć, choć to przecież coś oczywistego. Jestem tak pochłonięta podziwianiem wnętrza, że z początku nie zwracam

uwagi na ubrania.

Ubrania.

Są wszędzie, wyeksponowane, jakby były dziełami sztuki. Błyszczące regały z ciemnego drewna – z półkami wypełnionymi rzędami butów – są wbudowane w ściany. Pozostałą przestrzeń zajmują wieszaki, na każdej ze ścian wiszą ubrania różnego rodzaju.

Wszystko jest ułożone kolorystycznie.

Tyłu płaszczy, butów, spodni i koszul, ile tu jest, nie widziałam w całym swoim życiu. Krawaty, muszki, paski, szaliki, rękawiczki i spinki do mankietów. Piękne, drogie materiały: mieszanki jedwabiu, sztywno wykrochmalona bawełna, miękka wełna i kaszmir. Buty wyjściowe i wypolerowane na wysoki połysk trzewiki z miękkiej skóry. Ciemnopomarańczowa, właściwie rudawa dwurzędowa kurtka, trencz w głębokim granatowym kolorze. Zapinany na kołki zimowy płaszcz w intensywnym, olśniewającym, śliwkowym odcieniu. Pozwalam sobie musnąć palcami różne rodzaje materiałów, zastanawiając się, ile z tych rzeczy w ogóle miał okazję włożyć.

Kto by pomyślał.

Zawsze rzucało się w oczy, że Warner jest dumny ze swojego wyglądu. Jego ubrania są nieskazitelne i leżą na nim, jakby zostały skrojone na miarę. Ale teraz wreszcie rozumiem, dlaczego tyle uwagi poświęcił mojej szafie.

On nie miał zamiaru potraktować mnie protekcyjnie.

Sprawiło mu to przyjemność.

Aaron Warner, głównodowodzący i regent Sektora 45, syn naczelnego dowódcy Komitetu Odnowy.

Ma słabość do ładnych ubrań.

Kiedy mija pierwsze zaskoczenie, dostrzegam swoją dawną szafę. Ustawiono ją bezceremonialnie w rogu pomieszczenia, wygląda tu niemal żałośnie. Dziwnie nie pasuje do reszty.

Szybko przeszukuję szuflady, po raz pierwszy doceniając to, że mam czyste ubranie, w które mogę się przebrać. Warner przewidział wszystkie moje potrzeby, zanim pojawiłam się w bazie. Szafa jest pełna sukienek, podkoszulków i spodni, ale nie brakuje w niej także skarpetek, biustonoszy i majtek. I choć wiem, że powinnam czuć się z tego powodu niezręcznie, wcale tak nie jest. Bielizna jest prosta i dyskretna. Zwyczajne bawełniane rzeczy, zupełnie przeciętne i bardzo funkcjonalne. Kupił je, zanim mnie poznał, i wiedząc o tym, że za ich wyborem nie kryje się najmniejsza zażyłość, czuję się odrobinę mniej niezręcznie.

Chwytam niewielki podkoszulek, parę bawełnianych spodni od piżamy, nowiutką bieliznę i wyslizguję się z garderoby. Światła od razu gasną, pozostaje mi tylko wcisnąć przycisk zamykający drzwi.

Patrzę teraz na jego sypialnię inaczej niż dotąd, muszę na nowo przyzwyczaić się do mniejszej zwyczajnej przestrzeni. Pokój Warnera wygląda niemal identycznie jak ten, który ja zajmowałam, kiedy byłam w bazie, i zawsze się zastanawiałam, dlaczego tak jest. Nie ma tu żadnych rzeczy osobistych, żadnych zdjęć ani bibelotów.

Teraz zaczynam to rozumieć.

Sypialnia nie ma dla niego żadnego znaczenia. Jest tylko miejscem do spania. Za to szafa – to w jego stylu, pewnie nawet sam ją zaprojektował. To przypuszczalnie jedyna część tego pokoju, która ma dla niego znaczenie.

Zastanawiam się, jak wygląda wnętrze jego gabinetu, i mój wzrok pada na prowadzące do niego drzwi, kiedy przypominam sobie, że zamknąłem się w środku.

Powstrzymując westchnienie, ruszam w stronę łazienki z zamiarem wzięcia prysznica, przebrania się i natychmiastowego pójścia spać. Mam wrażenie, że ten dzień trwał kilka lat

i najwyższa pora, aby się skończył. Mam nadzieję, że jutro uda mi się wrócić do Punktu Omega i nareszcie zacząć działać.

Niezależnie jednak od tego, co się teraz wydarzy, niezależnie od tego, co odkryjemy, znajdę Andersona, choćbym musiała szukać go sama.

Nie mogę krzyczeć.

Moje płuca nie chcą się rozszerzyć. Mój oddech zamienił się w urywane dyszenie. Moja pierś i gardło są zbyt ściśnięte, próbuję krzyczeć, ale nie mogę, nie mogę przestać świszczuć, wymachiwać rękami, usiłuję nabrać powietrza, ale to daremny wysiłek. Nikt mnie nie słyszy. Nikt nie wie, że umieram, że mam w piersi dziurę pełną krwi, bólu, nieznośnej udręki i że jest tego tyle, tyle gorącej, zbierającej się wokół mnie krwi, że nie mogę, nie mogę, nie mogę oddychać...

– Julio... Julio, skarbie, obudź się, obudź!

Zrywam się raptownie, zginając się prawie w pół. Gwałtownie chwytam powietrze z poczuciem triumfu i ulgi, że udało mi się nabrać tlenu w płuca. Wciąż jeszcze nie mogę mówić, poprzestaję na oddychaniu tak głęboko, jak to tylko możliwe. Całe moje ciało drży, moja skóra jest lepka i rozgrzana, a teraz zbyt szybko stygnie. Nie mogę się uspokoić, nie mogę powstrzymać cichych łez, nie mogę otrząsnąć się z koszmaru, nie mogę wymazać wspomnień.

Raz po raz rozpaczliwie wciągam powietrze.

Warner ujmuje w dłonie moją twarz. Ciepło jego dotyku pomaga mi się uspokoić i moje serce nareszcie zwalnia.

– Popatrz na mnie – mówi.

Zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Drżąc, chwytam powietrze.

– Już dobrze – szepcze, nie puszczając mojej twarzy. – To był tylko zły sen. Spróbuj zamknąć usta i oddychać przez nos. – Kiwa głową. – O, widzisz. To łatwe. Nic ci nie jest. – Jego głos jest tak delikatny, tak miły, tak nieopisanie łagodny.

Nie mogę oderwać wzroku od jego oczu. Boję się mrugnąć, boję się, że powróci mój koszmar.

– Nie odejdę, dopóki nie będziesz gotowa – mówi. – Nie martw się. Nie spiesz się.

Zamykam oczy. Czuję, że moje serce bije teraz w normalnym tempie. Moje mięśnie zaczynają się rozluźniać, dłonie przestają drżeć. I chociaż wcale nie płaczę, nie mogę powstrzymać łez płynących po mojej twarzy. Ale wtedy coś w moim ciele się załamuje, pęka od wewnątrz i nagle czuję się tak wyczerpana, że nie mogę dłużej utrzymać się w pozycji siedzącej.

Warner jakby się tego domyślał.

Pomaga mi się oprzeć na łóżku, okrywa mi ramiona. Drżąc, ocieram resztki łez. Warner głaszcze mnie po włosach.

– W porządku – mówi cicho. – Już dobrze.

– Czy ty nie kładziesz się spać? – jękam się. Zastanawiam się, która jest godzina. Zauważam, że jest kompletnie ubrany.

– Ja...? Tak... – Nawet w tym przyćmionym świetle dostrzegam zdziwienie w jego oczach. – W końcu pójdę. Rzadko kładę się o tej porze.

– Och. – Mrugam. Już łatwiej mi oddychać. – Która godzina?

– Druga nad ranem.

Teraz ja jestem zaskoczona.

– Nie musimy wstać za kilka godzin?

– Musimy. – Ciężki uśmiech przemyka przez jego usta. – Ale prawie nigdy nie mogę zasnąć wtedy, kiedy powinienem. Mój mózg chyba nie potrafi się wyłączyć – mówi, uśmiechając się do mnie przez chwilę. Odwraca się, żeby wyjść.

– Zostań.

To słowo opuszcza moje usta zbyt szybko, żebym mogła się nad nim zastanowić. Nie wiem nawet, dlaczego to mówię. Może dlatego, że jest późno, że nadal drzę, a jego obecność tuż obok pomaga odegnać koszmary. A może dlatego, że jestem jeszcze słaba, w dodatku pogrążona w rozpaczy i potrzebuję przyjaciela. Trudno powiedzieć. Ale panujący wokół nas mrok i cisza nocnej pory domagają się własnego języka. Ciemność obdarza nas jakimś dziwnym rodzajem wolności, sprawia, że pozwalamy sobie na bezbronność w najmniej właściwym momencie. Dajemy jej się zwieść, sądząc, że dochowa tajemnicy. Zapominamy, że czerń to nie zasłona, a wkrótce wszędzie słońce. Na chwilę stajemy się dostatecznie odważni, żeby mówić rzeczy, których nigdy nie powiedzielibyśmy w świetle dnia.

Jednak Warner nie mówi ani słowa.

Przez moment mam wrażenie, że jest zaniepokojony. Wpatruje się we mnie w niemym przerażeniu, osłupiały i już mam cofnąć to, co powiedziałam, i zakopać się w pościeli, kiedy jego dłoń chwyta moje ramię.

Nieruchomieję.

Przyciąga mnie do siebie, a ja opieram głowę o jego pierś. Ostrożnie otacza mnie ramionami, jakby chciał mi powiedzieć, że mogę się odsunąć, że zrozumie, że to mój wybór. Ale ja czuję się tak bezpiecznie, jest mi tak obezwładniająco dobrze, że nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego nie miałabym cieszyć się tą chwilą. Przysuwam się bliżej, ukrywam twarz w miękkich fałdach jego koszuli. Jego ramiona oplatają mnie ciaśniej, jego pierś unosi się i opada. Opieram ręce o jego brzuch i czuję mięśnie napinające się pod wpływem mojego dotyku. Przesuwam lewą dłoń wokół jego żeber, w górę pleców, a Warner zastyga w bezruchu. Jego serce łomocze tuż przy moim uchu. Moje powieki opadają dokładnie w chwili, gdy on nabiera powietrza.

– O, Boże – wyrzuca z siebie nagle i odsuwa się ode mnie. – Nie mogę. Nie zniosę tego.

– Co?

Jest już na nogach i choć dostrzegam jedynie zarys jego sylwetki, widzę, że drży.

– Nie mogę tak dłużej...

– Warner...

– Sądziłem, że uda mi się po prostu odejść – mówi. – Że będę mógł żyć bez ciebie i nienawidzić cię za to, ale nie mogę. Bo ty musiałaś to tak cholernie skomplikować – mówi drżącym głosem. – Bo nie grasz fair. Dajesz się postrzelić, doprowadzając mnie przy tym do kompletnej ruiny.

Boję się poruszyć.

Boję się wydać jakiś dźwięk.

W głowie mam mętlik, a moje serce nie przestaje łomotać. Kilkoma słowami udało mu się zniweczyć moje usilne próby wyparcia z pamięci tego, co mu zrobiłam.

Nie wiem, co robić.

Moje oczy wreszcie przyzwyczajają się do ciemności. Mrugam. Teraz widzę, że Warner patrzy mi w oczy, jakby chciał w nich zobaczyć odbicie mojej duszy.

Nie jestem na to gotowa. Jeszcze nie. Jeszcze nie. Nie w ten sposób. Ale przez mój umysł przewijają się uczucia i obrazy: jego dłonie, jego ramiona, jego usta. Próbuje odepchnąć wspomnienia, ale nie umiem zignorować zapachu jego skóry i bliskości znajomego ciała. To doprowadza mnie do obłądu. Słyszę dudnienie jego serca, widzę napięty ruch jego szczęki, czuję jego cicho powstrzymywaną siłę.

Nagle zmienia się wyraz jego twarzy. Maluje się na niej niepokój.

– Boisz się? – pyta.

Wzdrygam się, mój oddech przyspiesza, cieszę się, że on wyczuwa jedynie ogólną barwę

moich uczuć i nic poza tym. Przez chwilę właściwie mam ochotę zaprzeczyć. Nie, nie boję się.

Jestem przerażona.

Kiedy jestem blisko ciebie, dzieje się ze mną coś dziwnego. Coś niezrozumiałego, irracjonalnego, coś, co trzepocze mi w piersi i paraliżuje moje ciało. Pragnę odpowiedzi, przejrzystości, ksiąg objawienia. Pragnę kieszeni pełnej znaków przestankowych, aby zakończyć nimi myśli, które wtłoczyłeś mi do głowy.

Ale nie mówię żadnej z tych rzeczy.

Zadaję tylko pytanie, na które znam odpowiedź.

– Dlaczego miałabym się bać?

– Drżysz – mówi.

– Och.

Te trzy litery i towarzyszący im krótki, lękliwy dźwięk wybiegają z moich ust w poszukiwaniu schronienia w jakimś odległym miejscu. Marzę o tym, żeby umieć odwracać wzrok w chwilach takich jak ta. Marzę o tym, żeby moich policzków tak łatwo nie ogarniał pożar. Marnuję marzenia na głupie rzeczy.

– Nie, nie boję się – mówię wreszcie. Naprawdę powinien się ode mnie odsunąć.

Naprawdę powinien wyświadczyć mi tę uprzejmość. – Nie, jestem tylko zdumiona.

Milczy, choć jego oczy błagają mnie o wyjaśnienie. W tak krótkim czasie stał się mi bliski, a zarazem obcy, potwierdził moje wyobrażenie o nim, jednocześnie całkowicie mu przecząc.

– Pozwalasz światu myśleć, że jesteś mordercą bez serca – mówię. – Przecież to nieprawda.

Śmieje się krótko, jego brwi unoszą się w geście zdziwienia.

– Rzeczywiście – mówi. – Obawiam się, że jestem tylko zwyczajnym mordercą.

– Ale dlaczego... po co udajesz, że jesteś bezwzględny? – pytam. – Dlaczego pozwalasz ludziom, żeby traktowali cię, jakbyś taki był?

Wzdycha. Znowu podwija rękawy powyżej łokci. Mimo woli śledzę ruch jego rąk, mój wzrok prześlizguje się po jego przedramionach. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie ma wojskowych tatuaży, które wszyscy noszą. Ciekawe dlaczego.

– Co to za różnica? – pyta. – Ludzie mogą sobie myśleć, co im się podoba. Nie szukam niczyjej aprobaty.

– Więc ani trochę ci nie przeszkadza, że osądzają cię tak surowo? – pytam.

– Nie mam nikogo, na kim chciałbym zrobić wrażenie – mówi. – Nikogo, kogo obchodziłoby to, co się ze mną stanie. Nie mam zwyczaju zawierać przyjaźni, skarbie. Moja praca polega na dowodzeniu armią i to jedyne, na czym się znam. Kto miałby być dumny z moich dokonań? Matka nawet mnie nie poznaje. Ojciec uważa, że jestem słaby i godny pożałowania. Moi żołnierze życzą mi śmierci. Świat zmierza ku zagładzie. Z nikim nie prowadziłem tak długich rozmów jak z tobą.

– Co...? Naprawdę? – pytam, otwierając szeroko oczy.

– Naprawdę.

– A jednak mówisz mi te wszystkie rzeczy? – Jestem wstrząśnięta. – Dlaczego powierzasz mi swoje tajemnice?

Jego oczy ciemnieją, spojrzenie nagle nieruchomieje. Wpatruje się w ścianę.

– Nie rób tego – mówi. – Nie zadawaj mi pytań, na które znasz odpowiedzi. Odsłoniłem się przed tobą dwa razy i jedyne, co mi z tego przyszło, to rana postrzałowa i złamane serce. Przestań się nade mną znęcać. – Znowu patrzy mi w oczy. – To okrucieństwo, nawet jeśli robisz to komuś takiemu jak ja.

– Warner...

– Nie rozumiem! – wybuchła wreszcie. Traci panowanie nad sobą, jego głos staje się piskliwy. – Co takiego mógł ci dać K e n t? – Wyrzuca z siebie jego nazwisko.

Jestem tak poruszona, tak nieprzygotowana na to pytanie, że odbiera mi mowę. Nie wiem, co się stało z Adamem, gdzie jest ani co przyniesie nam przyszłość. Na razie trzyma mnie przy życiu wyłącznie nadzieja, że udało mu się wyjść z tego cało. Że gdzieś tam jest i żyje, nawet jeśli wydaje się to niemożliwe. W tej chwili pewność, że tak się stało, wystarczyłaby mi w zupełności.

Biorę więc głęboki oddech i próbuję znaleźć właściwe słowa, odpowiedni sposób, żeby wyjaśnić, że jest wiele większych, ważniejszych spraw, z którymi musimy się zmierzyć. Ale kiedy podnoszę wzrok, przekonuję się, że Warner wciąż na mnie patrzy, czekając, aż odpowiem na to pytanie, i wygląda, jakby bardzo się starał nad sobą panować. Widocznie naprawdę nie daje mu to spokoju.

Myślę, że zasługuje na odpowiedź. Szczególnie po tym, co mu zrobiłam.

Biorę więc głęboki oddech.

– Trudno mi to wyjaśnić. On jest... Sama nie wiem. – Za-czynam, wpatrując się w swoje dłonie. – Był moim pierwszym przyjacielem. Pierwszym człowiekiem, który traktował mnie z szacunkiem... On mnie kochał. – Milczę przez chwilę. – Zawsze był dla mnie dobry.

Warner się wzdyga. Na jego twarzy maluje się zdumienie.

– Zawsze był dla ciebie d o b r y? – powtarza.

– Tak – szepczę.

Rozlega się nerwowy, pusty śmiech.

– Nie mogę w to uwierzyć – mówi Warner z nieruchomym spojrzeniem utkwionym w przestrzeni, rękę trzyma zanurzoną we włosach. – Zadaję sobie to pytanie od trzech dni. Usiłuję zrozumieć, jak to możliwe, że w jednej chwili byłeś gotowa mi się oddać, a w następnej wyszarpałaś mi serce z powodu... z powodu kogoś tak bezbarwnego, że niczym się nie różni od zwyczajnego, wymienialnego automatu. Nie mogłem przestać o tym myśleć, byłem przekonany, że stoi za tym jakaś wielka tajemnica, coś, co musiałem przeoczyć, czego nie mogłem zrozumieć – mówi, znów patrząc na mnie. – Byłem gotów to zaakceptować – dodaje. – Bardzo się starałem to zaakceptować, bo uznałem, że za twoim wyborem kryją się ważne powody, wykraczające poza moją zdolność pojmowania. Byłem gotów pozwolić ci odejść, przekonany, że łączy cię z nim coś wyjątkowego. Że on zna cię lepiej, niż ja byłbym zdolny cię poznać. Bo na to zasługujesz. Powtarzałem sobie, że zasługujesz na kogoś lepszego niż ja, na kogoś, kto da ci więcej, niż ja mógłbym ci zaoferować. – Kręci głową. Opuszcza ręce. – Ale to? – pyta zbulwersowany. – Te słowa? To ma być wyjaśnienie? Wybrałaś go, bo był dla ciebie dobry? Bo okazał ci zwyczajną życzliwość?

Nagle ogarnia mnie złość.

Czuję się zażenowana.

Ogarnia mnie wściekłość na Warnera, który pozwala sobie osądzać moje życie.

W dodatku uważa, że jest wspaniałomyślny, bo zszedł mi z drogi. Mrużę oczy, zaciskam pięści.

– To nie jest życzliwość – warczę. – Zależy mu na mnie... a mnie zależy na nim!

Warner kiwa głową z politowaniem.

– Powinnaś sprawić sobie psa, skarbie. Zdaje się, że wyszłoby na to samo.

– Jesteś niemożliwy! – Zrywam się na nogi, próbując stanąć o własnych siłach, i zaraz tego żałuję. Muszę się chwycić ramy łóżka, żeby złapać równowagę. – Mój związek z Adamem to nie twój interes!

– Związek? – Warner śmieje się głośno. Podchodzi szybko, okrążając łóżko, zatrzymuje się metr ode mnie. – Jaki związek? Czy on w ogóle coś o tobie wie? Czy on cię rozumie? Czy on

zna twoje pragnienia, twoje lęki, prawdę, która kryje się w twoim sercu?

– Bo co? Ty je znasz?

– Wiesz cholernie dobrze, że tak! – krzyczy, oskarżycielsko wskazując na mnie palcem. – I jestem gotów założyć się o swoje życie, że on nie ma pojęcia, jaka naprawdę jesteś. Chodzisz na paluszkach, żeby go nie rozczarować, udając przed nim grzeczną małą dziewczynkę, prawda? Boisz się go wystraszyć. Boisz się powiedzieć mu o sobie zbyt wiele...

– Nic nie wiesz!

– Owszem, wiem – mówi, ruszając w moją stronę. – Rozumiem wszystko. Zakochał się w twojej cichej, nieśmiałej powłoce. W kimś, kim byłeś kiedyś. Nie ma pojęcia, do czego jesteś zdolna. Co mogłabyś zrobić, gdyby cię do tego popchnięto. – Kładzie dłoń na moim karku. Pochyla się, nasze usta dzielą teraz zaledwie centymetry.

Co się znowu dzieje z moimi płucami...?

– Tchórzysz – szepcze. – Chcesz być ze mną, tylko panicznie się tego boisz. I wstydzisz się – mówi. – Wstydzisz się, że pragnęłaś kogoś takiego jak ja. Prawda? – Opuszcza wzrok, muskając nosem mój nos. Mogłabym policzyć milimetry przestrzeni, która pozostała między naszymi ustami. Usiłuję się skupić, pamiętać o tym, że jestem na niego wściekła, bo z jakiegoś powodu przecież jestem, ale jego usta są tuż naprzeciwko moich, a mój mózg zawiesił się w poszukiwaniu sposobu na zmniejszenie dzielącej nas odległości.

– Pragniesz mnie – mówi cicho. Jego dłonie suną teraz w górę po moich plecach. – I nie możesz sobie z tym poradzić.

Odskakuję, uciekam, nienawidząc własnego ciała za jego reakcje na Warnera, za to, że tak łatwo się poddaje. Moje stawy wydają się teraz takie słabe, a nogi miękkie. Potrzebuję tlenu, co z moimi płucami...

– Zaslugujesz na znacznie więcej niż życzliwość. – Pierś mu faluje. – Zaslugujesz na to, żeby naprawdę żyć. Pełnią życia – mówi wpatrzony we mnie. – Wracaj do życia, skarbie. Będę tu, kiedy się obudzisz.

Kiedy się budzę, leżę na brzuchu.

Twarz mam zanurzoną w poduszkach, rękami obejmuję ich miękkie kształty. Mrugam raz za razem, czekając, aż moje zapuchnięte oczy zapoznają się z otoczeniem. Próbuję sobie przypomnieć, gdzie jestem. Mrużę powieki, broniąc się przed światłem dnia. Unoszę głowę, żeby się rozejrzeć, ale włosy opadają mi na twarz.

– Dzień dobry.

Zrywam się bez powodu i siadam zbyt szybko, z równie niewyjaśnionych przyczyn przyciskając poduszkę do piersi. Warner stoi w nogach łóżka, kompletnie ubrany. Ma na sobie czarne spodnie i dopasowany sweter w kolorze przydymionej zieleni, z podwiniętymi rękawami. Jego włosy są idealne, spojrzenie czujne, uważne, przy zieleni swetra niezwykle wyraziste. W ręce trzyma parujący kubek. Uśmiecha się do mnie.

Macham do niego słabo.

– Kawy? – pyta, podając mi kubek.

Wpatruję się w niego z powątpiewaniem.

– Nigdy nie piłam kawy.

– Nie jest najgorsza – mówi, wzruszając ramionami. – Delalieu jest od niej uzależniony.

Prawda, Delalieu?

Odskakuję na łóżku, o mało nie uderzając głową o ścianę za plecami.

Starszy mężczyzna o życzliwej twarzy uśmiecha się do mnie z przeciwległego rogu pokoju. Jego brązowe włosy i drgający nerwowo wąs wydają mi się znajome, jakbym już kiedyś widziała go w bazie. Zauważam, że stoi obok niego wózek ze śniadaniem.

– Miło mi panią poznać – mówi. Ma trochę drżący głos, który nie wywołuje onieśmienia. Jego oczy wydają się zaskakująco szczerze.

– Kawa jest zupełnie dobra – mówi. – Piję ją codziennie. Choć osobiście w-wolę z...

– Cukrem i śmietanką – mówi Warner z kpiącym uśmiechem. Oczy mu się śmieją, jakby właśnie powiedział dowcip zrozumiały wyłącznie dla nich obu. – Tak. Choć ja uważam, że cukier to przesada. Wolę gorycz. – Znowu zerka na mnie. – Wybór należy do ciebie.

– Co się dzieje? – pytam.

– Pora na śniadanie – mówi Warner. Jego oczy nie zdradzają niczego. – Pomyślałem, że możesz być głodna.

– Czy to bezpieczne, że on tu jest? – szepczę, choć dobrze wiem, że Delalieu mnie słyszy. – Że wie, że tu jestem?

Warner kiwa głową. Nie spieszy się z dalszymi wyjaśnieniami.

– W porządku – mówię. – Spróbuję kawy.

Przezołguję się przez łóżko, żeby sięgnąć po kubek. Oczy Warnera śledzą moje ruchy, ześlizgując się z mojej twarzy na pozostałe części ciała, na zmięte poduszki i pościel pod moimi dłońmi i kolanami. Wreszcie patrzy mi w oczy, ale jego wzrok zaraz umyka. Podaje mi kubek i już po chwili dzieli nas przestrzeń całego pokoju.

– Więc? Ile wie Delalieu? – pytam, zerkając na starszego mężczyznę.

– Co masz na myśli? – Warner unosi brew.

– Czy wie na przykład, że opuszczam to miejsce? – Ja też unoszę brew. Warner wpatruje się we mnie. – Obiecałeś, że pomożesz mi się wydostać z bazy – mówię. – Mam nadzieję, że Delalieu jest tutaj po to, żeby mi w tym pomóc. Choć, jeśli to zbyt duży kłopot, zawsze mogę skorzystać z okna. – Przekrzywiam głowę. – Ostatnio zdało egzamin.

Warner mruży oczy i zaciska usta w cienką linię. Wskazuje ruchem głowy wózek ze śniadaniem, cały czas patrząc na mnie gniewnie.

– W ten sposób cię dzisiaj wydostaniemy.

Krztuszę się pierwszym łykiem kawy.

– Co?

– To najprostsze i najskuteczniejsze rozwiązanie – mówi Warner. – Jesteś drobna, ważysz niewiele, nie zajmujesz dużo miejsca, a dzięki zasłonkom nikt cię nie zobaczy. Często pracuję w swoim pokoju – mówi. – A Delalieu przywozi mi od czasu do czasu śniadanie. Nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Spoglądam na Delalieu w poszukiwaniu potwierdzenia.

Kiwa głową skwapliwie.

– Jak właściwie się tu dostałam? – pytam. – Dlaczego nie mogę wydostać się w ten sam sposób?

Warner wbija wzrok w jeden z talerzy ze śniadaniem.

– Obawiam się, że ta opcja już nie wchodzi w rachubę.

– Co masz na myśli? – Czuję, jak ogarnia mnie nagły niepokój. – Jak się tu znalazłam?

– Byłaś nieprzytomna – mówi. – Musieliśmy być trochę bardziej... kreatywni.

– Delalieu.

Na dźwięk mojego głosu starszy mężczyzna podnosi głowę, wyraźnie zaskoczony, że zwracam się bezpośrednio do niego.

– Tak, proszę pani?

– Jak dostałam się do tego budynku?

Delalieu zerka na Warnera, który teraz dla odmiany błądzi wzrokiem po ścianie. Delalieu spogląda na mnie z przepaszającym uśmiechem.

– No... cóż, przetransportowaliśmy tu panią... – zaczyna.

– Jak?

– Proszę pana – mówi nagle Delalieu, patrząc błagalnie na Warnera.

– Wnieśliśmy cię – mówi Warner, tłumiąc westchnienie – w worku na zwłoki.

Zastygam z przerażenia.

– Co?

– Byłaś nieprzytomna, skarbie. Nie mieliśmy zbyt wielu możliwości. Nie mogłem wnieść cię do bazy na rękach. – Pio-runuje mnie wzrokiem. – Bitwa pochłonęła wiele ofiar – mówi. – Po obu stronach. Worek ze zwłokami nie zwracał niczyjej uwagi.

Wpatruję się w niego.

– Nie martw się. – Uśmiecha się. – Wyciąłem dziury, żebyś mogła oddychać.

– To ładnie z twojej strony – warczę.

– To dowód wielkiej troski – dobiega mnie głos Delalieu. Zerkam na niego i przekonuję się, że obserwuje mnie zdumiony, wręcz oburzony moim zachowaniem. – Nasz dowódca uratował pani życie.

Wzdrygam się.

Wpatruję się w kubek z kawą, czując, że gorąco zabarwia mi policzki. Zawsze rozmawialiśmy z Warnerem bez świadków. Zastanawiam się, jak nasze relacje muszą wyglądać z boku.

– W porządku, poruczniku – mówi Warner. – Zazwyczaj złości się, kiedy jest przerażona. To tylko reakcja obronna wywołana klaustrofobią. Myśl o zamknięciu w ograniczonej przestrzeni budzi w niej lęk.

Podnoszę wzrok.

Warner patrzy mi prosto w oczy pełen milczącego zrozumienia.

Wciąż zapominam, że potrafi odczytywać uczucia innych. Zawsze wie, co naprawdę czuję, i zna mnie dostatecznie dobrze, żeby umieć to zinterpretować.

Jestem dla niego właściwie przezroczysta.

I ku swojemu zdumieniu zdaję sobie sprawę, że się z tego cieszę, przynajmniej w tej chwili.

– Oczywiście – mówi Delalieu. – Proszę mi wybaczyć.

– Jeśli chcesz wziąć prysznic i się przebrać, nie krępuj się – mówi Warner. – Zostawiłem dla ciebie ubrania w łazience. Żadnych sukienek – mówi, powstrzymując uśmiech. – Zaczekamy tutaj. Delalieu i ja mamy parę spraw do omówienia.

Kiwam głową, wyplątuję się z pościeli i chwiejnie staję na nogach. Szarpnię za brzeg koszulki. Nagle czuję się skrępowana, zmięta i niechlujna, wstając z łóżka w obecności dwóch wojskowych.

Przez chwilę się im przyglądam.

Warner wskazuje gestem drzwi łazienki.

Biorę z sobą kawę, nie przestając się zastanawiać, kim jest Delalieu i jak to możliwe, że Warner najwyraźniej mu ufa. Sądziłam, że wszyscy żołnierze życzą mu śmierci.

Chciałabym móc posłuchać ich rozmowy, ale obaj czekają, aż zamknę za sobą drzwi łazienki.

Biorę szybki prysznic, uważając, żeby nie zmoczyć włosów. Umyłam je poprzedniego wieczoru, a rano wydaje się chłodny. Skoro opuszczamy bazę, mogłabym się przeziębnić. Trudno jednak oprzeć się pokusie długiego stania pod gorącym prysznicem w łazience Warnera.

Chwytam poskładane ubrania, które Warner zostawił dla mnie na półce, i ubieram się szybko. Ciemne dżinsy i miękki, granatowy sweter. Czyste skarpetki i bielizna. Para nowiutkich tenisówek.

Wszystko pasuje jak ulał.

Jakżeby inaczej.

Nie chodziłam w dżinsach od tylu lat, dlatego z początku nie mogę się przyzwyczać do sztywnego materiału. Są opięte, mają zwężane nogawki i muszę ugiąć kolana, żeby trochę się dopasowały. Ale kiedy wkładam sweter przez głowę, czuję się już zupełnie swobodnie. I choć brakuje mi mojego stroju, z przyjemnością wkładam normalne ubrania. Nie jakąś wymyślną sukienkę, bojówki czy elastyczny kombinezon. Zwykle dżinsy i sweter, jak normalni ludzie. Ciekawe.

Szybko zerkam w lustro, mrugając do swojego odbicia. Chciałabym mieć czym związać włosy. W Punkcie Omega przyzwyczałam się do tego, że mogę je odgarnąć z twarzy. Odwracam wzrok z pełnym rezygnacją westchnieniem. Chcę jak najszybciej zacząć ten dzień. Kiedy jednak uchylam drzwi łazienki, dobiegają mnie głosy.

Zastygam w bezruchu. Słucham.

– ... pewien, że to bezpieczne? – To głos Delalieu. – Proszę mi wybaczyć – mówi spieszenie starszy mężczyzna. – Nie chcę, żeby to zabrzmiało impertynencko, ale nic na to nie poradzę, że jestem zaniepokojony...

– Wszystko w porządku. Dopilnuj tylko, żeby nasi żołnierze nie patrolowali tego terenu. To zajmie najwyżej kilka godzin.

– Tak jest.

Cisza.

A potem:

– Julio. – Słyszając głos Warnera, omal nie wpadam do toalety. – Wyjdź, skarbie. To nieładnie podsłuchiwać.

Powoli wychodzę z łazienki, zaczerwieniona z powodu gorącej wody i wstydu, że przyłapano mnie na tak dziecinnym zachowaniu. Nagle nie wiem, co zrobić z rękami.

Moje zażenowanie sprawia Warnerowi przyjemność.

– Gotowa?

Nie.

Nie jestem gotowa.

Nadzieja i strach próbują mnie udusić. Muszę przypominać sobie o oddychaniu. Nie jestem gotowa zmierzyć się ze śmiercią wszystkich moich przyjaciół. W żadnym razie.

– Tak, oczywiście – mówię jednak.

Przygotowuję się na spotkanie z prawdą niezależnie od tego, jaki kształt ona przybierze.

Warner miał rację.

Opuszczenie bazy na wózku okazuje się znacznie łatwiejsze, niż się spodziewałam. Nikt niczego nie zauważa, a na półce pod blatem jest dość miejsca, żebym mogła na niej wygodnie usiąść.

Dopiero kiedy Delalieu odsłania jedną z zasłonek, zdaję sobie sprawę, gdzie jesteśmy. Rozglądam się szybko, odnotowując dużą liczbę czołgów stojących na ogromnej przestrzeni.

– Szybko – szepcze Delalieu. Wskazuje pojazd stojący najbliżej nas. Właz otwiera się, pchnięty przez kogoś, kto siedzi w środku. – Proszę się pospieszyć. Nikt nie może pani zobaczyć.

Gramolę się.

Wyskakuję z wózka i pędzę w stronę otwartej klapy, wspinam się do środka i opadam na siedzenie. Właz zatraskuje się za mną. Odwracam się, żeby spojrzeć przez okno na Delalieu. Jego oczy są bardzo niespokojne. Czołg rusza.

O mało nie spadam z siedzenia.

– Nie wychylaj się i zapnij pasy, skarbie. Te czołgi nie słyną z wygody.

Warner uśmiecha się, patrząc przed siebie. Ma na sobie stalowoszary płaszcz, na rękach czarne skórzane rękawiczki. Pochylam się, odnajduję po omacku pasy i dokładnie się zapinam.

– Więc wiesz, jak tam trafić? – pytam.

– Oczywiście.

– Twój ojciec mówił, że nie zapamiętałeś położenia Punktu Omega.

Warner zerka na mnie. Oczy mu się śmieją.

– Tak się szczęśliwie składa, że odzyskałem pamięć.

– Hej, jak się stamtąd w ogóle wydostałeś? – pytam. – Jak ominąłeś strażników?

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałem im, że mam pozwolenie na opuszczanie pokoju.

Wpatruję się w niego zdumiona.

– Nie mówisz poważnie.

– Bardzo poważnie.

– Jak znalazłeś drogę do wyjścia? – pytam. – Strażnicy cię przepuścili, w porządku. Ale to był prawdziwy labirynt, mieszkałam tam przez miesiąc, a do końca nie mogłam się w nim odnaleźć.

Warner sprawdza jakiś wyświetlacz na tablicy kontrolnej. Naciska kilka przycisków o nieznanym mi funkcji.

– Nie byłem zupełnie nieprzytomny, kiedy mnie wniesiono do środka – mówi. – Starłem się zwracać uwagę na otoczenie. Robiłem, co mogłem, żeby zapamiętać charakterystyczne miejsca. Zwróciłem uwagę na to, ile czasu zajęło przeniesienie mnie od wejścia do skrzydła medycznego, a potem ze skrzydła medycznego do mojego pokoju. A kiedy Castle zabierał mnie do łazienki, rozglądałem się, próbując ustalić, jak daleko mam do wyjścia.

– Więc... – Marszczę czoło. – Mogłeś poradzić sobie ze strażnikami i uciec o wiele wcześniej. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Już ci mówiłem – odpowiada. – To więzienie było prawdziwym luksusem. Mogłem nadrobić zaległości w spaniu z kilku tygodni. Nie musiałem pracować ani zajmować się żadnymi wojskowymi sprawami. Ale najbardziej oczywista odpowiedź – mówi, wypuszczając powietrze – jest taka, że zostałem, żeby codziennie się z tobą widywać.

– Och.

Warner się śmieje, zaciska na sekundę powieki.

– Wcale nie chciałaś tam być, prawda?

– Co masz na myśli?

Kręci głową.

– Jeżeli chcesz przeżyć, nie możesz nie zwracać uwagi na otoczenie. Nie możesz liczyć na to, że ktoś się tobą zaopiekuje. Nie możesz zakładać, że inni zrobią wszystko jak należy.

– O czym ty mówisz?

– Nic cię nie obchodziło – mówi. – Siedziałaś pod ziemią ponad miesiąc razem z tymi buntownikami o nadprzyrodzonych zdolnościach i wzniosłych ideałach dotyczących ratowania świata, a twierdzisz, że nie znałaś nawet rozkładu tuneli. To dlatego, że ci na tym nie zależało – stwierdza. – Nie chciałaś w niczym uczestniczyć. Gdybyś chciała, przejęłabyś inicjatywę i próbowała jak najwięcej nauczyć się o miejscu, w którym się znalazłaś. Byłabyś podekscytowana. A ty zachowywałaś się apatycznie. Obojętnie.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale nie daje mi dojść do głosu.

– Nie winię cię za to – mówi. – Ich ideały były nierealistyczne. Nieważne, jak giętkie masz kończyny ani ile przedmiotów możesz poruszać siłą swojego umysłu. Jeśli nie rozumiesz przeciwnika, albo jeszcze gorzej: jeśli go nie doceniasz, jesteś skazana na porażkę. – Zaciska szczękę. – Próbowałem ci powiedzieć, że Castle poprowadzi was na pewną śmierć. Był zbyt wielkim optymistą, aby być dobrym przywódcą, zbyt pełen nadziei, żeby właściwie ocenić swoje szanse, za mało wiedział o Komitecie Odnowy, żeby zrozumieć, jak jego przywódcy rozprawiają się z przeciwnikami. Oni nie muszą zwracać sobie głowy podtrzymywaniem fasady uprzejmości. Cywile są dla nich zwykłymi wyrobnikami. Chcą władzy i rozrywki. Rozwiązywanie naszych problemów nie leży w ich interesie. Pilnują tylko, żeby im było wygodnie, podczas gdy my kopimy nasze własne groby.

– Nie.

– Tak – mówi. – To jest zupełnie proste. Nic się dla nich nie liczy. Książki, przedmioty, języki. Chcą tylko napędzić ludziom strachu, sprawić, żeby byli ulegli, i odrzeć ich z indywidualności. Wtłoczyć wszystkich w jeden szablon, dopilnować, żeby przyjęli jednorodny sposób myślenia, taki, jaki służy wyłącznie celom Komitetu Odnowy. To dlatego mogą zdusić wszystkie przejawy oporu, i robią to. Twoi przyjaciele tego nie rozumieli. Zabiła ich ignorancja.

Zatrzymuje czołg.

Gasi silnik.

Otwiera mój właz.

A ja wciąż nie jestem na to gotowa.

Położenie Punktu Omega nie jest już tajemnicą. Każdy mieszkaniec, każdy cywil, który nie ma problemów ze wzrokiem, mógłby wskazać ogromny krater w Sektorze 45.

Warner miał rację.

Powoli odpinam pasy, po omacku sięgam do klamki. Czuję się, jakbym płynęła we mgle, jakby moje nogi były świeżo ulepione z gliny. Zapominam o tym, jak wysoko zawieszony jest czołg, i natrafiam przy wysiadaniu na pustą przestrzeń.

Tak to wygląda.

Pusta, ogołocona równina, znajomy obszar wokół Punktu Omega, który, jak twierdził Castle, kiedyś porastała bujna roślinność. Podobno wtedy była to idealna kryjówka dla Punktu Omega. Ale to dotyczy okresu, zanim wszystko zaczęło się chylić ku upadkowi. Przed zmianami klimatycznymi, kiedy rośliny jeszcze rosły. Teraz to cmentarz. Szkielety drzew, wycie wiatru, zimna, ubita ziemia przyprószona cienką warstwą śniegu.

Nie ma Punktu Omega.

Została po nim tylko wielka, ziejąca dziura w ziemi, szeroka na jakieś półtora kilometra i głęboka na piętnaście metrów. Wypełniona śmiercią i zniszczeniem, pogrążona w ciszy po tragedii. Lata trudów, bezmiar czasu i wysiłków poświęconych określonemu celowi, jednemu celowi: ratowaniu ludzkości.

Wszystko przekreślone w ciągu jednej nocy.

Poryw wiatru wpełza pod moje ubranie, by owinąć się wokół mojego ciała. Lodowate palce skradają się w górę nogawek spodni, zaciskają wokół kolan i ciągną. Nagle nie wiem, jak to się dzieje, że nadal stoję. Moja krew zamarza i staje się krucha. Moje ręce zakrywają usta, a ja nie wiem, jak się tam znalazły.

Na moje ramiona opada coś ciężkiego. Płaszcz.

Odwracam się. Warner mnie obserwuje. Podaje mi rękawiczki.

Biorę je i naciągam na skostniałe dłonie, zastanawiając się, dlaczego jeszcze się nie obudziłam, dlaczego nikt nie wyciąga do mnie ręki, żeby powiedzieć, że wszystko w porządku, że to tylko zły sen, że wszystko będzie dobrze.

Czuję się, jakby ktoś wydrążył mnie w środku, jakby usunął ze mnie wszystkie organy, których potrzebuję, żeby żyć, a we mnie nic nie zostało, wyłącznie pustka i wszechogarniające, absolutne zaprzeczenie. To nie jest możliwe.

Punkt Omega.

Nie ma go.

Doszczętnie zniszczony.

– Na ziemię!!!

Warner przewraca mnie dokładnie w chwili, gdy powietrze wypełniają odgłosy strzelaniny.

Otacza mnie ramionami, tuli mnie do piersi, własnym ciałem zasłaniając moje przed nadciągającą nieznaną klęską. Moje serce bije tak głośno, że prawie zagłusza głos Warnera, który mówi coś wprost do mojego ucha.

– Nic ci nie jest? – szepcze, przyciskając mnie mocniej do siebie.

Próbuję pokiwać głową.

– Nie podnoś się – mówi. – Nie ruszaj się.

Nie mówię: nie miałam zamiaru.

– ODSUŃ SIĘ OD NIEJ, TY BEZWARTOŚCIOWA KUPO GÓWNA...

Moje ciało sztywnieje.

Ten głos. Znam ten głos.

Słyszę zbliżające się kroki, skrzywienie śniegu, lodu i ziemi pod butami. Warner zaczyna rozluźniać objęcia i zdaję sobie sprawę, że sięga po broń.

– Kenji, nie... – próbuję krzyknąć, ale śnieg tłumi mój głos.

– WSTAWAJ! – ryczy Kenji, podchodząc jeszcze bliżej. – Wstawaj, ty chory tchórze!

Naprawdę wpadam w panikę.

Usta Warnera muskają moje ucho.

– Zaraz wracam – szepcze.

I kiedy już mam zaprotestować, czuję, jak jego ciężar przestaje przygniatać moje ciało. Nie ma go. Zniknął. Gramolę się na nogi, odwracam.

Mój wzrok pada na Kenjiego.

Stoi jak wryty, zdezorientowany, i rozgląda się uważnie, a ja jestem taka szczęśliwa, że go widzę, że zapominam o Warnerze. Jestem gotowa się rozplakać.

– Kenji! – wołam piskliwym głosem.

Patrzy mi w oczy.

Rusza do przodu, zmniejszając dzielącą nas odległość, rzuca się na mnie i dusi w uścisku tak gwałtownym, że praktycznie zatrzymuje mi krążenie krwi.

– Ożeż, w mordę, dobrze cię widzieć – mówi jednym tchem, ściskając mnie jeszcze mocniej.

Przywieram do niego z taką ulgą, tak oszołomiona, że nie wiem, co powiedzieć. Zaciskam powieki, nie mogąc powstrzymać łez.

Kenji odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy, na jego twarzy maluje się ból zmieszany z radością.

– Co ty tu u diabła robisz? Myślałem, że nie żyjesz...

– A ja myślałam, że ty nie żyjesz!

Przystaje. Uśmiech znika z jego twarzy.

– Gdzie do cholery zniknął Warner? – pyta, rozglądając się. – Był tu z tobą, prawda? Nie straciłem rozumu?

– Tak. Posłuchaj. Warner mnie tu przywiózł – tłumaczę, starając się mówić spokojnie, w nadziei że uda mi się ostudzić gniew, który widzę w jego oczach. – Ale on nie chce z nami walczyć. Kiedy powiedział mi, co się stało z Punktem Omega, nie uwierzyłam mu, chciałam, żeby pokazał mi dowód...

– Ach tak? – mówi Kenji. Jego oczy pałają nienawiścią, jakiej nigdy u niego nie

widziałam. – Przywiózł cię tu, żeby się pochwalić osiągnięciami? Pokazać ci, ilu ludzi zamordował? – Kenji odsuwa się ode mnie, drżąc z wściekłości, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała. – Czy on ci mówił, ile tam było dzieci? Ile naszych mężczyzn i kobiet zginęło? – Milknie, dysząc. – Mówił ci to? – dopytuje, właściwie krzyczy. – WRACAJ TUTAJ, TY CHORA GNIDO!

– Kenji, nie...

Ale on rzuca się biegiem przed siebie i po chwili jest jedynie punkcikiem w oddali. Wypatruje na tej niezmiarzonej przestrzeni Warnera, a ja wiem, że muszę coś zrobić, muszę go powstrzymać, lecz nie mam pojęcia jak...

– Nie ruszaj się – rozlega się w moim uchu szept Warnera, jego dłonie mocno przytrzymują moje ramiona. Próbuję się obrócić, ale on trzyma mnie w miejscu.

– Powiedziałem: nie ruszaj się.

– Co ty r...

– Ćśśś – mówi cicho. – Nikt mnie nie widzi.

– Co?! – wykrzykuję. Wykręcam szyję, próbując spojrzeć za siebie, ale moja głowa zderza się z podbródkiem Warnera. Jego niewidzialnym podbródkiem.

– Nie! – Słyszę własny okrzyk. – Ale przecież go nie dotykasz...

– Patrz przed siebie – szepcze. – Nie chcemy, żebyś została przyłapaną na rozmowie z niewidzialnymi ludźmi.

Odwracam głowę i patrzę przed siebie. Kenjiego już nie widać.

– Jak? – pytam Warnera. – Jak to...

Warner za moimi plecami wzrusza ramionami.

– Od czasu naszego eksperymentu z twoją mocą czuję się inaczej. Teraz, kiedy dobrze wiem, jak to jest przejąć zdolności kogoś innego, łatwiej mi wybrać właściwy moment. Tak jak teraz – mówi. – Czuję się, jakbym mógł wyciągnąć rękę i dosłownie zaczerpnąć twojej energii. Z Kenjim to było równie proste. Stał tutaj. Mój instynkt samozachowawczy przejął inicjatywę.

I chociaż to fatalny moment na tego rodzaju rozważania, nie mogę powstrzymać paniki. Warner tak łatwo może przenosić swoją moc. Bez żadnych treningów. Żadnych ćwiczeń.

Może pożyczać sobie moje zdolności i korzystać z nich, jak mu się podoba.

Nic dobrego nie może z tego wyniknąć.

Dłonie Warnera ściskają moje ramiona.

– Co robisz? – szepczę.

– Chcę się przekonać, czy mogę przekazać tę moc tobie, czy mogę ją jakoś wysłać, żebyśmy oboje byli niewidzialni. Ale wygląda na to, że nie. Kiedy przechwytyuję czyjąś energię, mogę z niej korzystać, lecz najwyraźniej nie mogę się nią dzielić. Gdy ją uwolnię, może jedynie wrócić do właściciela.

– Jak to możliwe, że tyle już o tym wiesz? – pytam zdumiona. – Dowiedziałeś się o tym zaledwie kilka dni temu.

– Ćwiczyłem – mówi.

– Ale jak? Z kim? – Milknę. – O c h!

– Tak – mówi. – Twoja obecność jest dla mnie zdumiewająca. Z tylu powodów. – Jego dłonie opadają z moich ramion. – Martwiłem się, że mogę cię skrzywdzić twoją własną mocą. Nie byłem pewny, czy mogę ją wchłonąć, nie wykorzystując jej przypadkiem przeciwko tobie. Ale wygląda na to, że nawzajem się równoważymy – stwierdza. – Kiedy ją od ciebie przejmę, mogę ci ją tylko zwrócić.

Nie oddycham.

– Chodźmy – mówi Warner. – Kenji zaraz znajdzie się poza zasięgiem i nie będę mógł

utrzymać jego energii. Musimy się stąd wydostać.

– Nie mogę tak po prostu odejść – odpowiadam. – Nie mogę tak zostawić Kenjiego, nie w ten sposób...

– Będzie próbował mnie zabić, skarbie. I chociaż przekonałem się już, że z tobą jest inaczej, mogę cię zapewnić, że zasadniczo nie umiem stać bezczynnie, gdy ktoś dybie na moje życie. Jeśli więc nie chcesz patrzeć, jak strzelam do niego pierwszy, proponuję, żebyśmy czym prędzej się stąd zwijali. Czuję, że się zbliża.

– Nie. Ty możesz iść. Powinieneś iść. Ale ja tu zostaję.

Warner nieruchomieje za moimi plecami.

– Co?

– Idź – powtarzam. – Musisz jechać na osiedla. Masz sprawy do załatwienia. Powinieneś iść. Ale ja muszę tu zostać. Muszę się dowiedzieć, co się stało z pozostałymi, a potem zacząć działać.

– Prosisz mnie, żebym cię tu zostawił – upewnia się, nie starając się ukryć poruszenia. – Na jak długo?

– Nie wiem – odpowiadam. – Ale nie odejdę stąd, dopóki nie poznam odpowiedzi na niektóre pytania. I masz rację. Kenji z całą pewnością najpierw będzie strzelał, a dopiero potem zadawał pytania, więc lepiej będzie, jeśli już pójdiesz. Porozmawiam z nim, spróbuję mu wytłumaczyć, co się stało. Może moglibyśmy połączyć siły...

– C o?!

– Przecież nie musimy działać sami, tylko ty i ja – tłumaczę. – Mówiłeś, że chcesz mi pomóc w zabiciu swojego ojca i obaleniu Komitetu Odnowy, tak?

Czuję, jak kiwa powoli głową opartą o tył mojej głowy.

– Dobrze. – Biorę głęboki oddech. – Przyjmuję więc twoją propozycję.

Warner sztywnieje.

– Przyjmujesz moją propozycję.

– Tak.

– Czy ty rozumiesz, co mówisz?

– Nie mówiłabym tego, gdybym nie rozumiała. Nie jestem pewna, czy zdołam to zrobić bez ciebie.

Czuję, jak gwałtownie wypuszcza powietrze. Jego serce łomocze o moje plecy.

– Ale muszę wiedzieć, komu jeszcze udało się przeżyć – powtarzam. – I wszyscy możemy połączyć wysiłki. Bylibyśmy silniejsi, mamy przecież wspólny cel...

– Nie.

– To jedyny sposób...

– Muszę iść – mówi, obracając mnie twarzą do siebie. – Kenji zaraz tu będzie. – Wsuwa mi do ręki jakiś twardy plastikowy przedmiot. – Uruchom ten pager – dodaje – kiedy już będziesz gotowa. Miej go przy sobie, a będę wiedział, gdzie cię znaleźć.

– Ale...

– Masz cztery godziny – mówi. – Jeżeli nie skontaktujesz się ze mną w tym czasie, to będzie znaczyło, że jesteś w niebezpieczeństwie i wtedy zacznę cię szukać. – Wciąż trzyma mnie za rękę, przyciskając pager do mojej dłoni. To szalone uczucie, kiedy dotyka człowieka ktoś, kogo nie widać. – Rozumiesz? – szepcze.

Kiwam głową, raz. Nie mam pojęcia, w którą stronę powinnam patrzeć.

Nagle zastygam w bezruchu, każdy skrawek mojego ciała staje się jednocześnie gorący i zimny, bo on przyciska usta do moich palców w delikatnym, pełnym czułości geście.

Wypuszcza moją dłoń, a ja zataczam się, odurzona, bo ziemia nagle usuwa mi się spod nóg.

Kiedy odzyskuję równowagę, słyhać już znajome dudnienie elektrycznego silnika i zdaję sobie sprawę, że Warner odjeżdża.

Zostaję sama, zastanawiając się, na co u licha właśnie się zgodziłam.

Kenji nadchodzi, głośno tupiąc, w jego oczach czai się wściekłość.

– Gdzie on się u diabła podział? Widziałaś, dokąd poszedł?

Kręcę głową i wyciągam rękę. Chwytam go za ramię, szukam jego wzroku.

– Kenji, porozmawiaj ze mną. Powiedz mi, co się wydarzyło... Co z wszystkimi...?

– Nie ma żadnych wszystkich! – warczy, wrywając się. – Nie ma Punktu Omega... wszystko stracone... wszystko... – Pada na kolana, kołysze się i przewraca do przodu, czołem w śnieg. – Myślałem, że ty też nie żyjesz... Myślałem...

– Nie – wykrztuszam. – Nie, Kenji... oni nie mogli wszyscy zginąć... nie wszyscy...

Nie Adam.

Nie Adam.

Proszę proszę proszę nie Adam.

Chyba coś mówię, jestem przekonana, że mówię, tylko dlaczego wszystko ma zakrwawione krawędzie. Rozpoczęłam ten dzień z nadmiernym optymizmem.

Oklamywałam się.

Nie chciałam wierzyć Warnerowi. Nie chciałam wierzyć, że może być tak źle. Ale teraz, gdy zobaczyłam prawdę, cierpienie Kenjiego, rzeczywistość uderza we mnie tak mocno, że czuję się, jakbym wpadała tyłem do własnego grobu.

Moje kolana uderzają o ziemię.

– Proszę – mówię – proszę, powiedz mi, że są inni... Adam musi żyć...

– Dorastałem tutaj – mówi Kenji. Nie słucha mnie, a ja nie poznaję jego zachrypniętego, przepełnionego bólem głosu. Chcę dawnego Kenjiego, tego odpowiedzialnego, który nad wszystkim panuje. A to nie jest on.

Ten Kenji mnie przeraża.

– To było całe moje życie – mówi, wpatrzony w krater, który kiedyś był Punktem Omega. – Jedyne miejsce... ci wszyscy ludzie... – Wzruszenie odbiera mu mowę. – Oni byli moją rodziną. Moją jedyną rodziną...

– Kenji, proszę... – Próbuję nim potrząsnąć. Muszę przerwać ten strumień żalu, zanim porwie i mnie. Musimy się ukryć, dopiero teraz zaczynam zdawać sobie sprawę, że Kenjiemu jest wszystko jedno. On chce się znaleźć w niebezpieczeństwie. Chce walczyć. Chce umrzeć.

Nie mogę na to pozwolić.

Ktoś musi zapanować nad sytuacją, natychmiast. Oprócz mnie nikogo tu nie ma.

– Wstawaj – warczę. Mój głos brzmi bardziej szorstko, niż zamierzałam. – Musisz wstać i przestać zachowywać się lekkomyślnie. Wiesz, że tu nie jest bezpiecznie, nie możemy tu zostać. Masz jakieś schronienie? – Chwytam go za ramię i ciągnę, ale on nie ustępuje. – Wstawaj! – krzyczę znowu. – Wsta...

I wtedy, tak po prostu, przypominam sobie, że jestem od Kenjiego o niebo silniejsza. Mam ochotę się roześmiać.

Zamykam oczy i koncentruję się, próbując sobie przypomnieć wszystko, czego mnie nauczył, wszystko, co wiem o kontroli nad swoją mocą, czerpaniu z niej, kiedy to konieczne. Przez tyle lat dusiłam ją w sobie, spychając gdzieś głęboko, próbując ją ukryć, wyprzeć ze świadomości, że wciąż jestem zaskoczona, gdy przypominam sobie o jej istnieniu. Wystarczy ją okiełznać. Ale już witam ją z radością, czuję, jak napływa. To czysta moc, tak potężna, że czuję się niezwyciężona.

A potem, najzwyczajniej w świecie, jedną ręką podnoszę Kenjiego i zarzucam go sobie na

ramię.

Ja.

Ja to robię.

Kenji oczywiście wyrzuca z siebie potok najgorszych przekleństw, jakie w życiu słyszałam. Kopie mnie, ale prawie tego nie czuję, moje ramiona swobodnie obejmują jego ciało. Ostrożnie powstrzymuję swoją siłę, żeby go nie zmiażdżyć. Jest wściekły, ale przynajmniej znowu przeklina. To jest coś, co rozpoznaję.

Przerywam mu w połowie jakiegoś wyzwiska.

– Powiedz mi, gdzie się ukrywasz – mówię. – I weź się w garść. Nie możesz mi tu tak po prostu wymięknąć.

Kenji na chwilę milknie.

– Hej, ehm, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale szukam przyjaciółki – mówi. – Nie widziałś jej? Taka drobna, ciągle płacze, dużo mówi o uczuciach...

– Zamknij się, Kenji.

– Czeka! – woła. – To ty.

– Dokąd idziemy?!

– Kiedy zamierzasz postawić mnie z powrotem? – zrzędzi. Przestaje mu się to podobać. – To znaczy, mam stąd świetny widok na twój tyłek, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że się trochę pogapię...

Upuszczam go bez zastanowienia.

– D o c h o l e r y, Julio, co u diabła...

– A jaki masz stamtąd widok? – Stoję nad jego leżącym ciałem, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Nienawidzę cię.

– Wstań, proszę.

– Kiedy się tego nauczyłaś? – Zrzędzi, chwiejnie podnosząc się na nogi i rozcierając plecy.

Przewracam oczami. Mrużę je i rozglądam się wkoło. W zasięgu wzroku, jak na razie, nie ma nic i nikogo.

– Nie uczyłam się tego.

– A, tak – mówi. – To się trzyma kupy. Zarzucanie sobie dorosłego faceta na ramiona to przyszcz. Samo przychodzi.

Wzruszam ramionami.

Kenji gwizdże cicho.

– W dodatku zgrywasz chojraczkę.

– Taak. – Osłaniam oczy przed zimnymi promieniami słońca. – Widocznie za dużo się z tobą zadaję.

– Bardzo śmieszne – mówi, nieszczególnie rozbawiony. – Koń by się uśmieł.

– Koń...?

– Kiepski dowcip, mądralo.

– Dokąd idziemy? – pytam znowu. Ruszam w jakimś przypadkowym kierunku. – Naprawdę muszę wiedzieć, w którą stronę mam iść.

– Terytoria nieuregulowane. – Równa krok z moim i biorąc mnie za rękę, zaczyna prowadzić. Natychmiast stajemy się niewidzialni. – To było jedyne miejsce, jakie nam przyszło do głowy.

– Nam?

– Tak. To dawne mieszkanie Adama, pamiętasz? To tam się...

Przystaję, dysząc ciężko. Zaczynam miażdżyć Kenjiemu dłoń, więc wrywa mi ją, rzucając przekleństwami, i znowu stajemy się widzialni.

– Adam żyje? – pytam, zaglądając mu głęboko w oczy.

– Oczywiście, że żyje. – Kenji rzuca mi nienawistne spojrzenie, rozcierając dłoń. – Nie słyszałaś nic z tego, co do ciebie mówiłem?

– Mówiłeś, że wszyscy nie żyją! – dyszę. – Powiedziałeś...

– Bo tak jest – mówi Kenji. Na jego twarz znowu pada cień. – W Punkcie Omega było prawie sto osób. Zostało osiem.

– Kto? – pytam ze ściśniętym sercem. – Kto przeżył? Jakim sposobem?

Kenji powoli wypuszcza powietrze i przeczesuje obiema rękami włosy wpatrzony w jakiś punkt za moimi plecami.

– Chodzi ci o listę osób? – pyta. – Czy chcesz wiedzieć, jak do tego doszło?

– Chcę wiedzieć wszystko.

Kiwa głową. Spuszcza wzrok, tupiąc, rozgnięta bryłę śniegu. Bierze mnie za rękę i ruszamy – dwoje niewidzialnych dzieciaków na środku pustkowia.

– Myślę – mówi wreszcie Kenji – że w pewnym sensie zawdzięczamy ci życie. Bo gdybyśmy nie poszli cię szukać, prawdopodobnie zginęlibyśmy na polu bitwy jak pozostali. – Zastanawia się chwilę. – Adam i ja dość szybko się zorientowaliśmy, że cię nie ma, lecz zanim przedarliśmy się na linię frontu, było za późno. Niewiele się spóźniliśmy, ale zobaczyliśmy tylko, jak wnoszą cię do czołgu. – Kręci głową. – Nie mogliśmy przecież po prostu za tobą biec – tłumaczy. – Uciekaliśmy przed kulami.

Zniża głos, a jego ton staje się bardziej ponury.

– Więc postanowiliśmy dostać się do bazy inną trasą, unikając głównych dróg.

Zakładaliśmy, że tam cię zabrali. Jak tylko tam dotarliśmy, wpadliśmy na Castle'a, Lily, Iana i Alię, którzy próbowali się wydostać. Udało im się pomyślnie wykonać zadanie, włamali się do siedziby Sektora 45 i uwolnili Winstona i Brendana. Kiedy Castle ich znalazł, byli bliscy śmierci – dodaje cicho i bierze gwałtowny oddech. – A potem Castle powiedział nam, co słyszeli, kiedy byli w bazie: że trwa mobilizacja sił przed atakiem na Punkt Omega. Zamierzali zbombardować całą okolicę, sądząc, że przy dostatecznej sile ognia to, co jest pod ziemią, po prostu się zapadnie, uniemożliwiając ucieczkę tym, którzy są w środku, a wszystko, co zbudowaliśmy, zostanie zniszczone.

Kenji jest poruszony.

Zatrzymujemy się na chwilę, ale on zaraz znowu ciągnie mnie za rękę. Daję nura w chłód i wiatr, przygotowując się na tę pogodę i na jego słowa.

– Musieli poddać torturom kogoś z naszych ludzi na polu bitwy – mówi. – Zanim zabili informatora, poznali położenie Punktu Omega. – Kręci głową. – Wiedzieliśmy, że mamy mało czasu, ale byliśmy jeszcze blisko bazy i udało się nam przejąć czołg. Zapakowaliśmy się do środka i ruszyliśmy prosto do Punktu. Mieliśmy nadzieję, że zdążymy jeszcze wszystkich wydostać. W głębi ducha chyba jednak przeczuwaliśmy, że to się nie uda. Samoloty były już w powietrzu. W drodze do celu.

Nagle zaczyna się śmiać, ale wygląda, jakby to sprawiało mu ból.

– Jakimś odjechanym szczęśliwym trafem udało nam się przechwycić Jamesa mniej więcej półtora kilometra od Punktu. Zdołał się wymknąć i siedł w stronę pola bitwy. Biedny dzieciak zasikał cały przód spodni, taki był przerażony, ale powiedział, że ma dość tego, że zawsze się go zostawia. Chciał walczyć razem z bratem. – Głos Kenjiego jest pełen napięcia. – A najbardziej pokręcone jest to, że gdyby został w Punkcie, tak jak mu kazaliśmy, bo nam się wydawało, że tam będzie bezpieczny, zginąłby razem ze wszystkimi. – Kenji znowu śmieje się gorzko. – I tyle. Nie mogliśmy nic zrobić. Musieliśmy tam stać i patrzeć, jak zrzucają bomby na trzydzieści lat pracy, zabijając każdego, kto był za młody albo za stary, żeby się bronić, a potem masakrują resztę naszych na polu walki. – Ściska moją dłoń. – Wracam tu codziennie – mówi. – Mam nadzieję, że ktoś się pokaże. Miałem nadzieję, że znajdę coś, co będę mógł wziąć z sobą. – Jego nabrzmiały wzruszeniem głos milknie. – I proszę. Znajduję ciebie. Nie mogę w to uwierzyć.

Ściskam jego palce, tym razem łagodniej, i przysuwam się bliżej niego.

– Wszystko będzie dobrze, Kenji. Obiecuję. Teraz będziemy się trzymali razem.

Wyjdziemy z tego.

Kenji wysuwa dłoń z mojej i otacza mnie ramieniem, przyciągając mocno do siebie.

– Co się z tobą działo, księżniczko? – pyta cicho. – Mam wrażenie, że się zmieniłaś.

– Na gorsze?

– Na lepsze – mówi. – Jakbyś na starość wydorosłała.

Śmieję się głośno.

– Nie żartuję – mówi.

– Cóż. – Milknę. – Zdarzają się zmiany na lepsze, co?

– Taaak – mówi Kenji. – Pewnie tak. – Waha się. – To co... powiesz mi, co się stało? Bo ostatnim razem, kiedy cię widziałem, wrzucali cię na tył czołgu, a dzisiaj widzę, jak świeża i pachnąca spacerujesz sobie z Warnerem w nowiutkich trampkach – mówi, puszczać moje ramię i znowu biorąc mnie za rękę. – I nie trzeba geniusza, żeby się połapać, że ten cały bajzel nie trzyma się kupy.

Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. Dziwnie się czuję, nie widząc w tej chwili Kenjiego. Jakbym rozmawiała z wiatrem.

– Anderson mnie zastrzelił – mówię.

Kenji nieruchomieje. Słyszę jego przyspieszony oddech.

– Co?

Kiwam głową, chociaż on mnie nie widzi.

– Nie zawieźli mnie do bazy. Żołnierze dostarczyli mnie Andersonowi. Czekał w jednym z domów na terytoriach nieuregulowanych. Chyba szukał tam prywatności – mówię Kenjiemu, starannie omijając szczegóły dotyczące matki Warnera. To jego osobisty sekret, nie mnie się nim dzielić. – Anderson chciał się zemścić – mówię tylko – za to, co zrobiłam z jego nogami. Został kaleką. Kiedy go widziałam, poruszał się o lasce. Ale zanim zdążyłam zorientować się w sytuacji, wyciągnął pistolet i strzelił do mnie. Trafił prosto w pierś.

– Jasna dupa – szepcze Kenji.

– Pamiętam każdą chwilę. – Milknę na chwilę. – Umieranie. To był największy ból, jakiego w życiu doświadczyłam. Nie mogłam krzyczeć, płuca miałam porozrywane i zalane krwią. Sama nie wiem. Leżałam tylko, próbując oddychać, z nadzieją że umrę szybko. I przez cały czas – mówię – przez cały czas myślałam tylko o tym, że przez całe życie byłam tchórzem, i o tym, dokąd mnie to zaprowadziło. I wiedziałam, że gdybym miała szansę zrobić wszystko od nowa, zrobiłabym to inaczej. Obiecałam sobie, że wreszcie przestanę się bać.

– Cudownie. Aż się serce raduje – mówi Kenji. – Ale jak to do diabła możliwe, że przeżyłaś? – pyta. – Od takich rzeczy normalnie się umiera.

– Och. – Odchrząkuję lekko. – Taaak, ehm, Warner uratował mi życie.

– Chrzanisz.

Próbuję się nie roześmiać.

– Poważnie. – Opowiadam po kolei, jak to się stało: że były tam dziewczęta, a Warner wykorzystał ich moc, żeby mnie uratować. Że Anderson zostawił mnie umierającą, ale Warner zabrał mnie z sobą do bazy, ukrył i pomógł mi odzyskać siły. – Właśnie. Sonya i Sara prawie na pewno żyją. Anderson zabrał je do stolicy. Chciał mieć swoje osobiste uzdrowicielki. Podejrzewam, że zdążyły już uzdrowić jego nogi.

– Zaraz, zaraz. – Kenji przystaje i chwytając mnie za ramiona. – Wróc. Dla mnie to stanowczo za dużo informacji na raz. Musisz zacząć od początku, ale chcę, żebyś powiedziała mi w s z y s t k o – mówi coraz bardziej piskliwym głosem. – Co się do diabła dzieje? Dziewczęta

żyją? Co znaczy: Warner przekazał ci ich moc? Jak to do diabła możliwe?!

Więc mu wyjaśniam.

Wreszcie mówię mu rzeczy, które zawsze chciałam komuś wyznać. Mówię mu prawdę o zdolnościach Warnera i o tym, w jaki sposób został ranny tamtego wieczoru w tunelu przed wejściem do jadalni. Mówię mu, że Warner nie miał pojęcia, do czego jest zdolny, i że pozwoliłam mu zrobić test z moją mocą w jednym z korytarzy, kiedy wszyscy byli w skrzydle medycznym. Jak razem przebiliśmy podłogę.

– Ja cię kręcę – szepcze Kenji. – Więc ten dupek próbował mnie z a b i ć.

– Nie zrobił tego celowo – zauważam.

Kenji mamrocze pod nosem jakieś przekleństwa.

Wprawdzie nie wspominam o nieoczekiwanej wizycie Warnera w moim pokoju tego samego wieczoru, ale opowiadam Kenjiemu, jak Warner uciekł i o tym, jak Anderson specjalnie chciał mnie zastrzelić w jego obecności, bo wiedział, co Warner do mnie czuje, i chciał go za to ukarać.

– Zaraz. – Kenji mi przerywa. – Co znaczy: wiedział, co Warner do ciebie c z u j e?

W s z y s c y wiedzieliśmy, co Warner do ciebie czuł. Chciał z ciebie zrobić broń – mówi Kenji.

– To żadna rewelacja. Myślałem, że jego tatuś był z tego zadowolony.

Sztywnię.

Zapomniałam, że o tym jeszcze nikt nie wie. Że nikomu jeszcze nie zdradziłam prawdy o moich relacjach z Warne-rem. Bo choć Adam mógł podejrzewać, że zainteresowanie Warnera moją osobą nie jest czysto zawodowe, nikomu nie opowiadałam o chwilach spędzonych z nim sam na sam. Ani o rzeczach, które mi mówił.

Głośno przetykam ślinę.

– Julio – mówi Kenji. W jego głosie pobrzmiewa ostrzeżenie. – Nie możesz dłużej trzymać tego gówna w tajemnicy. Musisz mi powiedzieć, co się dzieje.

Czuję, że kręci mi się w głowie.

– Julio...

– On jest we mnie zakochany – szepczę. Nigdy nie przyznałam tego głośno, nawet przed samą sobą. Chyba się łudziłam, że wystarczy nie zwracać na to uwagi. Schować gdzieś głęboko, a problem zniknie i Adam o niczym się nie dowie.

– On jest... czekaj... c o?

Nabieram powietrza. Nagle czuję się wyczerpana.

– Proszę, powiedz mi, że żartujesz – mówi Kenji.

Kręcę głową, zapominając, że on mnie nie widzi.

– O rany.

– Kenji, ja...

– Ależ to jest porąbane. Zawsze uważałem, że Warner jest szaleńcem, wiesz? – Śmieje się. – Ale teraz, jak by to powiedzieć... Teraz nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Oczy otwierają mi się szeroko, wybucham śmiechem. Popycham mocno jego niewidzialne ramię.

Kenji znowu się śmieje, na wpół rozbawiony, na wpół oszołomiony. Nabiera powietrza.

– No dobrze, zaraz, więc skąd wiesz, że on jest w tobie zakochany?

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli... Byłaś z nim na randce czy co? Kupił ci czekoladki, napisał jakiś naprawdę gówniany wiersz? Warner jakoś mi nie wygląda na taki uczuciowy typ, jeśli wiesz, o czym mówię.

– Och. – Przygryzam od wewnątrz policzek. – Nie, to nie było nic w tym rodzaju.

– Więc?
– Po prostu... powiedział mi o tym.
Kenji zatrzymuje się tak gwałtownie, że prawie się przewracam.
– Nie.
Nie wiem, co powiedzieć.
– Naprawdę wypowiedział te słowa? Tak bezpośrednio? To znaczy, prosto w oczy?
– Tak.
– W-w-więc... Zaraz, więc on ci mówi, że cię kocha... A ty...? Co powiedziałaś? –
dopytuje się Kenji osłupiały. – „Dziękuję”?
– Nie. – Opanowuję dreszcz, bo pamiętam aż za dobrze, że kiedy Warner powiedział mi
to po raz pierwszy, strzeliłam do niego z pistoletu. – To znaczy, ja nie... to znaczy... nie wiem,
Kenji, naprawdę dziwnie się teraz z tym wszystkim czuję. Wciąż nie wiem, co mam z tym zrobić.
– Mój głos zamienia się w szept. – On naprawdę... nie żartuje – mówię i zalewają mnie
wspomnienia, uczucia zbite w bezładną, szaloną mieszankę.
Jego pocałunki na moim ciele. Moje ubranie na podłodze. Jego żarliwe wyznania
sprawiające, że ziemia osuwa mi się spod nóg.
Zaciskam powieki. Robi mi się zbyt gorąco, zbyt słabo, a wszystko dzieje się zbyt
niespodziewanie.
– Bez wątpienia można to tak ująć – mamrocze Kenji, brutalnie wrywając mnie
z zadumy. Słyszę jego westchnienie. – Więc Warner wciąż nie ma pojęcia o tym, że on i Kent są
braćmi?
– Nie – mówię, natychmiast przytomniejąc.
Bracmi.
Bracmi, którzy się nienawidzą. Bracmi, którzy chcą się pozabijać. A ja znalazłam się
w samym środku. Dobry Boże, co się porobiło z moim życiem.
– I obaj mogą cię dotknąć?
– Tak. Ale... cóż, nie, niezupełnie. – Próbuję to wyjaśnić. – Adam... tak naprawdę nie
może mnie dotknąć. To znaczy, może, tak jakby... – Milknę. – To skomplikowane. On musi
wkładać w to wysiłek, trenować, żeby nauczyć się blokować moją energię za pomocą swojej.
Warner... – Idąc, kręcę głową wpatrzona w swoje niewidzialne stopy. – Warner może mnie
dotknąć bez żadnych konsekwencji. To go nie może zranić. On zwyczajnie absorbuje moją moc.
– Cholera – mówi Kenji po chwili. – Cholera, cholera, cholera. Tego jeszcze nie grali.
– Wiem.
– No dobrze... więc Warner uratował ci życie? Błagał dziewczyny, żeby pomogły mu cię
uzdrowić? A potem ukrył cię we własnym pokoju i opiekował się tobą? Karmił cię, dał ci fajne
ciuchy i co tam cholera jeszcze, a, i pozwolił ci spać w swoim łóżeczku?
– Tak.
– Taaa... Jasne. A w tej bajce były smoki?
– Wiem, jak to brzmi – mówię, wzdychając bezradnie. – Ale on jest inny, niż myślicie.
Wydaje się stuknięty, a tak naprawdę jest...
– Oooo, proszę...! Ty go b r o n i s z? – Głos Kenjiego brzmi, jakby był wstrząśnięty. –
Czy my mówimy o tym samym gościu, który cię więził i próbował sobie z ciebie zrobić
narzędzie tortur?
Kręcę głową. Nie wiem, jak mu powiedzieć, czego dowiedziałam się od Warnera, nie
wychodząc przy tym na naiwną idiotkę. – To nie jest tak... – Wzdycham. – On wcale nie miał
takiego zamiaru... – próbuję.
Kenji śmieje się głośno, szczekliwie.

– Ożeż, w mordę – mówi. – Ty mu wierzysz, prawda? Kupujesz całe to gównno, które ci wciska...

– Nie znasz go, Kenji, to nie w porządku...

– O, mój Boże – wzdycha, znowu się śmiejąc. – Naprawdę myślisz, że nie znam faceta, który wydawał mi rozkazy? On był moim cholernym dowódcą – mówi Kenji. – Dobrze wiem, co to za koleś...

– Nie próbuję się z tobą kłócić, jasne? Nie spodziewam się, że zrozumiesz...

– Ubaw po pachy – mówi Kenji ze śmiechem. – Ty naprawdę tego nie łapiesz, co?

– Czego nie łapię?

– O, rety – mówi nagle. – Kent będzie w k u r z o n y. – Przeciąga ostatnie słowo ze złośliwą satysfakcją, chichocząc.

– Czekaj... co takiego? Co Adam ma z tym wspólnego?

– Zdajesz sobie sprawę, że ani razu mnie o niego nie zapytałaś, prawda? – Cisza. – To znaczy, przed chwilą opowiedziałem ci, co się z nami działo, a ty na to: „och, w porządku, świetna historia, stary, dzięki, że się nią ze mną podzieliłeś”. Żadnej hysterii, żadnych pytań o Adama. Nie zapytałaś mnie, czy jest ranny, jak się czuje ani nawet jak sobie teraz radzi. Teraz, kiedy sądzi, że ty nie żyjesz i w ogóle.

Ni stąd, ni zowąd robi mi się niedobrze. Zatrzymuję się w pół kroku zażenowana. Czuję się podle, podle, podle.

– A teraz stoisz tu sobie i w najlepsze bronisz Warnera – mówi Kenji. – Tego samego faceta, który próbował zabić Adama. I zachowujesz się, jakby był twoim kumplem, czy coś. Jakby był zwykłym chłopakiem, tylko trochę nierozumianym. Jakby cała ludzkość się co do niego myliła, i to zapewne wyłącznie dlatego, że jesteśmy wszyscy bandą krytycznych, zazdrosnych dupków, którzy nienawidzą go za to, że ma taką śliczną, śliczną buzię.

Czuję na skórze piekący wstyd.

– Nie jestem idiotką, Kenji. Wiem, co mówię.

– Taaak, a ja tylko mówię, że nie masz pojęcia, co mówisz.

– Nieważne.

– Nie unieważniaj mnie tu...

– Nieważne – powtarzam.

– O, mój Boże – wzdycha Kenji do siebie. – Ta dziewczyna aż się prosi, żeby skopać jej tyłek.

– Nie dałbyś rady skopać mi tyłka, nawet gdybym ich miała dziesięć.

Kenji zaczyna się głośno śmiać.

– To wyzwanie?

– Ostrzeżenie – odpowiadam.

– Aaa, więc teraz mi grozisz? Mała beksa potrafi się odgrażać?

– Zamknij się, Kenji.

– Zamknij się, Kenji – powtarza cienkim głosikiem.

– Daleko jeszcze? – pytam zbyt głośno, zirytowana, chcąc zmienić temat.

– Jesteśmy prawie na miejscu – rzuca urywane słowa.

Przez kilka minut żadne z nas się nie odzywa.

– Więc... dlaczego szedłeś taki kawał drogi? – pytam w końcu. – Nie wspominałeś o jakimś czołgu?

– Taaak – wzdycha Kenji, natychmiast zapominając o naszej kłótni. – Właściwie to mamy dwa. Kent ukradł jeden, kiedy uciekaliście z bazy. Wciąż stoi w jego garażu.

Oczywiście.

Jak mogłam zapomnieć?

– Ale ja lubię chodzić piechotą – ciągnie Kenji. – Nie muszę się martwić, że ktoś mnie zobaczy, poza tym mam nadzieję, że w ten sposób zauważę coś, czego inaczej bym nie zauważył. Wciąż mam nadzieję – mówi, znowu ściśniętym głosem – że znajdziemy jeszcze kogoś. Może ktoś się tutaj ukrywa.

Znowu ściskam dłoń Kenjiego, przysuwając się do niego.

– Ja też – szepczę.

Dawne mieszkanie Adama wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam.

Kenji i ja wchodzimy ostrożnie do budynku z podziemnego parkingu i pokonujemy kilka rzędów schodów prowadzących na górę. Nagle zaczynam się tak denerwować, że prawie odbiera mi mowę. Już dwukrotnie oplakiwałam moich przyjaciół i wciąż nie mogę uwierzyć, że znowu ich zobaczę. A jednak to prawda. Na pewno. To musi być prawda.

Zobaczę Adama.

Zobaczę jego twarz.

N a p r a w d ę.

– Kiedy przyszli nas szukać za pierwszym razem, wysadzili drzwi – mówi Kenji. – Więc teraz trochę się zacinają. Podpierałyśmy je meblami, żeby się domykały, ale potem nie dawały się otworzyć, więc... Może chwilę potrwać, zanim dostaniemy się do środka. Ale poza tym to całkiem dobre miejsce. Kent nadal ma w spiżarni tonę jedzenia, jest woda, bo przed końcem roku wszystko opłacił. Krótko mówiąc, mieliśmy szczęście – stwierdza.

Kiwam głową, obawiając się otworzyć usta. Nagle czuję, że poranna kawa nie służy mojemu żołądkowi. Cała jestem roztrzęsiona.

Adam.

Zaraz zobaczę Adama.

Kenji wali w drzwi.

– Otwierać! – krzyczy. – To ja!

Przez chwilę zza drzwi dobiega szuranie, skrzypienie drewna, szcęk metalu i seria głuchych odgłosów. Patrzę, jak drży futryna, z drugiej strony ktoś szarpie za klamkę, próbując otworzyć.

A potem drzwi się otwierają. Zaciskam pięści, żeby zachować spokój.

W progu stoi Winston.

Wpatruje się we mnie zdumiony.

– Ożeż, w mordę – mówi.

Zdejmuje okulary, zauważam, że są poklejone taśmą, i mruga. Jego twarz jest cała posiniaczona i poturbowana, dolna warga spuchnięta, pokaleczona. Lewą dłoń ma owiniętą kilkoma warstwami bandaży.

Uśmiecham się do niego nieśmiało.

Winston chwytą Kenjiego za ubranie i przyciąga go do siebie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

– Czy znowu mam halucynacje? – pyta. – Bo jeśli tak, to będę wkurzony, że hej. Cholera – dodaje, nie czekając na odpowiedź Kenjiego – gdybym wiedział, jakie to przesrane mieć wstrząs mózgu, strzeliłbym sobie w łeb, kiedy miałem okazję...

– Nie masz halucynacji – przerywa mu Kenji ze śmiechem. – A teraz wpuść nas.

Winston, nadal mrugając i wytrzeszczając oczy, cofa się, żeby zrobić nam miejsce. Gdy tylko przestępuję próg, przenoszę się do świata wspomnień. To dom Adama. Pierwsze miejsce, jakie było dla mnie schronieniem. Pierwsze miejsce, w którym czułam się bezpieczna.

A teraz jest pełne ludzi, przestrzeń okazuje się za mała, żeby pomieścić tyle dorosłych osób. Castle, Brendan, Lily, Ian, Alia, James – wszyscy zastygli w pół kroku, zamilkli w pół słowa i wpatrują się we mnie z niedowierzaniem. Już mam coś powiedzieć, szukam odpowiednich słów na powitanie grupy moich jedynych, poobijanych, pokonanych przyjaciół, kiedy z małego pokoiku, kiedyś należącego do Jamesa, wychodzi Adam. Trzyma coś w rękach,

nieobecny, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje w pokoju.

Podnosi wzrok.

Jego usta się otwierają, jakby zamierzał coś powiedzieć, a to, co trzymał w rękach, uderza o podłogę, roztrzaskując się na tak wiele dźwięków, że wszyscy gwałtownie wracają do życia.

Adam stoi wpatrzony w moją twarz. Nabiera powietrza i widać, że targają nim sprzeczne uczucia. Wydaje się przerażony, a zarazem pełen nadziei. A może boi się mieć nadzieję.

I choć zdaję sobie sprawę, że pewnie powinnam pierwsza coś powiedzieć, nagle nie mogę znaleźć słów.

Kenji przystaje obok mnie, a jego twarz rozciąga się w szerokim uśmiechu. Otacza mnie ramieniem. Ścisła.

– Patrzenie, co znalazłem – mówi.

Adam rusza w moją stronę, ale to dziwne uczucie: jakby wszystko działało się w zwolnionym tempie, nic nie wydaje się realne. W jego oczach jest tyle bólu.

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

Po chwili już stoi przede mną, jego dłonie szukają mnie, jak gdyby chciał się upewnić, że jestem prawdziwa, że naprawdę żyję. Wpatruje się w moją twarz, studiuje moje rysy, wplata palce w moje włosy. A potem, jakby nagle przyjął do wiadomości, że rzeczywiście nie jestem duchem, nie jestem zjawą, przyciąga mnie do siebie tak szybko, że w odpowiedzi tylko wydaję z siebie zduszony jęk.

– Julio – szepcze.

Gwałtowne bicie jego serca rozlega się gdzieś w moim uchu, jego ramiona oplatają mnie ciasno, topnieję w jego uścisku, delectuję się ciepłem, ulgą, jego znajomym ciałem, zapachem skóry. Obejmuję go, przesuwam dłońmi po jego plecach i trzymam mocno w objęciach, nawet nie zdając sobie sprawy, że po mojej twarzy cicho płyną łzy. Wreszcie odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy. Mówi, żebym nie płakała, że wszystko w porządku, wszystko będzie dobrze, a ja wiem, że to kłamstwo, ale i tak się cieszę, że je słyszę.

Znowu wpatruje się w moją twarz, jego dłonie ostrożnie otaczają tył mojej głowy, delikatnie, żeby nie dotknąć mojej skóry. Kiedy to sobie uświadamiam, moje serce przeszywa ostry ból.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś – mówi łamiącym się głosem. – Nie mogę uwierzyć, że to się naprawdę dzieje...

Kenji chrząka.

– Halo. Wasza niepohamowana żądza gorszy małe dzieci.

– Nie jestem małym dzieckiem – protestuje James, widocznie urażony. – I wcale nie jestem zgorzony.

Kenji obraca się.

– Nie przeszkadza ci to całe dyszenie? – Wskazuje chaotycznym gestem w naszą stronę. Odruchowo odsuwam się od Adama.

– Nie – mówi James, krzyżując ramiona. – A tobie?

– Owszem. Moją główną reakcją było obrzydzenie.

– Założę się, że na jego miejscu nie czułbyś obrzydzenia.

Długie milczenie.

– Słuszna uwaga – mówi wreszcie Kenji. – Może powinieneś poszukać mi jakiejś laski w tym gównianym sektorze. Zadowolę się którąkolwiek między osiemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia. – Wskazuje na Jamesa. – Bierz się lepiej do roboty. Dzięki.

James ma minę, jakby wziął jego słowa zupełnie na poważnie. Kilkakrotnie kiwa głową.

– Dobra – mówi. – Może Alia? Albo Lily? – pyta od razu, wskazując jedyne pozostałe

kobiety w pokoju.

Kenji otwiera usta i zamyka kilkakrotnie.

– Taaak, nie, dzięki, mały. One są dla mnie jak siostry.

– Bardzo sprytne – mówi Lily do Kenjiego, a ja zdaję sobie sprawę, że pierwszy raz słyszę jej głos. – Założę się, że wszystkie babki bajerujesz tym tekstem. Już widzę, jak ustawiają się w kolejce do twojej sypialni. Smarkaty osioł.

– Nieładnie. – Kenji krzyżuje ramiona.

James się śmieje.

– Widzisz, z czym ja muszę żyć? – mówi do niego Kenji. – Nikt mnie nie kocha. Tylko daję i daję, i daję, nie dostając nic w zamian. Potrzebuję kobiety, która doceniłaby to wszystko. – Wskazuje gestem swoje ciało. Cała błazenada służy temu, żeby rozśmieszyć Jamesa, i jego wysiłki wywołują zamierzony efekt. Przypuszczam, że gdyby nie Kenji, nikomu nie byłoby do śmiechu w tej ciasnej przestrzeni. Może to dlatego codziennie wychodzi na zewnątrz całkiem sam. Pewnie potrzebuje czasu, żeby przeżyć żalobę w spokoju, z dala od ludzi, którzy przywykli widzieć w nim wesołka.

Moje serce na chwilę zamiera, gdy uświadamiam sobie, jak trudno musi być Kenjiemu utrzymać ich wszystkich razem, teraz, kiedy sam ledwo się trzyma. Pierwszy raz zobaczyłam go dzisiaj od tej strony i sama nie wiem, dlaczego tak mnie to zaskoczyło.

Adam ściska mnie za ramię. Odwracam się i widzę jego łagodny, zatroskany uśmiech, spojrzenie wypełnione bólem i radością.

I spośród wszystkich możliwych w tej sytuacji uczuć ogarnia mnie poczucie winy.

Wszyscy obecni w tym pokoju wyglądają jak ludzie po przejściach. Krótkie chwile beztronski rozświełają mrok spowijający to miejsce, ale ledwo ucichnie śmiech, na jego miejsce zakrada się rozpacz. Wiem, że ja też powinnam opłakiwać tych, którzy zginęli, ale nie umiem. Nie znałam ich. Dopiero zaczynałam poznawać Sonyę i Sarę.

Wystarczy się jednak rozejrzeć, żeby się przekonać, że dla nich to wygląda zupełnie inaczej. Widzę bruzdy, jakimi strata odcisnęła się na twarzach moich przyjaciół. Widzę smutek przyczajony w zgięciach ubrań, przycupnięty nad ściągniętymi brwiami. W odległych zakamarkach mojego umysłu tkwi coś, co nie daje mi spokoju, i czyni wyrzuty: powinnaś być jedną z nich, powinnaś czuć się tak samo pokonana jak oni.

A ja nie czuję się pokonana.

Nie jestem już tamtą dziewczyną.

Przez tyle lat żyłam w ciągłym strachu przed sobą. Zwątpienie poślubiło mój lęk i wprowadziło się do mojego umysłu. Wznosiło zamki i zdobywało królestwa, przejmując władzę nade mną, naginając moją wolę do swoich podszeptów, aż zamieniłam się w uległego sługę, zbyt przerażonego, żeby odmawiać wykonywania poleceń, zbyt złkniętego, żeby zaprotestować.

Stałam się zakutym w kajdany więźniem własnego umysłu.

Ale wreszcie, wreszcie wiem, jak się uwolnić.

Owszem, czuję smutek. Czuję strach. Ale także potrzebę działania i niepokój. Sonya i Sara żyją i są zdane na łaskę Andersona. Musimy im pomóc. Nie czas na to, żeby pograżyć się w żalu, trzeba coś zrobić.

I niestraszny mi strach, nie pozwolę mu już sobą rządzić.

To strach powinien się mnie bać.

Adam prowadzi mnie w stronę kanapy, lecz wtedy wkracza Kenji.

– Będziecie mieli czas dla siebie, już niedługo – mówi. – Najpierw musimy wymienić się informacjami, przywitajcie się i co tam chcecie, byle szybko. Julia ma nam coś do powiedzenia.

Adam zerka to na Kenjiego, to na mnie.

– Co się dzieje? – pyta.

Odwracam się do Kenjiego.

– O czym ty mówisz?

Przewraca oczami. Odwraca wzrok.

– Siadaj, Kent.

Adam cofa się odrobinę, jego ciekawość zwycięża. Kenji ciągnie mnie na środek ciasnego pokoju. Wszyscy się na mnie gapią, jakby czekali, aż zacznę puszczać nosem bańki.

– Kenji, co...

– Alia, pamiętasz Julię – mówi Kenji, kiwając głową do szczupłej blondynki siedzącej w rogu pokoju. Dziewczyna uśmiecha się do mnie i szybko odwraca wzrok, czerwieniąc się bez powodu. Pamiętam ją. To ona zaprojektowała specjalnie dla mnie ochraniacze na dłonie – przemyślny sprzęt, który zakładałam na rękawice przed rozpoczęciem bitwy. Nigdy właściwie nie zwracałam na Alię uwagi, a teraz zdaję sobie sprawę, że to nie przypadek. Ona dokłada wszelkich starań, żeby nie rzucić się w oczy. To delikatna dziewczyna o subtelnym rysach i łagodnych brązowych oczach. A przy tym wyjątkowa projektantka. Zastanawiam się, w jaki sposób się tego nauczyła.

– Lily, ty na pewno pamiętasz Julię – mówi Kenji. – Wła-mywaliśmy się razem do magazynów. – Zerka na mnie. – Julio, pamiętasz, prawda?

Kiwam głową. Uśmiecham się szeroko do Lily. Właściwie jej nie znam, ale podoba mi się to, że jest taka energiczna. Salutuje mi, uśmiechając się szeroko, a na jej twarz opadają brązowe sprężyste loki.

– Miło cię znowu widzieć – mówi. – I dzięki, że nie zginęłaś. To naprawdę do bani być tu jedyną dziewczyną.

Alia unosi jasnowłosą głowę zaledwie na sekundę, po czym chowa się jeszcze głębiej w swoim kącie.

– Przepraszam – mówi Lily, niezbyt skruszona. – Chodziło mi o to, że jestem tu jedyną dziewczyną, która m ó w i. Proszę, powiedz, że mówisz – zwraca się do mnie.

– Och, jasne, że mówi – stwierdza Kenji, łypiąc na mnie. – W dodatku klnie jak szewc.

– Nie klnę jak...

– Brendan, Winston – przerywa mi Kenji, wskazując na dwóch chłopaków siedzących na kanapie. – Wiem, że nie muszę ci ich przedstawiać, ale jak widzisz, zmienili się z wyglądu. Spotkanie z bandą sadystycznych łajdaków wywołuje u zakładników głęboką przemianę. – Teatralnym gestem wskazuje obu chłopaków. Jego sarkastycznym słowem towarzyszy niepewny uśmiech. – Teraz przypominają antylopy gnu. Ale za to ja przy nich wyglądam jak cholerny książe. Coś za coś.

Winston pokazuje palcem moją twarz. Ma trochę mętny wzrok, mruga kilkakrotnie, w końcu zaczyna mówić.

– Lubię cię. To miło, że żyjesz.

– Popieram, stary. – Brendan klepie Winstona w ramię, ale uśmiecha się do mnie. Jego oczy wciąż mają ten bardzo jasny niebieski kolor, a włosy są równie białe jak kiedyś. Ale od jego

skroni do linii szczęki biegnie potężna rana, która wygląda, jakby dopiero zaczynała się goić. Boję się myśleć o tym, jakie jeszcze odniósł obrażenia. Co Anderson musiał zrobić jemu i Winstonowi. Czuję się, jakby pełzało po mnie coś obrzydliwego. Zaciskam powieki, żeby otrząsnąć się z tego wrażenia.

– Miło cię znowu widzieć – mówi Brendan. Jego brytyjski akcent nie przestaje mnie zaskakiwać. – Przykro mi, że przedstawiamy sobą taki nędzny obraz.

Uśmiecham się do nich obu.

– Tak bardzo się cieszę, że nic wam nie jest.

– Ian – mówi Kenji, wskazując wysokiego, tyczkowatego chłopaka, który przysiadł na boku kanapy.

Ian Sanchez. Był w moim zespole, kiedy włamaliśmy się do magazynu, ale przede wszystkim to jeden z czterech naszych ludzi, którzy zostali uprowadzeni przez Andersona. On, Winston, Brendan i chłopak o imieniu Emory.

Udało nam się dość szybko odbić Iana i Emory'ego, ale Brendana i Winstona nie. Kenji mówił, że Ian i Emory byli w strasznym stanie, kiedy ich przynieśli, i choć dziewczęta od razu się nimi zajęły, trzeba było czasu, żeby przyszli do siebie. Ian wygląda nieźle, ale i on musiał przeżyć koszmar. A Emory'ego w ogóle tu nie ma.

Głośno przetykam ślinę i posyłam Ianowi uśmiech, który w zamierzeniu ma być pocrzepiający.

Nie odwzajemnia go.

– Jak to się stało, że żyjesz? – pyta bez ogródek. – Nie wyglądasz na ofiarę bestialskiego pobicia. Bez obrazy czy coś, ale jakoś ci nie ufam.

– Dojdziemy do tego – mówi Kenji, przerywając Adamowi, który zaczyna protestować w moim imieniu. – Zapewniam was, że ma solidne wytłumaczenie. Mnie już z nim zapoznała. – Mierzy wzrokiem Iana, ale ten nie zwraca na to uwagi. Wciąż patrzy na mnie, unosząc wyzywająco brew.

Przyglądam mu się uważnie, przekrzywiając głowę.

Kenji pstryka mi palcami przed nosem.

– Skup się, księżniczko, zaczynam się nudzić. – Rozgląda się po pokoju, jakby chciał się upewnić, że nikogo nie pominął w powtórnej prezentacji. Jego wzrok pada na zadartą głowę mojego dziesięcioletniego przyjaciela. – James. Chcesz coś powiedzieć Julii, zanim zaczniemy?

Błyszczące niebieskie oczy spoglądają na mnie spod jasnej czupryny. Wzrusza ramionami.

– Od początku wiedziałem, że żyjesz – mówi po prostu.

– Czyżby? – dziwi się Kenji ze śmiechem.

James kiwa głową.

– Miałem przecucie – mówi, stukając się w głowę.

Kenji się śmieje.

– W porządku, to by było na tyle. Zaczynajmy.

– Co z Ca... – zaczynam, ale milknę, widząc błysk niepokoju, który przebiega po twarzy Kenjiego.

Patrzę na Castle'a, po raz pierwszy naprawdę uważnie przyglądam się jego twarzy.

Siedzi na krześle – z nieobecny wzrokiem, zmarszczonymi brwiami – i sprawia wrażenie, że jest pogrążony w niekończącej się, wyczerpującej rozmowie z samym sobą. Jego splecione dłonie spoczywają na kolanach. Włosy, zawsze porządnie związane na karku, są teraz w nieładzie, dredy opadają mu na twarz, zasłaniają oczy. Jest nieogolony i wygląda jak człowiek po przejściach, jakby nie wstawał z tego krzesła, odkąd po raz pierwszy wszedł do tego pokoju.

I zdaję sobie sprawę, że z nas wszystkich to Castle ucierpiał najbardziej.

Punkt Omega był całym jego życiem. W każdym kamieniu, każdym echu w korytarzach kryły się jego marzenia. I z dnia na dzień stracił wszystkie swoje nadzieje, wizje przyszłości, społeczność, którą starał się budować, jedyną rodzinę.

Wszystko.

– Źle to znosi – szepcze do mnie Adam, a ja wzdrygam się zaskoczona, bo nie zauważyłam, że znowu stoi obok mnie. – Jest taki już od jakiegoś czasu.

Serce mi pęka.

Szukam wzroku Kenjiego, próbuję go przeprosić bez słów, chcę, żeby wiedział, że rozumiem. Ale Kenji na mnie nie patrzy. Potrzebuje kilku chwil, żeby się pozbierać, i dopiero wtedy dociera do mnie, jakie to wszystko musi być trudne także dla niego. Nie chodzi tylko o Punkt Omega, o bliskich ludzi, których stracił, o lata pracy, które poszły na marne.

Jest jeszcze Castle.

Castle, który jest dla Kenjiego jak ojciec, jego najbliższy powiernik, jego najdroższy przyjaciel.

Jest cieniem dawnego siebie.

Ból Kenjiego łamie mi serce. Tak bardzo chciałabym jakoś pomóc. Naprawić wszystko. Obiecuję sobie, że to zrobię.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– W porządku. – Kenji klaszcze, kiwa kilka razy głową i bierze głęboki oddech. – Wszyscy gotowi? Można zaczynać? Tak? Tak. – Kiwa głową. – A teraz pozwólcie, że wam opowiem, jak nasza przyjaciółka Julia została postrzelona w pierś.

Wszyscy się na mnie gapią.

Kenji właśnie skończył powtarzać im moją opowieść. Przezornie opuścił fragment o tym, jak Warner wyznał mi miłość, za co jestem mu głęboko wdzięczna. Chociaż powiedziałam Adamowi, że lepiej będzie, jeśli się rozstaniemy, wszystko między nami jest wciąż bolesne i nierozwiązane. Nie chciałam się do niego zbliżać dla jego dobra. Oplakałam już Adama na tyle sposobów, że nawet nie jestem pewna własnych uczuć.

I nie mam pojęcia, co on o mnie myśli.

Musimy porozmawiać o tylu rzeczach. Po prostu nie chcę, żeby Warner był jedną z nich. To zawsze był dla nas drażliwy temat. Szczególnie odkąd Adam dowiedział się, że są braćmi. A ja nie jestem w nastroju do kłótni, zwłaszcza pierwszego dnia po powrocie.

Ale wygląda na to, że nie uda mi się łatwo z tego wywinąć.

– W a r n e r uratował ci życie? – pyta Lily, nie kryjąc zdumienia ani odrazy. Nawet Alia słucha uważnie, nie odrywając wzroku od mojej twarzy. – Po co u licha miałby to robić?

– Dziewczyno, zapomnij o tym – wtrąca Ian. – On może kraść naszą moc, masakra!

– Ty nie masz żadnej mocy – odpowiada Winston. – Nie musisz się martwić.

– Wiesz, o co mi chodzi – rzuca Ian, czerwieniąc się na szyi. – Pomyśl, czym to grozi: taka moc w rękach psychola! Aż ciarki przechodzą.

– On nie jest psych... – próbuję wyjaśnić, ale pokój wypełnia prawdziwa kakofonia, wszyscy mówią jeden przez drugiego.

– Co to w ogóle znaczy...

– ... niebezpieczny?

– Więc Sonya i Sara ż y j ą...?

– ... działaś Andersona? Jak on wygląda?

– Ale po co miałby...

– ... dobrze, ale to nie...

– Zaraz! – ucisza wszystkich Adam. – A gdzie on u diabła teraz jest? – Odwraca się, żeby spojrzeć mi w oczy. – Po-wiedziałaś, że Warner zawiózł cię do Punktu Omega, żeby ci pokazać, co się tam stało, a potem pojawia się Kenji i w tej samej chwili on po prostu znika. – Cisza. – Tak?

Kiwam głową.

– Więc... co? – pyta. – Zrobił swoje i sobie poszedł? – Adam spogląda kolejno na każdego z obecnych. – Słuchajcie, on wie, że ktoś z nas ocalał! Poszedł ściągnąć posiłki i wróci, żeby nas wykończyć... – Milknie, kręci głową. – Cholera – mówi pod nosem. – Cholera!

Wszyscy w tej samej chwili zastygają w bezruchu. Przerażeni.

– Nie – mówię szybko, podnosząc obie ręce do góry. – Nie, on tego nie zrobi...

Osiem par oczu zwraca się w moją stronę.

– On ma w nosie to, czy ktoś z was przeżył. Nawet nie popiera Komitetu Odnowy.

I nienawidzi swojego ojca...

– O czym ty mówisz? – Adam przerywa mi zaniepokojony. – Warner to z w i e r z ę...

Biorę głęboki oddech, żeby się uspokoić. Muszę pamiętać, jak oni mało wiedzą o Warnerze, nie mieli okazji poznać jego punktu widzenia. Wystarczy, że sobie przypomnę, co sama o nim myślałam zaledwie kilka dni temu.

Rewelacje Warnera są wciąż takie świeże. Nie wiem, jak go bronić ani jak pogodzić z sobą własne skrajne wrażenia co do jego osoby. Czuję, że jestem na niego wściekła za jego

głupie udawanie, za to, że w ogóle postawił mnie w tej sytuacji. Gdyby nie uchodził za psychopatę, nie musiałabym go teraz bronić.

– On też chce obalić Komitet Odnowy – tłumaczę. – I chce zabić Andersona...

W pokoju wybuchają kolejne klótnie. Krzyki i epitety sprowadzają się do tego, że nikt mi nie wierzy, wszyscy uważają, że jestem szalona, a Warner zrobił mi pranie mózgu, bo przecież udowodnił, że jest mordercą, uwięził mnie i chciał mnie wykorzystać do torturowania ludzi.

I mają rację. Poza tym, że nie mają.

Tak bardzo chciałabym powiedzieć im, że niczego nie rozumieją.

Żadne z nich nie zna prawdy, ale nie dają mi szansy niczego wyjaśnić. A kiedy już mam powiedzieć coś, żeby ich przekonać, kątem oka dostrzegam Iana.

Śmieje się ze mnie.

Śmieje się głośno, klepiąc się w kolano, odrzucając głowę i wyjąc ze złośliwą satysfakcją przekonany o mojej głupocie, aż zaczynam poważnie wątpić w siebie i w każde słowo Warnera.

Zaciskam powieki.

Skąd mam wiedzieć, czy mogę mu ufać? Skąd mam wiedzieć, czy mnie nie okłamuje, jak zawsze, skoro sam przyznał, że od początku to robił?

Mam już serdecznie dość tej niepewności, jestem tym wszystkim naprawdę zmęczona.

Ale zaraz otwieram oczy i mrugam, bo ktoś mnie ciągnie w stronę sypialni Jamesa, a raczej dawnej spiżarni, która służy teraz za jego pokój. Adam wciąga mnie do środka i zamyka za sobą drzwi, zostawiając za nimi całe szaleństwo, które się rozpętało. Chwyta mnie za ramiona i patrzy mi w oczy dziwnym, płonącym wzrokiem, który mnie przeraża.

Jestem w pułapce.

– Co się dzieje? – pyta. – Dlaczego bronisz Warnera? Po wszystkim, co ci zrobił, powinnaś go nienawidzić, powinnaś być wściekła...

– Nie mogę, zrozum, ja...

– Co znaczy: n i e m o ż e s z?

– Ja po prostu... to już nie jest takie proste. – Kręcę głową, próbując mu wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne. – Nie wiem już, co mam o nim myśleć. W tylu sprawach się myliłam. Tylu rzeczy nie rozumiałam. – Spuszczam wzrok. – On jest naprawdę... – Milknę pełna wątpliwości. Zastanawiam się, jak powiedzieć prawdę, żeby nie brzmiała jak kłamstwo. – Sama nie wiem – mówię wreszcie, wpatrując się w swoje dłonie. – Nie wiem. On jest po prostu... nie jest taki zły, jak myślałam.

– Rany – wyrzuca z siebie Adam, wstrząśnięty. – Nie jest taki zły, jak myślałaś. Nie jest taki zły, jak myślałaś? Jakim cudem...?

– Adamie...

– Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Julio?

Patrzę mu w oczy i widzę w nich autentyczne obrzydzenie.

Wpadam w panikę.

Musi być jakiś sposób, żeby mu to wytłumaczyć, musi istnieć jakiś przykład, dowód na to, że Warner nie jest tym, za kogo kiedyś go uważałam – ale już widzę, że jestem na straconej pozycji, Adam przestał mi ufać, nie uwierzy mi. I zaczynam się płatać.

On otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

Jestem szybsza.

– Pamiętasz, jak znalazłeś mnie zapłakaną pod prysznicem? Po tym, jak Warner zmusił mnie, żebym torturowała dziecko?

Adam milczy przez chwilę, a potem powoli, niechętnie kiwa głową.

– To był jeden z powodów, dla których tak bardzo go nienawidziłam. Myślałam, że on

rzeczywiście zamknął dziecko w tamtym pokoju, że ukradł je komuś i zamierzał patrzeć, jak je torturuje. To było takie podle – mówię. – Tak obrzydliwe, tak przerażające. Sądziłam, że jest nieludzki. Zły do szpiku kości. Ale... to nie było naprawdę – szepczę.

Adam wydaje się zdezorientowany.

– To była tylko symulacja – tłumaczę. – Warner powiedział, że to była komora symulacyjna, nie sala tortur. Że to wszystko działo się w mojej wyobraźni.

– Julio – mówi Adam. Wzdycha. Odwraca wzrok, znowu patrzy na mnie. – O czym ty mówisz? Oczywiście, że to była symulacja.

– Co?

Adam parska jakimś cichym, pełnym zmieszania śmiechem.

– Wiedziałaś, że to nie była prawda...? – pytam.

Wpatruje się we mnie.

– Ale kiedy mnie znalazłeś... powiedziałaś, że to nie była moja wina... powiedziałaś mi, że słyszałeś, co się stało, i że to nie była moja wina...

Adam przesuwając ręką po karku, mierzwi włosy.

– Myślałem, że jesteś zdenerwowana, bo zburzyłaś ścianę – mówi. – To znaczy, zdawałem sobie sprawę, że ta symulacja musiała być przerażająca, ale byłem przekonany, że Warner uprzedził cię na początku, co to jest. Nie miałem pojęcia, że znalazłaś się tam, sądząc, że to dzieje się naprawdę. – Na sekundę zaciska powieki. – Sądziłem, że zdenerwowało cię odkrycie u siebie tej całej nowej szalonej mocy. I to, że zraniłaś żołnierzy.

Wpatruję się w niego wstrząśnięta. Mrugam.

Przez cały ten czas w głębi mojej duszy czały się wątpliwości, nie mogłam pozbyć się myśli, że może jednak to było naprawdę, a Warner po prostu kłamie. Znowu.

Ale teraz mam potwierdzenie od samego Adama.

Nie wiem, co powiedzieć.

Adam kręci głową.

– Co za kanalia – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że ci to zrobił.

Opuszczam wzrok.

– Warner robił wiele szalonych rzeczy. Ale naprawdę sądził, że mi w ten sposób pomaga.

– Nie pomagał ci – cedzi Adam z wściekłością. – Znęcał się nad tobą...

– To nieprawda. – Wbijam wzrok w pęknięcie w ścianie. – W jakimś sensie... naprawdę mi pomógł – mówię z wahaniem i dopiero po chwili patrzę Adamowi w oczy. – W tej komorze symulacyjnej pierwszy raz w życiu pozwoliłam sobie na gniew. Do tamtej chwili nie miałam pojęcia o tym, co potrafię, że mogę być tak silna fizycznie.

Odwracam wzrok.

Zaciskam i otwieram pięści.

– To maska – mówię. – Zachowuje się jak psychopata bez serca, ale jest... Sama nie wiem... – Milknię wpatrzona w coś nieuchwytnego. Może jakieś wspomnienie. Uśmiechu Warnera. Jego delikatnych dłoni, które ocierają mi łzy. Jego słów: „już dobrze, wszystko w porządku”. – On jest naprawdę...

– Chyba nie, ehm... – Adam odsuwa się ode mnie, z dziwnym drżeniem wypuszcza powietrze. – Nie bardzo wiem, jak mam to rozumieć – mówi niezdecydowany. – Więc... co? Teraz go lubisz? Przyjaźnisz się z nim? Z facetem, który próbował mnie zabić? – Nie może ukryć bólu. – Powiesił mnie na pasie transmisyjnym w rzeźni, Julio. Zapomniałaś już o tym?

Wzdrygam się. Opuszczam głowę ze wstydem.

Naprawdę o tym zapomniałam.

Zapomniałam, że Warner prawie zabił Adama, że postrzelił go na moich oczach. Uważał

go za zdrajcę, bo Adam przystawił mu pistolet do głowy i uciekł, porywając mnie.

Robi mi się niedobrze.

– Jestem po prostu... Jestem taka skołowana – udaje mi się wreszcie wykrztusić. – Chciałabym go nienawidzić, ale już po prostu nie umiem...

Adam wpatruje się we mnie, jakby nie miał pojęcia, kim jestem.

Muszę zmienić temat.

– Co się dzieje z Castle'em? – pytam. – Czy on jest chory?

Adam patrzy na mnie z wahaniem, zdaje sobie sprawę, o co mi chodzi. W końcu się poddaje. Wzdycha.

– Jest źle – mówi. – Dla niego to znacznie większy cios niż dla pozostałych. A to, że on nie może sobie z tym poradzić, bardzo się odbija na Kenjim.

Przyglądam się twarzy Adama, mimo woli doszukując się w niej podobieństwa do Andersona i Warnera.

– Właściwie nie wstaje z tego swojego krzesła – ciągnie Adam. – Siedzi tam cały dzień, aż przewraca się z wyczerpania, i wtedy nawet zasypia w tym samym miejscu. Budzi się następnego dnia i wszystko jest tak samo, aż do wieczora. Je tylko wtedy, kiedy go do tego zmusimy, a wstaje tylko po to, żeby pójść do łazienki. – Adam kręci głową. – Wszyscy mamy nadzieję, że w końcu się z tego otrząśnie, ale to dziwne stracić takiego przywódcę. Castle wszystkim kierował. A teraz wygląda na to, że nic go nie obchodzi.

– Pewnie jest jeszcze w szoku – mówię. Od bitwy minęły zaledwie trzy dni. – Miejmy nadzieję, że niedługo przyjdzie do siebie.

– Taaak – mówi Adam. Kiwa głową. Wpatruje się w swoje dłonie. – Ale naprawdę trzeba coś wymyślić. Długo w ten sposób nie przeżyjemy. Najdalej za kilka tygodni skończy nam się jedzenie – zaznacza. – Mamy teraz prawie dziesięć osób do wyżywienia. W dodatku Brendan i Winston są ranni. Zrobiłem dla nich, co mogłem, korzystając z opatrunków, które tu miałem, ale oni potrzebują prawdziwej opieki medycznej i środków przeciwbólowych. O ile uda się je załatwić. – Milknie. – Nie wiem, co Kenji zdążył ci powiedzieć. Byli w fatalnym stanie, kiedy ich tu przywieźliśmy. Opuchlizna Winstona dopiero zesła. Naprawdę nie możemy zostać tu zbyt długo – dodaje. – Potrzebujemy planu.

– Tak. – Czuję ogromną ulgę, że jest gotów działać. – Tak. Tak. Potrzebujemy planu. Co o tym myślisz? Masz już jakiś pomysł?

Adam kręci głową.

– Nie wiem – przyznaje. – Moglibyśmy dalej włamywać się do magazynów, tak jak kiedyś... kraść towary co jakiś czas... i znaleźć jakieś lepsze schronienie na terytoriach nieuregulowanych. Ale nigdy nie będziemy mogli wrócić na teren osiedli – mówi. – To zbyt ryzykowne. Zastrzelą nas na miejscu, jeśli nas złapią. Więc... Nie wiem – powtarza. Śmieje się zażenowany. – Mam nadzieję, że oprócz mnie ktoś jeszcze ma jakieś pomysły.

– Ale... – Milknę zmieszana. – To wszystko? Nie uważasz, że powinniśmy walczyć dalej? Według ciebie powinniśmy po prostu nauczyć się żyć... w ten sposób? – Wskazuję na drzwi, na to, co jest za nimi.

Adam przygląda mi się, wyraźnie zaskoczony moją reakcją.

– Nie chodzi o to, że tego chcę – mówi. – Po prostu nie wiem, jak niby mielibyśmy walczyć, nie dając się od razu zabić. Próbuję myśleć praktycznie. – Wzburzony przeczesuje dłonią włosy. – Próbowałem – mówi, zniżając głos. – Próbowaliśmy stawiać opór i skończyło się to masakrą. Powinienem już nie żyć. Ale jakimś szalonym trafem żyję, James też i, Boże, Julio, ty też. Sam nie wiem. – Kręci głową, odwracając wzrok. – Czuję się, jakbym dostał drugą szansę. Muszę znaleźć nowe sposoby zdobywania jedzenia i dachu nad głową. Nie mam dochodów,

nigdy więcej nie będę mógł się zaciągnąć do wojska w tym sektorze, jestem niezarejestrowanym obywatelem, więc nie mam szans na pracę. W tej chwili najważniejsze jest dla mnie przeżycie najbliższych kilku tygodni, nakarmienie rodziny i przyjaciół. – Zaciska zęby. – Może pewnego dnia znajdą się inni, ktoś, kto okaże się mądrzejszy, silniejszy, ale nie sądzę, żebyśmy to byli my. Nie sądzę, żeby mogło nam się udać.

Mrugam zaszokowana.

– Nie wierzę w to.

– Nie wierzysz... w co?

– W to, że się poddajesz. – W moim głosie pobrzmiewa oskarżenie, ale nie robię nic, żeby to ukryć. – Po prostu się poddajesz.

– Jaki mam wybór? – pyta, patrząc na mnie z bólem i złością. – Nie mam zamiaru być męczennikiem. Już raz próbowaliśmy. Walczyliśmy, ale gówno z tego wyszło. Wszyscy, których znaliśmy, nie żyją, a całe nasze podziemie to ta grupka poturbowanych ludzi, których widziałas. Jak tych dziewięć osób miałyby walczyć ze światem? – pyta. – To nie jest równa walka, Julio.

Kiwam głową. Wpatruję się we własne dłonie. Próbuję ukryć to, jak bardzo jestem wstrząśnięta, ale bezskutecznie.

– Nie jestem tchórzem – mówi, usiłując panować nad swoim głosem. – Chcę tylko chronić swoją rodzinę. Nie chcę, żeby James musiał codziennie się martwić, że nie wrócę do domu. On mnie potrzebuje, muszę postępować racjonalnie.

– Ale jak można żyć w ten sposób? – pytam. – Jak zbiedzy? Kraść, żeby przeżyć, i ukrywać się przed światem? Czy to jest wyjście? Bez przerwy będziesz się zamartwiał, oglądał za siebie, bojąc się zostawić Jamesa na chwilę samego. Będziesz nieszczęśliwy.

– Ale będę żywy.

– To nie jest życie – mówię. – To nie jest życie...

– Skąd możesz wiedzieć? – warczy. Jego ton zmienia się tak gwałtownie, że milknę osłupiała. – Co ty wiesz o życiu? – pyta. – Kiedy cię spotkałem, w ogóle się nie odzywałaś. Bałaś się własnego cienia. Odchodziłaś od zmysłów z żalu i poczucia winy. Żyłaś we własnym świetle, nie mając pojęcia, co się dzieje na zewnątrz.

Wzdrygam się, zraniona jadem w jego głosie. Nigdy nie widziałam Adama tak przepełnionego goryczą i okrucieństwem. To nie jest ten Adam, którego znam. Chcę, żeby przestał. Zaczął od początku. Przeprosił. Wymazał to, co właśnie powiedział.

Ale on tego nie robi.

– Wydaje ci się, że było ci ciężko – mówi. – Bo siedziałaś w szpitalach dla czubków i w więzieniu... myślisz, że to było trudne. Ale przynajmniej miałaś dach nad głową i regularne posiłki. – Zaciska i rozluźnia pięści. – Większość ludzi nie może na to liczyć. Nie masz pojęcia, jak to jest naprawdę tutaj żyć... nie masz pojęcia, co znaczy głodować i patrzeć, jak twoi najbliżsi umierają na twoich oczach. Nie masz pojęcia, co znaczy naprawdę cierpieć. Czasem mam wrażenie, że żyjesz w jakimś świetle fantazji, w którym ludzie żywią się optymizmem. Ale tutaj się tak nie da. W tym świetle albo codziennie ocierasz się o śmierć, albo zwyczajnie jesteś martwa. Nie ma w tym żadnego romantyzmu. Żadnych złudzeń. Więc nie próbuj udawać, że masz pojęcie o życiu w dzisiejszych czasach. T e r a z. Bo nie masz.

Słowa, myślę sobie, są takie nieprzewidywalne.

Żaden pistolet, miecz, armia ani król nie mogą się mierzyć z potęgą jednego zdania. Miecze mogą ranić i zabijać. Słowa zagnieżdżają się w naszych ciałach i pasożytują w nich jak robactwo. Niesiemy je z sobą w przeszłość, nie mogą się od nich uwolnić.

Głośno przełykam ślinę

raz

dwa

trzy

i próbuję się opanować, odpowiedzieć spokojnie. Ostrożnie.

On jest po prostu zdenerwowany, mówię sobie. Po prostu się boi, martwi i denerwuje, wcale tak nie myśli, nie naprawdę, powtarzam sobie.

Jest tylko zdenerwowany.

Wcale tak nie myśli.

– Może – mówię. – Może masz rację. Może nie wiem, co to znaczy żyć. Może brakuje mi jakichś ludzkich cech potrzebnych, żeby to dostrzec, może jestem zbyt krótkowzroczna. – Patrzę mu prosto w oczy. – Ale wiem, co to znaczy ukrywać się przed światem. Wiem, co znaczy żyć, jakby się nie istniało, w zamknięciu i izolacji. I nie zamierzam do tego wracać – dodaję. – Nie mogę. Już nie boję się mówić. Mój cień już mnie nie prześladowuje. I nie zrezygnuję z wolności. Nigdy więcej. Nie mogę się cofnąć. Wolę zginąć, domagając się sprawiedliwości, niż umrzeć samotnie w więzieniu, które sama sobie stworzyłam.

Adam wpatruje się w ścianę. Śmieje się.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? – pyta, znów patrząc na mnie. – Chcesz powiedzieć, że zamierzasz wyskoczyć przed oddział żołnierzy, wykrzyknąć, jak bardzo nienawidzisz Komitetu Odnowy, tylko po to, żeby mieć ostatnie słowo? Żeby mogli cię zabić przed osiemnastymi urodzinami? To nie ma sensu. To niczemu nie służy. I zupełnie nie jest w twoim stylu. – Kręci głową. – Sądziłem, że chcesz żyć po swojemu. Nigdy nie interesowała cię walka. Chciałaś tylko uciec przed Warnerem, szpitalem psychiatrycznym i swoimi stukniętymi rodzicami. Myślałem, że odetchniesz z ulgą, kiedy wojna się skończy.

– Nic nie rozumiesz – mówię. – Zawsze chciałam walczyć. Mówiłam to od samego początku, kiedy jeszcze byliśmy w bazie, kiedy powiedziałam ci, że chcę uciec. To nigdy się nie zmieniło. – Upieram się. – Tego pragnę. Zawsze tego pragnęłam.

– Nie – protestuje. – Nie, nie uciekaliśmy z bazy po to, żeby rozpętać wojnę. Uciekliśmy przed Komitetem Odnowy. Jasne, że musieliśmy w pewnym sensie przeciwstawić się władzy, ale przede wszystkim po to, żeby być razem. A potem pojawił się Kenji, zawiózł nas do Punktu Omega i wszystko się zmieniło, a my postanowiliśmy walczyć. Bo wydawało się nam, że to może się udać. Sądziliśmy, że mamy szansę. Ale teraz... – Rozgląda się po pokoju, wpatruje się w zamknięte drzwi. – Co nam zostało? Jesteśmy już praktycznie martwi. Ośmioro słabo uzbrojonych dorosłych i dziesięcioletni chłopiec przeciwko całym armiom. To nie ma żadnego sensu – mówi. – Jeśli mam zginąć, to chciałbym, żeby to przynajmniej czemuś służyło. Mogę iść na wojnę, ryzykować życie, pod warunkiem że będę miał szansę zwyciężyć. Tylko wtedy.

– Uważasz, że walka dla ludzkości niczemu nie służy...?

– Nie wiesz, co mówisz – rzuca. Zaciska szczękę. – Nie możemy teraz nic zrobić.

– Zawsze można coś zrobić. Musi być jakiś sposób. Nie mam zamiaru tak żyć. Nigdy więcej.

– Julio, proszę – mówi rozpaczliwie, z udręką w głosie. – Nie chcę, żebyś zginęła... Nie chcę cię znowu stracić...

– Tu nie chodzi o ciebie, Adamie. – Czuję się okropnie, mówiąc to, ale on musi zrozumieć. – Jesteś dla mnie bardzo ważny. Kochałeś mnie i byłeś przy mnie, kiedy nikogo innego przy mnie nie było. Nie chcę, żebyś myślał, że mi na tobie nie zależy. Bo zależy – mówię. – Ale ta decyzja nie ma nic wspólnego z tobą. Tu chodzi o mnie – dodaję. – A to życie – pokazuję na drzwi – życie za tą ścianą... to mi nie wystarcza.

Moje słowa jeszcze bardziej wyprowadzają go z równowagi.

– W takim razie wolisz umrzeć? – pyta, znowu ze złością. – To chcesz mi powiedzieć? Że

wolisz umrzeć, niż próbować żyć ze mną tutaj?

– Wolałabym umrzeć – mówię, odsuwając się odrobinę od jego wyciągniętej ręki – niż znowu milczeć i się dusić.

Adam właśnie otwiera usta, żeby mi odpowiedzieć, kiedy zza ściany dobiegają odgłosy jakiegoś zamieszania. W panice wymieniamy spojrzenia, rzucamy się do drzwi i wpadamy do salonu.

Moje serce zamiera. Zaczyna bić. Znowu zamiera.

Warner tu jest.

Stoi w drzwiach wejściowych z rękami w kieszeniach. W jego twarz wycelowanych jest sześć różnych rodzajów broni. Myślę gorączkowo co dalej, próbuję znaleźć wyjście z sytuacji. Ale na mój widok na twarzy Warnera zmieniają się pory roku: na zimnej linii ust rozkwita promienny uśmiech. Jego oczy nabierają blasku, uśmiecha się, jakby zupełnie mu nie przeszkadzała wycelowana w jego stronę śmiertelna broń. Jakby jej nawet nie zauważał.

Zastanawiam się, jak mnie właściwie znalazł.

Robię krok naprzód, ale Adam chwyta mnie za ramię. Odwracam się, zaskoczona własną irytacją. Irytuje mnie moja irytacja. Nie tak sobie wyobrażałam nasze ponowne spotkanie. Nie chcę, żeby tak było. Chcę zacząć od nowa.

– Co ty robisz? – pyta mnie Adam. – Nie zbliżaj się do niego.

Wpatruję się w jego dłoń na moim ramieniu. Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy. Adam ani drgnie.

– Puść mnie – mówię.

Jego twarz zmienia się nagle, jakby się przestraszył. Spogląda na swoją rękę i puszcza mnie bez słowa.

Odsuwam się od niego na tyle, na ile to możliwe, i wypatruję Kenjiego. Jego przenikliwe czarne oczy natychmiast napotykać mój wzrok. Unosi brew i przekrzywia głowę. Usta mu drgają, jakby chciał powiedzieć, że następny ruch należy do mnie i lepiej, żeby był przemyślany. Wzdycham, przeciskam się do przodu i stoję twarzą do przyjaciół, usiłując swoim niepozornym, drobnym ciałem zasłonić Warnera przed lufami ich pistoletów, z nadzieją że nie zastrzelą mnie zamiast jego.

Staram się, żeby mój głos brzmiał spokojnie.

– Proszę – mówię. – Nie strzelajcie do niego.

– A dlaczegoż by nie? – pyta Ian, zaciskając dłoń na rękojeści broni.

– Julio, skarbie – mówi Warner wprost do mojego ucha, jednak dostatecznie głośno, aby każdy mógł go usłyszeć. – Doceniam to, że mnie bronisz, ale poradzę sobie.

– Ich jest ośmioro – mówię, zapominając o strachu. Mam ochotę przewrócić oczami. – Wszyscy trzymają cię na muszce. Jestem przekonana, że przyda ci się pomoc.

Za moimi plecami rozlega się krótki śmiech. W tej samej chwili pistolety wyszarpięte z trzymających je rąk wzlatają w górę i uderzają o sufit. Rozglądam się wstrząśnięta, dostrzegając we wszystkich oczach szczere zdumienie.

– Zawsze się wahacie – mówi Warner, kręcąc głową i rozglądając się po pokoju. – Chcecie strzelać, to strzelajcie. Nie marnujcie mojego czasu na efekty specjalne.

– Jak to u licha zrobiłeś? – pyta Ian.

Warner milczy. Powoli zdejmuje rękawiczki, pociągając kolejno za każdy palec, po czym zsuwa je z rąk. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiał.

– W porządku – mówię. – Oni już wiedzą.

Warner podnosi wzrok. Unosi brew. Uśmiecha się lekko.

– Naprawdę?

– Tak. Powiedziałam im.

W uśmiechu Warnera pojawia się coś w rodzaju autoironii. Odwraca się i przez chwilę kontempluje sufit. Oczy mu się śmieją. Wreszcie ruchem głowy wskazuje na Castle'a, który zdeglustowany przygląda się zamieszaniu.

– Pożyczyłem sobie moc – mówi Warner do Iana – od jednego z tu obecnych.

– Niech to szlag! – wyrzuca z siebie Ian.
– Czego chcesz? – pyta Lily wyzywająco, zaciskając pięści w odległym kącie pokoju.
– Od ciebie niczego – mówi Warner. – Przyszedłem po Julię. Nie mam zamiaru wam przeszkadzać w tej... piżamowej imprezie – mówi, przyglądając się porozkładanym na podłodze poduszkom i kocom.

Adam sztywnieje z przerażenia.

– O czym ty mówisz? – pyta. – Ona nigdzie nie idzie.

Warner drapie się w tył głowy.

– Czy ciebie nigdy nie męczy bycie upierdliwym? Masz w sobie tyle charyzmy co gnijące flaki zwierzaka rozjechanego na drodze.

Nagle rozlega się świszczący, głośny śmiech. Odwracam się w stronę, z której dochodzi dźwięk.

Kenji przyciska rękę do ust, rozpaczliwie próbując powstrzymać chichot. Kręci głową, unosząc rękę w przeproszającym geście. Wreszcie poddaje się i wybucha śmiechem, parskając jeszcze przy bezskutecznych próbach stłumienia go.

– Przepraszam – mówi, zaciskając usta i znowu kręcąc głową. – To nie jest zabawna chwila. Nie jest. Ja się wcale nie śmieję.

Adam wygląda, jakby miał zamiar uderzyć Kenjiego pięścią w twarz.

– To co? Nie przyszedłeś nas pozabijać? – przerywa milczenie Winston. – Bo jeśli nie, to lepiej spadaj stąd, zanim my zabijemy ciebie.

– Nie – mówi Warner spokojnie. – Nie zamierzam was zabić. I chociaż chętnie pozbyłbym się tych dwóch – kiwa głową w stronę Adama i Kenjiego – wydaje mi się to zbyt wyczerpujące. Wasze żałosne życie już mnie nie interesuje. Jestem tu tylko po to, żeby towarzyszyć Julii w drodze do domu i dopilnować, żeby bezpiecznie tam dotarła. Wzywają nas obowiązki.

– Nie – słyszę nagle głos Jamesa. Wstaje i patrzy Warnerowi prosto w oczy. – Tu jest teraz jej dom. Nie możesz jej zabrać. Nie pozwolę, żeby ktoś ją skrzywdził.

Brwi Warnera unoszą się w zdumieniu. Wydaje się tak szczerze zaskoczony, jakby dopiero teraz zauważył dziesięciolatka. Warner i James właściwie nigdy jeszcze się nie spotkali. Żaden z nich nie wie, że są braćmi.

Zerkam na Kenjiego. On na mnie.

To wielka chwila.

Warner wpatruje się w twarz Jamesa z nabożną fascynacją. Pochyla się, klęka na jedno kolano i patrzy mu prosto w oczy.

– A kim ty jesteś? – pyta.

Wszyscy przyglądają się w milczeniu.

James nie odpowiada od razu. Spokojnie mruży oczy, wkłada ręce do kieszeni.

– Jestem James. Brat Adama – mówi wreszcie ze wzrokiem wbitym w podłogę. – A kim ty jesteś?

Warner przekrzywia nieznacznie głowę.

– Nikim ważnym – mówi. Próbuje się uśmiechnąć. – Ale bardzo miło mi cię poznać, James. Cieszę się, że troszczysz się o bezpieczeństwo Julii. Chcę, żebyś wiedział, że nie mam zamiaru jej skrzywdzić. Tylko że ona coś mi obiecała i chciałbym, żeby dotrzymała słowa.

– Co ci obiecała? – pyta James.

– Tak, co mu obiecałaś? – wtrąca się Kenji. Jego głos jest donośny i pełen złości.

Podnoszę wzrok, rozglądam się. Wszyscy wpatrują się we mnie, czekając na odpowiedź. Adam otwiera szeroko oczy ze zgrozą i niedowierzaniem.

Patrzę na Warnera.

– Nigdzie nie idę – mówię. – Nie obiecywałam, że zostanę z tobą w bazie.

Marszczy czoło.

– Wolisz zostać t u t a j? – pyta. – Dlaczego?

– Potrzebuję moich przyjaciół – mówię mu. – A oni potrzebują mnie. Poza tym i tak musimy współpracować, więc równie dobrze możemy zacząć od razu. I nie mam ochoty być znowu przemycana do bazy i z powrotem – dodaję. – Możesz po prostu spotykać się ze mną tutaj.

– Ooo...! Zaraz, co znaczy: musimy współpracować? – włącza się Ian. – I dlaczego zapraszasz go tu ponownie? O czym wy do cholery mówicie?

– Co mu obiecałaś, Julio? – pyta Adam głośno oskarżycielskim tonem.

Odwracam się w stronę grupy. Ja, stojąc obok Warnera, patrzę w zagniewane oczy Adama i w twarze moich przyjaciół, które za chwilę też będą zagniewane.

Ależ to wszystko nagle zrobiło się dziwne.

Nabieram powietrza w ściśnięte płuca, żeby dodać sobie otuchy.

– Jestem gotowa walczyć – mówię, zwracając się do wszystkich. – Wiem, że niektórzy z was mogą się czuć pokonani, być może myślicie, że nie ma już żadnej nadziei, szczególnie po tym, co się stało z Punktem Omega. Ale Sonya i Sara nadal żyją i potrzebują naszej pomocy. Podobnie jak reszta świata. Nie po to przebyłam taką daleką drogę, żeby teraz zawrócić. Jestem gotowa działać, a Warner zaproponował mi pomoc.

Patrzę wprost na Kenjiego.

– Przyjęłam jego propozycję. Obiecałam, że połączymy siły, że będę walczyła u jego boku, zabijemy Andersona i obalimy Komitet Odnowy.

Kenji mruży oczy, lecz trudno powiedzieć, czy jest zły, czy raczej bardzo, bardzo zły.

Patrzę na pozostałych przyjaciół.

– Ale wszyscy powinniśmy współpracować – mówię. – Dużo o tym myślałam i uważam, że wciąż mamy szansę, zwłaszcza z pomocą Warnera, który może podzielić się z nami tajnymi informacjami na temat Komitetu Odnowy i swojego ojca.

Przełykam głośno ślinę, widząc przerażone miny moich towarzyszy.

– Jeśli jednak nie jesteście już zainteresowani walką, zrozumieć to – dodaję czym prędzej. – I jeśli będziecie woleli, żebym nie zostawała tu z wami, uszanuję waszą decyzję. Tak czy owak, ja już dokonałam wyboru – mówię. – Bez względu na to, czy zdecydujecie się do mnie dołączyć, czy nie, ja postanowiłam walczyć. Obalę Komitet Odnowy albo zginę. Nic innego mi nie pozostało.

Przez dłuższy czas wszyscy milczą. Spuszczam wzrok, bojąc się zobaczyć ich miny.

Alia odzywa się pierwsza.

– Chcę walczyć z tobą. – Jej delikatny głos rozbrzmiewa nagle z niewzruszoną siłą. – Podnoszę wzrok i patrzę jej w oczy. Uśmiecha się do mnie. Choć jej twarz oblewa rumieniem, wyraźnie widać malującą się na niej determinację.

Ale zanim udaje mi się coś powiedzieć, do Alii dołącza Winston.

– Ja też. Jak tylko przestanę mnie boleć głowa, jak najbardziej. Co mi szkodzi – mówi. – Chętnie skopię komuś tyłek choćby po to, żeby odbić dziewczęta. Nawet jeśli nie uratujemy reszty świata – dodaje, wzruszając ramionami.

– Ja też – mówi Brendan, kiwając głową. – Wchodzę w to.

Ian kręci głową. Wciąż patrzy na mnie jak na kompletną kretynkę.

– Dlaczego mielibyśmy zaufać temu facetowi? – pyta. – Przecież to śmierdzi na kilometr.

– Taaak – rozlega się głosik Lily. – Podejrzane. – Patrzy na Warnera. – Dlaczego miałbyś nam pomagać? – pyta. – Odkąd to można ci ufać?

Warner przesuwając ręką po włosach. Uśmiecha się szyderczo. Zerka na mnie.

Nie bawi go to.

– Nie można – mówi. – Właściwie wydawało mi się, że wyraziłem się jasno.

Powiedziałem, że przyszedłem tutaj po Julię. Nie składałem pisemnej deklaracji pomocy jej przyjacielom, nie mogę dać wam gwarancji przetrwania ani bezpieczeństwa. Jeśli oczekujecie z mojej strony jakichkolwiek zapewnień, to niestety muszę was rozczarować.

Ian otwarcie się uśmiecha.

Lily wydaje się nieco udobruchana.

Kenji kręci głową.

– W porządku – kiwa głową Ian. – Super. – Pociera czoło. – To jaki jest plan gry?

– Rozum wam wszystkim odjęło? – wybucha Adam. – Zapomnieliście, z kim rozmawiacie? Wdziera się do mojego mieszkania, oznajmia, że zabiera stąd Julię, a wy chcecie stanąć u jego boku i walczyć? Z tym samym facetem, który odpowiada za zniszczenie Punktu Omega? – pyta. – Przez niego wszyscy nie żyją!

– Nie miałem z tym nic wspólnego – mówi ostro Warner. Jego twarz ciemnieje. – To nie była moja decyzja, nie miałem pojęcia, że to się dzieje. Zanim zdążyłem uciec z Punktu Omega i znaleźć drogę powrotną do bazy, operacja była już w toku. Nie uczestniczyłem ani w bitwie, ani w nalocie na Punkt Omega. Wszystko zaplanował mój ojciec.

– To prawda – mówi Lily. – To naczelny wydał rozkaz uderzenia na Punkt Omega.

– Nie żebym lubił tego gościa – dodaje Winston, wskazując kciukiem na Warnera. – Ale jego starego nie lubię o wiele bardziej. To on nas porwał. To jego ludzie nas więzili, nie żołnierze Sektora 45. Więc nie przeczę, z przyjemnością popatrzyłbym, jak naczelny umiera powolną, żalną śmiercią – mówi, przeciągając się na kanapie.

– Nie jestem mściwy – mówi Brendan – ale przyznam, że zemsta jeszcze nigdy nie wydawała mi się taka słodka.

– Chcę zobaczyć, jak bydlak krwawi – mówi Ian.

– To miło, że wszyscy mamy z sobą coś wspólnego – mamrocze Warner zirytowany. Wzdycha. Spogląda na mnie. – Julio, mogę zamienić z tobą słówko?

– To jakiś absurd! – krzyczy Adam. Rozgląda się. – Czy wy wszyscy upadliście na głowę? Jak możecie zapominać, co on zrobił... co zrobił mnie... co zrobił Kenjiemu? – Odwraca

się do mnie. – Jak możesz w ogóle na niego patrzeć po tym, jak nas traktował? – pyta. – Prawie mnie zamordował, zostawił mnie, żebym się wykrwawił, chciał mnie zadręczyć na śmierć...

– Kent, stary, proszę cię... Musisz się uspokoić, jasne? – Kenji podchodzi bliżej. – Rozumiem, że jesteś wkurzony, też nie jestem szczęśliwy, ale na wojnie bywa różnie. Zdarzają się dziwaczne sojusze. – Wzrusza ramionami. – Jeśli to jedyny sposób, żeby pozbyć się Andersona, może warto się zastanowić...

– Nie mogę w to uwierzyć – przerywa mu Adam, rozglądając się dokoła. – Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Wszystkim wam odbiło. Jesteście s z a l e n i – mówi, chwytając się za głowę. – Ten facet jest psychopatą... on jest m o r d e r c ą...

– Adamie – mówię. – Proszę...

– Co się z tobą stało? – Odwraca się do mnie. – Nie poznaję cię. Myślałem, że nie żyjesz... Myślałem, że to o n cię zabił – mówi, wskazując na Warnera. – A teraz co widzisz? Stoisz tutaj i konspirujesz z typem, który chciał zrujnować ci życie! Mówisz, że chcesz walczyć, bo nie masz już po co żyć! A co z e m n ą? – pyta. – Co z nami? Kiedy przestało ci to wystarczać?

– Tu nie chodzi o nas. – Nie rezygnuję. – Proszę, Adamie... pozwól mi wyjaśnić...

– Muszę się stąd wydostać – mówi ostro, ruszając w stronę drzwi. – Nie wytrzymam tu... Jak na jeden dzień to stanowczo za wiele... To mnie zwyczajnie przerasta.

– Adam... – Nie daję za wygraną, chwytam go za ramię, ale on się wyrwa.

– Wszystko robiłem dla ciebie – mówi, patrząc mi w oczy. Jego głos przechodzi w ochrypły, bolesny szept. – Zostawiłem wszystko, bo myślałem, że będziemy razem. Ty i ja. – Jego oczy są ciemne, głębokie, pełne bólu. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. – Co ty wyprawiasz? – pyta rozpaczliwie. – Co ty sobie wyobrażasz?

Zdaję sobie sprawę, że on naprawdę chce usłyszeć moją odpowiedź.

Czeka na nią.

Stoi i czeka. Czeka, aż coś powiem, a wszyscy na nas patrzą i świetnie się bawią. Nie mogę uwierzyć, że mi to robi. Tutaj. Właśnie teraz. Przed wszystkimi.

Przed W a r n e r e m.

Patrzę Adamowi w oczy, ale nie mogę zbyt długo wytrzymać jego spojrzenia.

– Nie chcę już żyć w strachu – mówię z nadzieją, że mój głos zabrzmi pewnie pomimo tego, jak się czuję. – Muszę się bronić. Myślałam, że chcemy tego samego.

– Nie, ja chciałem ciebie. – Próbuje opanować drżenie głosu. – Tylko ciebie. Od samego początku, Julio. Byłaś wszystkim, czego pragnąłem. Byłaś dla mnie wszystkim.

Odbiera mi mowę.

Nie mogę mówić.

Nie mogę wykrztusić słowa, bo przecież nie mogę tak po prostu złamać mu serca, ale on czeka, czeka i patrzy na mnie...

– Ja pragnę czegoś więcej – wykrztuszam. – Pragnęłam ciebie, ale potrzebuję czegoś więcej. Chcę być wolna. Proszę, spróbuj zrozumieć...

– Dość tego! – wybucha Adam. – Nie oczekuj, że zrozumiem jakiś stek bzdur! – krzyczy. – Mam tego dość. – Chwyta leżącą na sofie kurtkę, szarpie za klamkę i wychodzi, trzaskając drzwiami.

W pokoju robi się cicho jak makiem zasiał.

Chcę biec za Adamem.

Kenji chwyta mnie w pasie i powstrzymuje gwałtownym szarpnięciem. Rzuca mi surowe, znaczące spojrzenie.

– Zajmę się Kentem. Ty tu zostań i ogarnij ten syf, którego narobiłaś – mówi, wskazując ruchem głowy Warnera.

Przełykam głośno ślinę. Nie odzywam się.

Po wyjściu Kenjiego odwracam się w stronę naszej widowni. I kiedy szukam właściwych słów, rozlega się głos, który najmniej spodziewałam się usłyszeć.

– Ach, pani Ferrars – mówi Castle. – Jak to dobrze, że pani wróciła. W pani towarzystwie nie można się nudzić.

Ian wybucha płaczem.

Wszyscy natychmiast skupiają się wokół Castle'a. James praktycznie się na niego rzuca. Ian odpycha każdego, kto stoi mu na drodze. Castle się uśmiecha, śmieje się głośno. Wreszcie zaczyna przypominać człowieka, którego pamiętam.

– Nic mi nie jest – mówi. W jego głosie słychać zmęczenie, jakby mówienie przychodziło mu z ogromnym wysiłkiem. – Dziękuję za waszą troskę. Ale nic mi nie będzie. Potrzebuję tylko jeszcze trochę czasu, to wszystko.

Patrzę mu w oczy. Boję się do niego podejść.

– Proszę – zwraca się Castle do Alii i Winstona, którzy stoją najbliżej, po obu jego stronach. – Pomóżcie mi wstać. Chciałbym przywitać naszego gościa.

Nie mówi o mnie.

Castle wstaje z trudem, choć wszyscy tłoczą się, żeby mu pomóc. Cały pokój nagle wydaje się inny: jaśniejszy, jakby radośniejszy. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo samo-poczucie Castle'a wpływało na nastroje obecnych.

– Panie Warner – mówi Castle, patrząc na niego z przeciwnego końca pokoju. – To miło z pana strony, że zechciał pan się do nas przyłączyć.

– Ja się do nikogo nie...

– Od początku wiedziałem, że pan to zrobi – mówi Castle. Uśmiecha się lekko. – I bardzo się cieszę.

Warner wygląda, jakby chciał przewrócić oczami.

– Może pan już opuścić broń – mówi do niego Castle. – Obiecuję, że będę miał na nią oko, dopóki pan tu jest.

Wszyscy zerkamy na sufit. Warner wzdycha. Pistolety natychmiast sfruwają na dół, opadając delikatnie na dywan.

– Bardzo dobrze – mówi Castle. – A teraz, wybaczone mi, ale marzę o długim prysznicu. Mam nadzieję, że nie uznacie mojego wyjścia za nietakt – dodaje. – Jestem przekonany, że w ciągu najbliższych tygodni będziemy mieli okazję to nadrobić.

Warner w odpowiedzi zaciska zęby.

Castle się uśmiecha.

Winston i Brendan pomagają Castle'owi dotrzeć do łazienki, podczas gdy Ian z przejściem woła coś o przyniesieniu mu czystego ubrania. Zostaję w pokoju z Warnerem, Jamesem, Alią i Lily.

– Julio – mówi Warner.

Zerkam w jego stronę.

– Mogę cię prosić na słówko? Na osobności.

Waham się.

– Możecie iść do mojego pokoju – wtrąca James. – Nie przeszkadza mi to.

Patrzę na niego, zaskoczona tą wspaniałomyślnością wobec Warnera i mnie, zwłaszcza że dopiero co widział wybuch swojego brata.

– Adamowi nic nie będzie – mówi, jakby czytał w moich myślach. – Po prostu ma dużo zmartwień. Martwi się o tyle rzeczy. Boi się, że skończy się nam jedzenie i w ogóle.

– James...

– Naprawdę w porządku – mówi James. – Zostanę z Alią i Lily.

Zerkam na dziewczyny, lecz ich twarze niczego nie zdradzają. Alia posyła mi ledwo zauważalny, ale życzliwy uśmiech. Lily mierzy wzrokiem Warnera.

Wreszcie wzdycham i daję za wygraną.

Idę za Warnerem do niewielkiego schowka, zamykam za sobą drzwi.

Od razu przechodzi do rzeczy.

– Dlaczego proponujesz swoim przyjaciołom, żeby się do nas przyłączyli? Powiedziałem ci, że nie zamierzam z nimi współpracować.

– Jak mnie znalazłeś? – odpowiadam pytaniem na pytanie. – Nie korzystałam z pagera, który mi dałeś.

Warner patrzy mi w oczy, jakby szukał w nich wskazówek, przeszywa mnie swoim zielonym spojrzeniem, jak zwykle zbyt intensywnym, żebym mogła je wytrzymać. Czym prędzej odwracam wzrok z uczuciem, jakbym zerwała się z uwięzi.

– Zwykła dedukcja – mówi wreszcie. – Z całej waszej grupy tylko Kent miał jakieś życie poza punktem Omega. Jego dom był jedynym miejscem, w którym mogliście zniknąć niepostrzeżenie. Więc od niego zacząłem. – Kręci lekko głową. – Wiem, że nie masz o mnie najlepszego zdania, skarbie, ale nie jestem idiotą.

– Nigdy nie uważałam, że jesteś idiotą – mówię zaskoczona. – Myślałam, że jesteś szaleńcem, ale nie idiotą. Właściwie uważam, że jesteś błyskotliwy – przyznaję po chwili zastanowienia. – Chciałabym mieć tak przenikliwy umysł. – Na ułamek sekundy odwracam wzrok, obiecując sobie, że nauczę się trzymać buzię na kłódkę.

Twarz Warnera się rozjaśnia. Uśmiecha się rozbawiony, mrużąc oczy.

– Nie chcę twoich przyjaciół w swoim zespole – mówi. – Nie lubię ich.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Będą dla nas tylko ciężarem.

– Dadzą nam przewagę – upieram się. – Wiem, że według ciebie w Punkcie Omega popełnili same błędy, ale udało im się przeżyć. Wszyscy mają ważne umiejętności.

– Są kompletnie załamani.

– Przeżywają żalobę – mówię zirytowana. – Nie doceniasz ich. Castle jest naturalnym przywódcą. Kenji to geniusz i doskonały żołnierz. Czasem zachowuje się jak głupek, ale sam wiesz najlepiej, że to tylko przedstawienie. Jest mądrzejszy niż my wszyscy. Winston i Alia potrafią zaprojektować wszystko, czego będziemy potrzebowali, wystarczy, że będą mieli potrzebne materiały. Lily ma niewiarygodną fotograficzną pamięć, Brendan potrafi porażać prądem, a Winston może dowolnie rozciągać kończyny. A Ian... – Milknę na chwilę. – Cóż, Ian... na coś się przyda, jestem o tym przekonana.

Warner śmieje się krótko, jego uśmiech przygasa, aż w końcu zupełnie znika. Twarz przybiera niepewny wyraz.

– A Kent? – pyta wreszcie.

Czuję, że błędę.

– Co z nim?

– Jaki możemy mieć z niego pożytek?

Zastanawiam się.

– Jest dobrym żołnierzem.

– To wszystko?

Moje serce bije jak szalone. Zbyt mocno.

Warner odwraca wzrok.

– Zależy ci na nim – mówi, starannie kontrolując swój wyraz twarzy i ton głosu.

To nie jest pytanie.

– Tak – mówię z trudem. – Oczywiście, że tak.

– A dokładniej?

– Nie wiem, o co ci chodzi – kłamię.

Warner stoi nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Jego spojrzenie nie zdradza żadnych myśli ani uczuć.

– Kochasz go?

Jestem wstrząśnięta.

Ileż musiało go kosztować zadanie mi wprost tego pytania. Omal nie wpadam w podziw dla jego odwagi.

Nagle przyłapuję się na tym, że nie wiem, co powiedzieć. Tydzień, dwa tygodnie temu odpowiedziałabym bez wahania. Nie miałam wątpliwości, że kocham Adama, i nie obawiałabym się do tego przyznać. A teraz zastanawiam się, czy w ogóle wiem, czym jest miłość, i czy to, co czułam do Adama, było miłością, czy może tylko mieszaniną głębokiej sympatii i pociągu fizycznego. Bo jeśli bym go kochała... Jeśli bym rzeczywiście naprawdę go kochała... Czy mogłabym się teraz wahać? Czy moglibyśmy się tak od siebie oddalić? Czy mogłabym spokojnie patrzeć na jego ból?

W ciągu ostatnich tygodni zamartwiałam się tym, jak sobie radzi: z treningami, z wiadomością o tym, że jego ojciec żyje... Ale nie wiem, czy to dlatego, że go kochałam, czy dlatego, że miałam wyrzuty sumienia. Wszystko dla mnie zostawił, chciał być ze mną. Lecz choć przyznanie się do tego tak bardzo boli, wiem, że nie uciekłam po to, żeby z nim być. To nie Adam był siłą napędową moich decyzji.

Uciekłam dla siebie. Bo chciałam być wolna.

– Julio...

Cichy szept Warnera sprowadza mnie na ziemię, przywracając mi świadomość z siłą elektrowstrząsu. Boję się drażnić właśnie odkryte prawdy.

Patrzę mu w oczy.

– Tak?

– Kochasz go? – pyta ponownie, tym razem ciszej.

A ja nagle muszę wypowiedzieć dwa słowa, o które nigdy bym siebie nie podejrzewała.

– Nie wiem.

Warner zamyka oczy.

Wypuszcza powietrze. Z jego ramion i rysów twarzy powoli opada napięcie, a kiedy znowu na mnie patrzy, w jego oczach odbijają się całe historie, myśli, uczucia i szepty o rzeczach, których nigdy nie widziałam. Wyznania, na które być może nigdy się nie zdobędzie, rzeczy tak niewiarygodne, że aż niemożliwe, głębia uczuć, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała. Całe jego ciało sprawia wrażenie, jakby rozluźniało się, przepelnione ulgą.

Nie poznaję chłopaka, którego mam przed sobą. To ktoś zupełnie mi nieznany, obca istota. Pomyśleć, że mogłabym nigdy go nie poznać, gdyby moi rodzice mnie nie wyrzucili.

– Julio – szepcze.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak jest blisko. Gdybym chciała, mogłabym wtulić twarz w jego szyję. Gdybym chciała, mogłabym położyć dłonie na jego piersi.

Gdybym chciała.

– Naprawdę bardzo bym chciała, żebyś ze mną wróciła – mówi.

– Nie mogę – odpowiadam, a moje serce nagle przyspiesza. – Muszę tu zostać.

– Ale to niepraktyczne – mówi. – Musimy coś zaplanować. Musimy omówić strategię... to może zająć parę dni...

– Mam już plan.

Jego brwi unoszą się wysoko, a ja przekrzywiam głowę, patrzę na niego znacząco i sięgam do drzwi.

Za drzwiami stoi Kenji.

– Co wy sobie do diabła myślicie? – pyta. – Jazda stąd, ale już.

Wychodzę, chcąc czym prędzej uporać się z tym, co się dzieje z moją głową za każdym razem, kiedy znajduję się za blisko Warnera. Potrzebuję powietrza. Potrzebuję nowego mózgu. Potrzebuję wyskoczyć oknem i złapać smoka, który zabrałby mnie stąd i zaniósł do jakiegoś odległego świata.

Usiłuję się uspokoić, ale kiedy podnoszę wzrok, dostrzegam wpatrującego się we mnie Adama. Mruga, jakby właśnie zobaczył coś, czego wolałby nie zobaczyć, a ja rumienię się tak gwałtownie, że z pewnością zaraz spalę się ze wstydu.

– Adamie – słyszę swój głos – nie... to nie jest...

– Nie chcę tego słuchać – mówi zduszonym głosem, kręcąc głową. – Nie mogę nawet na ciebie patrzeć...

– Proszę... – zaczynam. – My tylko rozmawialiśmy...

– Rozmawialiście? Sami? W pokoju mojego brata? – Rzuca trzymaną w rękach kurtkę na kanapę. Śmieje się jak obłąkany. Przeczesuje ręką włosy, patrzy na sufit, a potem znowu na mnie. – Co się u diabła dzieje, Julio? – pyta. Zaciska zęby. – Co się dzieje?

– Czy możemy porozmawiać na osobności...?

– Nie. – Nabiera powietrza. – Chcę o tym porozmawiać natychmiast. Nie obchodzi mnie, kto nas słucha.

Moje oczy w tym momencie kierują się na Warnera. Stoi oparty o ścianę tuż obok wejścia do sypialni Jamesa, z rękami luźno splecionymi na piersi. Obserwuje Adama w skupieniu, ze spokojnym zainteresowaniem.

Nagle się uspokaja, jakby czuł na sobie moje spojrzenie.

Patrzy na mnie, przygląda mi się dokładnie przez dwie sekundy i odwraca wzrok. Chyba się śmieje.

– Dlaczego wciąż na niego patrzysz? – pyta Adam. Jego oczy ciskają gromy. – Po co w ogóle miałabyś na niego patrzeć? Dlaczego tak cię interesuje jakiś obłąkany psychol...

Jestem taka zmęczona.

Jestem zmęczona tymi wszystkimi sekretami, całym tym uczuciowym chaosem, wyrzutami sumienia i dezorientacją, które przeżywam przez nich obu. Przede wszystkim jednak nie podoba mi się ten wzburzony Adam, którego mam przed sobą.

Próbuję z nim porozmawiać, a on wcale nie słucha. Próbuję go przekonywać, a on mnie atakuje. Próbuję być z nim szczerą, a on mi nie wierzy. Nie mam pojęcia, co robić.

– Co się właściwie dzieje między wami? – pyta wciąż Adam. – Co się n a p r a w d ę dzieje, Julio? Chcę, żebyś przestała mnie okłamywać...

– Adamie – przerywam mu. Jestem zaskoczona tym, jak spokojnie brzmi teraz mój głos. – Mamy mnóstwo spraw do omówienia. Ale to nie jest jedna z nich. Nie musimy dzielić się ze wszystkimi naszymi osobistymi problemami.

– Więc przyznajesz mi rację? – mówi jeszcze bardziej rozwścieczony. – Przyznajesz, że mamy problemy...

– Mamy problemy już od pewnego czasu – mówię rozdrażniona. – Nie mogę nawet z tobą poroz...

– Zgadza się: dokładnie od czasu, gdy przywlekliśmy tego dupka do Punktu Omega – mówi Adam. Rzuca mordercze spojrzenie Kenjiemu. – To był twój pomysł...

– Hej, tylko nie próbujcie mnie wciągać w swoje bzdury, dobrze? – buntuje się Kenji. – Nie róbcie ze mnie kozła ofiarnego.

– Wszystko było dobrze, dopóki nie zaczęła spędzać tyle czasu z tym... – zaczyna Adam.

– Spędzała z nim dokładnie tyle samo czasu, kiedy jeszcze byliśmy w bazie, bystrzaku...

– Przestańcie. Zrozumcie proszę: Warner jest tutaj, żeby nam pomóc. Chce obalić Komitet Odnowy i zabić naczelnego tak samo jak my, nie jest już naszym wrogiem...

– Zamierza nam pomóc? – pyta Adam, otwierając szeroko oczy w udawanym zdziwieniu.

– Och, masz na myśli coś takiego jak ostatnim razem w Punkcie Omega? Kiedy powiedział, że będzie walczył po naszej stronie, i zabrał dupę w troki? – Adam śmieje się głośno, z niedowierzaniem. – Nie mogę uwierzyć, że kupujesz te wszystkie jego głodne kawałki...

– To nie jest podstęp, Adamie, nie jestem idiotką...

– Na pewno?

– Słucham? – Nie mogę uwierzyć w to, że właśnie mnie obraził.

– Pytałem, czy aby na pewno nie jesteś idiotką – rzuca. – Bo zachowujesz się teraz tak idiotycznie, że nie wiem, czy mogę jeszcze polegać na twojej opinii.

– Co się z tobą dzieje...

– Co się dzieje z tobą? – krzyczy z wściekłością w oczach. – To zupełnie nie w twoim stylu. Nigdy nie zachowywałaś się w ten sposób. Jesteś zupełnie inną osobą...

– Ja?! – pytam, podnosząc głos. Tak bardzo się starałam nad sobą panować, ale mam wrażenie, że po prostu już dłużej nie wytrzymam. Mówi, że chce o tym rozmawiać przy wszystkich?

Proszę.

Będziemy o tym rozmawiali przy wszystkich.

– Zmieniłam się. – mówię. – I ty też. Bo Adam, którego znałam, był dobry, delikatny i nigdy by mnie nie obraził. Wiem, że ostatnio było ci ciężko, i starałam się to zrozumieć, uzbroić się w cierpliwość, dać ci trochę czasu... ale ostatnie tygodnie były trudne dla nas wszystkich. Nikomu nie jest lekko, lecz nie czepiamy się siebie nawzajem. Nie robimy sobie przykrości. A ty nie potrafisz nawet być miły dla Kenjiego. Kiedyś byliście przyjaciółmi, pamiętasz? A teraz nie wolno mu nawet zażartować, bo patrzysz na niego tak, jakbyś zaraz go miał rozszarpać.

– Będziesz broniła każdego w tym pokoju poza mną, tak? – mówi Adam. – Tak bardzo kochasz Kenjiego, że spędzasz z nim cały czas...

– Jest moim przyjacielem!

– A ja jestem twoim chłopakiem!

– Nie – prostuję. – Nie jesteś.

Adam drży. Zaciska pięści.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Zerwaliśmy z sobą. – Mój głos jest spokojny. – Zer-wa-liśmy miesiąc temu.

– Właśnie – mówi Adam. – Zerwaliśmy, bo mówiłaś, że mnie kochasz. Mówiłaś, że nie chcesz mnie zranić.

– Bo nie chcę. Nie chcę cię zranić. Nigdy nie chciałam.

– A jak ci się do diabła wydaje, co robisz teraz?! – krzyczy.

– Nie wiem, jak z tobą rozmawiać – mówię, kręcąc głową. – Nie rozumiem...

– Rzeczywiście, nic nie rozumiesz – rzuca. – Nie rozumiesz mnie, nie rozumiesz siebie, nie rozumiesz, że zachowujesz się jak pierwsza lepsza naiwna, która pozwoliła, żeby psychopata zrobił jej pranie mózgu.

Mam wrażenie, że czas stanął w miejscu.

Wszystkie moje niewypowiedziane słowa przybierają realną postać, spadają na podłogę

i próbują się podnieść. Akapit za akapitem, stają murem wokół mnie, zagradzając mi drogę. Wyrównują marginesy, dopasowują się do siebie, łączą się i splatają, nie zostawiając miejsca na ucieczkę. A wszystkie odstępy między wyrazami wracają do moich otwartych ust, przeciskają się przez gardło i wypełniają mi pierś taką pustką, że mogłabym wzbić się w powietrze.

Oddycham.

Z wielkim trudem.

Ktoś chrząka.

– Właśnie, przepraszam, że przerywam – mówi Warner, robiąc krok naprzód. – Ale muszę już iść. Julio, jesteś pewna, że chcesz tu zostać?

Zastygam.

– Wynoś się! – krzyczy Adam. – Wynoś się z mojego domu, ty zasrany dupku! I nie waz się tu wracać!

– Cóż – mówi Warner, przekrzywiając głowę. – Nieważne. Wygląda na to, że właściwie nie masz wyjścia. – Wyciąga rękę. – Idziemy?

– Ona nigdzie z tobą nie idzie. – Adam odwraca się do niego. – Nigdzie z tobą nie pójdzie ani nie będzie twoją współpracowniczką. A teraz spadaj.

– Dość tego. – Mój głos jest pełen niezamierzonej wściekłości, ale już za późno, żeby coś na to poradzić. – Nie potrzebuję twojego pozwolenia. Nie zamierzam tak żyć. Nie będę się już ukrywała. Nie musisz iść ze mną, nie musisz nawet rozumieć. Ale gdybyś mnie kochał, nie stawałbyś na mojej drodze.

Warner się uśmiecha.

Adam to dostrzega.

– Masz coś do dodania? – zwraca się do niego.

– Broń Boże – mówi Warner. – Julia nie potrzebuje mojej pomocy. A ty może jeszcze tego nie zauważyłeś, ale dla wszystkich jest jasne, że przegrałeś tę bitwę, Kent.

Adam traci panowanie nad sobą.

Rzuca się na Warnera, bierze zamach i wszystko dzieje się tak szybko, że dobiega mnie tylko własny zduszony okrzyk i głośny trzask.

Pięść Adama zatrzymuje się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Warnera. Złapana w jego dłoń.

Adam, oniemiały, aż drży od niewyładowanej energii. Warner pochyla się.

– Nie chcesz ze mną walczyć, idioto – szepcze bratu prosto w twarz i odpycha jego pięść z taką siłą, że Adam leci do tyłu. W ostatniej chwili odzyskuje równowagę, unikając upadku.

Prostuje się. Rzuca się naprzód. Z jeszcze większą wściekłością.

Kenji go przytrzymuje.

Adam krzyczy do niego, żeby go puścił, żeby przestał się mieszać, a Kenji, nie zważając na te protesty, ciągnie go przez pokój. Jakoś udaje mu się otworzyć drzwi wejściowe i razem z Adamem wydostają się na zewnątrz.

Drzwi zamykają się za nimi.

James. To moja pierwsza myśl.

Rozglądam się z nadzieją, że nic mu nie jest, i przekonuję się, że Lily przezornie zabrała go do jego pokoju.

Pozostali patrzą na mnie.

– Co to do diabła miało być? – Ian pierwszy przerywa ciszę.

On, Brendan i Winston wpatrują się we mnie z otwartymi ustami. Alia stoi z boku, obejmując się ramionami. Castle chyba wciąż jest pod prysznicem.

Wzdrygam się. Ktoś dotyka mojego ramienia.

Warner.

Nachyla się do mojego ucha.

– Robi się późno, skarbie, naprawdę muszę wracać do bazy – mówi cicho, tak że tylko ja go słyszę. Milknie. – Przepraszam, że się powtarzam, ale czy jesteś pewna, że chcesz tu zostać?

Patrzę mu w oczy. Kiwam głową.

– Muszę porozmawiać z Kenjim – mówię. – Nie wiem już, co myślą inni, ale nie chcę nic robić bez Kenjiego. To znaczy, mogę, jeśli będę musiała. Ale nie chcę – dodaję po chwili.

Warner kiwa głową, patrząc przed siebie, w jakiś punkt za moją głową.

– Jasne. – Marszczy nieznacznie czoło. – Mam nadzieję, że pewnego dnia powiesz mi, co cię w nim tak pociąga?

– W kim? W Kenjim?

Jeszcze jedno skinienie głową.

– Och – mówię, mrugając zdziwiona. – Jest moim najlepszym przyjacielem.

Warner patrzy na mnie. Unosi brew.

Wytrzymuję jego spojrzenie.

– Czy to jakiś problem?

Wpatruje się w swoje dłonie, kręci głową.

– Nie, oczywiście, że nie – mówi cicho. Odchrząkuje. – To co, przyjdę jutro. Trzynasta?

– Trzynasta...?

Warner się śmieje. Podnosi wzrok.

– Pierwsza po południu.

– Dobrze.

Patrzy mi w oczy. Uśmiecha się o jedną chwilę za długo, a potem odwraca się i wychodzi. Nie odzywając się ani słowem do nikogo.

Ian wpatruje się we mnie z otwartymi ustami. Znowu.

– Czuję się... No właśnie. Czuję się strasznie skołowany – mówi Brendan, mrugając. – Przed chwilą... Co to właściwie było? Czy on się do ciebie u ś m i e c h a ł? Tak naprawdę uśmiechał?

– Mnie to wyglądało co najmniej tak, jakby był w tobie zakochany – mówi Winston, marszcząc brwi. – Ale to pewnie tylko dlatego, że oberwałem po głowie, co?

Nie wiem, gdzie podziąć oczy.

Drzwi wejściowe otwierają się z hukiem.

Wchodzi Kenji.

Sam.

– Ty. – Celuje we mnie palcem, mrużąc oczy. – Rusz tyłek i chodź tu, ale już. Mamy do pogadania.

Niechętnie ruszam do drzwi. Kenji chwytając mnie za ramię i wyprowadza na zewnątrz. Wychodząc, odwraca się jeszcze i woła do pozostałych:

– Weźcie sobie coś do jedzenia!

Stoimy przed drzwiami do mieszkania Adama. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę, że są tu także schody prowadzące na górę. Coś tam jest.

– Chodź, księżniczko – mówi Kenji. – Za mną.

Wchodzimy.

Dwa, trzy piętra. Może cztery. Albo dwadzieścia pięć. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zanim docieramy na samą górę, dostaję zadyszki i wstyd mi z tego powodu.

Kiedy wreszcie udaje mi się wyrównać oddech, rozglądam się wkoło.

Niesamowicie.

Jesteśmy na dachu, na zewnątrz. Wszystko jest czarne, poza gwiazdami i księżycem, które ktoś powiesił na niebie. Czasem zastanawiam się, czy planety też tam jeszcze są, nadal na swoich orbitach, czy dają sobie jakoś radę pomimo upływu czasu. Może moglibyśmy się czegoś od nich nauczyć.

Wiatr tańczy wokół nas. Drzę, ale po chwili przyzwyczajam się do temperatury.

– Chodź tutaj – mówi Kenji. – Wskazuje mi krawędź dachu i sam też siada, zwieszając nogi nad pustką, która mogłaby być jego najszybszą drogą ku śmierci. – Nie bój się, nic ci się nie stanie. Często tu przesiaduję.

Kiedy już siedzę obok niego, ośmielam się spojrzeć w dół. Moje stopy zwisają ze szczytu świata.

Kenji obejmuje mnie i rozciera moje ramię, żeby mnie rozgrzać.

– Więc kiedy ten wielki dzień? Ustaliłaś już datę? – pyta.

– Co? – pytam zaskoczona. – Jaki dzień?

– Dzień, w którym przestaniesz być taką kretynką – mówi, patrząc na mnie z naganą.

– Och. – Wzdrygam się. Kopię powietrze. – Hmm, obawiam się, że to może nigdy nie nastąpić.

– Tak. Pewnie masz rację.

– Zamknij się.

– Wiesz... Nie wiem, gdzie jest Adam.

Sztywniej. Prostuję plecy.

– Nic mu się chyba nie stało?

– Nic mu nie będzie – mówi Kenji, wzdychając z rezygnacją. – Jest tylko nieprzeciętnie wkurzony. I zraniony. I zażenowany. Wiesz, cały ten emocjonalny bajzel.

Znowu spuszczam wzrok. Kenji otacza luźno ramieniem moją szyję. Przyciąga mnie bliżej do swojego boku. Opieram głowę na jego piersi.

Kolejne chwile, minuty i wspomnienia pojawiają się i przemykają pomiędzy nami.

– Naprawdę myślałem, że łączyło was coś trwałego – mówi wreszcie.

– Wiem – szepczę. – Ja też.

Kilka sekund zeskakuje z dachu.

– Jestem okropna – mówię bardzo cicho.

– Tak, cóż – wzdycha Kenji.

Wydam z siebie jęk. Ukrywam twarz w dłoniach.

Kenji znowu wzdycha.

– Nie martw się, Kent też zachował się jak dupek. – Bierze głęboki oddech. – Cholera, księżniczko. – Zerkna na mnie, po czym odwraca głowę, patrzy w noc. – Poważnie? W a r n e r? Podnoszę wzrok.

– Co: Warner?

Kenji unosi brew.

– Dobrze wiem, że nie jesteś głupia, więc nie zachowuj się tak, jakbyś była.

Przewracam oczami.

– Naprawdę nie chcę do tego wracać...

– Nie obchodzi mnie, że nie chcesz do tego wracać. Musimy do tego wrócić. Nie możesz zakochać się w kimś takim jak Warner, nie mówiąc mi dlaczego. Chcę się tylko upewnić, że nie wszczepił ci do mózgu jakiegoś czipa czy innego gówna.

Milczę prawie przez minutę.

– Nie zamierzam się w nim zakochiwać – mówię cicho.

– Jasne, że nie.

– Nie zamierzam – upieram się. – Ja tylko... nie wiem. – Wzdycham. – Sama nie wiem, jak to nazwać.

– Hormony. Tak to się nazywa.

Rzucam mu nienawistne spojrzenie.

– Mówię poważnie.

– Ja też. – Przekrzywia głowę. – Biologia i takie tam. Nauka. Może te twoje babskie sprawy są jakieś zmutowane?

– Moje babskie sprawy?

– Och, przepraszam. – Kenji udaje obrażonego. – Jeśli wolisz, mogę posługiwać się terminologią medyczną. Bo twoje babskie sprawy nie robią na mnie wrażenia...

– Nie, dzięki. – Siłę się na śmiech, ale moje smutne usiłowania giną w westchnieniu.

Boże, ale się porobiło.

– On po prostu jest... zupełnie inny. – Słyszę swój głos. – Warner. On nie jest taki, jak myślicie. Potrafi być czarujący. I dobry. A jego ojciec traktuje go strasznie. Nawet sobie nie wyobrazasz. – Milknę na myśl o bliznach, które widziałam na plecach Warnera, by po chwili mówić dalej, wpatrzona w ciemność. – A przede wszystkim... Sama nie wiem. On naprawdę... wierzy we mnie? – Zerkam na Kenjiego. – Czy to brzmi głupio?

Kenji rzuca mi pełne wątpliwości spojrzenie.

– Adam też w ciebie wierzy.

– Tak – mówię, patrząc w ciemność. – Chyba tak.

– Co znaczy: chyba tak? On uważa, że wynalazłaś powietrze.

Prawie się uśmiecham.

– Nie jestem pewna, która wersja mnie podoba się Ada-mowi. Nie jestem już tą samą osobą co kiedyś. Nie jestem już tamtą dziewczynką. A on chyba tego właśnie by chciał – mówię, zerkając na Kenjiego. – Myślę, że on wolałby, żebym była dziewczynką, która prawie nie mówi i przez większość czasu się boi. Dziewczynką, którą musi chronić i cały czas się nią opiekować. Nie wiem, czy podoba mu się to, kim jestem teraz. Może nie umie sobie z tym poradzić.

– Więc w chwili, gdy otworzyłaś usta, czar prysł, co?

– Zepchnę cię z tego dachu.

– Tak, osobiście rozumiem, dlaczego nie podobasz się już Adamowi.

Przewracam oczami.

Kenji się śmieje. Kładzie się na dachu i ciągnie mnie za sobą. Mamy teraz beton pod głowami, a wszędzie dokoła niebo. Wygląda to tak, jakbyśmy wpadli do kałamarmu.

– Wiesz, to właściwie trzyma się kupy – mówi wreszcie Kenji.
– Co?
– No nie wiem, chodzi mi o to, że... siedziałaś w zamknięciu właściwie od zawsze, tak?
Nie żebyś przez całe życie macała się z facetami.
– C o?
– No... Adam był pierwszym facetem, który był dla ciebie... miły. Cholera, on pewnie był w ogóle pierwszym człowiekiem na świecie, który był dla ciebie miły. I może cię dotknąć. Z wyglądu też nie jest, no wiesz, taki znowu ohydny. – Cisza. – Nie winię cię, szczerze mówiąc. Trudno jest być samotnym. Wszyscy bywamy czasem zdesperowani.
– Taaak – mówię powoli.
– Chcę tylko powiedzieć, że to w sumie nic dziwnego, że się w nim zakochałaś. Jakby z braku laku. Bo jeśli nie on, to kto? Nie było innej możliwości.
– Och – mówię cicho. – Jasne. Z braku laku. – Próbuję się roześmiać, ale się poddaję, przełykając głośno uczucia, które uwięzły mi w gardle. – Czasem nie jestem pewna, czy jeszcze wiem, co jest prawdziwe.
– W jakim sensie?
Kręcę głową.
– Nie wiem – szepczę, głównie do siebie.
Ciężka cisza.
– Naprawdę go kochałaś...?
Zastanawiam się chwilę, zanim zaczynam mówić.
– Chyba tak. Nie wiem. – Wzdycham. – Czy można kogoś kochać, a potem przestać go kochać? Co to w ogóle jest miłość?
Kenji wypuszcza powietrze. Przesuwa dłonią po włosach.
– Cóż, cholera – mamrocze.
– Byłeś kiedyś zakochany? – pytam, przewracając się na bok, żeby na niego spojrzeć. Wpatruje się w niebo. Mruga kilka razy.
– Nie.
Odwracam się z powrotem rozczarowana.
– Och.
– To takie przygnębiające – mówi Kenji.
– Taaak.
– Do dupy.
– Tak.
– No więc jeszcze raz: powiesz mi, dlaczego tak bardzo lubisz Warnera? Widziałaś go bez ubrania, czy coś?
– Co?! – wykrzykuję, szczęśliwa, że w ciemności przynajmniej nie widać mojego rumieńca. – Nie – mówię szybko. – Nie, on...
– Do diabła, księżniczko. – Kenji śmieje się głośno. – Nie miałem pojęcia. Daję mu kuksańca w ramię.
– Hej, delikatnie proszę! – protestuje, rozcierając bolące miejsce. – Jestem od ciebie słabszy!
– Wiesz, trochę już to kontroluję – mówię z uśmiechem, wpatrzona w niebo. – Mogę ograniczać swoją siłę.
– Jestem z ciebie dumny. Kupię ci balonik, jak tylko świat przestanie srać sam na siebie.
– Dziękuję – mówię zadowolona. – Jesteś dobrym nauczycielem.
– Jestem dobry we wszystkim – podkreśla.

– I skromny – dodaję.

– I naprawdę przystojny.

Powstrzymuję parsknięcie.

– Ciągle nie odpowiedziałas na moje pytanie – mówi Kenji. Zmienia pozycję, wkłada ręce pod głowę. – Dlaczego tak bardzo lubisz tego waśniaka?

Biorę głęboki oddech. Skupiam wzrok na najjaśniejszej gwiazdzie na niebie.

– Lubię to, jak się czuję, kiedy jestem z nim – mówię cicho. – Warner uważa, że jestem silna, mądra i zdolna, i naprawdę liczy się z moim zdaniem. Sprawia, że nie czuję się gorsza. Jakbym mogła osiągnąć to samo co on, a nawet więcej. A kiedy robię coś niewiarygodnego, on nawet nie jest zdziwiony. S p o d z i e w a s i ę tego po mnie. Nie traktuje mnie, jakbym była jakąś delikatną małą dziewczynką, którą trzeba cały czas chronić.

Kenji prychnął.

– To dlatego, że nie jesteś delikatna – mówi. – Jeśli już ktoś potrzebuje ochrony, to inni. Przed tobą. Jesteś jak jakaś zmutowana bestia – mówi. I zaraz poprawia: – To znaczy, rozumiesz... urocza bestia. Mała bestyjka, która sieje zniszczenie, robi dziury w ziemi i wysysa życie z ludzi.

– Przyjemniaczek.

– Możesz na mnie liczyć.

– Właśnie widzę.

– Więc to wszystko? – pyta Kenji. – Podoba ci się jego osobowość, co?

– Co?

– I cały ten bajzel – mówi Kenji, machając ręką w powietrzu – nie ma nic wspólnego z tym, że jest sexy i w ogóle, i w dodatku jeszcze może cię dotknąć?

– Uważasz, że Warner jest sexy?

– T e g o nie powiedziałem.

Śmieję się.

– Podoba mi się jego twarz.

– A dotyk?

– Jaki dotyk?

Kenji patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, unosząc brwi.

– Czy ja wyglądam jak Adam? Nie nabierzesz mnie na swoją niewinną minę. Mówisz mi, że ten gość może cię d o t k n ą ć i że się tobą interesuje, a ty wyraźnie interesujesz się nim i spędziłaś ostatnią noc w jego łóżku, a potem nakrywam was razem w cholernej szafie, nie, zaraz, nie w szafie: w dziecięcym pokoju, i mówisz mi, że nie było żadnego dotykania? – Wpatruje się we mnie. – Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

– No, nie – szepczę. Twarz mi płonie.

– Posłuchaj, martwię się, że tak szybko dorastasz. Jesteś podekscytowana, bo po raz pierwszy możesz dotknąć gówna, a ja po prostu chcę się upewnić, że przestrzegasz zasad higieny...

– Przestań, jesteś obrzydliwy.

– Hej, ja naprawdę się o ciebie mart...

– Kenji.

– No.

Biorę głęboki oddech. Próbuję liczyć gwiazdy.

– Co mam zrobić?

– Z czym?

Zastanawiam się.

– Ze wszystkim.

Kenji wydaje dziwny dźwięk.

– A skąd mam cholera wiedzieć.

– Nie chcę tego robić bez ciebie – szepczę.

Przeciąga się.

– A kto powiedział, że masz coś robić beze mnie?

Moje serce na chwilę zamiera. Wpatruję się w niego.

– Co? – pyta. Unosi brwi. – Zdziwiona?

– Pomożesz mi? – pytam, wstrzymując oddech. – Będziesz walczył razem ze mną?

Nawet jeśli Warner nam będzie po-magał?

Kenji się uśmiecha. Patrzy w niebo.

– No jasne – mówi.

– Naprawdę?

– Możesz na mnie liczyć, mała. Od czego są przyjaciele?

Kiedy wracamy do domu, Castle stoi w odległym rogu pokoju i rozmawia z Winstonem.

Kenji zastyga z drzwiami.

Zapomniałam, że nie miał jeszcze okazji zobaczyć Castle'a. Patrząc na niego, czuję prawdziwy ból. Co ze mnie za przyjaciółka. Zamęczam go swoimi problemami, nie pytając nawet, jak się czuje. Musi mu być niełatwo.

Kenji idzie, oszołomiony, przez pokój. Zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy staje obok Castle'a. Kładzie mu dłoń na ramieniu. Castle się odwraca. Wszyscy milkną, patrząc na nich.

Castle się uśmiecha. Kiwa głową, tylko raz.

Kenji przyciąga go do siebie w serdecznym uścisku i puszcza po kilku sekundach. Obaj poważnie, w milczeniu wpatrują się w siebie. Castle opiera dłoń na ramieniu Kenjiego.

Kenji się śmieje.

A potem odwraca się i uśmiecha do mnie. Nagle jestem taka szczęśliwa, czuję taką ulgę, ekscytację i radość, że Kenji zaśnie dzisiaj z lżejszym sercem. Zaraz wybuchnę ze szczęścia.

Drzwi otwierają się z hukiem.

Odwracam się.

Wchodzi Adam.

Wracam na ziemię.

Adam nawet na mnie nie patrzy.

– James – mówi, idąc przez pokój. – Chodź, stary. Pora spać.

James kiwa głową i pędzi do swojego pokoju. Adam idzie za nim. Drzwi się za nimi zamykają.

– Wrócił – mówi Castle. Wygląda, jakby odetchnął z ulgą.

Przez sekundę nikt się nie odzywa.

– W porządku, też powinniśmy się położyć – mówi Kenji, rozglądając się. Bierze z kąta stos koców. Podaje je dalej.

– Czy wszyscy śpią na podłodze? – pytam.

Kenji kiwa głową.

– Tak – mówi. – Warner dobrze to ujął. Mamy prawdziwą pizamową imprezę.

Próbuję się roześmiać.

Nie mogę.

Wszyscy przygotowują sobie posłania na podłodze. Winston, Brendan i Ian zajmują jedną stronę pokoju, Alia i Lily drugą. Castle śpi na kanapie.

Kenji wskazuje na środek.

– Ty i ja tam.

– Romantycznie.

– Chciałabyś.

– Gdzie śpi Adam? – pytam, zniżając głos.

Kenji nieruchomieje w trakcie rzucania koca na podłogę. Podnosi wzrok.

– Kent tam zostaje – mówi. – Śpi z Jamesem. Biedny dzieciak dalej ma okropne koszmary.

– Och – mówię, zaskoczona i zawstydzona, że tego nie pamiętałam. – Jasne. –

Oczywiście, że tak. Kenji dobrze o tym wie. W Punkcie Omega wszyscy trzej mieszkali w jednym pokoju.

Winston uderza przełącznik. Gasną światła. Słychać szelest koców.

– Niech no tylko usłyszę, że gadacie – mówi Winston. – Osobiście wyślę Brendana, żeby wam skopał tyłki.

– Nie zamierzam nikomu skopać tyłka.

– Kopnij się w tyłek, Brendan.

– Dlaczego my właściwie jesteśmy przyjaciółmi?

– Proszę was, bądźcie cicho – woła Lily ze swojego kąta.

– Słyszeliście, dama chce spać – mówi Winston. – Zamknąć się.

– To ty cały czas mielesz jęzorem, kretynie – mówi Ian.

– Brendan, skop mu tyłek, proszę.

– Zamknij się, stary, nie skopię nikomu...

– D o b r a n o c – mówi Castle.

Wszyscy wstrzymują oddech.

– Dobranoc panu – szepcze Kenji.

Przewracam się na bok, w stronę Kenjiego. Uśmiecha się do mnie w ciemności.

Uśmiecham się do niego.

– Dobranoc – bezgłośnie poruszam ustami.

Mruga do mnie.

Powieki mi opadają.

Adam mnie ignoruje.

Nie powiedział słowa na temat tego, co stało się wczoraj. Nie okazuje złości ani zdenerwowania. Rozmawia ze wszystkimi, żartuje z Jamesem, pomaga przy śniadaniu. I zachowuje się, jakbym nie istniała.

Powiedziałam mu rano dzień dobry, a on udął, że nie słyszy. Może naprawdę nie słyszał. Może udało mu się tak ustawić mózg, żeby mnie już nie widzieć i nie słyszeć.

Czuję się, jakby ktoś zadał mi cios pięścią w serce.

Albo kilka.

– Więc co właściwie tutaj robicie? – pytam, rozpaczliwie próbując nawiązać rozmowę. Wszyscy siedzimy na podłodze i jemy musli z miseczek. Wstaliśmy późno, późno jemy śniadanie. Nikomu nie chciało się jeszcze poskładać koców, chociaż Warner ma tu być za około godzinę.

– Nic – mówi Ian.

– Przede wszystkim próbujemy nie zginąć – dodaje Winston.

– To cholernie nudne – narzeka Lily.

– Dlaczego pytasz? – dziwi się Kenji. – Interesuje cię coś konkretnego?

– Och – mówię. – Nie, ja tylko... – Milknę. – Cóż, Warner będzie tu za godzinę, więc nie byłam pewna czy...

W kuchni coś spada. Miska. Do zlewu. Wszyscy zawzięcie wiosłują.

Adam wchodzi do pokoju.

W oczach ma żądzę mordy.

– Nie ma mowy. – To pierwsze słowa, jakie dziś do mnie skierował.

– Ale już mu powiedziałam – tłumaczę. – Ma tu...

– To jest m ó j dom – mówi z błyskiem w oczach. – I jego noga tu nie postanie.

Wpatruję się w Adama. Serce próbuje wyskoczyć mi z piersi. Nigdy nie sądziłam, że może patrzeć na mnie z nienawiścią. Prawdziwą, szczerą nienawiścią.

– Kent, człowieku... – dobiega mnie głos Kenjiego.

– Nie.

– Daj spokój, stary, po co to wszystko...

– Skoro tak bardzo chcesz się z nim spotkać – mówi do mnie Adam – to proszę bardzo.

Ale nie w moim domu. Nie pozwalam na to.

Mrugam.

To się nie dzieje naprawdę.

– A dokąd miałyby iść? – pyta Kenji. – Ma stać na ulicy? Żeby ktoś na nią doniósł i żeby ją zabili? Odbiło ci?

– Mam to gdzieś! – krzyczy Adam. – Niech idzie, gdzie jej się podoba. – Znowu odwraca się do mnie. – Chcesz z nim być? – Pokazuje na drzwi. – Idź. Daj się zabić.

Lód skuwa moje ciało.

Zrywam się z podłogi. Nogi się pode mną uginają. Kiwam głową. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę przestać. Idę do drzwi.

– Julio...

Odwracam się, choć to Kenji mnie woła, nie Adam.

– Nie idź – mówi do mnie. – Nie ruszaj się stąd. Przecież to śmieszne.

Wszystko wymknęło się spod kontroli. To już nie jest kłótnia. W oczach Adama jest

czysta nienawiść. Nie mogę się otrząsnąć, to spadło na mnie bez ostrzeżenia, nie wiem, jak zareagować. Nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że sprawy przybiorą taki obrót.

Prawdziwy Adam nie wyrzuciłby mnie ze swojego domu. Nie rozmawiałby ze mną w ten sposób. Nie ten Adam, którego znam. Może tylko wydawało mi się, że go znam.

– Kent – odzywa się znowu Kenji. – Musisz się uspokoić. Między nimi nic nie ma, jasne? Ona po prostu chce robić to, co uważa za słuszne...

– Bzdura! – wybucha Adam. – To bzdura, dobrze o tym wiesz, jesteś osłem, skoro temu zaprzeczasz. Cały ten cholerny czas mnie okłamywała...

– Przecież wy nawet nie jesteście razem, człowieku, nie masz prawa...

– Nigdy z sobą nie zerwaliśmy! – woła Adam.

– Czyżby? – rzuca Kenji. – W całym Punkcie było słyhać wasz melodramat. Wszyscy wiedzą, że zerwaliście. Daj sobie spokój.

– To się nie liczy jako zerwanie – mówi Adam ochryplym głosem. – Wciąż się kochaliśmy...

– No dobrze, wiesz co? Nieważne. Nie obchodzi mnie to. – Kenji macha rękami, przewraca oczami. – Ale jest wojna. Julia kilka dni temu o mało nie zginęła, do ciężkiej cholery! Nie wydaje ci się, że może naprawdę próbuje myśleć o czymś więcej niż tylko o waszych problemach uczuciowych? Warner jest stuknięty, ale może nam pomóc...

– Ona patrzy na tego psychola, jakby była w nim z a k o c h a n a – warczy Adam. – Myślisz, że nie znam tego spojrzenia? Myślisz, że mógłbym się nie zorientować? Kiedyś patrzyła tak n a m n i e. Znam ją... Znam ją tak dobrze...

– Może wcale nie znasz.

– Przestań jej bronić!

– Nawet nie wiesz, co mówisz – rzuca Kenji. – Zachowu-jesz się jak szaleniec...

– Byłem szczęśliwszy – mówi Adam – kiedy myślałem, że nie żyje.

– Wcale tak nie myślisz. Nie mów takich rzeczy, człowieku. Kiedy już raz powiesz takie gówno, nie da się tego cofnąć...

– Och, właśnie że tak myślę – mówi Adam. – Naprawdę tak myślę. – Patrzy na mnie. Zaciska pięści, w oczach ma gniew, ból i zawód. – Gdy sądziłem, że nie żyjesz – zwraca się do mnie – było mi o wiele lżej. To znacznie mniej bolało.

Ściany się poruszają. Przed oczami wirują mi ciemne plamki, mrugam w nicość.

To się nie dzieje naprawdę, powtarzam sobie.

To tylko koszmarny sen, zaraz się obudzę, a Adam znowu będzie delikatny, dobry i czuły. Bo on przecież nie jest taki okrutny. Nie dla mnie. Na pewno nie dla mnie.

– Ty. Właśnie ty – mówi z obrzydzeniem. – Ufałem ci... Mówiłem ci rzeczy, których nigdy nie powinienem był ci mówić... a ty rzucasz mi to wszystko w twarz. Nie wierzę, że mi to robisz. Jak mogłaś zakochać się akurat w nim? Co się z tobą do diabła dzieje?! – Jego głos staje się piskliwy. – Aż tak pomieszało ci się w głowie?

Boję się odezwać.

Tak bardzo boję się poruszyć ustami.

Jestem tak przerażona, że gdybym poruszyła się o centymetr, moje ciało z pewnością by pękło i wszyscy zobaczyliby, że w środku mam tylko lzy, które teraz przełykam.

Adam kręci głową. Śmieje się smutno, gorzko.

– Nawet nie próbujesz zaprzeczać – mówi. – Niewiarygodne.

– Zostaw ją w spokoju, Kent – włącza się Kenji ze śmiertelną powagą. – Nie żartuję.

– Nie wtrącaj się.

– Zachowujesz się jak skończony dupek...

– Myślisz, że obchodzi mnie twoje zdanie? – mówi do niego Adam. – To nie twoja sprawa, Kenji. Nawet jeśli jest zbyt wielkim tchórzem, żeby cokolwiek powiedzieć, to nie znaczy, że musisz jej bronić...

Czuję się, jakbym opuściła swoje ciało, pozwalając mu osunąć się na podłogę. Patrzę na nie. Widzę, jak Adam z każdym kolejnym słowem przeistacza się w nieznaną istotę. Po każdej rzuconej przez niego zniewadze coś we mnie pęka. Niedługo zostanie ze mnie tylko krew i bijące serce.

– Wychodzę – mówi Adam. – Wychodzę, a kiedy wrócę, ma jej tu nie być.

Nie płacz, powtarzam sobie.

Nie płacz.

To się nie dzieje naprawdę.

– Koniec z nami – mówi Adam ochrypłym z wściekłości głosem. – Koniec. Nie chcę cię więcej widzieć. Nigdzie, a już z całą pewnością nie we własnym domu. – Wpatruje się we mnie, pierś mu faluje. – Więc wynoś się do cholery! I żeby cię tu nie było, kiedy wrócę.

Wielkimi krokami rusza do wyjścia. Chwyta płaszcz. Otwiera na oścież drzwi.

Wychodzi, trzaskając nimi, aż ściany drżą.

Stoję pośrodku pokoju wpatrzona w pustkę.

Nagle czuję przenikliwe zimno. Chyba drżą mi ręce. A może to całe moje ciało. Może to moje kości drżą. Poruszam się mechanicznie, powoli, w głowie mi się kręci. Zdaje się, że ktoś do mnie mówi, ale jestem zbyt zajęta szukaniem płaszcza, żeby coś słyszeć. Tu jest zimno. Tak zimno. Naprawdę potrzebuję okrycia. I rękawiczek. Nie mogę przestać się trząść.

Wkładam płaszcz. Wkładam ręce do kieszeni. Możliwe, że ktoś coś do mnie mówi, ale nic nie słyszę przez tę dziwną watę, która przytępia moje zmysły. Zaciskam pięści, palce natrafiają na kawałek plastiku.

Pager. Prawie zapomniałam.

Wyjmuję go z kieszeni. Małeńki czarny prostokąt z przyciskiem biegnącym przez całą długość. Wciskam go bez zastanowienia. Wciskam, wciskam, wciskam, bo ta czynność mnie uspokaja. Działa tak kojąco. Klik, klik. Podoba mi się ten powtarzalny ruch. Klik, klik, klik. Nie wiem, co innego mi pozostało.

Klik.

Czuję na ramionach czyjeś dłonie.

Odwracam się. Za mną stoi Castle, w jego oczach maluje się troska.

– Nie wychodź – mówi do mnie. – Coś wymyślimy. Wszystko będzie dobrze.

– Nie. – Mój język zamienia się w pył. Zęby zaczynają się kruszyć. – Muszę iść.

Nie mogę oderwać palca od przycisku pagera.

Klik.

Klikklik.

– Chodź, usiądź – mówi do mnie Castle. – Adam jest zdenerwowany, ale mu przejdzie.

Jestem pewien, że wcale tak nie myśli.

– A ja w gruncie rzeczy jestem pewien, że myśli – mówi Ian.

Castle karci go wzrokiem.

– Nie możesz nas tak zostawić – mówi Winston. – Mieliliśmy skopać komuś tyłek.

Obiecałaś.

– Właśnie – mówi piskliwie Lily, starając się, żeby to brzmiało optymistycznie. Ale jej spojrzenie jest lękliwe, pełne napięcia. Widać w nim strach albo troskę i zdaje sobie sprawę, że boi się o mnie.

N i e m n i e.

O mnie.

To przedziwne uczucie.

Klik klik klik.

Klikklik.

– Jeśli odejdziesz, zostaniemy tu już na zawsze – mówi, próbując się uśmiechnąć. – A ja nie chcę do końca życia wachać śmierdzących skarpet tych gości.

Klik.

Klikklik.

– Nie idź – mówi James. Wydaje się taki smutny. Taki poważny. – Przykro mi, że Adam był taki wredny. Ale ja nie chcę, żebyś umarła – mówi. – Wcale bym nie chciał, żebyś nie żyła. Przysięgam, że nie.

James. Słodki James. Jego spojrzenie łamie mi serce.

– Nie mogę zostać. – Mój własny głos wydaje mi się obcy. Złamany. – On mówił

poważnie.

– Bez ciebie nie mamy szans – przerywa mi Brendan. – A ja też nie chcę dłużej żyć w taki sposób.

– Ale jak...

Drzwi wejściowe otwierają się z hukiem.

– JULIO... Julio...

Odwracam się.

W drzwiach stoi Warner. Jest czerwony na twarzy, dyszy ciężko, patrząc na mnie, jakbym była duchem. Zanim udaje mi się wypowiedzieć słowo, wpada do środka i otacza dłońmi moją twarz. Wpatruje się we mnie.

– Nic ci nie jest? – mówi. – Boże... nic ci nie jest? Co się stało? Nic ci się nie stało?

J e s t t u t a j.

Jest tutaj, a ja chciałabym rozpaść się na kawałeczki, ale nie robię tego.

Nie zrobię tego.

– Dziękuję – udaje mi się powiedzieć. – Dziękuję, że przyszedłeś...

Porywa mnie w ramiona, nie zważając na siedem par utkwionych w nas oczu. Jedną ręką obejmuje mnie w pasie, drugą przyciska do siebie moją głowę. Wtulam twarz w jego pierś, czuję znajome ciepło jego ciała. Zaskakująco krzepiące. Głaszcze mnie po plecach, pochyla głowę nad moją twarzą.

– Co się dzieje, skarbie? – szepcze. – Co się stało? Po-wiedz mi...

Mrugam.

– Jeśli chcesz, zabiorę cię stąd.

Nie odpowiadam.

Nie wiem już, czego chcę, a czego nie chcę. Wszyscy mówią mi, żebym została, lecz to nie jest ich dom. To jest dom Adama, a on mnie teraz nienawidzi. Ale nie chcę opuszczać przyjaciół. Nie chcę opuszczać Kenjiego.

– Mam odejść? – pyta Warner.

– Nie – odpowiadam natychmiast. – Nie.

Warner odsuwa się odrobinę.

– Powiedz mi, co mam zrobić – mówi z rozpaczą w głosie. – Powiedz mi, co mam robić – mówi – a zrobię to.

– To jest, jak na razie, najbardziej odjechany numer, jaki w życiu widziałem – mówi Kenji. – Nigdy bym w to nie uwierzył. Za diabła.

– Prawdziwa opera mydlana – przytakuje Ian. – Tylko z gorszymi aktorami.

– A ja tam uważam, że to nawet urocze – mówi Winston.

Odsuwam się gwałtownie i oglądam za siebie. Wszyscy na nas patrzą. Tylko Winston się uśmiecha.

– Co się dzieje? – pyta Warner. – Dlaczego ona jest bliska płaczu?

Nikt nie odpowiada.

– Gdzie jest Kent? – pyta Warner, wpatrując się w ich twarze spod zmrużonych powiek. – Co on jej zrobił?

– Wszedł – mówi Lily. – Wszedł przed chwilą.

Oczy Warnera ciemnieją, gdy przyswaja te informacje.

– Proszę, powiedz, że nie chcesz tu zostać – zwraca się do mnie.

Chowam twarz w dłoniach.

– Wszyscy chcą pomóc... walczyć... tylko nie Adam. Ale oni nie mają dokąd pójść. A ja nie chcę ich zostawić.

Warner wzdycha. Zamyka oczy.

– Więc zostań – mówi łagodnie. – Jeśli tego chcesz. Zostań tu. Przyjdę, kiedy tylko będziesz mnie potrzebowała.

– Nie mogę – mówię. – Mam stąd iść. Nie wolno mi tu wracać.

– Co? – Gniew. Błyska i gaśnie w jego oczach. – Co znaczy: n i e w o l n o?

– Adam nie chce, żebym tu została. Muszę się stąd wynieść, zanim wróci.

Warner zaciska zęby. Wpatruje się we mnie. Mam wrażenie, że to trwa całą wieczność. Mam wrażenie, że w i d z ę jego myśli, jego umysł pracuje z niewiarygodną prędkością, szukając rozwiązania.

– Dobrze – mówi w końcu. – Dobrze. – Wypuszcza powietrze. – Kishimoto – rzuca nagle, nie przestając patrzeć mi w oczy.

– Tak jest.

Warner zwraca się do Kenjiego, usiłując nie przewracać oczami.

– Umieszczę waszą grupę w moich prywatnych kwaterach szkoleniowych w bazie.

Potrzebuję jednego dnia na dopracowanie szczegółów, ale umożliwię wam przedostanie się na teren budynku, kiedy tam dotrzecie. Ty dopilnujesz, żeby wszyscy byli niewidzialni i wykonywali moje rozkazy. Możecie zostać w moich kwaterach, dopóki nie będziemy gotowi do realizacji pierwszego etapu naszego planu. – Cisza. – Zgadzasz się na takie warunki?

Na twarzy Kenjiego maluje się szczerą odrazą.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego nie?

– Zamierzasz nas zamknąć w swoich „prywatnych kwaterach szkoleniowych”? – pyta Kenji, robiąc palcami znak cudzysłowu. – Lepiej powiedz po prostu, że chcesz nas zapuzzkować, a potem zabić. Masz mnie za kretyna? Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– Dopilnuję, żebyście otrzymywali odpowiednie i regularne posiłki – mówi Warner w odpowiedzi. – Zakwaterowanie będzie proste, ale nie gorsze niż tutaj. – Wskazuje na pokój. – To nam umożliwi spotkanie się o dowolnej porze i planowanie dalszych ruchów. Pozostając na terytoriach nieuregulowanych, narażasz wszystkich na niebezpieczeństwo. Ty i twoi przyjaciele będziecie bezpieczniejsi ze mną.

– Dlaczego miałbyś to zrobić? – pyta Ian. – Dlaczego miałbyś nam pomagać, karmić nas i utrzymywać przy życiu? To bez sensu...

– To nie musi mieć sensu.

– Jak to nie musi? – protestuje Lily. Jej spojrzenie jest twarde, rozgniewane. – Mamy przyjść prosto do twojej bazy, żeby dać się zabić? Skąd mamy wiedzieć, że to nie jest pułapka?

– Świetnie – mówi Warner.

– Co: świetnie? – pyta Lily.

– Zostańcie.

– Och – mruga Lily.

Warner zwraca się do Kenjiego.

– Czy mam rozumieć, że odrzucasz moją propozycję?

– Tak, dzięki, nie skorzystam – mówi Kenji.

Warner kiwa głową. Patrzy na mnie.

– Idziemy?

– Ale... nie... – Wpadam w panikę, patrzę na Warnera, na Kenjiego i znowu na Warnera. – Nie mogę tak po prostu odejść... nie mogę ich tu zostawić...

Odwracam się do Kenjiego.

– Chcecie tu zostać? – pytam. – Mam was już nie zobaczyć?

– Możesz zostać z nami. – Kenji splata ramiona na piersi. – Nie musisz nigdzie iść.
– Wiesz, że nie mogę tu zostać – mówię wściekła i zraniona. – Wiesz, że Adam mówił poważnie... Wścieknij się, jeżeli po powrocie mnie tu zastanie...
– Więc wolisz odejść? – pyta ostro Kenji. – Zamierzasz nas wszystkich zostawić – wskazuje ręką na pozostałych – tylko dlatego, że Adam postanowił być aroganckim dupkiem? Zamieniasz nas wszystkich na Warnera?
– Kenji... Ja nie... nie mam dokąd iść! Co mam...
– Z o s t a ć.
– Adam mnie wyrzuci...
– Nie wyrzuci – mówi Kenji. – Nie pozwolimy mu.
– Nie zamierzam mu się narzucać. Nie mam zamiaru go błagać. Zachowam przynajmniej jakąś resztkę godności...
Kenji wyrzuca ręce do góry.
– To bzdury! – woła bezsilnie.
– Chodźcie ze mną – mówię. – Proszę... Powinniśmy trzymać się razem...
– Nie możemy – mówi. – Nie możemy tak ryzykować, Dzej. Nie wiem, co jest między wami – mówi, wskazując na mnie i Warnera. – Może przy tobie on naprawdę jest inny, nie wiem, nieważne... ale ja nie mogę narażać nas wszystkich, licząc na to, że on nas nie ukatrupi. Może i zależy mu na t o b i e, ale nas ma w dupie. – Patrzy na Warnera. – Prawda?
– Co: prawda? – pyta Warner.
– Obchodzi cię ktokolwiek z nas? To, czy przeżyjemy, nasze dobro?
– Nie.
Kenji omal nie parska śmiechem.
– Rozbrajająca szczerłość.
– W każdym razie moja propozycja jest aktualna. A wy będziecie idiotami, jeśli ją odrzucicie – mówi Warner. – Wszyscy tu zginiecie, wiecie o tym lepiej ode mnie.
– Zaryzykujemy.
– Nie – wykrzykuję. – Kenji...
– Damy sobie radę – mówi ponuro, ze zmarszczonym czołem. – Znajdziemy sposób, żeby pewnego dnia się spotkać. Rób to, co musisz zrobić.
– Nie – protestuję. Nie mogę wydobyć głosu. Moje płuca wypełniają się powietrzem, serce wali tak mocno, że w uszach rozlega się łoskot. Jest mi gorąco, zimno, goręcej, zimniej, myślę tylko: n i e. To nie tak miało być, to wszystko nie miało się rozpaść, nie tym razem, nie po raz kolejny...
Warner chwyta mnie za ramiona.
– Proszę – mówi nagłym, spanikowanym głosem. – Pro-szę, nie rób tego, skarbie, nie wolno ci tego...
– Do diabła, Kenji! – wybucham, uwalniając się od Warnera. – Na miłość boską, nie bądź idiotą! Musicie iść ze mną... Potrzebuję cię...
– A ja potrzebuję gwarancji, Dzej?! – Kenji zaczyna chodzić po pokoju, podnosi ręce. – Nie mogę po prostu założyć, że wszystko będzie dobrze...
Odwracam się do Warnera. Zaciskam pięści.
– Daj im to, czego chcą. Nieważne, co to będzie – mówię, dysząc ciężko. – Negocjujcie. Musisz sprawić, żeby to się udało. Potrzebuję go. Potrzebuję moich przyjaciół.
Warner patrzy na mnie przez dłuższą chwilę.
– Proszę – szepczę.
Odwraca wzrok. Znowu na mnie patrzy.

Wreszcie odwraca się do Kenjiego. Wzdycha.

– Czego chcecie? – pyta.

– Ja chcę wziąć gorący prysznic – słyszę głos Winstona.

A potem jego chichot.

Prawdziwy chichot.

– Dwaj moi ludzie są ranni – mówi Kenji, natychmiast zmieniając ton. Wyrzuca z siebie krótkie, urywane słowa. Pozbawione emocji. – Potrzebują leków i opieki medycznej. Nie chcemy być obserwowani, nie chcemy godziny policyjnej i chcemy jeść coś poza jedzeniem z automatu. Potrzebujemy białka. Owoców. Warzyw. Prawdziwych posiłków. Chcemy regularnego dostępu do pryszniców. Nowych ubrań. Chce-my przez cały czas być uzbrojeni.

Warner stoi obok mnie nieruchomo. Nawet nie słyszę jego oddechu. W głowie mi pulsuje, serce wali w piersi, ale jest mi już trochę łatwiej oddychać.

Warner zerka na mnie.

Wytrzymuje moje spojrzenie przez chwilę, a potem zamyka oczy. Gwałtownie wypuszcza powietrze. Podnosi wzrok.

– W porządku – mówi.

Kenji wpatruje się w niego.

– Że... co?!

– Wróć tu jutro o czternastej, żeby zaprowadzić was do nowych kwater.

– Jasny gwint – Winston podskakuje na kanapie. – Jasny gwint jasny gwint jasny gwint.

– Masz swoje rzeczy? – pyta mnie Warner.

Kiwam głową.

– Dobrze – mówi. – Chodźmy.

Warner prowadzi mnie za rękę.

Prowadzi mnie w dół po schodach i do garażu, a mnie starcza sił tylko na tę jedną myśl: jakie to dziwne. Otwiera włącznik czołgu i pomaga mi wsiąść, a potem zamyka go za mną.

Wsiada z drugiej strony.

Zapala silnik.

Jesteśmy już na drodze. Odkąd wyszliśmy z mieszkania Adama, mrugnęłam tylko 6 razy.

Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się właśnie stało. Nie wierzę, że wszyscy będziemy z sobą współpracowali. Nie wierzę, że powiedziałam Warnerowi, co ma zrobić, a on to zrobił.

Odwracam się do niego. To dziwne: jeszcze nigdy nie czułam się taka bezpieczna, jego obecność jeszcze nigdy nie wydawała mi się tak kojąca. Nie spodziewałam się, że mogłabym tak się przy nim czuć.

– Dziękuję – szepczę pełna wdzięczności, a zarazem poczucia winy z powodu wszystkiego, co się stało. Dlatego że zostawiłam Adama. Zdaję sobie sprawę, że zrobiłam coś nieodwracalnego. Serce wciąż mi pęka. – Naprawdę – powtarzam. – Bardzo ci dziękuję. Za to, że po mnie przyjechałeś. Jestem ci...

– Proszę – mówi. – Błagam cię, żebyś przestała.

Zastygam.

– Nie mogę znieść twojego bólu – mówi. – Odczuwam go tak silnie, że doprowadza mnie to do szaleństwa... proszę. Nie czuj się smutna. Ani zraniona. Ani winna. Nie zrobiłaś nic złego.

– Przepraszam...

– I nie przepraszaj – mówi. – Nie zamorduję Kenta tylko dlatego, że wiem, że to by cię jeszcze bardziej zenerwowało.

– Masz rację – mówię po chwili. – Ale nie chodzi tylko o niego.

– Co? – pyta. – Co masz na myśli?

– W ogóle nie chcę, żebyś mordował – mówię. – Nie tylko Adama.

Warner śmieje się nerwowo, dziwnie. Wygląda, jakby mu trochę ulżyło.

– Masz jeszcze jakieś zastrzeżenia?

– Właściwie nie.

– Więc nie chcesz mnie zmieniać? Nie dasz mi listy rzeczy, nad którymi muszę popracować?

– Nie. – Wyglądam przez okno. Krajobraz jest taki ponury. Taki zimny. Skuty lodem i przysypany śniegiem. – W niczym nie jesteś gorszy ode mnie – mówię cicho. – Gdybym wiedziała, jak to zrobić, najpierw zmieniłabym siebie.

Oboje na chwilę milkniemy. Powietrze w ciasnym wnętrzu czołgu gęstnieje od napięcia.

– Aaronie – mówię, wciąż wpatrzona w przesuwający się za oknem krajobraz.

Wychwytyję załamanie jego oddechu. Drgnienie. Po raz pierwszy ot tak wymówiłam jego imię.

– Tak?

– Chcę, żebyś wiedział – mówię – że nie uważam cię za szaleńca.

– Co? – Wzdryga się.

– Nie uważam cię za szaleńca. – Świat za oknem się rozmazuje. – Ani za psychopatę. Ani za chorego, nieludzkiego oprawcę. Ani za bezlitosnego mordercę, nie uważam też, że zasługujesz na śmierć ani że jesteś żaloszny. Ani głupi. Ani tchórzliwy. Nie zgadzam się z żadną z tych rzeczy, które ludzie o tobie mówią.

Odwracam się do niego.

Warner wpatruje się w przestrzeń przed sobą.

– Nie? – Jego głos jest tak cichy i tak pełen lęku, że ledwo go słyszę.

– Nie – mówię. – Nie. Pomyślałam, że może powinieneś o tym wiedzieć. Nie zamierzam cię zmieniać, bo nie uważam, że tego potrzebujesz. Nie chcę, żebyś był inny. Chciałabym tylko, żebyś był tym, kim naprawdę jesteś. Bo wydaje mi się, że znam prawdziwego ciebie. Chyba go widziałam.

Warner nie odpowiada, tylko głęboko oddycha.

– Nie obchodzi mnie, co ludzie o tobie mówią – dodaję. – Uważam, że jesteś dobrym człowiekiem.

Warner mruga szybko. Słyszę jego oddech.

Wdech i wydech.

Nierówny.

Milczy.

– Czy ty... Wierzysz mi? – pytam po chwili. – Wyczuwasz chyba, że mówię prawdę? Że szczerze w to wierzę?

Dłonie Warnera zaciskają się na kierownicy, aż bieleją mu stawy.

Kiwa głową.

Tylko raz.

Warner do tej pory nie odezwał się do mnie ani słowem.

Z pomocą Delalieu, którego szybko odprawił, przedostaliśmy się do jego sypialni. To dziwne uczucie znowu znaleźć się w tym znajomym miejscu. Przeżyłam tu chwile strachu, ale zaznałam też ulgi.

Teraz czuję się tu dobrze.

To jest pokój Warnera. A jego już się nie boję.

Wydaje mi się teraz zupełnie innym człowiekiem niż przed kilkoma miesiącami, a ostatnie dwa dni dopełniły tej transformacji. Jeszcze nie zdążyłam się otrząsnąć ze zdumienia. Nie da się zaprzeczyć, że teraz patrzę na niego inaczej.

Czuję, że rozumiem go lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Jest jak przerażone, maltretowane zwierzę. Stworzenie, które przez całe życie było bite, poniewierane i zamykane w klatce. Prowadził życie, którego sobie nie wybrał, nigdy nie dano mu wyboru. I choć ma wszystko, co potrzebne do tego, aby zabijać, nie potrafi wykorzystać tego przeciwko własnemu ojcu, człowiekowi, który zrobił z niego mordercę. Bo mimo wszystko, choć to niewytłumaczalne, on wciąż pragnie, żeby ojciec go kochał.

A ja to rozumiem.

Naprawdę. Naprawdę rozumiem.

– Co się właściwie stało? – pyta wreszcie Warner.

Siedzę na jego łóżku, on stoi przy drzwiach, wpatrując się w ścianę.

– Co masz na myśli?

– Z Kentem – mówi. – Zanim przyszedłem. Co on ci powiedział?

– Och. – Czerwienię się zażenowana. – Wyrzucił mnie ze swojego domu.

– Ale dlaczego?

– Był wściekły – mówię. – O to, że cię broniłam. Że zaprosiłam cię do jego domu.

– Och.

Wydaje mi się, że słyszę bicie naszych serc w dzielącej nas ciszy.

– Broniłaś mnie – mówi w końcu Warner.

– Tak.

On milczy.

Ja milczę.

– Więc kazał ci się wynieść – mówi Warner – bo mnie broniłaś.

– Tak.

– To wszystko?

Serce wali mi jak oszalałe. Nagle zaczynam się dener-wować.

– Nie.

– Było coś jeszcze?

– Tak.

Warner mruga, wpatrując się w ścianę. Ani drgnie.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

On milczy.

– Był zdenerwowany – szepczę – bo twierdziłam, że nie jesteś szaleńcem. I oskarżył mnie... – Waham się. – O to, że się w tobie zakochałam.

Warner gwałtownie wypuszcza powietrze. Dotyka fra-mugi.

Serce wali mi tak mocno.

Nie odrywa wzroku od ściany.

– A ty mu powiedziałaś, że jest idiotą.

Wypuszczam powietrze.

– Nie.

Warner robi ruch, jakby chciał odwrócić się w moją stronę, lecz zastyga w połowie.

Widzę jego profil i nierównomierne falowanie jego piersi. Wpatruje się teraz prosto w drzwi.

Mówienie przychodzi mu z widocznym wysiłkiem.

– Więc powiedziałaś mu, że oszalał. Powiedziałaś mu, że stracił rozum, skoro mówi coś takiego.

– Nie.

– Nie – powtarza jak echo.

Boję się poruszyć.

Warner bierze głęboki, drżący oddech.

– Co w takim razie mu powiedziałaś?

Siedem sekund umiera między nami.

– Nic – szepczę.

Warner nieruchomieje.

Żadne z nas się nie odzywa. Mam wrażenie, że mija wieczność.

– Oczywiście – mówi wreszcie Warner. Wydaje się blady, drżący. – Nie powiedziałaś nic.

Jasne.

– Aaronie... – Wstaję.

– Mam dużo pracy. Tym bardziej że jutro mają się tu pojawić twoi przyjaciele. – Kiedy sięga do drzwi, dostrzegam drżenie jego dłoni. – Wybacz mi, ale muszę iść – mówi.

Postanawiam wziąć kąpiel.

Nigdy jeszcze tego nie robiłam.

W czasie, gdy wanna wypełnia się gorącą wodą, rozglądam się po łazience i odkrywam całe stopy pachnących mydeł. Różnego rodzaju. Różnej wielkości. Każda kostka jest owinięta kawałkiem grubego pergaminu i przewiązana szpagatem. Każde zawiniątko ma etykietkę z nazwą zapachu.

Biorę do ręki jedno z nich.

KAPRYFOLIUM

Ściskam mydło w dłoni i mimo woli myślę o Punkcie Omega. Nie mieliśmy tam niczego tak wykwintnego. Mydło było szare, miało dziwny zapach i nie chciało się pieniać. Kenji przynosił kostki mydła na nasze treningi. Odłamywał kawałki i rzucał nimi we mnie, kiedy nie mogłam się skupić.

To wspomnienie wywołuje dziwne emocje.

Serce mi rośnie na myśl o tym, że moi przyjaciele jutro tu będą. To się naprawdę stanie, myślę. Będziemy wszyscy razem, będziemy niezwycczeni. Nie mogę się doczekać.

Przeglądam się etykietce.

Najdelikatniejsze nuty jaśminu z domieszką wyciągu z winogron połączone z subtelną wonią bzu, kapryfolium, róży i cynamonu. Kwiat pomarańczy i lekka pudrowa nuta uzupełniają bukiet.

Brzmi zachwycająco.

Kradnę jedno z mydeł Warnera.

Jestem świeżo umyta i mam na sobie czyste ubranie.

Co chwilę wacham swoją skórę, nie mogąc się nadziwić, jak miło jest pachnieć jak kwiat. Nigdy jeszcze niczym nie pachniałam. Wciąż muskam palcami ramiona, zdumiona, jak wiele zmienia w życiu kostka mydła. Pierwszy raz czuję się taka czysta. Nie miałam pojęcia, że mydło może się tak pieniać ani że może być tak miłe dla skóry. To, którego dotąd używałam, wysuszało mi skórę i sprawiało, że czułam się nieswojo jeszcze przez kilka godzin. Ale to jest dziwne. Cudowne. Moje ciało jest miękkie, gładkie i takie odświeżone.

W dodatku nie mam zupełnie nic do roboty.

Siadam na łóżku Warnera i podwijam nogi. Wpatruję się w drzwi prowadzące do jego gabinetu.

Tak bardzo mnie kusi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte na klucz.

Ale mam swoje zasady.

Opadam z westchnieniem na poduszki. Nogą narzucam na siebie koc i otulam się nim.

Zamykam oczy.

Natychmiast powracają obrazy gniewnej twarzy Adama i jego zaciśniętych pięści, wspomnienia raniących słów. Próbuję odepchnąć je wszystkie od siebie, ale nie mogę.

Moje oczy same się otwierają.

Zastanawiam się, czy zobaczę jeszcze Jamesa.

Może tego właśnie chciał Adam. On i James odzyskali swoje dawne życie. Nie będzie musiał się martwić dzieleniem żywności między ośmioro ludzi. Dzięki temu uda im się przeżyć o wiele dłużej.

A co potem? Nie mogę powstrzymać tych myśli.

Zostanie zupełnie sam. Bez jedzenia. Bez przyjaciół. Bez dochodów.

Serce mi pęka, gdy wyobrażam sobie, jak walczy o przetrwanie, jak próbuje wyżywić brata. Bo chociaż on teraz mnie nienawidzi, nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek mogła odwzajemnić to uczucie.

Nawet nie rozumiem tego, co się między nami stało.

Jak to możliwe, że między nami pojawiły się szczeliny, że tak nagle się od siebie oddaliliśmy? Tak bardzo mi na nim zależy. Był przy mnie wtedy, kiedy nie było nikogo innego. Dał mi nadzieję, kiedy najbardziej jej potrzebowałam. Kochał mnie, kiedy nikt inny mnie nie kochał. Nie mogłabym tak po prostu o nim zapomnieć.

Chcę, żeby był blisko. Chciałabym odzyskać przyjaciela.

Ale wiem także, że Kenji miał rację.

Adam był pierwszą i jedyną osobą, która okazała mi współczucie. Pierwszą i jedyną osobą, która mogła mnie dotknąć. To było tak niewiarygodne, że dałam się temu porwać, przekonana, że los chciał, żebyśmy się spotkali. Jego tatuaż był jak kadr wycięty z moich snów.

Myślałam, że chodzi o nas. O moją ucieczkę. O nasze „długo i szczęśliwie”.

I tak było.

I tak nie było.

Chce mi się śmiać z własnej ślepoty.

To prawda, że to nas połączyło. Tamten tatuaż. To nas do siebie zbliżyło, ale nie dlatego, że byliśmy sobie przeznaczeni. Nie dlatego, że Adam miał mi pomóc odzyskać wolność. Chodziło o coś innego. O nadzieję, której żadne z nas nie potrafiło dostrzec.

Warner.

Biały ptak ze złotymi prążkami na głowie przypominającymi koronę.

Złotowłosy chłopak o jasnej cerze, przywódca Sektora 45.

Od początku chodziło o niego. Od zawsze.

Brakujące ogniwo.

Warner, brat Adama, ten, który mnie więził, a teraz walczy po mojej stronie. To on pomógł nam się spotkać. A związek z Adamem dał mi siłę nowego rodzaju. To on troszczył się o mnie, kiedy byłam przerażona i załamana. Dał mi powód, żebym zaczęła się bronić, zanim zdołałam pojąć, że ja sama jestem wystarczającym powodem. Połączyło nas uczucie i rozpaczliwe pragnienie fizycznego kontaktu. Dwie rzeczy, których wcześniej byłam zupełnie pozbawiona. To było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie.

Oczywiście uważałam, że jestem zakochana.

Jednak choć wciąż niewiele wiem, myślę, że gdyby Adam naprawdę mnie kochał, nie potraktowałby mnie tak jak dzisiaj. Nie powiedziałby, że wolałby, żebym nie żyła.

Jestem tego pewna, bo widziałam na własne oczy jego przeciwieństwo.

Bo byłam umierająca.

A Warner mógł pozwolić mi umrzeć. Przepelniała go złość, ból i gorycz i miał ku temu wszelkie powody. Wyrwałam mu serce, pozwalając uwierzyć, że możemy być przyjaciółmi. Pozwoliłam, żeby wyznał mi głębię swoich uczuć, żeby dotykał mnie w sposób, w jaki nawet Adam nigdy mnie nie dotykał. Nie prosiłam, żeby przestał.

Każdy centymetr mojego ciała mówił tak.

A potem mu to wszystko odebrałam. Bo byłam przerażona, oszołomiona i walczyłam sama z sobą. Z powodu Adama.

Warner wyznał mi miłość, a ja go obraziłam, okłamałam i od-trąciłam. Nawrzeszczałam na niego. Mógł stać z boku i patrzeć, jak umieram, ale nie zrobił tego.

Znalazł sposób, żeby uratować mi życie.

Nie chciał niczego w zamian. Nie miał złudzeń, był przekonany, że kocham Adama i że

ratuje mi życie po to, żeby oddać mnie komuś innemu.

Dziś już nie wiem, co zrobiłby Adam, gdybym umierała w jego obecności. Nie wiem, czyby mnie uratował. I ta niepewność jest dostatecznym dowodem na to, że coś między nami nie jest w porządku. Że coś nie było prawdziwe.

Może oboje zakochaliśmy się w swoich złudzeniach.

Otwieram oczy.

Jest zupełnie ciemno. Cicho. Siadam zbyt szybko.

Musiałam zasnąć. Nie mam pojęcia, która jest godzina, ale jeden rzut oka wystarcza, żeby się przekonać, że Warnera tu nie ma.

Wstaję z łóżka. Nagle bardzo się cieszę, że jestem w skarpetkach. Otulam się ramionami, drżąc z zimna, przed którym nie chroni cienki materiał mojej koszulki. Moje włosy są wciąż lekko wilgotne po kąpiel.

Drzwi do gabinetu Warnera są uchylone.

Przez szparę wydostaje się promyk światła. Zastanawiam się, czy naprawdę zapomniał zamknąć drzwi, czy może dopiero co wszedł do środka. Może nawet wcale go tam nie ma. Tym razem moja ciekawość zwycięża nad zasadami.

Chcę wiedzieć, gdzie pracuje i jak wygląda jego biurko. Chcę wiedzieć, czy jest bałaganiarzem, czy jest świetnie zorganizowany, czy ma wokół siebie jakieś rzeczy osobiste. Swoje zdjęcia z dzieciństwa.

Albo swojej matki.

Skradam się, a w moim żołądku budzą się motyle. Nie powinnam się denerwować, mówię sobie. To nie przestępstwo. Sprawdzę tylko, czy jest w środku, a jeśli go nie ma, wyjdę. Zajrzę tam tylko na sekundę. Nie mam zamiaru grzebać w jego rzeczach.

Nie mam zamiaru.

Zatrzymuję się przed samymi drzwiami. Jest tak cicho, że on musi słyszeć bicie mojego serca. Nie wiem, dlaczego jestem taka przerażona.

Pukam dwukrotnie do drzwi i popycham je.

– Aaronie, jesteś...

Coś spada na podłogę.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka, ale stoję jak wryta tuż za progiem. Olśniona.

Jego gabinet jest ogromny.

Jest tak duży jak sypialnia i garderoba razem wzięte. Albo większy. Tyle przestrzeni: mieści się tu potężny stół konferencyjny z sześcioma krzesłami z każdej strony, kanapa i kilka niewielkich stolików w rogu, a jedna ze ścian jest zastawiona regałami. Pełnymi książek. Uginającymi się pod ciężarem książek. Pękającymi w szwach od książek. Starych książek, nowych książek i książek o rozpadających się grzbietach.

Meble są zrobione z ciemnego drewna.

Tak ciemnego, że wydaje się czarne. Niczym niezakłócone proste linie, niewyszukane formy. Nic ozdobnego czy nieporęcznego. Żadnej skóry. Żadnych krzeseł z wysokimi oparciami czy misternej stolarki. Minimalizm.

Stół konferencyjny zawalony teczkami, papierami, segregatorami i notatnikami. Na podłodze leży gruby, pluszowy, orientalny dywan, podobny do tego, który widziałam w jego garderobie. A po przeciwnej stronie pokoju stoi jego biurko.

Warner wpatruje się we mnie zaskoczony.

Ma na sobie tylko spodnie i skarpetki, koszulę i pasek zdjął. Stoi plecami do biurka, ściskając coś w rękach. Coś, czego nie mogę dojrzeć.

– Co tu robisz? – pyta.

– Drzwi były otwarte. – Co za głupia odpowiedź.

Wpatruje się we mnie.

– Która godzina? – pytam.
– Wpół do drugiej – mówi automatycznie.
– Och.
– Powinnaś wracać do łóżka. Jest środek nocy. – Nie wiem, dlaczego wydaje się taki nerwowy. Dlaczego spogląda raz na mnie, raz na drzwi.
– Nie jestem zmęczona.
– Och. – Mocuje się z czymś, co okazuje się niewielkim słoiczkiem. Odstawia go na biurko, nie oglądając się za siebie.
Był dzisiaj taki milczący. Nie był sobą. Zwykle jest opanowany, pewny siebie. Ale ostatnio wydawał się roztrzęsiony. Ta zmienność mnie niepokoi.
– Co robisz? – pytam.
Dzieli nas około trzech metrów. Żadne z nas nie robi nic, żeby zmniejszyć tę odległość. Rozmawiamy, jakbyśmy się nie znali, jakbyśmy byli dwojgiem obcych ludzi, którzy właśnie znaleźli się w kompromitującej sytuacji. To idiotyczne.
Ruszam przez pokój w jego kierunku.
Zastyga w bezruchu.
Przystaję.
– Wszystko w porządku?
– Tak – mówi zbyt szybko.
– Co to jest? – pytam, wskazując plastikowy pojemniczek.
– Powinnaś się położyć, skarbie. Na pewno jesteś bardziej zmęczona, niż ci się wydaje...
Podchodzę do niego, wyciągam rękę i zabieram słoiczek, zanim udaje mu się mnie powstrzymać.
– To naruszenie prywatności – mówi ostro. To brzmi trochę bardziej w jego stylu. – Oddaj mi to...
– Maść? – pytam zaskoczona. Obracam w rękach słoiczek, czytam informacje na etykiecie. Podnoszę wzrok na niego. Wreszcie zaczynam rozumieć. – To na blizny.
Przezesuje dłonią włosy. Wpatruje się w ścianę.
– Tak – przyznaje. – A teraz oddaj mi to, proszę.
– Potrzebujesz pomocy? – pytam.
Nieruchomieje.
– Co?
– To na twoje plecy, prawda?
Przesuwa dłonią po ustach i podbródku.
– Nie pozwolisz mi zachować ani odrobiny godności, prawda?
– Nie wiedziałam, że przejmujesz się swoimi bliznami – mówię.
Robię krok do przodu.
On robi krok do tyłu.
– Nie przejmuję się.
– W takim razie po co ci to? – Podnoszę słoiczek. – Skąd to w ogóle wzięłeś?
– To nic... To tylko... – Kręci głową. – Delalieu to dla mnie znalazł. To śmieszne – mówi.
– Czuję się idiotycznie.
– Bo nie możesz dosięgnąć pleców?
Wpatruje się we mnie. Wzdycha.
– Odwróć się – mówię.
– Nie.
– Dziwnie się zachowujesz. Bez powodu. Widziałam już twoje blizny.

– To nie znaczy, że musisz oglądać je znowu.
Nie mogę powstrzymać lekkiego uśmiechu.
– Co? – pyta. – Co cię tak śmieszy?
– Nigdy bym się nie spodziewała, że coś podobnego może cię wprawić w zakłopotanie.
– Nie jestem zakłopotany.
– Oczywiście.
– Proszę – mówi. – Po prostu wracaj do łóżka.
– Ani trochę nie chce mi się spać.
– To nie mój problem.
– Odwróć się – powtarzam.
Mruży oczy.
– Po co w ogóle tego używasz? – pytam ponownie. – Nie potrzebujesz tego. Nie używaj tego, jeśli czujesz się przez to niezręcznie.
Milczy przez chwilę.
– Uważasz, że tego nie potrzebuję?
– Oczywiście, że nie. Do czego? Czy czujesz ból? Czy twoje blizny cię boją?
– Czasami – mówi cicho. – Nie tak bardzo jak kiedyś. Właściwie prawie nic już nie czuję na plecach.
Coś zimnego i ostrego uderza mnie w brzuch.
– Naprawdę?
Kiwa głową.
– Powiesz mi, skąd je masz? – szepczę niezdolna spojrzeć mu w oczy.
Milczy tak długo, że w końcu jestem zmuszona podnieść wzrok.
Jego spojrzenie jest pozbawione emocji, jego twarz niczego nie wyraża. Chrząka.
– To były moje prezenty urodzinowe – mówi. – Odkąd skończyłem pięć lat. Do czasu, aż skończyłem osiemnaście – mówi. – Na moje dziewiętnaste urodziny nie wrócił.
Zastygam z przerażenia.
– Tak. – Warner spogląda na swoje dłonie. – Więc...
– Ranił cię nożem? – pytam zachrypniętym głosem.
– Chłostał.
– Boże – szepczę, zasłaniając ręką usta. Muszę odwrócić głowę, żeby się pozbierać.
Mrugam kilka razy, usiłuję przełknąć ból i wściekłość, które we mnie wzbierają. – Tak mi przykro – wykrztuszam. – Aaronie. Tak mi przykro.
– Nie chciałem, żebyś czuła do mnie odrazę – mówi cicho.
Patrzę na niego oszołomiona. Lekko przerażona.
– Nie mówisz poważnie.
Jego oczy są takie poważne.
– Czy kiedykolwiek patrzyłeś w lustro? – pytam ze złością.
– Słucham?
– Jesteś doskonały – mówię, tak wstrząśnięta, że się zapominam. – Cały. Całe twoje ciało. Proporcjonalne. Sy-metrycz-ne. Jesteś absurdalnie, matematycznie doskonały. To niemożliwe, żeby człowiek wyglądał tak jak ty – mówię, kręcąc głową. – Nie wierzę, że mogłeś pomyśleć...
– Julio, proszę. Nie mów do mnie w ten sposób.
– Co? Dlaczego?
– Bo to okrutne – mówi, tracąc panowanie nad sobą. – Jesteś bezlitosna, nawet nie zdajesz...

– Aaronie...

– Odwołuję to – mówi. – Już nie chcę, żebyś mnie tak nazywała...

– Aaronie – powtarzam, tym razem pewniej. – Proszę... Jak możesz myśleć, że mogłabym czuć do ciebie odrazę? Nie sądzisz chyba, że coś podobnego... że mogłabym się brzydzić twoimi bliźniami...

– Nie wiem – odpowiada. Chodzi w tę i z powrotem wzdłuż swojego biurka, wbijając wzrok w podłogę.

– Myślałam, że potrafisz odbierać uczucia innych – mówię. – Sądziłam, że moje powinny być dla ciebie oczywiste.

– Nie zawsze umiem je odczytać – mówi poirytowany, pocierając twarz, czoło. – Szczególnie wtedy, gdy w grę wchodzi moje własne uczucia. Wtedy przestaję być obiektywny i zdarza się, że robię założenia, które okazują się błędne. Dlatego nie... po prostu nie ufam już własnym osądom. Bo kiedyś to zrobiłem – dodaje. – I obróciło się to przeciwko mnie. To było straszne.

Wreszcie patrzy mi w oczy.

– Masz rację – szepczę.

Odwraca wzrok.

– Popełniłeś wiele błędów – mówię. – Wszystko zrobiłeś nie tak.

Przesuwa dłoń po całej twarzy.

– Ale nie jest za późno, żeby to naprawić... możesz postąpić właściwie...

– P r o s z ę...

– Nie jest za późno...

– Przestań to powtarzać! – wybucha. – Nie znasz mnie, nie wiesz, co zrobiłem ani co musiałbym zrobić, żeby to wszystko naprawić...

– Nie rozumiesz? To nie ma znaczenia... Tylko od ciebie zależy, czy teraz będziesz inny...

– Myślałem, że nie masz zamiaru mnie zmieniać!

– Nie próbuję cię zmieniać – mówię, zniżając głos. – Po prostu chciałabym, żebyś zrozumiał, że twoje życie się nie skończyło. Nie musisz być tym, kim byłeś. Masz wybór. Możesz być s z c z ę ś l i w y...

– Julio – przerywa mi ostro. Jego oczy mają tak intensywny zielony kolor.

Milknę.

Spoglądam na jego drżące dłonie. Zaciska je w pięści.

– Idź już – mówi cicho. – Chcę zostać sam.

– Po co mnie tu z sobą przywiozłeś? – pytam ze złością. – Jeśli nawet nie chcesz mnie widzieć...

– Dlaczego nie możesz zrozumieć? – Podnosi wzrok. W jego oczach jest tyle bólu i taka pustka, że zapiera mi dech.

Ręce mi drżą.

– Zrozumieć? Czego?

– K o c h a m cię.

Załamuje się.

Jego głos. Jego plecy. Jego kolana. Jego twarz.

Załamuje się.

Chwyta się biurka. Odwraca wzrok.

– Kocham cię – powtarza, a jego słowa brzmią zarazem szorstko i miękko. – Kocham cię i to nie wystarcza. Sądziłem, że to wystarczy, ale myliłem się. Myślałem, że możemy razem stanąć do walki, i pomyliłem się. Bo nie mogę. Nie mogę nawet spojrzeć ci w oczy...

– Aaronie...
– Powiedz mi, że to nieprawda – mówi. – Powiedz mi, że się mylę. Powiedz mi, że jestem ślepy. Powiedz mi, że mnie kochasz.
Moje serce nie przestaje krzyczeć. Pęka na pół.
Nie mogę go okłamywać.
– Nie... Nie rozumiem tego, co czuję – próbuję wyjaśnić.
– Proszę... – mówi błagalnie. – Na miłość boską, Julio, odebrałaś mi resztkę godności...
– W porządku. – Kiwam głową. – W porządku. Prze-praszam. W porządku.
Cofam się.
Odwracam.
I nie oglądam się za siebie.

– Muszę wyjść za siedem minut.

Warner i ja jesteśmy już ubrani, rozmawiamy jak zwyczajni znajomi, jakby ostatniej nocy nic się nie wydarzyło. Śniadanie, które przyniósł nam Delalieu, zjedliśmy w ciszy w oddzielnych pokojach. Żadnej rozmowy o nim, o mnie, o nas, o tym, co mogło albo może się zdarzyć.

Nie ma żadnych nas.

Jest nieobecność Adama i walka z Komitetem Odnowy. To wszystko.

Teraz to rozumiem.

– Zabrałbym cię z sobą, ale myślę, że trudno byłoby cię ukryć – mówi. – Jeśli chcesz, możesz poczekać w sali gimnastycznej. Tam ich przyprowadzę. Będiesz mogła przywitać się ze wszystkimi, kiedy tylko przybędą. – Wreszcie patrzy na mnie. – W porządku?

Kiwam głową.

– Świetnie – mówi. – Pokażę ci, jak się tam dostać.

Prowadzi mnie do swojego biura. W rogu pomieszczenia, w pobliżu kanapy jest przejście, którego ostatniej nocy nie zauważyłam. Warner wciska przycisk w ścianie. Rozsuwają się drzwi.

To winda.

Wsiadamy do niej, a on wciska przycisk oznaczony jako parter. Drzwi się zamykają i winda rusza w dół.

Patrzę na niego.

– Nie wiedziałam, że masz windę w swoim pokoju.

– Potrzebowałam prywatnego dostępu do moich kwater szkoleniowych.

– Wciąż to powtarzasz – mówię. – Co to są „kwatery szkoleniowe”?

Winda staje.

Drzwi się rozsuwają.

Przytrzymuje je, kiedy wysiadam.

– To.

Nigdy w życiu nie widziałam tylu różnych urządzeń.

Urządzeń do biegania, do ćwiczeń mięśni nóg, ramion, barków, brzucha. Są nawet urządzenia, które wyglądają jak rowery. Nie znam nazw większości z nich. Rozpoznaję ławkę do ćwiczeń. Wiem także, jak wyglądają hantle, a są ich tu całe stosy, we wszystkich rozmiarach. Ciężarki. Sztangi. W niektórych miejscach do sufitu przymocowano jakieś drążki, ale nie mam pojęcia, do czego służą. Jest cała masa zupełnie nieznanymi mi przedmiotów.

Domyślałam się, że każda ze ścian ma inne przeznaczenie.

Jedna wygląda, jakby była z kamienia. Albo ze skały. Są w niej niewielkie rowki, w których umocowano coś, co przypomina kawałki plastiku w różnych kolorach. Na innej wisi broń. Setki pistoletów na kołkach, każdy na swoim miejscu. Są nieskazitelnie wypolerowane. Błyszczą, jakby właśnie zostały wyczyszczone. W tej samej ścianie są drzwi. Zastanawiam się, dokąd prowadzą. Trzecia ściana jest pokryta tym samym czarnym, gąbczastym materiałem, którym wyłożono podłogę. Wydaje się miękki i sprężysty. Na ostatniej ścianie znajdują się drzwi windy, którą właśnie przyjechaliśmy, i jeszcze jedno drzwi. Nic więcej.

Sala jest ogromna, przynajmniej dwukrotnie albo trzykrotnie większa od sypialni Warnera, jego szafy i biura razem wziętych. Trudno uwierzyć, że to wszystko jest przeznaczone dla jednej osoby.

– Niesamowite. – Odwracam się do niego. – Korzystasz z tego wszystkiego?

Kiwa głową.

– Zwykle przychodzę tu przynajmniej dwa, trzy razy dziennie – mówi. – Miałem przerwę, kiedy byłem ranny. – Robi krok naprzód, dotyka czarnej, gąbczastej ściany. – To było moje życie, odkąd pamiętam. Trening. Zawsze trenowałem. Ty też tutaj zaczniesz.

– Ja?

Kiwa głową.

– Ale ja nie muszę trenować – protestuję. – Nie w taki sposób.

Próbuje spojrzeć mi w oczy, ale zaraz odwraca wzrok.

– Muszę iść – mówi. – Jeżeli będzie ci się nudziło, możesz wrócić na górę windą. Nie zatrzymuje się na innych poziomach, więc się nie zgubisz. – Zapina marynarkę. – Wrócę, jak tylko będę mógł.

– W porządku.

Sądziłam, że już wychodzi, ale on nie rusza się z miejsca.

– Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę – mówi wreszcie.

To nie brzmi jak pytanie.

Tak czy owak kiwam głową.

– Nie mogę uwierzyć... – mówi cicho. – Że nie próbujesz uciekać.

Nie odpowiadam.

Powoli wypuszcza powietrze. Obraca się na pięcie. I wychodzi.

Siedzę na ławce, bawiąc się dwuipółkilogramowym ciężarkiem, kiedy dobiega mnie jego głos.

– Ożeż, w mordę. Na bogato.

Podskakuję, o mało nie upuszczając sobie ciężarka na nogę. Kenji, Winston, Castle, Brendan, Alia i Lily właśnie wchodzi do sali drzwiami w ścianie z pistoletami.

Twarz Kenjiego rozjaśnia się na mój widok.

Podbiegam do niego, a on chwytając mnie w ramiona i ścis-ka mocno.

– No, niech mnie diabli – mówi. – Nie zabił cię. To dobry znak.

Popycham go lekko. Powstrzymuję uśmiech.

Szybko witam się ze wszystkimi. Jestem tak podekscytowana ich obecnością, że nie mogę ustać w miejscu. Tymczasem oni rozglądają się zaskoczeni. Jakby naprawdę sądzili, że Warner szykuje na nich pułapkę.

– Tam jest szatnia – objaśnia Warner, wskazując drzwi obok windy. – Są tam kabiny prysznicowe, toalety i wszystko, czego będziecie potrzebowali, żeby nie śmierdzieć jak zwierzęta. Ręczniki, mydło, pralki. Wszystko jest.

Patrzę tylko na Warnera i dopiero po chwili dostrzegam stojącego w kącie Delalieu.

Powstrzymuję okrzyk zaskoczenia.

Stoi cicho z rękami splecionymi za plecami, obserwując uważnie wszystkich, którzy słuchają Warnera. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, kim on właściwie jest. Dlaczego Warner darzy go takim zaufaniem.

– Wasze posiłki będą tu dostarczane trzy razy dziennie – mówi Warner. – Jeśli z jakiegoś powodu nie zjecie obiadu albo go przegapicie i potem poczujecie się głodni, możecie wypląkać się pod prysznicem. A później nauczyć się przestrzegać rozkładu dnia. Nie przyjmuję zażaleń. Macie własną broń – ciągnie. – Ale jak widać, to pomieszczenie jest w pełni wyposażone i...

– Śliczne! – wzdycha Ian z nieukrywaną ekscytacją, podchodząc do zestawu strzelb.

– Spróbuj dotknąć któregoś z moich pistoletów, a połamię ci ręce – rzuca Warner.

Ian zastyga w bezruchu.

– Nie zbliżajcie się do tej ściany. To dotyczy wszystkich – zaznacza, rozglądając się po pokoju. – Z reszty możecie korzystać, tylko niczego nie zepsujcie. Chciałbym, żeby wszystko pozostało w takim stanie, w jakim jest. I myjcie się regularnie albo nie podchodźcie do mnie bliżej niż na trzy metry.

Kenji prychnie.

– Wzywają mnie obowiązki – mówi Warner. – Wrócę o dziewiętnastej, aby się z wami spotkać i odbyć pierwszą naradę. Tymczasem skorzystajcie z okazji, żeby się zainstalować. W rogu są maty, które możecie wykorzystać do spania. Mam nadzieję, dla waszego dobra, że przynieśliście własne koce.

Alia upuszcza torbę, która z łoskotem upada na podłogę. Wszyscy spoglądają w jej stronę. Dziewczyna się czerwieni.

– Jakież pytania? – pyta Warner.

– Tak – mówi Kenji. – Gdzie lekarstwa?

Warner ruchem głowy wskazuje stojącego w rogu Delalieu.

– Podajcie mojemu asystentowi dokładny opis obrażeń i dolegliwości. Zajmie się koniecznym leczeniem.

Kenji poważnie kiwa głową. Naprawdę wygląda, jakby był wdzięczny.

– Dziękuję – mówi.

Warner przez chwilę wytrzymuje spojrzenie Kenjiego.

– Nie ma za co.

Kenji unosi brwi.

Nawet ja jestem zaskoczona.

Warner spogląda na mnie zaledwie przez ułamek sekundy i zaraz odwraca wzrok.

A potem bez słowa naciska przycisk windy.

Wsiada.

Patrzę, jak zamykają się za nim drzwi.

Kenji wpatruje się we mnie skonsternowany.

– Co to u diabła miało być?

Winston i Ian też przyglądają mi się z nieskrywanym zakłopotaniem. Lily rozpakowuje swoje rzeczy. Castle uważnie mnie obserwuje. Brendan i Alia są pogrążeni w rozmowie.

– O co ci chodzi? – pytam. Próbuję zachowywać się nonszalancko, ale zdaje się, że uszy mi czerwienieją.

Kenji pociera dłonią kark. Wzrusza ramionami.

– Pokłóciliście się, czy co?

– Nie – odpowiadam szybko.

– Uhm – Kenji przekrzywia głowę.

– Jak się miewa Adam? – pytam w nadziei, że uda mi się zmienić temat.

Kenji wzdycha przeciągle. Odwraca wzrok, przeciera oczy i rzuca torbę na podłogę.

Opiera się o ścianę.

– Nie będę cię okłamywał, Dzej – mówi, zniżając głos. – Ta bzdura z Kentem naprawdę mnie stresuje. Przez ten wasz dramat wszystko robi się nieprzyjemne. Nie ułatwił nam odejścia.

– Co? Przecież sam mówił, że nie chce już walczyć...

– Tak, cóż. – Kenji kiwa głową. – Widać to nie znaczyło, że chce przy okazji stracić przyjaciół.

Kręcę głową.

– To nie w porządku z jego strony.

– Wiem – mówi Kenji. Znowu wzdycha. – W każdym razie dobrze cię widzieć, księżniczko, ale jestem styranym jak koń po westernie. I głodny. Zręczliwy. Sama widzisz. – Robi chaotyczny ruch ręką. Osuwa się na podłogę.

Coś przede mną ukrywa.

– Co się stało? – pytam cicho, siadając naprzeciwko niego.

Podnosi wzrok, patrzy mi w oczy.

– Brakuje mi Jamesa, jasne? Tęsknię za tym dzieciakiem. – W głosie Kenjiego rzeczywiście słychać zmęczenie. Widać je także w jego oczach. – Nie chciałem go zostawiać.

Moje serce zamiera.

Oczywiście.

J a m e s.

– Tak mi przykro. Chciałabym znaleźć jakiś sposób, żeby go tu sprowadzić.

Kenji pstryka w jakiś nieistniejący kłaczek na swojej koszuli.

– Pewnie jest bezpieczniejszy tam, gdzie został – mówi bez przekonania. – Po prostu chciałbym, żeby Kent przestał być takim palantem.

Krzywię się.

– Mogłoby być tak pięknie, gdyby się wziął i ogarnął – ciągnie Kenji. – Ale nie, on zaraz musi odstawiać jakiś porąbany dramat. – Wypuszcza powietrze. – Cholerny z niego historyk – dodaje ze złością. – Wszystko tak przeżywa. Nie może odpuścić. Wrzucić na luz i żyć dalej. Ja po prostu... Nie wiem. Nieważne. Chciałbym, żeby James tu był. Tęsknię za nim.

– Przykro mi – powtarzam.

Kenji robi dziwną minę. Macha ręką.

– W porządku. Nic mi nie będzie.

Podnoszę wzrok i przekonuję się, że wszyscy gdzieś się rozeszli.

Castle, Ian, Alia i Lily idą do szatni, a Winston i Brendan kręcą się po sali. Dotykają skalnej ściany, prowadząc jakąś rozmowę, ale nie słyszę o czym.

Przysuwam się do Kenjiego. Opieram głowę na dłoniach.

– Czyli... spuszcza cię z oka na dwadzieścia cztery godziny i zamiast dramatycznych objęć Warnera mamy lodowatą oziębłość, co? – Kenji rysuje palcem kształty na matach, na których siedzimy. – Musi się za tym kryć ciekawa historia.

– Nie wydaje mi się.

– Naprawdę nie powiesz mi, co się stało? – Podnosi wzrok obrażony. – Ja mówię ci wszystko.

– W życiu w to nie uwierzę.

– Nie bądź wredna.

– Co się właściwie dzieje, Kenji? – Przyglądam się uważnie jego twarzy, widzę, jak bezskutecznie próbuje trzymać fason. – Wydajesz się inny niż zwykle. Jakiś nieswój.

– Nic – mamrocze. – Mówiłem już. Nie chciałem zostawiać Jamesa.

– Ale to nie wszystko, co?

Nie odpowiada.

Patrzę na swoje kolana.

– Możesz być ze mną szczerzy, wiesz o tym. Ja zawsze mog-łam na ciebie liczyć.

Pamiętaj, że ty też możesz ze mną po-gadać.

Kenji przewraca oczami.

– Czy musisz wzbudzać we mnie poczucie winy tylko dlatego, że nie mam ochoty brać udziału w twojej godzinie zwierzeń?

– Ja n-ni...

– Po prostu... naprawdę jestem w parszywym nastroju, jasne? – Odwraca wzrok. – Dziwnie się czuję. Jakbym miał ochotę być dzisiaj wkurzony i już. Chce mi się dać komuś w pysk bez powodu.

Przyciągam kolana do piersi i opieram na nich brodę. Kiwam głową.

– Miałeś ciężki dzień.

Stęka. Kiwa głową i wpatruje się w ścianę. Wciska pięści w matę.

– Czasem jestem tym wszystkim bardzo zmęczony, wiesz? – Wpatruje się w swoją pięść, przygląda się kształtom odciśniętym na miękkim, gąbczastym materiale. – Zwyczajnie mam dość. – Mówi teraz tak cicho, że ledwo go słyszę. Widzę, jak poruszają się mięśnie w jego gardle, a w piersi więzną emocje. – Ciągłe kogoś tracę – mówi. – Czuję się, jakbym codziennie kogoś tracił. Każdego cholernego dnia. Mam już tego serdecznie dość... Jestem tym taki zmęczony...

– Kenji... – zaczynam.

– Brakowało mi ciebie, Dzej. – Wciąż wpatruje się w ma-ty. – Szkoda, że cię z nami nie było wczoraj wieczorem.

– Ja też za tobą tęskniłam.

– Z nikim innym nie mogę pogadać.

– Myślałam, że nie lubisz rozmawiać o swoich uczuciach. – Drocę się z nim, żeby rozładować atmosferę.

On jednak zachowuje powagę.

– Po prostu czasem to wszystko robi się naprawdę ciężkie. – Odwraca wzrok. – Za ciężkie. Nawet dla mnie. Są takie dni, że nie chce mi się śmiać. Nie chce mi się żartować. Nic mnie nie obchodzi. W niektóre dni chce mi się tylko siedzieć na dupie i płakać. – Jego dłonie przestają się przesuwac po matach. – Myślisz, że mi odbija? – pyta cicho, wciąż nie patrząc mi w oczy.

Mrugam energicznie, czuję pieczenie pod powiekami.

– Nie – odpowiadam. – Wcale ci nie odbija.

Wpatruje się w podłogę.

– Zdziwaczałem przez ciebie, Dzej. Ostatnio nic, tylko siedzę i myślę o swoich uczuciach.

Dzięki.

Podczołguję się bliżej i obejmuję go w pasie, a on natychmiast odwzajemnia uścisk.

Przyciskam twarz do jego piersi i słyszę, jak głośno bije mu serce. On tak bardzo cierpi, a ja ciągle o tym zapominam. Nie powinnam o tym zapominać.

Siedzimy przytuleni. Chciałabym jakoś ulżyć mu w bólu. Chciałabym pomóc mu dźwigać ten ciężar.

– To dziwne, co? – mówi.

– Co?

– Gdybyśmy byli nadzy, już bym nie żył.

– Zamknij się – mówię, śmiejąc się w jego pierś. Oboje mamy na sobie ubrania z długimi rękawami, długie spodnie. Dopóki moja twarz i dłonie nie dotykają jego skóry, nic mu nie grozi.

– Ale to prawda.

– A w jakim alternatywnym świecie mogłabym być przy tobie naga?

– Tak tylko mówię. Wypadki chodzą po ludziach. Nigdy nic nie wiadomo.

– Trzeba ci baby.

– Eee. Trzeba mnie tylko przytulić. Wystarczy mi przyjaciółka.

Odsuwam się, żeby na niego spojrzeć. Próbuję coś wyczytać w jego oczach.

– Jesteś najlepszym przyjacielem, jakiego mam, Kenji. Wiesz o tym, prawda?

– Jasne, mała. – Uśmiecha się szeroko. – Wiem. Chociaż nie mam pojęcia, dlaczego się z tobą zadaję.

Uwalniam się z jego objęć. Mrużę oczy.

Śmieje się.

– No, to jak tam twój nowy chłopak?

Mina mi rzednie.

– On nie jest moim chłopakiem.

– Jesteś tego pewna? Bo coś mi mówi, że Romeo nie pozwoliłby nam u siebie zamieszkać, gdyby nie był w tobie zakochany bez pamięci.

Wpatruję się w swoje dłonie.

– Może pewnego dnia Warner i ja zostaniemy przyjaciółmi.

– P o w a ż n i e? – Kenji wydaje się wstrząśnięty. – Myślałem, że na niego lecisz?

Wzruszam ramionami.

– Podoba mi się.

– Ale?

– Ale przed Warnerem jeszcze długa droga, wiesz?

– No, wiem – mówi Kenji. Wypuszcza powietrze. Odsuwa się. – Taaak. Tak, wiem.

Oboje przez chwilę milczymy.

– Swoją drogą, to jest jednak nieprzeciętny odjazd – dziwi się Kenji ni stąd, ni zowąd.

– Tak? – Podnoszę wzrok. – Co konkretnie?

– Warner. Gość jest nieprzeciętnie odjechany – mówi Kenji, patrząc mi prosto w oczy. – Przez cały czas, kiedy byłem w bazie, ani razu nie widziałem, żeby normalnie zagadał do jakiegoś żołnierza. Nigdy. Był zimny jak lód, Dzej. J a k. L ó d. – powtarza. – Nigdy się nie uśmiechnął. Nigdy się nie roześmiał. Nigdy nie okazywał uczuć. I nigdy, przeni-gdy z nikim nie rozmawiał, chyba że wydawał rozkazy. Był jak maszyna. A teraz? – Wskazuje na windę. – Ten

facet, który przed chwilą stąd wyszedł? Ten facet, który pojawił się wczoraj u Adama? Nie wiem, kto to do cholery jest. Nie ogarniam tego. To kompletna abstrakcja.

– Nie wiedziałam – mówię zaskoczona. – Nie miałam pojęcia, że taki był.

– Dla ciebie taki nie był? Kiedy znalazłaś się tu po raz pierwszy? – pyta Kenji.

– Nie – mówię. – Zawsze był dość... ożywiony w moim towarzystwie. Nie żeby był przy tym miły – precyzuję. – Tylko... sama nie wiem. Dużo mówił. – Milknę na chwilę, zatapiając się we wspomnieniach. – Właściwie zawsze dużo mówił. Nic innego nie robił. I nie przestawał się uśmiechać. – Znowu milknę. – Myślałam, że robi to celowo. Że sobie ze mnie kpi. Albo chce mnie przestraszyć.

Kenji odchyła się i podpira na dłoniach.

– Taaak...

– Hmm – mówię, patrząc w jakiś odległy punkt.

Kenji wzdycha.

– Czy on... ehm... czy teraz przynajmniej jest dla ciebie miły?

Spuszczam wzrok. Wpatruję się w swoje stopy.

– Tak – szepczę. – Naprawdę jest dla mnie miły.

– Ale nie bujacie się razem ani nic?

Krzywię się.

– Spoko – mówi szybko Kenji, podnosząc ręce do góry. – Spoko, byłem tylko ciekaw. To jest strefa wolna od krytyki, Dzej.

Prycham.

– Jasne.

Kenji trochę się odpręża.

– Wiesz, Adam naprawdę myśli, że ty i Warner to już oficjalne.

Przewracam oczami.

– Adam jest głupi.

– Ćśś, księżniczko. Takie słownictwo nie przystoi pa-nience...

– Adam musi powiedzieć Warnerowi, że są braćmi.

Kenji podnosi wzrok zaniepokojony.

– Ciszej – szepcze. – Przestań trąbić o tym na prawo i lewo. Wiesz, co Kent o tym myśli.

– Uważam, że to nie fair. Warner ma prawo wiedzieć.

– Dlaczego? – pyta Kenji. – Boisz się, że on i Kent skoczą sobie do gardel?

Przyglądam mu się spokojnie, z powagą.

– James też jest jego bratem, Kenji.

Kenji nieruchomieje, jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Trochę szerzej otwiera oczy.

Przekrzywiam głowę. Unoszę brew.

– Nawet... o, rety – mówi. Przyciska pięść do czoła. – Na-wet o tym nie pomyślałem.

– To nie w porządku w stosunku do nich obu – mówi. – I naprawdę myślę, że Warner ucieszyłby się z wiadomości, że ma braci. James i Adam przynajmniej mają siebie nawzajem – mówię. – A Warner zawsze był sam.

Kenji kręci głową. Na twarzy ma wypisane niedowierzanie.

– To się robi coraz bardziej pokręcone – mówi. – Wydaje ci się, że już bardziej porąbane być nie może i wtedy: bach!

– On zasługuje na to, żeby wiedzieć, Kenji – powtarzam. – Tyle przynajmniej jesteśmy mu winni. To jego prawo. To także jego krew.

Kenji podnosi wzrok. Wzdycha.

– Cholera.

– Jeśli Adam mu nie powie – mówię. – Ja to zrobię.

– Nie zrobisz tego.

Wpatruję się w niego. Niewzruszona.

– To bez sensu, Dzej. – Kenji wydaje się zaskoczony. – Nie możesz tego zrobić.

– Dlaczego ciągle nazywasz mnie Dzej? – pytam. – Od kiedy? Wymyśliłeś mi już chyba z pięćdziesiąt różnych przezwisk.

Wzrusza ramionami.

– Powinno ci to pochlebiać.

– Naprawdę? – pytam. – Przewiska są pochlebne?

Kiwa głową.

– Hm. To może ja będę do ciebie mówiła Kenny?

Kenji zakłada ręce. Mierzy mnie wzrokiem.

– To nie jest ani trochę śmieszne.

Uśmiecham się szeroko.

– Eee, trochę jest.

– Więc może ja będę mówił na twojego nowego chłopaka „Król, co wyżej sra, niż dupę ma”?

– On nie jest moim chłopakiem, K e n n y.

Kenji rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Celuje palcem w moją twarz.

– Nie bawi mnie to, księżniczko.

– Hej, chyba miałeś iść pod prysznic? – pytam.

– A teraz jeszcze mi mówisz, że śmierdzą.

Przewracam oczami.

Wstaje. Wącha koszulkę.

– Cholera, faktycznie trochę jakby śmierdzą.

– Idź – mówię. – Idź i wracaj szybko. Mam przecucie, że to będzie długi wieczór.

Wszyscy siedzimy na ławkach w sali gimnastycznej. Warner siedzi obok mnie, a ja pilnuję, żeby nasze ramiona przypadkiem się nie dotykały.

– W porządku, więc po kolei, dobra? – mówi Winston, rozglądając się. – Musimy odzyskać Sonyę i Sarę. Pytanie brzmi: jak. – Cisza. – Nie mamy pojęcia, jak się dostać do naczelnego.

Wszyscy patrzą na Warnera.

Warner patrzy na zegarek.

– Więc? – pyta Kenji.

– Więc: co? – mówi Warner znudzony.

– Więc nie zamierzasz nam pomóc? – warczy Ian. – To twój teren.

Pierwszy raz tego wieczoru Warner patrzy na mnie.

– Jesteś pewna, że ufasz tym ludziom? – pyta. – Wszystkim?

– Tak – mówię cicho. – Naprawdę im ufam.

– Dobrze. – Warner bierze głęboki oddech i zwraca się do grupy. – Mój ojciec – mówi spokojnie – jest na statku. Na środku oceanu.

– Jest na statku? – pyta Kenji zaskoczony. – Stolica jest statkiem?

– Niezupełnie. – Warner się zastanawia. – Sęk w tym, że trzeba go tu zwabić. Pojawiając się u niego, nic nie zdziałamy. Musimy narobić dostatecznie dużego zamieszania tu, żeby skłonić go do przyjazdu. – Potem patrzy na mnie. – Julia mówi, że ma jakiś plan.

Kiwam głową. Nabieram powietrza. Przyglądam się twarzom obecnych.

– Myślę, że powinniśmy przejąć Sektor 45.

Wszyscy milkną oszołomieni.

– Myślę, że razem mamy szansę przekonać żołnierzy do walki po naszej stronie – wyjaśniam. – Bo jak się temu przyjrzeć, to oprócz elit nikt nie ma pożytku z Komitetu Odnowy. Ci ludzie są zmęczeni, głodni i prawdopodobnie zdecydowali się na tę pracę wyłącznie dlatego, że nie mieli innego wyjścia. – Milknę na chwilę. – Możemy skupić wokół siebie cywilów i żołnierzy. Wszystkich mieszkańców sektora. Przekonać ich do tego, żeby do nas dołączyli. Oni mnie znają. Żołnierze. Już mnie widzieli, wiedzą, co potrafię. A my wszyscy razem? – Kręcę głową. – To dopiero byłby spektakl. Moglibyśmy im pokazać, że się zmieniliśmy, że jesteśmy silniejsi. Dać im nadzieję, powód do walki. A potem, kiedy zyskamy ich poparcie, wieść o tym się rozniesie, a Anderson będzie zmuszony tu przyjechać. Musi spróbować nas wyeliminować, nie będzie miał wyjścia. A kiedy wróci, to my go wyeliminujemy. Pokonamy go razem z armią i zwyciężymy. A potem opanujemy cały kraj.

– Mój Boże.

Castle pierwszy zaczyna mówić.

– Pani Ferrars, dużo pani nad tym myślała.

Kiwam głową.

Kenji patrzy na mnie, jakby nie był pewien, czy się śmiać, czy klaskać.

– Co o tym myślicie? – pytam, rozglądając się.

– Co, jeśli to nie wypali? – pyta Lily. – Co, jeśli żołnierze są zbyt przestraszeni, żeby wypowiedzieć posłuszeństwo Komitetowi Odnowy? A jeśli cię zabiją?

– Bez wątplenia musimy się z tym liczyć – mówię. – Ale myślę, że mamy szansę. Jeśli cała nasza ósemka połączy siły i wszyscy wykorzystamy nasze umiejętności, przekonamy ich, że możemy zrobić coś zadziwiającego.

– Tak, ale skąd będą wiedzieli, co potrafimy? – pyta Brendan. – Co, jeśli nam nie uwierzą?

– Musimy im pokazać, na co nas stać.

– A jeśli zaczną do nas strzelać? – włącza się Ian.

– Rozumiem wasze obawy. Mogę to zrobić sama. Nie mam nic przeciwko temu. Kenji jeszcze przed wojną zaczął uczyć mnie, jak przenosić energię i jeśli uda mi się opanować tę umiejętność, będę mogła robić naprawdę przerażające rzeczy. Rzeczy, które zrobią na nich dostatecznie duże wrażenie, żeby się do nas przyłączyli.

– Umiesz przenosić energię? – pyta Winston, otwierając szeroko oczy. – Chcesz powiedzieć, że mogłabyś zabić wszystkich za jednym zamachem tym twoim numerem z wysysaniem życia?

– Hm, nie – mówię. – To znaczy, właściwie tak, myślę, że to też mogłabym zrobić, ale myślałam o czymś innym. Mogę przenosić swoją siłę. Nie to... wysysanie życia...

– Ale jaką siłę? – pyta Brendan zdezorientowany. – Myślałem, że twoja skóra zabija?

Wtedy przypominam sobie, że Brendan, Winston i Ian byli zakładnikami Andersona, zanim zaczęłam na poważnie trenować. Nie sądzę, żeby wiedzieli cokolwiek o moich po-stępach. Więc zaczynam od początku.

– Moja... moc ma związek nie tylko z moją skórą – wy-jaśniam. Zerkam na Kenjiego. Wskazuję na niego. – Pracuje-my razem już od jakiegoś czasu, próbując przekonać się, do czego właściwie jestem zdolna, i Kenji doszedł do wniosku, że moja prawdziwa energia drzemie głęboko we mnie, nie na powierzchni mojego ciała. Tkwi w moich kościach, krwi i skórze – tłumaczę. – To w gruncie rzeczy jakiś szalony rodzaj supersiły, a dotyk jest tylko jej częścią, najsilniejszym przejawem mojej energii, drastyczną formą ochrony. Moje ciało wytworzyło coś w rodzaju tarczy. Metaforyczny drut kolczasty do powstrzymania intruzów. – Mam ochotę się roześmiać, kiedy uświadamiam sobie, jak łatwo mi teraz o tym wszystkim mówić. Zastanawiam się, skąd się wzięła ta swoboda. – Ale jestem również dostatecznie silna, żeby gołymi rękami zniszczyć właściwie wszystko, i to bez najmniejszego zadrapania. Beton. Cegłę. Szkło...

– Ziemię – dodaje Kenji.

– Tak – mówię, uśmiechając się do niego. – Nawet ziemię.

– Wywołała trzęsienie ziemi – mówi entuzjastycznie Alia. Jestem zdumiona, słysząc jej głos. – Podczas pierwszej bitwy, kiedy próbowaliśmy was odbić. Rąbnęła w ziemię pięścią, a ziemia się rozstała. Dzięki temu przeżyliśmy – opowiada Brendanowi, Winstonowi i Ianowi. Chłopcy gapią się na mnie.

– Gdybym więc potrafiła przenosić swoją siłę i w pełni ją kontrolować? Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – Pewnie mogłabym przenosić góry.

– Nie wydaje ci się, że to dość ambitne? – Kenji uśmiecha się szeroko, jak dumny rodzic.

– Ambitne, ale możliwe. – Uśmiecham się do niego.

– No proszę – mówi Lily. – Więc możesz po prostu... niszczyć różne rzeczy? Co tylko zechcesz?

Kiwam głową. Zerkam na Warnera.

– Pozwolisz?

– Nie krępuj się – mówi. Jego oczy są nieprzeniknione.

Wstaję i podchodzę do stosu ciężarków, cały czas przygotowując się wewnątrz do zaczerpnięcia energii. Najtrudniejszą rzeczą jest dla mnie wciąż dostosowanie jej natężenia do potrzeb sytuacji.

Biorę dwudziestopięciokilogramowy ciężarek i przynoszę go do miejsca, w którym siedzi nasza grupa.

Przez chwilę zastanawiam się, jak to możliwe, że nie czuję jego ciężaru, skoro waży prawie połowę tego co ja.

Siadam na ławce. Kładę ciężarek na podłodze.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – pyta Ian, szeroko otwierając oczy.

– Co byś chciał, żebym zrobiła? – pytam.

– Chcesz powiedzieć, że potrafisz po prostu rozerwać to na kawałki, czy coś? – mówi

Winston.

Kiwam głową.

– Zrób to – mówi Kenji. Praktycznie podskakuje. – Zrób to zrób to.

Więc to robię.

Podnoszę ciężarek i dosłownie zgniatam go w dłoniach. Zostaje z niego nieregularna bryła metalu. Dwudziesto-pięciokilogramowa. Rozrywam ją na pół i rzucam obie części na podłogę.

Ławki drżą.

– Przepraszam. – Rozglądam się. – Nie chciałam narobić hałasu...

– C h o l e r a – mówi Ian. – Nieźle.

– Zrób to jeszcze raz – prosi Winston. Oczy mu błyszczą.

– Naprawdę wolałbym, żebyś nie niszczyła wszystkich moich rzeczy – protestuje Warner.

– Hej, więc... zaraz... – mówi Winston, zdając sobie z czegoś sprawę, gdy patrzy na Warnera. – Ty też to potrafisz, prawda? Potrafisz przejąć jej moc i wykorzystać ją w podobny sposób?

– Mogę przejąć moc każdego z was – poprawia go Warner. – I zrobić z nią, co tylko zechcę.

Przerażenie w sali jest niemal namacalne.

Patrzę na Warnera ze zmarszczonym czołem.

– Proszę cię, nie strasz ich.

Nie odpowiada. Patrzy w jakimś nieokreślonym kierunku.

– Więc wy dwoje. – Ian odzyskuje głos. – To znaczy, razem... wy dwoje moglibyście zasadniczo...

– Podbić świat? – Teraz Warner wpatruje się w ścianę.

– Chciałem powiedzieć, że moglibyście nieźle skopać komuś tyłek, ale w zasadzie owszem, to pewnie też. – Ian kręci głową.

– Jesteś pewna, że mu ufasz? – pyta Lily poważnie, wskazując kciukiem na Warnera.

Patrzy na mnie ze szczerą troską. – Co, jeśli tylko wykorzystuje cię dla twojej mocy?

– Powierzyłabym mu swoje życie – mówię cicho. – Już to zrobiłam i zrobiłabym to znowu.

Warner zerka na mnie i zaraz odwraca wzrok, ale dostrzegam w jego oczach wzruszenie.

– Więc jeśli dobrze rozumiem, plan jest taki, żeby uwieść żołnierzy i cywilów Sektora 45 i przekonać ich, żeby z nami walczyli? – pyta Winston.

Kenji zakłada ręce.

– Tak, wygląda na to, że musimy się puszyć jak pawie, w nadziei że zechcą się z nami parzyć.

– Obrzydliwe. – Brendan marszczy czoło.

– Niezależnie od tego, jak dziwnie ujął to Kenji – mówię, rzucając mu surowe spojrzenie – zasadniczo odpowiedź brzmi: tak. Stanowilibyśmy grupę, wokół której mogliby się zgromadzić. Możemy najpierw przejąć kontrolę nad armią, a potem nad ludźmi. A później poprowadzimy ich do bitwy. Faktycznie naprawdę ruszymy do kontrataku.

– A jeśli zwyciężycie? – pyta Castle. Dotąd cały czas milczał. – Co zamierzacie wtedy zrobić?

– Co ma pan na myśli? – pytam.

– Powiedzmy, że ci się uda – mówi. – Pokonasz naczelnego. Zabijesz jego i jego ludzi. Co wtedy? Kto przejmie władzę jako naczelnny dowódca?

– Ja.

W sali rozlega się okrzyk zdumienia. Czuję, jak Warner obok mnie zastyga w bezruchu.

– A niech to, księżniczko – mówi cicho Kenji.

– A potem? – pyta Castle, nie zwracając uwagi na pozostałych. – Co potem? – W jego oczach maluje się troska. Prawie strach. – Zamierzasz zabić wszystkich, którzy staną na twojej drodze? Przywódców pozostałych sektorów, w całym kraju? To 554 kolejne wojny...

– Niektórzy się poddadzą – mówię.

– A pozostali? – pyta. – Jak możesz prowadzić naród w odpowiednim kierunku, jeśli wymordujesz wszystkich, którzy się z tobą nie zgadzają? Czym będziesz się różniła od tych, których pokonasz?

– Mam do siebie zaufanie – mówię. – Wiem, że jestem dostatecznie silna, żeby zrobić to, co należy. W tej chwili nasz świat umiera. Sam pan powiedział, że jeszcze nie wszystko stracone, że mamy możliwość odzyskania ziemi. Przywrócenia dawnego porządku. Kiedy władza znajdzie się we właściwych rękach, naszych rękach, będzie można odbudować to, co zaczął pan w Punkcie Omega. Zaprowadzić zmiany, które wpłyną na ziemię, wodę, zwierzęta, atmosferę, i uratować dzięki temu miliony istnień, dając następnym pokoleniom nadzieję na lepszą przyszłość. Musimy spróbować – mówię. – Nie możemy siedzieć i patrzeć, jak ludzie umierają, skoro mamy możliwość coś zmienić.

W pokoju zapada cisza. Wszyscy zastygają w bezruchu.

– Cholera – mówi Winston. – Poszedłbym za tobą na wojnę.

– Ja też – wtóruje mu Alia.

– I ja. – To Brendan.

– Wiesz, że w to wchodzi – mówi Kenji.

– Ja też – powtarzają jednocześnie Lily i Ian.

Castle bierze głęboki oddech.

– Może – mówi, opierając się na krześle i splatając ręce. – Może uda ci się naprawić to, co ja zepsułem. – Kręci głową. – Jestem od ciebie dwadzieścia siedem lat starszy, a nigdy nie miałem takiej pewności siebie. Ale znam twoje serce. I wiem, że wierzysz w to, co mówisz. – Cisza. Ostrożne spojrzenie. – Pomożemy ci. Zdajesz sobie sprawę, że bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność? Taką, która może obrócić się przeciwko tobie, powodując nieodwracalne szkody?

– Rozumiem to – mówię cicho.

– Dobrze. A więc powodzenia i z Bogiem! Nasz świat jest w twoich rękach.

- Nie powiedziałaś, co sądzisz o moim planie.
- Warner i ja właśnie wróciliśmy do jego pokoju, a on wciąż nie odezwał się do mnie ani słowem. Stoi w drzwiach swojego gabinetu ze wzrokiem wbitym w podłogę.
- Nie myślałem, że interesuje cię moja opinia.
- Oczywiście, że interesuje.
- Naprawdę muszę wracać do pracy – mówi i odwraca się, żeby wyjść.
- Dotykam jego ramienia.
- Warner sztywnieje. Stoi nieruchomo, patrząc na rękę, którą trzymam na jego przedramieniu.
- Proszę – szepczę. – Nie chcę, żeby tak było między nami. Chcę, żebyśmy z sobą rozmawiali. Żebyśmy się naprawdę poznali jak należy. Żebyśmy byli przyjaciółmi...
- Warner wydaje dziwny dźwięk gdzieś z głębi gardła. Odsuwa się metr dalej.
- Robię, co mogę, skarbie. Ale nie umiem być tylko twoim przyjacielem.
- Przecież to nie musi być wszystko albo nic – mówię. – Są jeszcze jakieś rozwiązania pośrednie. Potrzebuję czasu, żeby cię zrozumieć... jako innego człowieka...
- Ale to wszystko. – Jego głos jest chropawy, słaby. – Potrzebujesz czasu, żeby zrozumieć mnie jako i n n e g o c z ł o w i e k a. Potrzebujesz czasu, żeby zmienić własny odbiór mojej osoby.
- Co w tym takiego złego...
- To, że ja nie jestem innym człowiekiem – mówi zdecydowanie. – Jestem tym samym człowiekiem, którym byłem zawsze, i nigdy nie próbowałem być inny. Źle mnie zrozumiałaś, Julio. Źle mnie oceniłaś, wzięłaś mnie za kogoś, kim nie jestem, ale to nie jest moja wina. Ja się nie zmieniłem i w przyszłości też się nie zmienię...
- Owszem, zmieniłeś się.
- Zaciska szczęki.
- Trzeba mieć tupet, żeby mówić z takim przekonaniem o sprawach, o których nie masz pojęcia.
- Przełykam głośno ślinę.
- Warner podchodzi do mnie tak blisko, że boję się poruszyć.
- Kiedyś oskarżyłaś mnie o to, że nie wiem, czym jest miłość – mówi. – Myliłaś się jednak. Winisz mnie może za to, że kocham cię za bardzo. – Jego oczy są takie poważne. Takie zielone. Takie zimne. – Ale przynajmniej nie wypieram się swoich uczuć.
- Uważasz, że ja to robię – szepczę.
- Warner spuszcza wzrok. Milczy.
- Nie rozumiesz – mówię łamiącym się głosem – że ja nawet nie umiem rozpoznać własnych uczuć. Nie wiem, jak nazwać to, co czuję, potrzebuję czasu, żeby to zrozumieć. Ty chcesz więcej już teraz, a ja teraz potrzebuję, żebyś był moim przyjacielem...
- Warner się wzdryga.
- Nie mam przyjaciół – mówi.
- Dlaczego nie możesz spróbować?
- Kręci głową.
- Dlaczego? Dlaczego nie dasz sobie szansy...
- Bo się boję – mówi wreszcie drżącym głosem. – Boję się, że twoja przyjaźń będzie moim końcem.

Wciąż stoję jak wryta, kiedy drzwi jego gabinetu się za nim zatrzasną.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek zobaczę Warnera w sportowych spodenkach.

Albo w trampkach.

A dziś ma na sobie jedno i drugie. Do tego T-shirt.

Teraz, kiedy nasza grupa przebywa w obiektach sportowych Warnera, mogę zaczynać dzień razem z nim. Zawsze wiedziałam, że dużo pracuje, ale nie sądziłam, że tak wiele czasu poświęca na trening. Jest taki zdyscyplinowany, taki dokładny. To mnie zadziwia.

Z samego rana ćwiczy na rowerze stacjonarnym, przed pójściem spać biega na bieżni. Każdego dnia skupia się na innej części ciała.

– W poniedziałki nogi. – Słyszałam, jak tłumaczył to Castle’owi. – We wtorki klatka piersiowa. W środy pracuję nad barkami i mięśniami pleców. W czwartki nad mięśniem trójgłowym i naramiennym. W piątki nad bicepsami i przedramionami. Do tego codzienne ćwiczenia mięśni brzucha i ćwiczenia z monitoringiem pracy serca. Większość weekendów spędzam na strzelnicy – powiedział.

Dzisiaj jest wtorek.

Oznacza to, że teraz przyglądam się, jak wyciska ponad sto pięćdziesiąt kilogramów. Po trzy dwudziestodwukilogramowe ciężarki po obu stronach czegoś, co, jak wyjaśnił mi Kenji, nazywa się sztangą olimpijską. Sama sztanga waży dodatkowo dwadzieścia kilogramów. Nie mogę oderwać wzroku od Warnera. Chyba jeszcze nigdy tak bardzo mnie nie pociągał.

Kenji przystaje obok mnie. Kiwa głową w stronę Warnera.

– Więc to cię kręci, co?

Jestem zażenowana.

Kenji śmieje się szczekliwie.

– Jeszcze nigdy nie widziałam go w sportowych ciuchach. – Staram się, żeby mój głos brzmiał normalnie. – Ani w szortach.

Kenji unosi brew.

– Założę się, że widziałas go bez.

Chciałabym umrzeć.

Przez najbliższy miesiąc Kenji i ja mamy trenować. Taki jest plan. Muszę nauczyć się walczyć i korzystać ze swojej siły, żeby nie dać się znowu obezwładnić. Mam kierować tą misją, a do tego niezbędna jest pewność siebie. Przede mną jeszcze wiele pracy. Muszę w każdej sytuacji umieć korzystać ze swojej energii, odpowiednio dostosowując jej natężenie. Innymi słowy, muszę biegle posługiwać się swoimi zdolnościami.

Kenji prowadzi własne treningi. Chce opanować do perfekcji umiejętność przenoszenia energii, tak żeby to robić bez konieczności fizycznego kontaktu z inną osobą. Tylko on i ja mamy do wykonania jakieś określone zadanie. Castle umie panować nad swoimi umiejętnościami od wielu lat, a pozo-stali są obdarzeni mniej skomplikowanymi zdolnościami, które w naturalny sposób kontrolują. W moim przypadku trzeba naprawić skutki siedemnastu lat traumatycznych doświadczeń.

Muszę zburzyć mury, które sama wybudowałam.

Dzisiaj Kenji zaczyna od łatwiejszych rzeczy: przesuwania hantli siłą woli. Ale udaje mi się osiągnąć tylko tyle, że ciężarek zaczyna drżeć. Nawet nie mam pewności, czy to ja to spowodowałam.

– Nie jesteś skoncentrowana – narzeka Kenji. – Musisz nawiązać łączność ze swoim wnętrzem, odnaleźć jądro swojego ciała i czerpać z niego, dosłownie wydobyć z siebie energię,

a potem skierować ją do celu, Dzej. To jest trudne tylko na początku, bo ciało przyzwyczaja się do tego, że energia jest w nim zamknięta. Dla ciebie to będzie szczególnie trudne, bo przez całe życie ją w sobie tłumiłaś. Musisz udzielić sobie pozwolenia na wypuszczenie jej. Przestać się pilnować. Odnaleźć ją. Okiełznać. Uwolnić.

Wciąż od nowa serwuje mi tę samą przemowę.

A ja wciąż próbuję i próbuję, i próbuję.

Liczę do trzech.

Zamykam oczy i tym razem próbuję naprawdę całkowicie się skupić. Podążam za nagłą potrzebą uniesienia ramion, rozstawiam stopy. Wypuszczam powietrze. Zaciskam opuszczone powieki. Czuję wzbierającą we mnie energię, czuję ją w kościach, we krwi, czuję, że zaczyna wrzeć i ogarnia mnie całą. Wreszcie osiąga punkt krytyczny, staje się tak potężna, że nie mogę jej już powstrzymać. Wiem, że muszę ją uwolnić, i to natychmiast.

Ale jak?

Do tej pory sądziłam, że aby uwolnić swoją moc, muszę czegoś dotknąć.

Nawet nie przyszło mi do głowy skierować na coś energię z większej odległości. Sądziłam, że moje dłonie są dla niej ostatecznym celem, w ogóle nie brałam pod uwagę możliwości użycia ich jako przekaźnika, kanału, którym energia może popłynąć dalej. A teraz zdaję sobie sprawę, że właśnie próbuję wypchnąć ją przez swoje dłonie, przez skórę – na zewnątrz. Może gdybym była dostatecznie silna, zdołałabym się nauczyć sterować jej strumieniem w powietrzu, sprawić, aby płynęła tam, gdzie chcę.

To nagłe odkrycie wywołuje u mnie nowy przypływ pewności siebie. Czuję się podekscytowana, chciałabym sprawdzić, czy moja teoria jest słuszna. Zbieram się w sobie i czuję, że energia powraca, że moje ręce się napinają, a ona opływa moje dłonie, nadgarstki, przedramiona. Jest taka ciepła, tak intensywna, przypomina coś namacalnego. Coś, w co można zanurzyć palec.

Zaciskam pięści.

Rozkładam ramiona.

A potem wyrzucam je przed siebie, otwierając jednocześnie dłonie.

Cisza.

Zerkam ostrożnie spod zmrużonych powiek na ciężarek. Ani drgnął.

Wzdycham.

– PADNIJ! – krzyczy Kenji, szarpiąc mnie do tyłu i przewracając. Wszyscy krzyczą i padają na podłogę. Wykręcam szyję i przekonuję się, że zasłaniają głowy rękami. Rozglądam się.

Panika odbiera mi mowę.

Skalną ścianę zaczynają przecinać szczeliny, dzieląc ją na dziesiątki fragmentów, a wszystko pęka i skrzypi. Wpatruję się przerażona w potężny, nierówny odłamek, który drży, jakby zaraz miał oderwać się od ściany.

Dokładnie pod nim stoi Warner.

Już mam zacząć krzyczeć, kiedy on podnosi głowę i wyciąga ręce w stronę powstałego zamętu. Drgania natychmiast ustają, odłamki unoszą się delikatnie i jakby z wahaniem wracają na swoje miejsca.

Moje usta wciąż są otwarte.

Warner patrzy w prawo. Kiwa głową.

Podążam za jego wzrokiem i dostrzegam Castle'a, który wykorzystując swoją moc, podtrzymuje ścianę z drugiej strony. Razem wyhamowują spadające na podłogę odłamki, pozwalając im spłynąć bezpiecznie na dół, po czym delikatnie umieszczają wyszczerbione

okruchy w szczelinach ściany.

Pozostali zdają sobie sprawę, że sytuacja została opanowana, i podnoszą głowy. Powoli wstajemy i przyglądamy się w osłupieniu, jak Castle i Warner powstrzymują katastrofę. Nic więcej nie jest uszkodzone. Nikt nie jest ranny. Wciąż szeroko otwieram oczy ze zdumienia.

Kiedy wreszcie praca jest ukończona, Warner i Castle dziękują sobie za współpracę i odchodzą każdy w swoją stronę.

Warner podchodzi do mnie. Castle do pozostałych.

– Nic ci nie jest? – pyta Warner. Jego ton jest oficjalny, ale zdradzają go oczy. – Nie zraniłaś się?

Kręcę głową.

– To było niesamowite.

– Nie ma w tym mojej zasługi – mówi. – Pożyczyłem moc Castle’a.

– Ale jesteś w tym taki d o b r y! – mówię, zapominając na chwilę, że mieliśmy się na siebie gniewać. – Dopiero co się dowiedziałeś, że masz ten dar, a już udało ci się doskonale nad nim zapanować. Przyszło ci to naturalnie. A kiedy ja próbuję zrobić postępy, o mało nie zabijam przy tym swoich przyjaciół. – Opuszczam głowę. – We wszystkim jestem najgorsza – mamroczę. – Najgorsza.

– Nie przejmuj się – mówi cicho. – Rozpracujesz to.

– Czy dla ciebie to w ogóle było trudne? – Patrzę na niego z nadzieją. – Nauczenie się, jak kontrolować energię?

– Och – mówi zaskoczony. – Nie. Chociaż zawsze byłem bardzo dobry we wszystkim, co robiłem.

Opuszczam głowę. Wzdycham.

Warner zaczyna się śmiać. Zerkam na niego.

Uśmiecha się.

– Co?

– Nic – szepcze.

Rozlega się ostry gwizd. Obracam się.

– Hej – warczy Kenji. – Rusz tyłek i chodź tu. – Specjalnie udaje zirytowanego. – Do roboty. I tym razem się skup. Nie tańczymy electric boogie. Nie udajemy małpy. Nie ciskamy głównem, gdzie popadnie.

Warner naprawdę się śmieje.

Głośno.

Kiedy patrzę w jego stronę, on odwraca wzrok, próbując powstrzymać szeroki uśmiech. Mierzwi włosy z tyłu głowy.

– Przynajmniej wreszcie ktoś docenia moje poczucie humoru – mówi Kenji i ciągnie mnie za ramię. – Chodź, księżniczko. Spróbujmy jeszcze raz. I proszę, postaraj się nikogo nie zabić.

Ćwiczyliśmy cały tydzień.

Ze zmęczenia ledwo trzymam się na nogach, ale zrobiliśmy większe postępy, niż się spodziewałam. Kenji dalej pracuje ze mną, Castle nadzoruje moje postępy, a pozostali ćwiczą w tym czasie na różnych urządzeniach.

Mam wrażenie, że Winston i Brendan z każdym dniem są w lepszej formie – wydają się zdrowsi, bardziej energiczni, a rana na twarzy Brendana zrobiła się trochę mniej wyraźna. Jestem szczęśliwa, widząc, że wracają do zdrowia, i bardzo się cieszę, że Delalieu udało się znaleźć dla nich odpowiednie lekarstwa.

Obaj dzielą czas między jedzenie, spanie, rower i bieżnię. Lily próbuje po trochu wszystkiego, dziś ćwiczy w kącie z piłkami lekarskimi. Ian trenował z hantlami i dotrzymywał towarzystwa Castle'owi, a Alia spędziła cały tydzień, siedząc w kącie i szkicując coś w notesie. Wydaje się szczęśliwsza, bardziej zadowolona. Nie daje mi spokoju myśl o Adamie i Jamesie, zastanawiam się, czy u nich wszystko w porządku. Mam nadzieję, że są bezpieczni.

W ciągu dnia Warner zawsze znika.

Co jakiś czas zerkam ukradkiem na drzwi windy w nadziei, że się otworzą i wyrzucą go do tej sali. Niekiedy zostaje z nami na krótko – wskakuje na rower albo biega – ale najczęściej go nie ma.

Właściwie widuję go tylko rano, kiedy przychodzi na pierwszy trening, i wieczorem, podczas treningu cardio. Moja ulubiona pora to zakończenie dnia, kiedy spotykamy się wszyscy razem i rozmawiamy o naszych postępach. Winston i Brendan zdrowieją, ja jestem coraz silniejsza, a Warner informuje nas o nastrojach cywilów, żołnierzy i działaczy Komitetu Odnowy. Jak na razie wszędzie cisza.

A potem Warner i ja wracamy do jego kwater, bierzemy prysznic i rozchodzimy się do pokoi. Śpię w jego łóżku. On śpi na kanapie w swoim gabinecie.

Każdej nocy powtarzam sobie, że zbiorę się na odwagę, żeby zapukać do jego drzwi, ale nigdy mi jej nie starcza.

Wciąż nie wiem, co powiedzieć.

Kenji ciągnie mnie za włosy.

– Au. – Odskakuję zagniewana. – Co ci odbiło?

– Jakoś wyjątkowo dzisiaj tęsknisz za rozumem.

– Co? Ostatnio mówiłeś, że dobrze mi idzie...

– Dobrze. Ale ciągle się rozpraszasz. Gapisz się na windę, jakby miała spełnić twoje trzy życzenia.

– Och – mówię. Odwracam wzrok. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. – Wzdycha. Marszczy odrobinę czoło. – Co się właściwie między wami dzieje? Chociaż nie wiem, czy chcę wiedzieć.

Wzdycham. Opadam na maty.

– Nie mam pojęcia, Kenji. Nie nadążam za nim. – Wzruszam ramionami. – Chyba wszystko w porządku. Potrzebuję trochę czasu.

– Ale on ci się podoba? – Kenji unosi brew.

Nie odpowiadam. Czuję ciepło na twarzy.

Kenji przewraca oczami.

– Naprawdę w życiu by mi nie przyszło do głowy, że Warner może cię uszczęśliwić.

– Czy ja wyglądam na szczęśliwą? – odparowuję.

– Słusznie. – Wzdycha. – Po prostu zawsze wydawało mi się, że jesteś szczęśliwa z Kentem. Trochę trudno mi się z tym oswoić. – Zastanawia się nad czymś. Pociera czoło. – Cóż. Właściwie to kiedy byłaś z Adamem, zachowywałaś się o wiele dziwniej. Użalałaś się. Dramatyzowałaś. I płakałaś. Cały. Cholerny. Czas. – Krzywi się. – Jezu. Nie mogę się zdecydować, który z nich był gorszy.

– Ja dramatyzuję? – pytam, otwierając szeroko oczy. – Czy ty w ogóle słyszałaś kiedyś siebie?

– Ja nie dramatyzuję, jasne? Moja obecność po prostu domaga się szczególnego rodzaju uwagi...

Prycham.

– Hej – celuje palcem w moją twarz. – Ja tylko mówię, że nie wiem, co o tym myśleć. Niezła karuzela. Najpierw Adam. Teraz Warner. W przyszłym tygodniu będziesz próbowała przyczepić się do mnie.

– Marzenia, co?

– Nieważne – mówi, odwracając wzrok. – Nawet cię nie lubię.

– Uważasz, że jestem ładna.

– Uważam, że masz urojenia.

– Sama nie wiem, na czym stoję, Kenji. – Patrzę mu w oczy. – Na tym polega problem. Nie wiem, jak to wyjaśnić, i nie jestem pewna, czy rozumiem swoje uczucia. Ale niezależnie od tego, jak to się nazywa, wiem, że nigdy nie czułam tego z Adamem.

Kenji przygląda mi się zaskoczony i przestraszony. Przez chwilę nic nie mówi.

Wypuszcza powietrze.

– Poważnie?

Kiwam głową.

– P o w a ż n i e poważnie?

– Taaak – mówię. – Czuję się taka... lekka. Mogłabym... Sama nie wiem... – Milknę. – Po raz pierwszy w życiu mam wrażenie, że wszystko jakoś się ułoży, a ja jestem silna.

– Ale to brzmi tak, jakby chodziło wyłącznie o ciebie – dziwi się Kenji. – To nie ma nic wspólnego z Warnerem.

– Rzeczywiście – przyznaję. – Czasami zdarza się, że inni nas przytłaczają. I wiem, że Adam nie miał takiego zamiaru, ale on mnie właśnie przytłaczał. Byliśmy dwojgiem smutnych ludzi, którzy trzymali się razem.

– Mhm. – Kenji odchyła się i podpira rękami.

– Z Adamem zawsze czułam się, jakby krążyło nad nami widmo czegoś bolesnego albo trudnego – mówię. – On zawsze był taki poważny. Czasem mnie to wyczerpywało. Ciągle się ukrywaliśmy, wymykaliśmy albo uciekaliśmy, jakoś nigdy nie mogliśmy pobyć razem w spokoju. Mam wrażenie, że cały wszechświat próbował mi powiedzieć, że za bardzo się staram, żeby nam się udało.

– Kent nie był taki znowu najgorszy, Dzej. – Kenji marszczy czoło. – Jesteś niesprawiedliwa. Ostatnio rzeczywiście zachowywał się jak palant, ale to porządny facet. Wiesz, że tak jest. Po prostu ma teraz naprawdę przesrane.

– Wiem – wzdycham. Nagle robi mi się smutno. – Ale świat wciąż się rozpada. Jeśli nawet wygramy tę wojnę, życie stanie się znacznie, znacznie gorsze, zanim cokolwiek zacznie się poprawiać. – Milknę. Wpatruję się w swoje dłonie. – A ja uważam, że najwięcej dowiadujemy się o ludziach właśnie wtedy, kiedy czasy są ciężkie. Przekonałam się o tym na własnej skórze. Jeśli chodzi o mnie samą, moich rodziców, a nawet całe społeczeństwo. I owszem, Adam to porządny facet. Naprawdę. Ale to, że jest porządnym facetem, nie czyni go

od razu właściwym facetem dla mnie.

Podnoszę wzrok.

– Jestem teraz inną osobą. Nie jestem już dla niego odpowiednią dziewczyną, a on nie jest dla mnie odpowiednim chłopakiem.

– Tylko że on nadal cię kocha.

– Nie – mówię. – Nie kocha.

– To dość ciężki zarzut.

– To nie jest żaden zarzut – mówię. – Pewnego dnia Adam zrozumie, że to, co do mnie czuł, było tylko jakimś szalonym aktem desperacji. Oboje bardzo potrzebowaliśmy kogoś bliskiego, nasze doświadczenia z przeszłości pozwalały nam myśleć, że tak świetnie do siebie pasujemy. Ale to nie wystarczyło. Bo gdyby wystarczyło, nie mogłabym tak łatwo odejść. – Spuszczam wzrok, ściszam głos. – Warner mnie nie uwiódł, Kenji. Ani mnie nie uprowadził. Ja po prostu... Osiągnęłam etap, w którym wszystko się dla mnie zmieniło. Sądziłam, że coś o nim wiem, ale nic z tego nie okazało się prawdą. Sądziłam, że wiem coś o sobie, ale co do tego też się pomyliłam. No i wiedziałam, że się zmieniam. Chciałam iść naprzód. Po raz pierwszy w życiu chciałam być wściekła, chciałam krzyczeć, ale nie umiałam. Wcześniej myślałam tylko o tym, że ludzie się mnie boją, więc próbowałam się zamknąć i zniknąć w nadziei, że dzięki temu poczuje się lepiej. Nie mogę sobie darować, że przez całe życie byłam taka bierna, teraz widzę, jak inaczej wszystko mogłoby wyglądać, gdybym wierzyła w siebie wtedy, kiedy to miało największe znaczenie. Nie chciałabym znowu taka być – mówię. – I już nie będę. Nigdy.

– Nie musisz – zauważa Kenji. – Dlaczego miałabyś taka być? Kent też na pewno nie chce, żebyś była bierna.

Wzruszam ramionami.

– Nie jestem pewna. Może on by wolał, żebym pozostała tą dziewczyną, w której się zakochał. Tą osobą, którą byłam, kiedy się poznaliśmy.

– A to źle?

– Ja już nią nie jestem, Kenji. Czy przypominam ci tamtą dziewczynę?

– A skąd niby mam wiedzieć?

– Nie wiesz – mówię rozdrażniona. – I dlatego nie rozumiesz. Nie wiesz, jaka kiedyś byłam. Nie wiesz, co się działo w mojej głowie. Żyłam w naprawdę ponurym świecie. Sama byłam dla siebie zagrożeniem. Budziłam się codziennie rano z nadzieją, że umrę, a potem spędzałam resztę dnia, myśląc, że może już nie żyję, skoro nie widzę nawet różnicy – mówię bardziej ostro, niż zamierzałam. – Kiedy pojawił się słaby promyk nadziei, uczepliłam się go. Głównie dlatego, że przez większość życia czekałam tylko na to, żeby ktoś się nade mną zlitował.

Kenji przygląda mi się w napięciu.

– Nie rozumiesz? Po prostu zdałam sobie sprawę – mówię z jeszcze większą wściekłością – że gdybym pozwoliła sobie na gniew dużo wcześniej, już dawno bym się zorientowała, że mogę rozwalić ten szpital psychiatryczny gołymi rękami!

Kenji się wzdryga.

– Nie rozumiesz, że nie mogę przestać o tym myśleć? – pytam drżącym głosem. – Nie mogę znieść świadomości, że sama odebrałam sobie wolność! Przez własną niechęć uznania siebie za ludzką istotę! Dwieście sześćdziesiąt cztery dni, Kenji – mówię, przetykając głośno ślinę. – Siedziałam tam dwieście sześćdziesiąt cztery dni, przez cały ten czas mogłam się wydostać i nie zrobiłam tego, bo nie miałam pojęcia, że to potrafię. Bo nigdy nawet nie spróbowałam. Bo świat nauczył mnie nienawiści do samej siebie, a ja mu na to pozwoliłam. Byłam tchórzem. Potrzebowałam drugiej osoby, która powiedziałaby mi, że jestem coś warta,

dopiero wtedy odważyłam się coś zrobić, żeby się ratować. Tu nie chodzi o Adama ani o Warnera – mówię. – Chodzi o mnie i o to, czego ja chcę. Gdzie chciałabym być za dziesięć lat. Bo zamierzam wtedy żyć, Kenji. Za dziesięć lat będę żyła i chcę być wtedy szczęśliwa. Zamierzam być silna. I nikt nie musi mnie już o tym zapewniać. Sama sobie wystarczę, zawsze tak będzie.

Oddycham ciężko, próbując uspokoić oszalałe serce.

Kenji wpatruje się we mnie lekko przestraszony.

– Chcę, żeby Adam był szczęśliwy, Kenji. Naprawdę tego chcę. Ale on i ja skończylibyśmy jak stojąca woda.

– Co masz na myśli?

– Woda, która nie płynie, jest dobra tylko przez jakiś czas. Z początku można ją pić, podtrzymuje życie. Ale jeśli stoi zbyt długo, zaczyna kisnąć. Jest nieświeża. Staje się toksyczna.

– Kręcę głową. – Ja potrzebuję fal. Wodospadów. Silnych prądów.

– Cholera – mówi Kenji. Śmieje się nerwowo, drapiąc się w tył głowy. – Powinnaś sobie spisać tę przemowę, księżniczko. Bo chyba będziesz musiała mu to wszystko powtórzyć.

– Co? – Całe moje ciało zastyga.

– Tak. – Kenji kaszle. – Adam i James jutro tu będą.

– Co?! – wykrzykuję.

– Tak. Kłopotliwe, czyż nie? – Próbuje się roześmiać. – Baaardzo kłopotliwe.

– Dlaczego? Skąd miałby się tu wziąć? Skąd to w ogóle wiesz?

– Po prostu... trochę jakby tam wracałem... – Odchrząkuje. – Żeby, no wiesz... chciałem się upewnić, że u nich wszystko w porządku. Głównie u Jamesa. Rozumiesz. – Odwraca wzrok. Rozgląda się.

– Upewnić się, że u nich wszystko w porządku?

– Tak. Żeby mieć pewność, że sobie radzą. – Kiwa głową nie wiadomo do kogo. – Powiedziałem mu, że mamy szalony plan – mówi, wskazując na mnie. – Dzięki tobie oczywiście. Naprawdę szalony plan. Więc... Powiedziałem mu, że jedzenie jest dobre, prysznic gorący... Żeby wiedział, że Warner nas nie wykiwał ani nic. No, i takie tam inne rzeczy.

– Jakie inne rzeczy? – pytam pod wpływem nagłego przeczucia. – Co mu powiedziałeś?

– Mmm... – Kenji wpatruje się w brzeg swojej koszulki, ciągnie ją.

– Kenji!

– No dobrze, posłuchaj – mówi, podnosząc ręce. – Tylko... Nie wściekaj się, dobrze?

– Już jestem wściekła...

– Oni tam umrą. Nie mogłem zostawić ich samym sobie... w tej norze. Szczególnie Jamesa... Szczególnie teraz, kiedy mamy porządny plan...

– Co mu powiedziałeś, Kenji? – Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Możliwe – mówi, cofając się jednocześnie. – Możliwe, że powiedziałem mu, jaką jesteś spokojną, racjonalnie myślącą, bardzo miłą osobą, która nie lubi krzywdzić innych, szczególnie swojego bardzo przystojnego przyjaciela Kenjiego...

– Do diabła, Kenji, mów, co zrobiłeś!

– Potrzebuję półtora metra – mówi.

– Co?

– Półtora metra. Przestrzeni – mówi. – Między nami.

– Dam ci piętnaście centymetrów.

Kenji głośno przełyka ślinę.

– W porządku. Możliwe... Możliwe, że mu powiedziałem, że... Ehm... Że za nim tęsknisz. Bardzo.

Jego słowa uderzają we mnie z taką siłą, że pod ich wpływem o mało się nie przewracam.
– Co zrobiłeś? – szepczę.
– Tylko w ten sposób mogłem go tu ściągnąć, jasne? Myślał, że kochasz Warnera, a ta jego duma to cholernie ciężka sprawa...

– Co ci odbiło?! – krzyczę. – Przecież oni się pozabijają!
– Może to dobra okazja, żeby się pogodzili – mówi Kenji. – A potem wszyscy zostalibyśmy przyjaciółmi, tak jak chciałaś...
– O, mój Boże – mówię, przecierając dłonią oczy. – Odbiło ci? Po co to zrobiłeś? Kolejny raz będę musiała złamać mu serce!

– Hmm, wiesz, tak sobie myślałem... Może mogłabyś udawać, że jakby... Warner cię nie interesuje? Tylko do końca wojny? Dzięki temu to wszystko byłoby trochę mniej stresujące. Potem byśmy się jakoś dogadali, a Adam i James nie umarliby tam zupełnie sami. Wiesz. Szcześnie zakończenie.

Jestem teraz taka wściekła, że cała się trzęsę.
– Powiedziałeś mi jeszcze coś, tak? – pytam, mrużąc oczy. – Powiedziałeś mi jeszcze coś. O mnie. Prawda?

– Co? – Kenji się cofa. – Nie...
– Czy to wszystko, co mi powiedziałeś? – naciskam. – Że za nim tęsknię? Czy może powiedziałeś mi coś jeszcze?

– Ach. Tak, teraz, skoro o tym wspominasz, to, uhm, możliwe, że mi powiedziałeś, uhm... Że wciąż jesteś w nim zakochana?

Mój mózg zaczyna krzyczeć.
– I... że... ciągle o nim mówisz? Możliwe też, że mi powiedziałeś, że dużo płaczesz, bo bardzo za nim tęsknisz. Może. Nie wiem, rozmawialiśmy o różnych sprawach, więc...

– ZAMORDUJĘ cię...
– Nie – mówi, celując we mnie palcem. Znowu się cofa. – Niedobra Julia. Nie lubisz zabijać ludzi, pamiętasz? Jesteś temu przeciwna, pamiętasz? Wolisz rozmawiać o uczuciach, o tęczach...

– Dlaczego, Kenji? – Opuszczam głowę i ukrywam twarz w dłoniach. – Dlaczego? Po co go okłamywałeś?

– Bo tak – rzuca zirytowany. – Bo to jakaś bzdura. Ludzie wkoło umierają. Tracą domy, rodziny... wszystko, co kochali. Ty i Kent powinniście umieć sobie poradzić z waszym głupim licealnym dramatem jak dorośli. Nie powinniśmy przez was tracić z sobą kontaktu. Straciliśmy już tylu innych – mówi ze złością. – A oni żyją, Dziej. Jeszcze żyją. – Patrzy na mnie. Oczy mu błyszczą, widać, że z trudem powstrzymuje wzruszenie. – To dla mnie wystarczający powód, żeby pomóc im przeżyć. – Odwraca wzrok. Zniża głos. – Proszę. To jakaś bzdura. To wszystko. Czuję się jak dziecko rozwodzących się rodziców. Nie chciałem go okłamywać, jasne? Nie chciałem. Ale przynajmniej przekonałem go do powrotu. I może kiedy się tu zjawi, będzie chciał zostać.

Piorunuję go wzrokiem.
– Kiedy tu będą?
Kenji bierze głęboki oddech.
– Przywiozę ich rano.
– Wiesz, że powiem o tym Warnerowi, prawda? Wiesz, że nie mogą cały czas być niewidzialni.

– Wiem – mówi.
– Świetnie. – Jestem tak wściekła, że brakuje mi słów. Nie mogę na niego patrzeć.

– Więc... – mówi Kenji – owocnej rozmowy.

Obracam się. Mój głos jest śmiertelnie cichy, moją twarz dzielą od jego twarzy zaledwie centymetry.

– Jeżeli oni się pozabijają, skręcę ci kark.

– Cholera, księżniczko. Kiedy zrobiłaś się taka agresywna?

– Nie żartuję, Kenji. Już raz próbowali i prawie im się to udało. Mam nadzieję, że nie umknął ci ten szczegół, kiedy fantazjowałeś na temat naszego „długo i szczęśliwie”. – Patrzę na niego z góry. – To nie jest bajka o dwóch chłopcach, którzy się nie lubią. To sprawa życia i śmierci.

Kenji wzdycha. Wbija wzrok w ścianę.

– Wszystko będzie dobrze – mówi. – Coś wymyślimy.

– Nie. To ty coś wymyślisz – poprawiam go.

– Dlaczego nie możesz zrozumieć moich intencji? – pyta. – Nie widzisz, o ile lepiej dla nas byłoby, żebyśmy wszyscy trzymali się razem? Nikt inny nam nie został, Dzej. Mamy tylko siebie. Nie powinniśmy cierpieć dlatego, że ty i Kent już się nie obściskujecie. Nie powinniśmy tak żyć.

Zamykam oczy. Wzdycham ciężko i próbuję się uspokoić.

– Rozumiem – mówię cicho. – Rozumiem, czym się kierujesz. Naprawdę, naprawdę. I kocham cię za to, że chcesz dobrze dla wszystkich, i za to, że się o mnie troszczysz, i za to, że chcesz, żebyśmy z Adamem znowu byli razem. Wiem, co teraz przechodzisz. I jest mi bardzo przykro, Kenji. Naprawdę. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe. Ale też właśnie dlatego nie rozumiem, dlaczego chcesz, żeby Warner i Adam musieli razem przebywać. Chcesz ich upchnąć w jednym pomieszczeniu. Na ograniczonej przestrzeni. Myślałam, że nie życzysz im śmierci.

– Według mnie widzisz to trochę pesymistycznie.

– Cholera, Kenji! – wołam, gestykulując z irytacją, i nawet nie zdaję sobie sprawy, co zrobiłam, kiedy nagle rozlega się trzask. Spoglądam w stronę, z której dochodzi dźwięk. Właśnie udało mi się przewrócić półkę z hantlami. Na drugim końcu pokoju.

Jestem chodzącą katastrofą.

– Muszę ochłonąć – mówię, starając się opanować głos. – Wrócę, kiedy będziesz spał, żeby ogolić ci głowę.

Kenji po raz pierwszy wydaje się szczerze przerażony.

– Nie zrobisz tego.

Idę w stronę przeciwległej ściany. Wciskam przycisk windy.

– Masz twarde sen, prawda?

– To nie jest śmieszne, Dzej... to wcale nie jest śmieszne...

Rozlega się dzwonek i drzwi windy się rozsuwają. Wsiadam.

– Dobranoc, Kenji.

Ciągle jeszcze coś krzyczy, gdy drzwi się zasuwiają.

Kiedy wracam do pokoju, Warner jest pod prysznicem.

Zerkam na zegar. Mniej więcej o tej porze Warner schodzi do sali gimnastycznej. Zwykle spotykam się tam z nim przy okazji naszego wieczornego podsumowania.

Tym razem padam twarzą na łóżko.

Nie wiem, co robić.

Adam ma się tu jutro pojawić, myśląc, że chcę z nim być. Nie chcę na nowo z nim zrywać, znowu patrzeć na ból w jego oczach. Nie chcę go zranić. Naprawdę nie chcę. Nigdy nie chciałam.

Zabiję Kenjiego.

Wsuwam głowę pod stertę poduszek i przyciskam je sobie do uszu, dopóki nie czuję, że udało mi się odciąć od świata. Nie chcę o tym teraz myśleć. Nie chcę myśleć o tym akurat w tej chwili. Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? Dlaczego?

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

Podskakuję, poduszki fruwiąją dokoła mnie, a ja zrywam się w tak idiotyczny sposób, że ląduję na podłodze. Jedna z poduszek spada za mną i uderza mnie w twarz.

Jęczę, przyciskając ją do piersi. Opieram na niej czoło, zaciskam powieki. Chyba jeszcze nigdy tak bardzo nie bolała mnie głowa.

– Julio? – pyta Warner niepewnie. – Wszystko w po-rządku?

Opuszczam poduszkę. Mrugam.

Jest owinięty ręcznikiem.

Ręcznikiem.

Mam ochotę wturlać się pod łóżko.

– Adam i James jutro tu będą – mówię nagle. Po prostu to mówię, zwyczajnie.

Warner unosi brwi.

– Nie wiedziałem, że są zaproszeni.

– Kenji chce ich tu przyprowadzić. Wymykał się stąd, żeby sprawdzić, jak się miewają, a teraz zamierza ich tu przyprowadzić. Jutro rano.

Warner zachowuje się powściągliwie. Jego twarz ani głos nie zdradzają uczuć. Równie dobrze mógłby rozmawiać o kolorze ścian.

– Sądziłem, że nie jest zainteresowany dołączeniem do twojego ruchu oporu.

Przez chwilę nie mogę uwierzyć, że leżę na podłodze z poduszką w objęciach, wpatrzona w Warnera ubranego tylko w ręcznik. Sama nie traktuję siebie poważnie.

– Kenji powiedział Adamowi, że wciąż jestem w nim zakochana.

O, proszę.

Błysk złości. Pojawia się i znika. Oczy Warnera iskrzą i gasną. Przez chwilę bez słowa wpatruje się w ścianę.

– Rozumiem – mówi cicho i spokojnie.

– Wiedział, że tylko w ten sposób może go przekonać, żeby do nas dołączył.

Warner nic nie mówi.

– Ale ja nie jestem. W nim zakochana. – Nie mogę uwierzyć, że te słowa tak łatwo opuszczają moje usta. Nie mogę uwierzyć, że czuję potrzebę wypowiedzenia ich głośno. Że w ogóle potrzebuję zapewniać o tym Warnera, akurat jego. – Zależy mi na Adamie. W sposób, w jaki zawsze zależało mi na tych nielicznych ludziach, którzy okazali mi w życiu życzliwość, ale wszystko inne po prostu... minęło.

– Rozumiem – mówi.
Nie wierzę mu.
– Więc co chcesz zrobić? – pytam. – Jutro? W kwestii Adama?
– Co twoim zdaniem należałoby zrobić?
Wzdycham.
– Będę musiała z nim porozmawiać. Będę musiała zerwać z nim po raz trzeci – mówię z jękiem. – Ależ to głupie – jęczę, wtulając twarz w poduszkę. – Strasznie głupie.
Wreszcie odrzucam poduszkę. Opuszczam ręce.
Ale kiedy znowu podnoszę wzrok, Warnera nie ma.
Siadam zaniepokojona. Rozglądam się.
Stoi w kącie i wkłada spodnie.
Wracam na łóżko, próbując nie patrzeć w jego stronę.
Zrzucam buty i zagrzebuję się w pościeli. Przekopuję się przez poduszki, aż moja głowa jest nimi całkiem przykryta. Łóżko się ugina i zdają sobie sprawę, że Warner siedzi obok.
Zdejmuje z mojej głowy jedną z poduszek. Pochyla się. Nasze nosy dzielą zaledwie centymetry.
– Wcale go nie kochasz? – pyta Warner.
Moje serce znowu przyspiesza. Mój głos głupieje.
– W sensie... jak kobieta mężczyznę?
Kiwa głową.
– Nie.
– On cię nie pociąga? – upewnia się.
– Ty mnie pociągasz.
– Mówię poważnie.
– Ja też.
Warner wciąż na mnie patrzy. Mruga. Raz.
– Nie wierzysz mi? – pytam.
Odwraca wzrok.
– Nie potrafisz tego poznać? – pytam. – Nie wyczuwasz tego?
Albo tracę rozum, albo Warner właśnie się zaczerwienił.
– Przeceniasz mnie, skarbie. – Wpatruje się w pościel, jego głos brzmi cicho. –
Rozczaruję cię. Jestem dokładnie tak niedoskonały, jak myślisz.
Siadam. Przyglądam mu się.
– Jesteś teraz zupełnie inny – szepczę. – Zupełnie inny, a jednocześnie taki sam.
– Co masz na myśli?
– Jesteś teraz taki delikatny. I bardzo... spokojny – mówię. – O wiele spokojniejszy niż przedtem.
Długo nic nie mówi. A potem wstaje.
– Tak, cóż, jestem pewien, że ty i Kishimoto znajdziecie jakieś wyjście z sytuacji.
Wybacz – mówi szorstkim tonem.
I wychodzi. Znowu.
Sama już nie wiem, co o nim sądzić.

Adam już tu jest.

Warnera zupełnie nie interesuje jego obecność. Widzie-liśmy się dość długo, żeby zdążyć mi powiedzieć, że tak czy owak nie ma zdania w kwestii Adama. A potem poszedł zająć się swoimi codziennymi obowiązkami, opuszczając poranne ćwiczenia.

A teraz jestem tu.

Właśnie wysiadłam z windy, jej dzwonek powiadomił wszystkich o moim przybyciu. Adam, który stał w kącie, rozmawiając z Jamesem, teraz wpatruje się we mnie.

To dziwne, jak się czuję, kiedy na niego patrzę. Żadnych gwałtownych emocji. Żadnego nadmiaru szczęścia ani smutku. Czuję się zupełnie normalnie. Nie jestem zdenerwowana. Nie jestem szczególnie radosna. Jego twarz jest znajoma, jego ciało również. Ten niepewny uśmiech, z którym na mnie patrzy, też dobrze znam.

Jakie to dziwne, że dwoje przyjaciół może zmienić się w nierozłączną parę, potem w nienawidzących się, a w końcu obojętnych sobie ludzi. I to wszystko w ciągu jednego życia.

– Cześć – mówię.

– Hej. – Odwraca wzrok.

– Cześć, James. – Uśmiecham się.

– Cześć! – Macha pogodnie. Stoi tuż obok Adama, oczy mu błyszczą i widać, że jest podekscytowany, będąc znowu wśród nas. – To miejsce jest rewelacyjne.

– Pewnie – zgadzam się. – Widziałeś już prysznic? Leci z nich ciepła woda.

– A, jasne – mówi trochę onieśmielony. – Kenji mi o tym mówił.

– Może pójdziesz się wykąpać? Delalieu niedługo przyniesie lunch. Jestem pewna, że Brendan pokaże ci szatnię i miejsce na wszystkie twoje rzeczy. Będziesz miał swoją szafkę – mówię, zerkając na Brendana. On kiwa głową i domyślając się, o co mi chodzi, natychmiast zrywa się na nogi.

– Naprawdę? – pyta James. – Rewelacja. To znaczy, że przynoszą wam tu jedzenie? I można brać prysznic, kiedy się chce? Jest godzina policyjna?

– Tak, tak, nie – odpowiada za jednym zamachem Brendan. Bierze Jamesa za rękę. Podnosi jego niewielką torbę. – Można chodzić spać, kiedy się chce – mówi. – Może po kolacji pokażę ci, jak korzystać z tych rowerów – dodaje. Jego głos cichnie i po chwili rozlega się tylko słabym echem, kiedy obaj znikają w szatni.

Mam wrażenie, że po wyjściu Jamesa wszyscy oddychają z ulgą.

Zbieram siły. Robię krok naprzód.

– Bardzo mi przykro – mówi Adam, idąc przez salę w moim kierunku. – Nie masz pojęcia...

– Adamie – przerywam mu spięta. Zdenerwowana. Muszę to powiedzieć od razu. – Kenji cię okłamał.

Adam staje. Nieruchomieje.

– Nie płakałam z tęsknoty za tobą – mówię, zastanawiając się, czy można przekazać tego rodzaju wiadomość, nie upokarzając go i nie łamiąc mu serca. Czuję się potworem. – I naprawdę, naprawdę jestem szczęśliwa, że tu jesteś, ale wcale nie uważam, że powinniśmy być razem.

– Och – mówi. Kiwa się na piętach. Spuszcza wzrok. Mierzi włosy obiema rękami. – Jasne.

Kątem oka dostrzegam, że Kenji mnie obserwuje. Macha ręką, próbuje zwrócić na siebie uwagę, ale jestem na niego zbyt wściekła, żeby zareagować. Nie chcę z nim rozmawiać, dopóki

tego nie załatwię.

– Przykro mi...

– Nie – mówi, podnosząc rękę, żeby mnie powstrzymać. Wydaje się oszołomiony.

Dziwnie się zachowuje. – W porządku. Naprawdę. Wiedziałem już, że to powiesz. – Śmieje się krótko, z zakłopotaniem. – Po prostu chyba liczyłem na to, że skoro jestem przygotowany, to nie poczuję się, jakbym dostał pięścią w brzuch. – Krzywi się. – Przeliczyłem się. I tak cholernie boli. – Opiera się o ścianę. Siada na podłodze.

Unika mojego wzroku.

– Skąd wiedziałeś? – pytam. – Skąd wiedziałeś, co zamierzam powiedzieć?

– Powiedziałem mu, zanim tu dotarliśmy – mówi Kenji, podchodząc do nas. Patrzy na mnie spode łba. – Przyznałem się do wszystkiego. Powiedziałem mu, o czym wczoraj rozmawialiśmy. Powtórzyłem mu, co powiedziałaś.

– A mimo to tutaj przyszedł? – pytam zdumiona. Odwracam się do Adama. – Wydawało mi się, że nie chcesz mnie więcej widzieć.

– Nie powinienem był tego mówić. – Adam wciąż stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Więc... Warner ci nie przeszkadza? – pytam.

Adam podnosi wzrok. Jego twarz w jednej chwili się zmienia. Jest pełen odrazy.

– Odbiło ci? Rozwaliłbym mu łeb o najbliższą ścianę.

– Więc dlaczego tu jesteś? – dziwię się. – Nie rozumiem...

– Bo nie chcę umrzeć – mówi. – Bo zachodziłem w głowę, jak nakarmić brata, i guzik mi się udało w tej kwestii wymyślić. Bo na zewnątrz jest zimno jak cholera, James jest głodny, a wkrótce wyłączą nam prąd. – Ciężko dyszy. – Nie wiedziałem, co robić, więc wsadziłem dumę do kieszeni i zgodziłem się waletować w kawalerce nowego chłopaka mojej byłej dziewczyny, i chcę umrzeć. – Przelyka ślinę. – Zniosę to, jeśli dzięki temu James będzie bezpieczny, ale na razie czekam, aż się pojawi twój gach i będzie próbował mnie zabić.

– On nie jest moim chłopakiem – mówię cicho. – I nie będzie próbował cię zabić. Nawet go nie obchodzi to, że tu jesteś.

Adam śmieje się głośno.

– Bzdura – mówi.

– Mówię poważnie.

Adam wstaje. Patrzy mi w oczy.

– Chcesz powiedzieć, że mogę tu zostać, w jego mieszkaniu, jeść jego jedzenie, a on mi na to po prostu pozwoli? – Adam otwiera szeroko oczy, pełen niedowierzania. – Nie rozumiesz tego gościa. On nie działa, tak jak ci się wydaje, Julio. On nie myśli jak normalna istota ludzka. To cholerny socjopata. A ty jesteś naprawdę szalona, skoro myślisz, że można z kimś takim być.

Wzdrygam się dotknięta.

– Uważaj na to, co mówisz. Nie będę tolerowała takich zniewag.

– Nie wierzę – mówi. – Nie wierzę, że możesz tu stać i traktować mnie w ten sposób. – Jego twarz się wykrzywia. Jest w niej teraz coś wyjątkowo niemilego.

Gniew.

– Nie chcę cię zranić...

– Może trzeba było o tym pomyśleć, zanim rzuciłaś się w ramiona jakiegoś psychopaty!

– Ochłoń, Kent – z rogu sali dobiega ostrzeżenie Kenji-go. – Miałeś być wyluzowany.

– Jestem wyluzowany! – podnosi głos. Oczy mu płoną. – Jestem cholernym aniołem. Nie znam nikogo równie wielkodusznego jak ja teraz. – Znowu patrzy na mnie. – Okłamywałaś mnie od początku. Zdradzałaś mnie...

– Nie zdradzałam.

– Coś takiego nie dzieje się z dnia na dzień! – krzyczy. – Człowiek nie odkochuje się tak nagle...

– Z nami koniec. Nie zamierzam przechodzić tego po raz kolejny. Możesz tu zostać, szczególnie dla dobra Jamesa. Ale jeśli chcesz tu zostać, przestań mnie obrażać. Nie masz do tego prawa.

Adam zaciska zęby. Chwyta swoje rzeczy. I rusza do szatni.

– Zabiję cię.

– Nie zachowywał się tak, kiedy do niego przychodziłem – mówi Kenji. – Przysięgam.

Był w porządku. Był smutny.

– Tak, no cóż, najwyraźniej widok mojej twarzy przywołał jego szczęśliwe wspomnienia. Kenji wzdycha. Odwraca wzrok.

– Naprawdę mi przykro – mówi. – Przysięgam. Ale on nie kłamał, Dzej. Ostatni raz, kiedy u nich byłem, nie mieli praktycznie niczego. Kent powiedział, że połowa zapasów się zepsuła, bo nie wiedział, że wybuch zniszczył półki w spiżarni. Niektóre słoiki popękały, a gryzonie i inne paskudztwo żarło ich jedzenie. No i byli tam zupełnie sami. Jest zimno jak cholera i nie masz pojęcia, jaki to był przygnębiający widok, a James...

– Rozumiem, Kenji. – Wypuszczam powietrze. Siadam na podłodze. – Naprawdę rozumiem.

Podnoszę głowę, rozglądam się. Wszyscy są zajęci swoimi sprawami. Bieganiem, szkicowaniem, trenowaniem albo podnoszeniem ciężarów. Widocznie też są zmęczeni tym dramatem. Nikt nie ma ochoty o tym słuchać.

Kenji siada obok mnie.

– Nie może mnie tak dalej traktować – mówię wreszcie. – I nie mam zamiaru po raz kolejny powtarzać tej samej rozmowy. – Podnoszę wzrok. – Ty go tu przyprowadziłeś. Jesteś za niego odpowiedzialny. Za trzy tygodnie mamy przystąpić do realizacji planu, i tak już ograniczyliśmy przygotowania do minimum. Muszę tu codziennie przychodzić i trenować, nie będę znosiła jego zaczepki.

– Wiem – mówi. – Wiem.

– To dobrze.

– Hej, więc... mówiłaś poważnie? – pyta Kenji. – Warnera nie obchodzi, że on tu jest?

– Poważnie. Dlaczego?

Kenji unosi brwi.

– To... dziwne.

– Pewnego dnia – mówię – zdacie sobie sprawę, że Warner nie jest takim świrem, za jakiego go uważacie.

– Jasne – odpowiada Kenji. – A może pewnego dnia przeprogramujemy ten czip w twojej głowie.

– Zamknij się. – Popycham go lekko ze śmiechem.

– W porządku. Wstawaj. Bierzemy się do roboty.

Alia zaprojektowała dla mnie nowy kombinezon.

Siedzimy na matach, jak co wieczór. Alia pokazuje nam swoje projekty.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak ożywionej.

O zawartości swojego szkicownika rozmawia z większą pewnością siebie niż o pogodzie. Szybko i pewnie opisuje szczegóły: wymiary, a nawet materiały, których będziemy potrzebowali, żeby go uszyć.

Ma być wykonany z węgla.

A dokładnie z włókna węglowego. Alia wyjaśniła, że włókno węglowe jest sztywne oraz szorstkie i dlatego będzie wymagało połączenia z czymś bardzo elastycznym, żeby wykonane z niego ubranie dało się nosić. Zamierza poeksperymentować z różnymi materiałami. Wspominała o jakichś polimerach. I o czymś syntetycznym. I jeszcze o masie innych rzeczy, o których nie bardzo mam pojęcie. Na jej szkicach włókna węglowe są wplecione w tkaninę, tworzą wytrzymały i lekki materiał, żeby mi lepiej służył.

To pomysł zainspirowany ochraniaczami na dłonie, które wcześniej dla mnie zaprojektowała.

Początkowo chciała zrobić kostium z tysięcy kawałeczków brązu, lecz zdała sobie sprawę, że nie dysponuje narzędziami niezbędnymi do wykonania dostatecznie małych elementów i kombinezon byłby przez to za ciężki. Ale pomysł z włóknem węglowym brzmi równie zadziwiająco.

– Ten materiał zadziała jak wzmacniacz twojej siły – mówi. – Włókna węglowe będą dla ciebie dodatkową ochroną. Nie można ich łatwo uszkodzić, więc będziesz mogła poruszać się swobodniej w trudnym terenie. A kiedy znajdziesz się w niebezpieczeństwie, pamiętaj, aby przez cały czas podtrzymywać stan electricum. Wtedy twoje ciało będzie praktycznie niezniszczalne – mówi.

– Co masz na myśli? – Patrzę to na nią, to na Castle'a w poszukiwaniu wyjaśnienia. – Jak to możliwe?

– Skoro możesz przebić się przez betonową ścianę i wyjść z tego cało, powinnaś również wytrzymać atak, na przykład strzały z broni palnej, nie odnosząc obrażeń. – Uśmiecha się. – Twoja moc czyni cię praktycznie niezwycięzoną.

To ci dopiero.

– Ten strój to zresztą głównie środek ostrożności – ciągnie. – Przekonaliśmy się już, że możesz uszkodzić sobie skórę, jeśli nie kontrolujesz w pełni swojej mocy. Kiedy zniszczyłaś podłogę w laboratoriach, myśleliśmy, że zostałaś ranna, bo użyłaś zbyt dużej siły. Ale po dokładniejszym przeanalizowaniu sytuacji i twoich zdolności Castle i ja uznaliśmy ten wniosek za nieprecyzyjny.

– Nasza energia nigdy nie jest niespójna – włącza się Castle, przytakując Alii. – Zawsze funkcjonuje według ściśle określonego wzoru. Jeśli nie zostałaś ranna, gdy przebiłaś się przez betonową ścianę, nie powinnaś się skaleczyć, robiąc szczelinę w ziemi, ani tym bardziej zrobić kolejnej szczeliny bez żadnych urazów. – Patrzy na mnie. – Twoje obrażenia są uzależnione od stopnia twojej kontroli nad własnymi umiejętnościami. Wystarczy, że przez chwilę nie będziesz mogła podtrzymać electricum, że choćby na moment „wyłączysz” dopływ energii, a staniesz się podatna na zranienie. Pamiętaj, że cały czas musisz być „włączona”. Jeśli ci się to uda, nikt cię nie pokona.

– Ale cię teraz nienawidzę – mamrocze Kenji pod nosem. – Praktycznie niezwycięzona,

w dupę jeża.

– Zazdrościsz? – Szczerzę zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie mogę na ciebie patrzeć.

– To było do przewidzenia. – Warner właśnie wszedł. Odwracam się. Idzie w naszą stronę, uśmiechając się niewyraźnie nie wiadomo do kogo. Siada naprzeciwko mnie. Patrzy mi w oczy. – Wiedziałem, że twoja moc będzie niezrównana, kiedy już ci się uda ją okiełznać.

Prawie nie oddycham.

Warner w końcu odwraca wzrok i rozgląda się po pokoju.

– Dobry wieczór wszystkim – mówi. Kiwa głową w stronę Castle’a. Szczególny rodzaj pozdrowienia.

Adam też zarezerwował sobie szczególny rodzaj pozdrowienia dla Warnera.

Wpatruje się w niego z głęboką, nieskrywaną nienawiścią, jakby naprawdę z całego serca pragnął jego śmierci. Zaczynam się denerwować nie na żarty. Patrzę to na Adama, to na Warnera i nie wiem, co robić. Boję się, że coś się stanie, a tak bardzo bym chciała, żeby zachowywali się jak ludzie cywilizowani.

– Cześć – mówi James tak głośno, że wszyscy podskakujemy. Patrzy na Warnera. – Co tutaj robisz?

Warner unosi brew.

– Mieszkam tu.

– To jest twój dom? – pyta James.

Dziwne. Ciekawe, co Adam i Kenji powiedzieli mu o miejscu, do którego szli.

Warner kiwa głową.

– Owszem, po części – mówi. – To między innymi mój dom. Mieszkam na górze.

– Super – James uśmiecha się szeroko. – Całe to miejsce jest super. – Marszczy czoło. – Hej, ale myślałem, że mamy cię nienawidzić.

– J a m e s – Adam rzuca bratu ostrzegawcze spojrzenie.

– Co? – pyta James.

– Możesz mnie nienawidzić – mówi Warner. – Jeśli masz ochotę. Nie przeszkadza mi to.

– No nie, przecież powinno ci przeszkadzać – dziwi się James. – Ja byłbym bardzo zdenerwowany, gdyby ktoś mnie nienawidził.

– Jesteś jeszcze mały.

– Mam prawie dwanaście lat – mówi James.

– Powiedziano mi, że masz dziesięć.

– Mówię przecież, że p r a w i e dwanaście. – James przewraca oczami. – A ty? Ile masz lat?

Wszyscy patrzą. Słuchają zafascynowani, nie mogąc oderwać od nich wzroku.

Warner przygląda się Jamesowi. Nie spieszy się z odpowiedzią.

– Dziewiętnaście.

Oczy Jamesa otwierają się szeroko.

– Jesteś tylko o rok starszy od Adama – mówi. – Jak to możliwe, że masz tyle fajnych rzeczy, skoro jesteś tylko o rok starszy od Adama? Nie znam nikogo w twoim wieku, kto miałby fajne rzeczy.

Warner patrzy na mnie. Potem z powrotem na Jamesa. Znowu na mnie.

– Masz coś do dodania, skarbie?

Kręcę głową. Z uśmiechem.

– Dlaczego mówisz do niej „skarbie”? – pyta James. – Mówiłeś tak już wcześniej. Słyszałem. Dużo razy. Jesteś w niej zakochany? Adam chyba jest w niej zakochany. Ale Kenji

nie jest. Już go o to pytałem.

Warner mruga.

– Więc? – pyta James.

– Więc co?

– Jesteś w niej zakochany?

– A ty?

– Co? – James się czerwieni. – Nie. Ona ma chyba z milion lat.

– Czy ktoś zechciałby kontynuować? – pyta Warner, rozglądając się wśród obecnych.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – nie daje za wygraną James. – Pytałem, dlaczego masz tyle rzeczy. Nie chcę być wścibski – zapewnia. – Naprawdę. Tylko się zastanawiam. Nigdy nie widziałem prysznic, z którego leciałaby ciepła woda. I masz tyle jedzenia. To musi być naprawdę fajne mieć cały czas tyle jedzenia.

Warner wzdyga się nieoczekiwanie. Przygląda się uważniej Jamesowi.

– Tak – mówi powoli. – Rzeczywiście nie najgorzej jest mieć cały czas jedzenie i ciepłą wodę.

– Więc odpowiesz na moje pytanie? Skąd masz to wszystko?

Warner wzdycha.

– Jestem głównodowodzącym i regentem Sektora 45 – mówi. – Aktualnie przebywamy na terenie bazy wojskowej. Do moich obowiązków należy nadzorowanie żołnierzy i cywilów, którzy zamieszkują okoliczne osiedla. Płacą mi za to, że tu mieszkam.

– Och. – James błędnie. Wydaje się śmiertelnie przerażony. – Pracujesz dla Komitetu Odnowy?

– Hej, w porządku, stary – mówi Kenji do Jamesa. – Jesteś tutaj bezpieczny. Jasne? Nikt nie zrobi ci krzywdy.

– Koleś w twoim typie, co? – warczy do mnie Adam. – Można nim straszyć dzieci!

– Miło cię znowu widzieć, Kent. – Warner obserwuje Adama. – Jak ci mija pobyt?

Adam wygląda, jakby siłą powstrzymywał się od powiedzenia Warnerowi wielu bardzo niemiłych rzeczy.

– Więc naprawdę dla nich pracujesz? – upewnia się szeptem James wpatrzony w twarz Warnera. Drży, aż serce się kraje. – Pracujesz dla Komitetu Odnowy?

Warner się zastanawia. Odwraca wzrok, a po chwili znowu patrzy na Jamesa.

– Teoretycznie – mówi. – Tak.

– Co to znaczy? – pyta James.

Warner wpatruje się w swoje dłonie.

– Co to znaczy: teoretycznie? – dopytuje się James.

– Pytasz o moją pracę? Czy o to, co znaczy słowo „teoretycznie”?

James milczy, jego panika na chwilę przeradza się w irytację. Wykrzywia buzię rozdrażniony.

– No dobra. Co znaczy słowo „teoretycznie”?

– Teoretycznie – mówi Warner – powinienem pracować dla Komitetu Odnowy. Ale skoro goszczę grupę rebeliantów w bazie wojskowej będącej własnością rządu, i to ni mniej, ni więcej tylko w swoich prywatnych kwaterach, utrzymuję tych rebeliantów, pomagając im obalić obecny reżim, powiedziałbym, że nie. Właściwie nie pracuję dla Komitetu Odnowy. To się nazywa zdrada – mówi do Jamesa. – Przystępstwo, które karane jest śmiercią.

James wpatruje się w niego przez długi czas.

– T o znaczy teoretycznie?

Warner podnosi wzrok na ścianę. Znowu wzdycha.

Powstrzymuję śmiech.

– Zaczekaj... to w takim razie ty nie jesteś tym złym gościem – mówi nagle James. – Jesteś po naszej stronie, tak?

Warner odwraca się powoli, żeby popatrzeć Jamesowi w oczy. Nic nie mówi.

– Więc? – pyta James niecierpliwie. – Jesteś po naszej stronie?

Warner mruga. Dwukrotnie.

– Na to wygląda – mówi z taką miną, jakby sam nie mógł w to uwierzyć.

– Może powinniśmy wrócić do rozmowy na temat kombinezonu – przerywa Castle.

Patrzy na Warnera z triumfalnym uśmiechem. – Alia spędziła wiele czasu nad tym projektem i wiem, że ma jeszcze kilka spraw do omówienia.

– Tak, tak – wtóruje mu podekscytowany Kenji. – Wygląda szalowo, Alia. Ja też chcę taki. Czy ja też mogę taki mieć?

Zastanawiam się, czy tylko ja zauważyłam drżenie dłoni Warnera.

– Uderz mnie.
 Warner stoi naprzeciwko mnie. Przechyla głowę na bok. Wszyscy nas obserwują.
 Kręcę energicznie głową.
 – Nie bój się, skarbie – mówi do mnie. – Chcę tylko, żebyś spróbowała.
 Stoi swobodnie z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Jest sobota rano, a więc ma dziś wolne od codziennych ćwiczeń. Postanowił popracować ze mną.
 Znowu kręcę głową.
 Śmieje się.
 – Treningi z Kenjim idą ci świetnie – mówi. – Ale to też jest ważne. Musisz nauczyć się walczyć. Musisz umieć się obronić.
 – Przecież umiem się obronić – mówię. – Jestem dostatecznie silna.
 – Siła to świetna rzecz. Ale bez odpowiedniej techniki niewiele znaczy. Jeśli można cię obezwładnić, to znaczy, że nie jesteś d o s t a t e c z n i e silna.
 – Nie sądzę, żeby można było mnie obezwładnić – mówię. – Nie tak naprawdę.
 – Podziwiam twoją pewność siebie.
 – Cóż, takie są fakty.
 – Kiedy po raz pierwszy spotkałaś się z moim ojcem... Czy on cię przypadkiem z początku nie obezwładnił? – pyta.
 Krew zastyga mi w żyłach.
 – A kiedy ruszyłaś do walki po moim opuszczeniu Punktu Omega, nie zostałam obezwładniona przez żołnierzy?
 Zaciskam pięści.
 – Nawet po tym, jak zostałam schwytana – mówi cicho – czy mojemu ojcu nie udało się kolejny raz cię pokonać?
 Zwieszam głowę.
 – Chcę, żebyś umiała się bronić – mówi Warner. Jego głos jest bardzo łagodny. – Chcę, żebyś się nauczyła walczyć. Kenji ma rację. Nie możesz tak po prostu rzucać energią na prawo i lewo. Musisz precyzyjnie opanować projekcję. Twoje ruchy powinny być w pełni świadome. Potrzebujesz całkowitej przewagi nad przeciwnikiem: fizycznej i intelektualnej. Siła to tylko pierwszy etap.
 Patrzę mu w oczy.
 – A teraz mnie uderz – mówi.
 – Nie umiem – przyznaję wreszcie zażenowana.
 Warner bardzo się stara powstrzymać uśmiech.
 – Szukasz ochotników? – Dobiega mnie pytanie Kenjiego. Podchodzi bliżej. – Bo skoro Julia nie jest zainteresowana, ja z przyjemnością skopię ci tyłek.
 – Kenji – warczę, odwracając się do niego. Mrużę oczy.
 – Co?
 – Dalej, skarbie – mówi Warner, nie zwracając uwagi na Kenjiego. Patrzy na mnie, jakby w sali w ogóle nikogo więcej nie było. Chcę, żebyś spróbowała. Użyj swojej siły. Włóż w to całą swoją moc. A potem przyłóż mi.
 – Boję się, że coś ci się stanie.
 Warner znowu się śmieje. Odwraca wzrok. Przygryza wargi, powstrzymując kolejny uśmiech.

– Nie zrobisz mi krzywdy – mówi. – Zaufaj mi.
– Dlatego, że potrafisz absorbować moc?
– Nie – mówi. – Dlatego, że nie u m i e s z zrobić mi krzywdy. Nie wiesz, jak to zrobić.
Marszczę czoło rozdrażniona.
– Dobra.

Biorę zamach, jakiego według mnie wymaga uderzenie. Ale moje ramię jest wiotkie, brakuje mi determinacji. W rezultacie wypada to tak żenująco, że prawie poddaję się w połowie.

Warner chwyta moje ramię. Patrzy mi w oczy.

– Skup się – mówi. – Wyobraź sobie, że jesteś przerażona. Jesteś przyparta do muru. Walczysz o życie. Broń się.

Cofam rękę, gotowa tym razem spróbować mocniej, z większą siłą, ale Warner mnie powstrzymuje. Chwyta mnie za łokieć. Potrząsa nim lekko.

– To nie baseball – mówi. – Nie musisz się obracać, nie unosź łokcia aż do ucha. Nie uprzedzaj przeciwnika o tym, co zamierzasz zrobić – poucza. – Cios powinien być zaskoczeniem.

Próbuję ponownie.

– Moja twarz jest pośrodku, skarbie, tutaj – mówi, stukając palcem w swój podbródek. – Dlaczego próbujesz uderzyć mnie w ramię?

Próbuję jeszcze raz.

– Lepiej. Kontroluj swoją rękę, trzymaj lewą pięść w górze, chroń twarz...

Wymierzam solidny, podstępny cios, choć wiem, że Warner nie jest na niego gotowy.

Reaguje błyskawicznie.

Jego dłoń nie wiadomo kiedy zaciska się na moim przedramieniu. Silnym szarpnięciem ciągnie moją rękę do przodu i w dół, aż tracę równowagę i przewracam się na niego. Nasze twarze są trzy centymetry od siebie.

Podnoszę głowę zawstydzona.

– To było urocze. – Nie jest rozbawiony. Wypuszcza mnie. – Spróbuj jeszcze raz.

Próbuję.

Blokuje cios, wierzchem dłoni uderzając wewnętrzną część mojego nadgarstka. Odpycha moje ramię.

Próbuję jeszcze raz.

Tą samą dłonią chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie. Pochyla się.

– Nie pozwól, żeby ktokolwiek złapał cię w taki sposób – mówi. – Bo to mu da nad tobą przewagę. – I jakby dla potwierdzenia swoich słów przyciąga mnie bliżej, a potem mocno odpycha.

Nie za mocno.

Ale wystarczająco.

Zaczynam się denerwować, a on to widzi.

Uśmiecha się.

– Naprawdę chcesz, żebym zrobiła ci krzywdę? – pytam, mrużąc oczy.

– Nie uda ci się to – mówi.

– Taki z ciebie chojrak?

– Udowodnij mi, że się mylę, skarbie. – Unosi brew. – Proszę.

Biorę zamach.

On blokuje cios.

Uderzam jeszcze raz.

Blokuje.

Jego przedramiona są ze stali.

– Myślałam, że mam się nauczyć uderzać p i ę ś c i ą – mówię, rozcierając ręce. –
Dlaczego wciąż uderzasz w moje przedramiona?

– To nie pięść jest źródłem twojej siły. Pięść to tylko narzędzie.

Jeszcze raz biorę zamach, ale w ostatniej chwili opuszcza mnie pewność siebie.

Chwyta moje ramię. Ciągnie je w dół.

– Jeśli już musisz się wahać – mówi – rób to celowo. Jeśli masz kogoś zranić, rób to celowo. Jeśli masz przegrać walkę, rób to c e l o w o.

– Ale... Ja po prostu nie umiem – skarżę się. – Ręce mi się trzęsą, bolą mnie ramiona...

– Zobacz, jak ja to robię – mówi. – Patrz na mnie.

Rozstawia stopy na szerokość ramion, nogi lekko ugina w kolanach. Unosi i cofa lewą pięść, chroniąc bok twarzy, a prawą wysuwa naprzód, nieco wyżej od lewej, po przekątnej. Łokcie trzyma blisko ciała, na wysokości klatki piersiowej.

Bierze zamach, powoli, abym mogła się przyjrzeć jego ruchom.

Jego mięśnie są napięte, a on sam skupiony na celu. W pełni kontroluje swoje ruchy. Jego siła pochodzi gdzieś z głębi ciała. Ten rodzaj siły zazwyczaj jest wynikiem wielu lat systematycznych treningów. Jego mięśnie same wiedzą, jak się poruszać. Znają techniki walki. Jego przewaga to nie żaden nadprzyrodzony zbieg okoliczności.

Jego pięści delikatnie muskają krawędź mojego podbródka.

W jego wykonaniu wygląda to banalnie. Nie miałam pojęcia, że to takie trudne.

– Chcesz się zamienić? – pyta.

– Co?

– Gdybym cię zaatakował, umiałabyś się obronić?

– Nie.

– Spróbuj – mówi. – Wystarczy, że postarasz się mnie zablokować.

– Dobrze – wzdycham. Nie mam na to najmniejszej ochoty. Jestem trochę oszołomiona i rozdrażniona.

Znowu bierze zamach, w zwolnionym tempie, żeby było mi łatwiej.

Uderzam go w ramię, chcąc je odepchnąć.

Opuszcza ręce. Powstrzymuje śmiech.

– Jesteś w tym gorsza, niż myślałem.

Krzywię się.

– Użyj przedramion – mówi. – Kontruj. Zablokuj mój cios i jednocześnie się przesun.

Pamiętaj, żeby poruszyć głową. Chcesz się odsunąć od niebezpieczeństwa. Nie wystarczy stać i trzepać mnie po rękach.

Kiwam głową.

Bierze zamach.

Blokuję cios za szybko, uderzając przedramieniem jego pięść. Mocno.

Krzywię się.

– Dobrze jest być przewidującym – mówi, patrząc przenikliwie. – Ale nie bądź niecierpliwa.

Kolejny zamach.

Chwytam jego przedramię. Wpatruję się w nie. Staram się pociągnąć je w dół, tak jak on wcześniej zrobił z moim, ale jego ręka dosłownie ani drgnie. Ani o centymetr. Równie dobrze mogłabym ciągnąć zalany betonem metalowy słupek.

– To było... niezłe. – Uśmiecha się. – Spróbuj jeszcze raz. Skup się. – Patrzy mi w oczy. – Skup się, skarbie.

– J e s t e m skupiona – upieram się zirytowana.

– Popatrz na swoje stopy – mówi. – Opierasz ciężar ciała na nodze wysuniętej do przodu. Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz przewrócić. Stań mocno w miejscu, ale bądź gotowa się poruszyć. Twój ciężar powinien się opierać na piętach – dodaje, klepiąc się w tył stopy.

– Świetnie – rzucam z wściekłością. – Stoję na piętach. Już się nie przewracam.

Warner patrzy na mnie. Patrzy mi w oczy.

– Nigdy nie stawaj do walki, kiedy jesteś wściekła – przestrzega. – Będiesz wtedy słaba i niezdarna. Złość rozproszy twoją uwagę, nie pozwoli kierować się intuicją.

Przygryzam policzek od wewnątrz. Jestem rozdrażniona i zażenowana.

– Spróbuj jeszcze raz – mówi wolno. – Zachowaj spokój. Uwierz w siebie. Jeśli nie uwierzysz, że to potrafisz, nie uda ci się.

Kiwam głową, lekko udobruchana. Próbuję się skoncentrować.

Mówię mu, że jestem gotowa.

Bierze zamach.

Moje lewe ramię ugina się w łokciu pod idealnie prostym kątem, uderzając jego przedramię tak mocno, że zatrzymuję jego ruch. Moja głowa usuwa się z linii ciosu, stopy są zwrócone w jego stronę. Wciąż stoję stabilnie.

Warner jest rozbawiony.

Zamierza się drugą pięścią.

Chwytam jego przedramię w powietrzu, zaciskam palce powyżej nadgarstka i wykorzystując jego zaskoczenie, pozbawiam go równowagi jednym pociągnięciem w dół, szarpiąc jednocześnie do przodu. Prawie na mnie wpada. Jego twarz znowu jest tuż naprzeciwko mojej.

Jestem tak zaskoczona, że przez chwilę nie wiem, co robić. Wpatruję się w jego oczy jak zahipnotyzowana.

– Popchnij mnie – szepcze.

Zaciskam uchwyt na jego przedramieniu i pcham z całej siły.

Leci do tyłu, dopiero w ostatniej chwili odzyskuje równowagę.

Zastygam w bezruchu. Wstrząśnięta.

Ktoś gwizdże.

Odwracam się.

Kenji klaszcze.

– Dobra robota, księżniczko – mówi, powstrzymując śmiech. – Kto by pomyślał.

Szczerzę zęby na wpół zażenowana, na wpół idiotycznie z siebie dumna.

Warner kiwa do mnie głową, uśmiechając się szeroko z drugiego końca sali.

– Dobrze – mówi. – Bardzo dobrze. Szybko się uczysz. Ale wciąż mamy mnóstwo do zrobienia.

Kiedy odwracam wzrok, kątem oka dostrzegam Adama.

Wygląda, jakby był wściekły.

Płyną dni unoszone w dal przez latawce.

Warner ćwiczy teraz ze mną każdego ranka. Kończy swój trening i kiedy ja kończę swój z Kenjim, poświęca mi dwie godziny. Codziennie, przez siedem dni w tygodniu.

Jest niezwykłym nauczycielem.

Ma do mnie tyle cierpliwości. Jest taki miły. Nigdy się nie denerwuje, nie przeszkadza mi, że potrzebuję tak dużo czasu, aby nauczyć się czegoś nowego. Powoli wyjaśnia mi znaczenie każdego drobiazgu, każdego ruchu, każdej pozycji. Chce, żebym rozumiała to, co robię na poziomie elementarnym. Dbą o to, żebym korzystała z przyswojonych informacji po swojemu, nie tylko naśladowując jego ruchy.

Wreszcie uczyć się być silna na wiele sposobów.

To dziwne. Nigdy bym się nie spodziewała, że opanowanie umiejętności zadania ciosu może cokolwiek zmienić w moim życiu, tymczasem okazało się, że dzięki niej mam znacznie więcej pewności siebie.

Jestem teraz o wiele bardziej świadoma własnego ciała.

Czuję swoją siłę. Potrafię nazwać poszczególne mięśnie, wiem dobrze, jak ich użyć i jak mogę je naciągnąć, jeśli zrobię to niewłaściwie. Mam coraz lepszy refleks i coraz bardziej wyostrzone zmysły. Zaczynam rozumieć otoczenie, przewidywać niebezpieczeństwo i rozpoznawać subtelne zmiany w mowie ciała zdradzające gniew i agresję.

A przenoszenie energii stało się dziecinnie proste.

Warner zgromadził różne rzeczy, które mam niszczyć, żeby wyćwiczyć celność. Kawałki drewna i metalu, stare krzesła i stoły. Bryły betonu. Wszystko, na czym mogłabym testować swoją siłę. Castle unosi przedmioty w powietrze, a moim zadaniem jest niszczenie ich z drugiego końca sali. Z początku było to właściwie niemożliwe. To bardzo intensywne ćwiczenie wymagające pełnej kontroli nad sobą.

A teraz to jedna z moich ulubionych zabaw.

Mogę zatrzymać i rozerwać w powietrzu każdą rzecz. Z dowolnego miejsca w sali. Wystarczą mi moje ręce, żeby kontrolować energię. Mogę skierować ją w dowolne miejsce, skupiając na jakimś niewielkim celu, a potem rozszerzam zasięg jej działania na obiekt o większej masie.

Mogę poruszyć dowolną rzeczą, która znajduje się w sali gimnastycznej. Nic nie sprawia mi już trudności.

Kenji uważa, że potrzebuję nowych wyzwań.

– Chcę ją zabrać na zewnątrz – oznajmia pewnego dnia Warnerowi jak gdyby nigdy nic. Wciąż nie mogę przywyknąć do tego, że rozmawia z nim tak bezpośrednio. – Myślę, że powinna zacząć eksperymentować z materiałami naturalnymi. Tutaj zbyt wiele rzeczy nas ogranicza.

Warner spogląda na mnie.

– Co o tym myślisz?

– Czy to bezpieczne? – pytam.

– Cóż, to chyba nie ma znaczenia, prawda? Za tydzień i tak będziemy walczyli na zewnątrz.

– Słusznie. – Siłę się na uśmiech.

W ciągu ostatnich tygodni Adam był bardzo milczący.

Może dlatego, że Kenji prosił go, aby uważał, a może po prostu pogodził się z sytuacją. Możliwe też, że zdał sobie sprawę, że nic mnie nie łączy z Warnerem. A ja sama już nie wiem,

czy się z tego cieszę, czy jestem rozczarowana.

Między Warnerem a mną zawiązała się jakaś nić porozumienia. Zbudowaliśmy poprawną, dziwnie formalną relację, balansującą między przyjaźnią a czymś więcej, co nigdy nie zostało określone.

Nie mogę powiedzieć, żeby było mi z tym dobrze.

Adam nie przeszkadza jednak Jamesowi rozmawiać z Warnerem. Kenji mówi, że Adam nie chce, żeby jego brat bał się tu mieszkać.

W rezultacie James na okrągło rozmawia z Warnerem.

Jest z natury ciekawski, a Warner bardzo skryty, co dodatkowo wzmacnia ciekawość Jamesa. Chłopiec zasypuje go pytaniami. Ich wymiana zdań dostarcza nam wiele rozrywki, a James jest w stosunku do Warnera rozbijającym bezpośrednio. Nikt inny by sobie na coś podobnego nie pozwolił.

W pewnym sensie to urocze.

Poza tym wszyscy robią postępy. Brendan i Winston czują się świetnie, Castle z każdym dniem jest w lepszym nastroju, a Lily, choć jest samowystarczalną dziewczyną, której nie trzeba zabawiać, najwyraźniej odpowiada towarzystwo Iana.

Przypuszczam, że w takim odosobnieniu ludzie siłą rzeczy zbliżają się do siebie.

Jak Adam i Alia.

Ostatnio spędzają z sobą dużo czasu. Nie wiem, co się za tym kryje. Może wyłącznie przyjaźń. Ale prawie zawsze, gdy jestem w sali gimnastycznej, Adam siedzi obok niej, przyglądając się, jak szkicuje, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie.

Ona ciągle się czerwieni.

Pod pewnymi względami przypomina mnie, taką jaką byłam kiedyś.

Uwielbiam Alię. Obserwując ich razem, zastanawiam się, czy tego właśnie zawsze szukał Adam. Miłej, cichej, delikatnej dziewczynki. Kogoś, kto mógłby być przeciwważą dla brutalnej rzeczywistości. Pamiętam, że kiedyś coś takiego powiedział. Powiedział, że to we mnie uwielbia. Że jestem taka d o b r a. Taka słodka. Że jestem ostatnią niewinną istotą na świecie.

Chyba od początku wiedziałam, że to nieprawda.

Może on też zaczyna to dostrzegać.

– Muszę dzisiaj odwiedzić matkę.

Te cztery słowa rozpoczynają nasz dzień.

Warner właśnie wyszedł z gabinetu. Włosy tworzą wokół jego głowy złocisty nieład, oczy są tak zielone, a jednocześnie tak przezroczyste, że wymykają się wszelkim próbom opisu. Nie zawraca sobie głowy zapinaniem wygniecionej koszuli, spodnie zwisają mu nisko na biodrach, bez paska. Wydaje się zupełnie zagubiony. Jakby tej nocy nie mógł spać. Tak bardzo chciałabym wiedzieć, co się dzieje w jego życiu, ale zdaję sobie sprawę, że nie powinnam o nic pytać. Co gorsza, wiem również, że nawet gdybym zapytała, nie powiedziałaby mi.

Nie ma już między nami żadnej zażyłości.

Najpierw nasze relacje zmieniały się bardzo szybko, a potem utknęły w miejscu. Nasze myśli, uczucia i wzruszenia zastygły w bezruchu. A teraz boję się, że jeśli zrobię niewłaściwy ruch, wszystko zepsuję.

Ale brakuje mi go.

Widujemy się codziennie, trenujemy i pracujemy razem, jesteśmy kolegami, ale to mi już nie wystarcza. Brakuje mi naszych szczerych rozmów, jego otwartego uśmiechu, tego, że ciągle patrzył mi w oczy.

Brakuje mi go.

Muszę z nim porozmawiać, ale nie wiem jak. Ani kiedy. Nie wiem, co powiedzieć.

Tchórz.

– Dlaczego właśnie dzisiaj? – pytam niepewnie. – Czy coś się stało?

Warner długo nie odpowiada, tylko wpatruje się w ścianę.

– Dzisiaj są jej urodziny.

– Och – szepczę. Serce mi pęka.

– Chciałaś potrenować na zewnątrz – mówi, wciąż patrząc przed siebie. – Z Kenjim.

Mogę cię zawieźć na terytoria nieuregulowane, jeśli obiecasz, że będziesz przez cały czas niewidzialna. Zabiorę was z powrotem, kiedy będę wracał. Co ty na to?

– Tak.

Nie mówi nic więcej, ale ma błędny, nieobecny wzrok. Patrzy w ścianę, jakby była oknem.

– Aaronie.

– Tak, skarbie.

– Boisz się?

Z trudem nabiera powietrza. Wypuszcza je powoli.

– Nigdy nie wiem, w jakim będzie stanie, kiedy przyjadę – mówi cicho. – Za każdym razem jest inna. Czasem jest tak odurzona lekami, że nawet się nie rusza. Czasem ma otwarte oczy, ale tylko wpatruje się w sufit. Czasem zachowuje się histerycznie.

Serce mnie boli.

– Dobrze, że wciąż ją odwiedzasz – mówię. – Wiesz o tym.

– Tak? – Śmieje się dziwnie, nerwowo. – Czasem nie jestem tego pewien.

– Owszem, to dobrze – wypowiadam te trzy słowa z pełnym przekonaniem.

– Skąd możesz wiedzieć? – Teraz przygląda mi się trochę tak, jakby się bał usłyszeć odpowiedź.

– Bo jeśli ona choćby przez sekundę zdaje sobie sprawę z tego, że jesteś z nią w pokoju, to znaczy, że podarowałaś jej wyjątkowy prezent. Nie odeszła zupełnie – mówię. – Ona wie.

Nawet jeśli nie zawsze i nawet jeśli nie może tego okazać. Wie, że tam był. A ja wiem, że to bardzo wiele dla niej znaczy.

Bierze kolejny drżący oddech. Wpatruje się w sufit.

– To naprawdę miłe, że tak mówisz.

– Naprawdę tak myślę.

– Wiem – mówi. – Wiem, że tak myślisz.

Przyglądam mu się jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy jakkolwiek moment jest odpowiedni, żeby zapytać o jego matkę. Jest tylko jedna rzecz, którą zawsze chciałam wiedzieć. Więc pytam.

– To ona dała ci tę obrączkę, prawda?

Warner nieruchomieje. Słyszę bicie jego serca.

– Co?

Podchodzę do niego i ujmuję jego lewą dłoń.

– Tę – mówię, wskazując na nefrytowy krążek, który zawsze nosi na małym palcu. Nigdy go nie zdejmuję. Nawet kiedy idzie pod prysznic. Ani kiedy kładzie się spać. Nigdy.

Kiwa głową, bardzo powoli.

– Ale... nie lubisz o niej mówić – ciągnę, przypominając sobie ostatni raz, kiedy zapytałam go o tę obrączkę.

Mija dokładnie dziesięć sekund, zanim znowu zaczyna mówić.

– Nigdy nie było mi wolno przyjmować prezentów – mówi bardzo, bardzo cicho. – Od nikogo. Mój ojciec nienawidził samej idei obdarowywania się. Nie znosił urodzinowych przyjęć ani świąt. Nigdy nie pozwolił nikomu dawać mi czegokolwiek, szczególnie matce. Powiedział, że przyjmując prezenty, stanę się słaby. Sądził, że przez to nauczę się liczyć na miłosierdzie innych. Ale któregoś dnia się ukryliśmy. Moja matka i ja. – Ma szeroko otwarte oczy i nieobecny wzrok. Myślni jest zupełnie gdzie indziej. Mam wrażenie, jakby nie mówił do mnie. – To były moje szóste urodziny, a ona próbowała mnie ukryć. Bo wiedziała, co on chce mi zrobić. – Mruga. Jego głos zamienia się w szept, na wpół zamarły ze wzruszenia. – Drżały jej ręce. Pamiętam, bo wciąż na nie patrzyłem. Przyciskała moją dłoń do swojej piersi. Na palcu miała tę obrączkę. – Milknie pograżony we wspomnieniach. – Nie widziałem w życiu zbyt wiele biżuterii. Właściwie w ogóle nie wiedziałem, co to jest. Ale ona zauważyła, że się przyglądam. Chciała odwrócić moją uwagę. Chciała mnie czymś zająć.

Mój żołądek grozi mi buntem.

– Więc opowiedziała mi bajkę. Bajkę o chłopcu, który od urodzenia miał bardzo zielone oczy, i o mężczyźnie, który był tak zauroczony ich kolorem, że przeszukał cały świat, żeby znaleźć kamień o dokładnie tym samym odcieniu. – Jego głos przechodzi w szept tak cichy, że prawie go nie słyszę. – Powiedziała, że ten chłopiec to ja, że ta obrączka została wykonana z tego właśnie kamienia, a ów mężczyzna podarował ją jej, żeby ona mogła przekazać ją mnie. To był jego prezent dla mnie z okazji urodzin. – Milknie. Nabiera powietrza. – A potem zdjęła ją i wsunęła na mój palec wskazujący, mówiąc: „Jeśli ukryjesz przed nim swoje serce, on nigdy nie będzie mógł ci go odebrać”.

Patrzy w bok.

– To jedyny podarunek, jaki kiedykolwiek otrzymałem – mówi.

Moje łyzy płyną do wewnątrz, pieką mnie w gardle.

Przez cały dzień czuję się dziwnie.

Nie najlepiej. Kenji jest zachwycony, że wychodzimy z bazy, podekscytowany możliwością przetestowania mojej siły w nowych warunkach, a pozostali zazdroszczą nam, że wychodzimy. Powinnam się cieszyć. Powinnam podzielać entuzjazm Kenjiego.

A jednak czuję się dziwnie.

Błądzą myślami w jakimś nieznanym miejscu. Pewnie dlatego, że nie zdołałam się jeszcze otrząsnąć po opowieści Warnera. Nie mogę przestać sobie wyobrażać, jaki był w przeszłości. Jako małe przerażone dziecko.

Teraz nikt nie wie, dokąd on zmierza. Nikt nie zna go naprawdę. A on nadal nie zdradza swoich prawdziwych uczuć. Jest zawsze spokojny, opanowany. Oszczędny w słowach, ostrożny w czynach.

Kenji i ja za chwilę się z nim spotkamy.

Opuszczamy salę przez drzwi w ścianie z bronią. Nareszcie będę mogła zobaczyć na własne oczy, którędy Warner wprowadził ich do środka. Idziemy przez strzelnicę.

Są tu stanowiska strzelnicze i niewielkie przegródki z tarczami w odległości kilkudziesięciu metrów. W tej chwili pomieszczenie jest puste. To musi być jeszcze jedna sala treningowa Warnera.

Na jej końcu są drzwi, które Kenji teraz popycha. W ogóle nie musi mnie już dotykać, żebym pozostała niewidzialna, to bardzo wygodne. Możemy się swobodnie poruszać, pod warunkiem że odległość między nami nie przekracza piętnastu metrów. Dzięki temu nasza praca na zewnątrz jest możliwa.

Przechodzimy przez drzwi.

Znajdujemy się teraz w ogromnym magazynie.

Pomieszczenie ma długość przynajmniej stu pięćdziesięciu metrów i co najmniej dwa razy taką wysokość. Nigdy w życiu nie widziałam takiej ilości pudeł. Nie mam pojęcia, co w nich jest, ani czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Kenji ciągnie mnie przez labirynt.

Kluczemy wśród skrzyń we wszystkich możliwych rozmiarach, uważając, żeby nie przewrócić się o kable i urządzenia do transportu cięższych ładunków. Są tu niezliczone rzędy regałów podzielone na poziomy, na których wszystko jest przechowywane w uporządkowanych sekcjach. Dostrzegam, że na każdej półce i w każdym przejściu znajdują się etykiety, ale nie mogę teraz podejść dostatecznie blisko, żeby przeczytać, co na nich napisano.

Wreszcie docieramy do końca magazynu. Jest tam dwoje potężnych, piętnastometrowych drzwi. Wychodzimy nimi na rampę do załadunku ciężarówek i czołgów. Kenji chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie. Mijamy kilku stojących przy wyjściu strażników. Przebiegamy między ciężarówkami zaparkowanymi wokół strefy załadunkowej i docieramy do umówionego miejsca, w którym powinniśmy znaleźć Warnera.

Szkoda, że Kenjiego nie było pod ręką, kiedy pierwszy raz znalazłam się w bazie. O ileż przyjemniej byłoby po prostu wyjść stąd jak człowiek, zamiast jechać korytarzami na chwiejnym, podskakującym wózku do przewożenia posiłków, trzymając się kurczowo jego nóg.

Warner stoi oparty o czołg.

Oba włady pojazdu są otwarte, a on rozgląda się, jakby nadzorował pracę przy załadunku. Kiwa głową do kilku przechodzących żołnierzy.

Wsiadamy od strony pasażera.

I kiedy już mam szepnąć Warnerowi, że jesteśmy, on okrąża czołg i podchodzi do niego od naszej strony.

– Uważaj na nogi, skarbie – mówi i zamyka klapę.

A potem wsiada od drugiej strony. Rusza.

Wciąż jesteśmy niewidzialni.

– Skąd wiedziałeś, że jesteśmy w środku? – pyta Kenji od razu. – Widzisz niewidzialnych ludzi?

– Nie – odpowiada Warner, patrząc przed siebie. – Ale czuję waszą obecność. Przede wszystkim jej.

– Naprawdę? – pyta Kenji. – To jakieś pokręcone. A co czujesz w mojej obecności? Pierniczki świąteczne?

Warnera to nie bawi.

Kenji chrząka.

– Dżej, myślę, że powinniśmy zamienić się miejscami.

– Dlaczego?

– Zdaje się, że twój chłopak dotyka mojej nogi.

– Nie pochlebiaj sobie – mówi Warner.

– Zamień się ze mną, Dżej. Przez niego dostaję gęsiej skórki i w ogóle czuję się tak, jakby miał mnie zaraz zadźgać nożem.

– Dobrze. – Wzdycham. Próbuję precyzyjnie się ponad nim, ale nie jest to łatwe, zważywszy, że nie widzę ani jego, ani własnego ciała.

– Au, cholera, prawie kopnęłaś mnie w twarz...

– Przepraszam – mówię, przechodząc niezdarnie nad jego kolanami.

– Po prostu się przesuń – mówi. – Boże, ile ty ważysz...

Nagle usuwa się na bok, jednocześnie lekko mnie odpychając.

Upadam twarzą na kolana Warnera.

Warner gwałtownie nabiera powietrza. Siadam niezdarnie, czerwieniąc się. Co za ulga, że nikt mnie teraz nie widzi.

Mam ochotę dać Kenjiemu po nosie.

Przez chwilę nikt się nie odzywa.

Kiedy zbliżamy się do terytoriów nieuregulowanych, kraj-obraz zaczyna się zmieniać. Proste, nieoznakowane, źle utwardzone drogi ustępują miejsca ulicom naszego dawnego świata. Domy są pomalowane w kolorach, które dawno temu miały być radosne, a wzdłuż ulic ciągną się chodniki, którymi dzieci mogłyby bezpiecznie wracać ze szkoły. Teraz domy się wałą.

Wszystko jest porozbijane i zdewastowane. Okna zabito deskami. Trawniki porastają zmarznięte chwasty. Rześkie zimowe powietrze nadaje okolicy posępny wygląd, pozwalając wierzyć, że o innej porze roku wszystko to mogłoby wyglądać inaczej. Kto wie.

Warner zatrzymuje czołg.

Wysiada, podchodzi do wjazdu od naszej strony i na wypadek, gdyby ktoś go widział, udaje, że otwiera go w jakimś celu. Żeby zajrzeć do środka. Zbadać jakiś problem.

Chwytam Warnera za rękę, bo wiem, że nie może mnie zobaczyć. Jego palce natychmiast zaciskają się wokół moich. Wbijają wzrok w ziemię.

– Wszystko będzie dobrze – mówię mu. – Jasne?

– Tak – mówi. – Z pewnością masz rację.

Waham się.

– Wrócisz niedługo?

– Tak – szepcze. – Wrócę po was dokładnie za dwie godziny. Wystarczy wam tyle czasu?

– Tak.

– Dobrze. Za dwie godziny w tym samym miejscu.

– W porządku.

Przez chwilę milczy.

– No dobrze – mówi wreszcie.

Ściskam jego dłoń.

Uśmiecha się do ziemi.

Wstaję, a on się odsuwa, żeby zrobić mi miejsce. Kiedy się mijamy, dotykam go przelotnie. Żeby pamiętał. Że przy nim jestem.

Wzdryga się zaskoczony i cofa o krok.

A potem wsiada z powrotem do czołgu i odjeżdża.

Warner się spóźnia.

Naszą sesję szkoleniową można uznać za połowiczny sukces. Większość czasu minęła nam na kłótniach o to, gdzie które z nas stało i na co patrzyło. Następnym razem będziemy musieli wymyślić lepszy sposób porozumiewania się, bo skoordynowanie treningu dwóch niewidzialnych osób jest znacznie trudniejsze, niż nam się wydawało. To cenne doświadczenie.

Więc teraz, zmęczeni i trochę rozczarowani tym, że zrobiliśmy niewielkie postępy, czekamy w tym samym miejscu, w którym Warner nas wysadził.

A Warner się spóźnia.

To niezwykle, z wielu powodów. Po pierwsze, Warner nigdy się nie spóźnia. Nigdzie. A po drugie, gdyby już miał się gdzieś spóźnić, z pewnością nie zrobiłby tego w sytuacji takiej jak ta. Sytuacja taka jak ta jest na to stanowczo zbyt niebezpieczna. Nie postąpiłby lekkomyślnie. Wiem, że nie.

Chodzę nerwowo w tę i z powrotem.

– Wyluzuj – uspokaja mnie Kenji. – Po prostu coś go zatrzymało. Pewnie chodzi po bazie i gwiazdorzy.

– Gwiazdorzy? Co to w ogóle za słowo?

– Ma litery, nie? Dla mnie brzmi jak słowo.

Jestem zbyt zdenerwowana, żeby się teraz przekomarzać.

Kenji wzdycha. Słyszę, jak tupie głośno, żeby się rozgrzać.

– Zaraz tu będzie.

– Coś mi nie daje spokoju, Kenji.

– Mnie też – mówi. – Jestem głodny jak wilk.

– Warner by się nie spóźnił. To nie w jego stylu.

– Skąd wiesz? – odparowuje Kenji. – Jak długo właściwie go znasz? Od pięciu miesięcy? Wydaje ci się, że wszystko o nim wiesz? Może zasiedział się w nielegalnym klubie jazzo-wym, w którym występuje? Może śpiewa teraz a cappella ubrany w błyszczącą kamizelkę albo tańczy kankana.

– Warner nie chodzi w błyszczących kamizelkach – warczę.

– Ale kankan by go kręcił. Co do tego się zgadzamy.

– Kenji, kocham cię, naprawdę, ale tak się denerwuję, że aż mnie mdli. Im więcej mówisz, tym bardziej mam ochotę cię zabić.

– Nie flirtuj ze mną, Dzej.

Jestem nadąsana i rozdrażniona. Boże, tak się martwię.

– Która godzina?

– Druga czterdzieści pięć.

– Coś jest nie tak. Powinniśmy iść go szukać.

– Nawet nie wiemy, dokąd pojechał.

– Ja wiem – mówię. – Wiem, gdzie on jest.

– Co takiego? Skąd?

– Pamiętasz, gdzie po raz pierwszy spotkaliśmy się z Ander-sonem? – pytam. – Pamiętasz, jak trafić na ulicę Sycamore?

– Taaak... – mówi powoli Kenji. – Dlaczego pytasz?

– To jakieś dwie przecznice stąd.

– Hm. I co z tego? Co on miałby tam robić?

– Pójdiesz ze mną? – pytam nerwowo. – Proszę...? Na-tychmiast...?

– No dobrze – wzdycha bez przekonania. – Ale tylko dlatego, że jestem zaintrygowany. Może jeszcze dlatego, że tu jest zimno jak diabli i muszę się rozruszać, żeby nie zamarznąć na śmierć.

– Dziękuję – mówię. – Gdzie jesteś?

Dajemy sobie nawzajem sygnały głosowe, aż w końcu na siebie wpadamy. Kenji wsuwa rękę pod moje ramię. Tulimy się do siebie, żeby się ogrzać.

On prowadzi.

To tutaj.

Turkusowy dom. Ten, w którym się niedawno ocknęłam. Ten, w którym kiedyś mieszkał Warner. Ten, w którym przebywa jego matka. Stoimy przed wejściem. Wszystko wygląda dokładnie tak jak wtedy, kiedy byłam tu poprzednio. Pięknie i przerażająco. Dzwoneczki wietrzne kołyszą się na wszystkie strony.

– Co u licha Warner miałby tu robić? – pyta Kenji. – Co to za miejsce?

– Nie mogę ci powiedzieć – odpowiadam.

– Dlaczego?

– Bo to jego prywatna sprawa.

Kenji przez chwilę milczy.

– Więc co mam robić?

– Czy mógłbyś tu na mnie poczekać? – pytam. – Czy jeżeli sama wejść do środka, pozostanę niewidzialna? Czy znajdę się poza zasięgiem?

Kenji wzdycha.

– Nie wiem. Jeszcze tego nie sprawdzałem. W każdym razie możesz spróbować. – Zastanawia się chwilę. – Ale jeżeli zamierzasz wejść do środka beze mnie, to pospiesz się, proszę. Zaraz odmrozę sobie tyłek.

– Tak. Obiecuję. Będę się spieszyła. Chcę się tylko upewnić, że wszystko w porządku... Że on tutaj jest. Bo jeśli nie ma go w środku, może już czeka na nas tam, gdzie nas wysadził.

– I okaże się, że tylko tracimy czas.

– Przykro mi – wzdycham. – Naprawdę mi przykro. Ale po prostu muszę się upewnić.

– Idź – mówi. – Idź i wracaj szybko.

– W porządku – szepczę. – Dziękuję.

Puszczam ramię Kenjiego i wchodzę po schodkach na niewielki ganek. Sprawdzam klamkę. Drzwi nie są zamknięte. Popycham je i wchodzę do środka.

To tu Anderson do mnie strzelił.

Plama krwi została już usunięta z podłogi. Może wymieniono dywan. Co za różnica. Tak czy owak, natychmiast otaczają mnie wspomnienia. Robi mi się niedobrze. Wszystko w tym domu jest nie tak. Wszystko jest nie tak. Jakieś chore.

Coś się stało.

Czuję to.

Ostrożnie zamykam za sobą drzwi. Skradam się po schodach, pamiętając o tym, że niektóre deski skrzypiały, kiedy przywieziono mnie tutaj po raz pierwszy. Udaje mi się ominąć najbardziej hałaśliwe stopnie. Dzięki Bogu, szum wiatru zagłusza moje kroki na pozostałych.

Na górze jest troje drzwi. Trzy pokoje.

Po lewej dawny pokój Warnera. Ten, w którym się obudziłam.

Pośrodku łazienka. Ta, w której zostałam wykąpana.

Daleko na końcu korytarza, po prawej znajduje się pokój jego matki. Ten, którego szukam.

Serce łomocze mi w piersi.

Wstrzymuję oddech i podchodzę na palcach do drzwi. Sama nie wiem, czego się spodziewam. Nie wiem, co sobie obiecuję po wizycie w tym miejscu. Nie mam pojęcia, czy Warner nadal tu jest.

I nie mam pojęcia, co zrobię na widok jego matki.

A jednak coś mnie tam pcha, coś zmusza do otwarcia drzwi i zajrzenia do środka. Muszę wiedzieć. Po prostu muszę wiedzieć. W przeciwnym razie nie zaznam spokoju.

Więc zbliżam się ostrożnie. Biorę kilka głębokich oddechów. Chwytam za klamkę i przekręcam bardzo powoli. Kiedy dostrzegam własne stopy przekraczające próg, zdaję sobie sprawę, że przestałam być niewidzialna.

Natychmiast wpadam w panikę, mój mózg analizuje możliwe plany awaryjne i choć mam ochotę zawrócić i wybiec na zewnątrz, omiatam wzrokiem wnętrze pokoju.

I teraz już wiem, że nie mogę się cofnąć.

W pokoju jest łóżko.

Pojedyncze. Otoczone szpitalną aparaturą i kroplówkami. Są tu baseny, stopy prześcieradeł i koców, a także piękne regały pełne książek. Wszędzie leżą wyszywane poduszki i urocze pluszowe zwierzątka. Do pięciu różnych wazonów włożono świeże kwiaty, ściany są pomalowane w radosnych kolorach, a w kącie stoi niewielkie biurko z krzesłem. Jest kwiatek w doniczce, zestaw używanych pędzli do malowania i oprawione w ramki zdjęcia. Na ścianach, na biurku, na stoliku przy łóżku.

Jasnowłosa kobieta. Jasnowłosego chłopiec. Razem.

Zauważam, że się nie starzeją. Zdjęcia robiono tylko do pewnego momentu. Nigdzie nie widać, jak potoczyło się dalej życie tego dziecka. Chłopiec na zdjęciach jest ciągle mały, zawsze przestraszony, zawsze mocno trzyma za rękę stojącą obok niego kobietę.

Ale tej kobiety tu nie ma. Jej pielęgniarki również.

Sprzęt jest wyłączony.

Światła są pogaszone.

Łóżko jest puste.

Warner siedzi na podłodze w rogu pokoju.

Skulony, z kolanami przyciągniętymi do piersi, otacza nogi ramionami, głowę chowa w ramionach. Drży.

Jego ciałem wstrząsają dreszcze.

Jeszcze się nie zdarzyło, żeby wyglądał jak dziecko. Nigdy, ani razu, odkąd go znam. A teraz przypomina małego chłopca. Przerażonego. Bezbronny. Zupełnie samego.

Nietrudno się domyślić dlaczego.

Opadam na kolana przed nim. Wiem, że wyczuwa moją obecność, ale nie wiem, czy chce mnie teraz widzieć. Nie wiem, jak zareaguje, jeśli wyciągnę do niego rękę.

Ale muszę spróbować.

Dotykam jego ramion, bardzo delikatnie. Głaszczę go po plecach, po ramionach. A potem obejmuję go, aż powoli opuszcza nogi, otwiera się przede mną.

Podnosi głowę.

Jego oczy mają czerwone obwódki i przerażający, przenikliwy odcień zieleni. Błyszczą ledwo powstrzymywanym wzruszeniem. Na jego twarzy maluje się niewyobrażalny ból.

Oddycham z trudem.

Moje serce nawiedza gwałtowne trzęsienie ziemi, w samym jego środku powstają ogromne szczeliny. Przychodzi mi do głowy, że uczucia, jakich doświadcza teraz Warner, są zbyt silne dla jednego człowieka.

Próbuję przyciągnąć go bliżej, ale on tylko obejmuje rękami moje biodra, a głowa opada mu na moje kolana. Odruchowo pochylam się nad nim, osłaniając go swoim ciałem.

Przyciskam policzek do jego czoła. Odciskam pocałunek na jego skroni.

A potem on się poddaje.

Zaczyna się trząść, rozsypując się na milion dyszących, dławiących cząstek, które usiłuję utrzymać w ramionach. Przysięgam sobie, że będę go tak trzymała choćby w nieskończoność, dopóki cały jego ból i cierpienie nie miną, a on nie zacznie żyć nowym życiem, w którym już nikt nigdy nie będzie mógł zranić go tak głęboko.

Jesteśmy jak otwarcie i zamknięcie cudysłowu, jak cudze słowa dożywotnio na siebie skazane. Więźniowie życia, którego żadne z nas nie wybrało.

Może już pora wydostać się na wolność.

Kiedy wracamy do czołgu, Kenji już tam na nas czeka. Udało mu się go znaleźć. Siedzi na miejscu pasażera, widzialny, i nie odzywa się ani słowem, kiedy Warner i ja wspinamy się do środka.

Próbuję spojrzeć mu w oczy, przygotowana na to, że będę musiała wymyślić jakąś szaloną historię, żeby mu wytłumaczyć, dlaczego wyciągnięcie Warnera z domu zajęło mi godzinę, ale Kenji rzuca tylko jedno spojrzenie.

I raz na zawsze zamyka mi usta.

Warner nie odzywa się ani słowem. Nawet nie słyhać jego oddechu. Po powrocie do bazy, wciąż nic nie mówiąc, czeka, aż Kenji i ja wysiadziemy niewidzialni, po czym zamyka drzwi i wraca na swoje miejsce.

Przyglądam się, jak odjeżdża. Kenji bierze mnie pod rękę.

Bez problemów przedostajemy się przez magazyn, lawirując między regałami. Bez problemów przechodzimy przez strzelnicę. Tuż przed drzwiami do sali gimnastycznej Kenji odciąga mnie na bok.

– Wszedłem za tobą do środka – mówi bez wstępów. – Nie było cię tak długo, że zacząłem się martwić. – Cisza. Ciężkie milczenie. – Widziałem was. W tamtym pokoju – mówi bardzo cicho.

Po raz kolejny tego dnia cieszę się, że on nie widzi mojej twarzy.

– W porządku – szepczę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie wiedząc, jak Kenji na to zareaguje.

– Ja tylko... – Kenji bierze głęboki oddech. – Po prostu nie wiem, co o tym myśleć, jasne? Nie muszę znać szczegółów... Wiem, że cokolwiek się tam zdarzyło, to nie moja sprawa... Ale czy nic ci się nie stało? Dobrze się czujesz?

Wypuszczam powietrze. Zamykam oczy.

– Jego mama dzisiaj umarła.

– Co? – pyta Kenji oszołomiony. – Co... j-jak? Jego mama tam była?

– Od dawna chorowała – mówię. Słowa same się ze mnie wydobywają. – Anderson trzymał ją zamkniętą w tym domu, opuścił ją. Zostawił ją tam samą. Warner próbował jej pomóc, ale nie wiedział jak. Nie można było jej dotknąć, podobnie jak ja nie mogę dotknąć nikogo, ból wywołany dotykiem zabijał ją każdego dnia. – Przystaję nad sobą panować, nie mogę dłużej ukrywać uczuć. – Warner nigdy nie chciał zrobić ze mnie broni – mówię. – Zmyślił tę historyjkę dla swojego ojca. Znalazł mnie przez przypadek. Bo szukał pomocy. Chciał ją ratować. Przez wszystkie te lata.

Kenji bierze głęboki oddech.

– Nie miałem o tym pojęcia – mówi. – Nie wiedziałem nawet, że matka była mu bliska.

– Nic o nim nie wiesz – mówię. Nie przejmuję się tym, jak rozpaczliwie to brzmi. –

Wydaje ci się, że go znasz, ale to nieprawda. – Czuję się obolała, jakby moje ciało zostało odarte do krwi.

Kenji milczy.

– Chodźmy – mówię. – Potrzebuję czasu, żeby odetchnąć. Żeby pomyśleć.

– Jasne – odpowiada. Wypuszcza powietrze. – Jasne, oczywiście.

Odwracam się, żeby iść dalej.

– Dżej – mówi Kenji, zatrzymując mnie. Wciąż trzyma dłoń na moim ramieniu.

Czekam.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Nie wiedziałem.
Mrugam szybko, w nadziei że to złagodzi pieczenie pod powiekami. Przetykam
wzbierające w gardle wzruszenie.

– W porządku, Kenji. Skąd miałeś wiedzieć.

Wreszcie biorę się w garść i idę do sali gimnastycznej. Robi się późno, ale tego wieczoru nie spodziewam się zobaczyć tu Warnera. Myślę, że będzie chciał być dzisiaj sam.

Ulatniam się więc celowo.

Mam dość.

Kiedyś byłam już o krok od zabicia Andersona i nie przepuszczę kolejnej szansy. Tym razem się nie zawaham.

Ostatnio nie byłam na to gotowa. Nawet gdybym go wtedy zabiła, nie wiedziałabym, co zrobić potem. Przekazałabym władzę Castle'owi i przyglądałabym się w milczeniu, jak ktoś inny próbuje naprawiać nasz świat. Ale teraz widzę, że Castle nie nadawał się do tego zadania. Jest zbyt delikatny. Za bardzo się stara wszystkim dogodzić.

A ja nie cofnę się przed niczym.

Będę działała bez skrępowań. Nie będę niczego żałowała. Sięgnę w głąb ziemi, żeby wyrwać niesprawiedliwość z korzeniami, i zniszczę ją gołymi rękami. Chcę, żeby Anderson się mnie bał, chcę, żeby błagał o litość, chcę powiedzieć: „nie”. Nie zgadzam się na ciebie. W żadnym wypadku.

I nie obchodzi mnie, że to nie zabrzmie uprzejmiem.

Wstaję.

Adam rozmawia z Winstonem i Ianem po drugiej stronie sali. Kiedy podchodzę, wszyscy milkną. I jeśli Adam w ogóle o mnie myśli albo cokolwiek do mnie czuje, nie okazuje tego.

– Musisz mu powiedzieć – mówię.

– Co? – Adam się wzdryga.

– Musisz powiedzieć mu prawdę – powtarzam. – Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię.

Oczy Adama zmieniają się w zamarznęty ocean, zimny i nieprzyjazny.

– Daj mi spokój, Julio. I nie rób głupot, których będziesz potem żałowała.

– Nie masz prawa tego przed nim ukrywać. On jest zupełnie sam na tym świecie, zasługuje na to, żeby wiedzieć.

– To n i e j e s t twoja sprawa – mówi Adam. Góruje nade mną wzrostem. Zaciska pięści.

– Nie wtrącaj się. Nie zmuszaj mnie do czegoś, czego nie chcę robić.

– Grozisz mi? – pytam. – Jesteś szalony?

– Może już zapomniałaś, ale jestem jedyną osobą w tym pokoju, która potrafi wyłączyć twoje zdolności. Ja nie zapomniałem. Nie możesz użyć swojej mocy przeciwko mnie.

– Oczywiście, że mogę – mówię. – Mój dotyk cię z a b i j a ł, kiedy byliśmy razem...

– Taaak, cóż, od tamtej pory sporo się zmieniło. – Chwyta mnie za rękę i szarpie tak mocno, że prawie się na niego przewracam. Próbuje się uwolnić, lecz nie mogę.

Jest zbyt silny.

– Adamie, puść mnie...

– Czujesz? – pyta z obłędem w oczach. Jego spojrzenie przybiera odcień burzowych chmur.

– Co? – pytam. – Co czuję?

– Właśnie – mówi. – Nic tam nie ma. Jesteś pusta. Żadnej mocy, żadnego ognia, żadnej supersiły. Jest tylko dziewczyna, która nie potrafi zadać ciosu pięścią, choćby to miało jej uratować życie. A ja mam się świetnie. Nic mi nie jest.

Głośno przelękam ślinę i patrzę w jego zimne oczy.

– Udało ci się? – pytam. – Udało ci się to opanować?

– Oczywiście, że mi się udało – mówi ze złością. – A ty nie mogłaś poczekać... chociaż mówiłem ci, że sobie poradzę... Nie mogłaś poczekać, chociaż mówiłem ci, że trenuję, że niedługo będziemy mogli być razem...

– To już nie ma znaczenia. – Wpatruję się w swoją rękę w jego ręce. Wciąż nie puszcza. – Prędzej czy później i tak znaleźlibyśmy się w tym miejscu.

– To nieprawda. A to jest najlepszy dowód! – woła, podnosząc moją rękę do góry. – Mogło nam się udać...

– Bardzo się od siebie różnimy. Pragniemy różnych rzeczy. A to? – mówię, wskazując głową na nasze dłonie. – To tylko dowód na to, że doskonale wiesz, jak mnie zgasić.

Szczęka Adama się zaciska.

– A teraz puść moją rękę.

– Hej, może byście choć raz darowali sobie ten tani kabaret? – rozlega się donośny głos Kenjiego. Idzie w naszą stronę. Wściekły.

– Nie zbliżaj się – warczy do niego Adam.

– Kiedy zaczniesz się liczyć z innymi? Nie jesteś tu sam, palancie. – Kenji podchodzi i chwyta Adama za ramię. – Opuść wreszcie.

Adam uwalnia się ze złością.

– Nie dotykaj mnie.

Kenji rzuca mu surowe spojrzenie.

– Puść ją.

– Wiesz co? – mówi Adam. Wyraźnie przestaje nad sobą panować. – Masz jakąś obsesję na jej punkcie, wydaje ci się, że ciągle musisz jej bronić. Bez przerwy się wtrącasz... Tak bardzo ją lubisz? Świetnie. Jest twoja.

Czas się zatrzymuje.

Wszystko zastyga w nieruchomym kadrze:

Oszalałe spojrzenie Adama, jego czerwona z wściekłości twarz.

Obok niego Kenji, poirytowany, trochę zdezorientowany.

I ja. Z ręką w kleszczowym uścisku Adama. Tym dotykiem w jednej chwili udało mi się zamienić mnie na powrót w tę samą osobę, którą byłam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Jestem bezradna.

Ale nagle, w mgnieniu oka sytuacja się zmienia.

Adam chwyta nieosłoniętą rękę Kenjiego i wciska w moją wolną dłoń.

Na wystarczająco długą chwilę.

Upływa kilka sekund, zanim dociera do nas, co się właśnie stało, po czym Kenji wyszarpuje rękę i pod wpływem impulsu uderza Adama pięścią w twarz.

Wszyscy już są w gotowości. Castle natychmiast do nas podbiega, a Ian i Winston, którzy stali tuż obok, czym prędzej do niego dołączają. Z szatni wybiega zaniepokojony hałasem Brendan w ręczniku i rozgląda się nerwowo. Lily i Alia zeskakują z rowerów i po chwili są już obok nas.

Całe szczęście, że jest późno i James śpi spokojnie w kącie.

Adam, którego uderzenie Kenjiego odrzuciło do tyłu, szybko odzyskuje równowagę. Dyszy ciężko, ocierając wierzchem dłoni zakrwawioną wargę. Nie przeprasza.

Przychodzi mi do głowy, że powinnam zacząć krzyczeć, ale z moich otwartych, przerażonych ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

– Co u diabła jest z tobą nie tak? – Głos Kenjiego brzmi cicho, ale jest ostry jak brzytwa. Prawą pięść wciąż ma zaciśniętą. – Chciałeś mnie zabić?

Adam przewraca oczami.

– Wyluzuj, nie umrzesz od tego. Nie tak szybko. Wiem to z autopsji – mówi. – Najwyżej się trochę sparzysz.

– Weź się w garść, debilu – rzuca Kenji. – Przestań świrować.

Adam nic nie mówi. Śmieje się tylko, pokazuje Kenjieniu środkowy palec i kieruje się w stronę szatni.

– Hej, nic ci nie jest? – pytam Kenjiego, próbując obejrzeć jego dłoń.

– Nic mi nie jest – wzdycha, zerkając na oddalającą się postać Adama. Wreszcie patrzy na mnie. – Ma cholernie twardą szczękę. – Ostrożnie porusza palcami.

– Ale mój dotyk... Nie jesteś ranny?

Kenji kręci głową.

– Eee, nic nie bolało. Znam przecież ten ból. – Próbuje się roześmiać, ale tylko marszczy czoło. Krzywię się na wspomnienie tego, jak Kenji został ranny. – Zdaje się, że Kent jakoś powstrzymywał twoją moc – mówi Kenji.

– Nie, nie powstrzymywał – szepczę. – Puścił moją drugą rękę. Czulałam, jak moja energia powraca.

Oboje patrzymy na oddalającego się Adama.

Kenji wzrusza ramionami.

– Ale w takim razie jak...

– Nie wiem – powtarza Kenji. Wzdycha. – Pewnie po prostu miałem szczęście. Słuchaj...

– Rozgląda się po pozostałych. – Nie chce mi się o tym teraz gadać, jasne? Chcę zostać sam. Muszę ochłonać.

Zebrani rozstępują się powoli, wszyscy wracają do swoich zajęć.

Ale ja nie mogę odejść. Stoję jak wryta.

Czulałam, że moja skóra dotyka skóry Kenjiego, nie mogę udawać, że to się nie zdarzyło. Tego rodzaju chwile są w moim życiu tak rzadkie, że teraz po prostu nie mogę się otrząs-nać. Nie zdarza mi się dotykać innych ludzi bez poważnych konsekwencji. Poza tym doświadczyłam przypływu mocy. Kenji powinien był coś jednak poczuć.

Mój umysł pracuje na najwyższych obrotach, usiłując rozwiązać równanie ze zbyt dużą liczbą niewiadomych. Rodzą się w nim szalone teorie i nabierają zupełnie nieoczekiwanych kształtów.

Cały ten czas trenowałam po to, żeby nauczyć się kontrolować swoją moc, powstrzymać ją, skupiać ją na różnych przedmiotach, ale nie sądziłam, że uda mi się kiedyś ją wyłączyć. Nie rozumiem, dlaczego nie przyszło mi to do głowy.

Adam miał podobny problem: całe życie funkcjonował w stanie electricum. A teraz nauczył się nad tym panować. Wyłącza swoją energię, kiedy nie jest mu potrzebna.

Dlaczego nie miałabym osiągnąć tego samego?

Kenji może stawać się widzialny i niewidzialny, kiedy zechce, chociaż musiał się tego długo uczyć i dużo trenować. Przede wszystkim wymagało to zrozumienia mechanizmu przechodzenia z jednego stanu w drugi. Pamiętam historię z jego dzieciństwa, którą mi kiedyś opowiedział: pewnego razu przez kilka dni był niewidzialny, nie wiedząc, jak to odkręcić. Ale w końcu mu się udało.

Castle, Brendan, Winston, Lily – wszyscy oni potrafią włączać i wyłączać swoje zdolności. Castle'owi nie zdarza się poruszać przedmiotów siłą umysłu przez przypadek. Brendan nie poraża prądem wszystkiego, czego dotknie. Winston może dowolnie rozciągać i skracać swoje kończyny, a Lily, jeśli chce, patrzy na świat jak normalny człowiek, nie musi rejestrować wszystkiego, co widzi.

Dlaczego ja miałabym być jedyną osobą bez wyłącznika?

Czuję się przytłoczona nowymi odkryciami. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że nigdy nie spróbowałam wyłączyć swojej energii, bo zawsze myślałam, że to niemożliwe. Zakładałam, że jestem skazana na takie życie, że moje dłonie, moja skóra zawsze już będą odgradzały mnie od innych.

Ale teraz?

– Kenji! – wołam, podbiegając do niego.

Zerka na mnie przez ramię, odwraca się, a ja już wpadam na niego, chwytam go za rękę i ściskam je.

– Nie puszczaj – mówię. Moje oczy natychmiast wypełniają się łzami. – Nie puszczaj. Nie musisz.

Kenji stoi jak wryty, na jego twarzy maluje się zdumienie. Patrzy na nasze dłonie. Potem znowu na moją twarz.

– Nauczyłaś się to kontrolować? – pyta.

Nie mogę wydobyć głosu. Kiwam tylko głową, po policzkach płyną mi łzy.

– Zdaje się, że już od jakiegoś czasu nad tym panuję, tylko nie miałam o tym pojęcia. Nie zaryzykowałabym sprawdzenia tego na kimś.

– Cholera, księżniczko – mówi cicho. Oczy mu błyszczą. – Jestem z ciebie taki dumny.

Wszyscy gromadzą się wokół nas.

Castle przyciąga mnie do siebie w serdecznym uścisku, a Brendan, Winston, Lily, Ian i Alia wskakują mu na plecy wszyscy naraz, aż się boję, że mnie zmiażdżą. Wiwatują, klaszczą, ściskają mi dłonie. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie czułam ich wsparcia, nie zdawałam sobie sprawy, że w naszej grupie drzemie taka siła. To najbardziej wyjątkowa chwila w moim życiu.

Ale kiedy gratulacje ustępują życzeniom dobrej nocy, odciągam Kenjiego na bok. Chcę na koniec jeszcze raz go uściskać.

– Mogę teraz dotykać, kogo chcę – mówię, kołysząc się na piętach.

– Taaak, wiem. – Śmieje się, unosząc brew.

– Wiesz, co to oznacza?

– Proponujesz mi randkę?

– Wiesz, co to o z n a c z a, prawda?

– Bo wiesz, to mi naprawdę pochlebia, ale może lepiej, żebyśmy pozostali przyjaciółmi...

– K e n j i.

Uśmiecha się szeroko. Targa mi włosy.

– Nie – mówi. – Nie wiem. Co to znaczy?

– To oznacza milion rzeczy – mówię, stając na palcach, żeby spojrzeć mu w oczy. – Na przykład to, że już w nikim się nie zakocham z braku wyboru. Mogę teraz robić, co zechcę. Być, z kim chcę. I to będzie mój wybór.

Kenji przygląda mi się przez długi czas. Uśmiecha się. Wreszcie spuszcza wzrok. Kiwa głową.

– Idź zrobić to, co musisz zrobić, Dzej – mówi.

Gdy wysiadam z windy i wchodzę do gabinetu Warnera, panują tam ciemności. Wszystko tonie w atramentowym mroku. Moje oczy przyzwyczajają się do niego dopiero po pewnym czasie. Idę cicho przez pomieszczenie, szukając jego właściciela, ale nikogo tam nie ma.

Kieruję się do sypialni.

Warner siedzi na brzegu łóżka, jego płaszcz leży na podłodze, obok buty. On sam w milczeniu przygląda się wnętrzą swoich opartych na kolanach dłoni, jakby czegoś w nich szukał i nie mógł znaleźć.

– Aaronie – szepczę, podchodząc bliżej.

Podnosi głowę. Patrzy na mnie.

I czuję, że coś we mnie pęka.

Wszystkie kręgi, stawy dłoni, kolana, biodra. Zamieniam się w kupkę kości na podłodze i nikt oprócz mnie o tym nie wie. Jestem połamanym szkieletem z bijącym sercem.

Wydech, mówię sobie.

Wydech.

– Tak mi przykro – szepczę.

Kiwa głową. Wstaje.

– Dziękuję – rzuca w przestrzeń, wychodząc z pokoju.

Idę za nim do gabinetu. Wołam go po imieniu.

Przystaje przed stołem konferencyjnym, tyłem do mnie, zaciska dłonie na blacie.

– Proszę, Julio, nie dziś, nie mogę...

– Masz rację – mówię wreszcie. – Od początku miałaś rację.

Odwraca się bardzo powoli.

Patrzę mu w oczy i nagle ogarnia mnie przerażenie. Nagle zaczynam się denerwować, boję się, jestem przekonana, że wszystko zrobię nie tak, ale może „nie tak” to jedyny sposób, żeby to zrobić, bo dłużej nie zdołam już tego w sobie tłumić. Muszę mu powiedzieć tyle rzeczy. Rzeczy, do których nie chciałam się przyznać nawet przed sobą, bo byłam tchórzem.

– Rację? W jakiej kwestii? – Jego zielone oczy są szeroko otwarte. Widać w nich przerażenie.

Podnoszę palce do ust, wciąż bojąc się mówić.

Tyle rzeczy robię tymi ustami, myślę.

Smakuję, dotykam i całuję. Przyciskałam je do jego delikatnej skóry, składałam obietnice, kłamałam i dotykałam życia. Wszystko to robiłam tymi wargami i słowami, które się z nich wydobywały, kształtami i dźwiękami, wokół których się układały. A teraz chciałabym, żeby on wyczytał wszystko w moich myślach, bo prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała wypowiadać żadnej z tych rzeczy.

– Pragnę cię – mówię drżącym głosem. – Pragnę cię tak bardzo, że mnie to przeraża.

Dostrzegam ruch w jego gardle, wysiłek, jaki sprawia mu stanie w bezruchu. W jego oczach maluje się przerażenie.

– Kłamałam – mówię, a słowa potykają się i zacinają, opuszczając moje usta. – Tamtej nocy. Kiedy powiedziałam, że nie chcę z tobą być. Kłamałam. I miałaś rację. Byłam tchórzem. Nie chciałam przyznać się do tego sama przed sobą, miałam straszliwe wyrzuty sumienia, ponieważ wołałam cię, chciałam spędzać z tobą cały swój czas, chociaż dokoła walił się świat. Byłam zagubiona, jeśli chodzi o Adama, sama nie wiedziałam, z kim chcę być, nie wiedziałam, co robię, byłam głupia. Byłam głupia, nie liczyłam się z uczuciami innych i próbowałam zrzucić

winę za to na ciebie. Zraniłam cię tak bardzo. – Próbuję nabrać powietrza. – Tak bardzo, bardzo mi przykro.

– Co... – Warner szybko mruga powiekami. Jego głos jest kruchy, łamie się. – Co ty mówisz?

– Kocham cię – szepczę. – Kocham cię takiego, jaki jesteś.

Warner patrzy na mnie z taką miną, jakby uznał, że głuchnie i ślepnie jednocześnie.

– Nie! – wykrzykuje. Jedno łamiące się słowo. Ledwo słyszalny dźwięk. Kręci głową i odwraca się w stronę stołu z ręką zanurzoną we włosy. – Nie. Nie, nie... – powtarza.

– Aaronie...

– Nie – mówi, cofając się. – Nie, nie wiesz, co mówisz...

– Kocham cię – powtarzam. – Kocham cię i pragnę, i pragnęłam cię wtedy – mówię. – Pragnęłam cię tak bardzo i nadal cię pragnę, pragnę cię w tej chwili...

Zatrzymać.

Czas.

Świat.

Zatrzymać wszystko na tę jedną chwilę: gdy on podchodzi do mnie bierze mnie w ramiona i przyciska do ściany a ja wiruję i zatrzymuję się w ogóle nie oddychając a mimo to żyję pełnią życia naprawdę żyję

a on mnie całuje.

Mocno, rozpaczliwie. Jego ręce otaczają mnie w pasie, jego oddech staje się ciężki.

Podnosi mnie do góry, w objęcia, moje nogi owijają się wokół jego bioder, a on całuje moją szyję i dekolt, sadzając mnie na stole.

Jedną rękę kładzie na moim karku, drugą wsuwa pod moją bluzkę, przesuwa palce do góry po moich plecach i nagle jego udo jest między moimi nogami, a jego dłoń wślizguje się pod kolano. Przyciąga mnie bliżej, a kiedy przerywa pocałunek, oddycham tak szybko i tak bardzo kręci mi się w głowie, że muszę się go uchwycić.

– Do góry – szepcze, chwytając powietrze. – Podnieś ręce. Do góry.

Podnoszę.

Podciąga moją koszulkę. Zdejmuje mi ją przez głowę. Rzuca na podłogę.

– Połóż się – mówi, wciąż ciężko dysząc, kładąc mnie na stole, podczas gdy jego dłonie ześlizgują się w dół mojego kręgosłupa pod pośladki. Odpina guzik dżinsów. Odsuwa zamek. – Unieś biodra, skarbie – mówi, zahacza palce o pasek spodni i gumkę od majtek. Ściąga je jednocześnie.

Wydaję zduszony okrzyk.

Leżę na stole, mając na sobie wyłącznie biustonosz.

A potem i on gdzieś przepada.

Dłonie Warnera wędrują w górę moich nóg, muskając wewnętrzną stronę ud, a jego usta zsuwają się na moje piersi. Niszczy resztkę mojej samokontroli i tę odrobinę rozsądku, jaka mi została, a ja czuję, że wszystko mnie boli, wszędzie, smakuję kolory i dźwięki, o których istnieniu nie miałam nawet pojęcia. Moja głowa spoczywa na stole, a moje dłonie zaciskają się na jego ramionach, cały jest gorący, delikatny i natarczywy zarazem, a ja próbuję nie krzyczeć, gdy on dalej przemierza moje ciało. Już wie, gdzie mnie całować. Jak mnie całować.

I nie zamierza przestać.

Tracę zdolność logicznego myślenia. Formułowania słów, zrozumiałych myśli. Sekundy łączą się w minuty, serca zamierają, dłonie chwytają, a ja potykam się o całą planetę i nic już nie wiem, nie wiem nic, bo nic nigdy nie będzie mogło się z tym równać. Nie da się opisać tego, co teraz czuję.

Nic już nie ma znaczenia.

Nic oprócz tej chwili i jego ust na moim ciele, jego dłoni na mojej skórze, jego pocałunków w zaskakujących miejscach, pocałunków całkowicie, do reszty pozbawiających mnie zdrowych zmysłów. Krzyczę i wczepiam się w niego, umierając, a jednocześnie jakimś cudem wracając do życia, a wszystko to na jednym oddechu.

On klęczy.

Powstrzymuję jęk więznący mi w gardle i w tej samej chwili on bierze mnie na ręce i zanoszą do łóżka. Już leży na mnie, całując mnie tak żarliwie, że zastanawiam się, dlaczego nie umarłam, nie zajęłam się ogniem ani nie obudziłam się jeszcze z tego snu. Przesuwa dłonie w dół mojego ciała tylko po to, żeby mogły na nowo dotknąć mojej twarzy, i całuje mnie raz, drugi. Jego zęby na ułamek sekundy chwytają moją dolną wargę, uczepiam się go, owijam ramiona wokół jego szyi, zanurzam dłonie w jego włosy i wciągam go. Smakuje tak słodko. Tak gorąco, tak słodko. Wciąż próbuję wymówić jego imię, ale nie mogę złapać tchu, nie mówiąc już o wypowiedzeniu słowa.

Odpycham go.

Rozpinam mu koszulę, drżącymi rękami szarpię się z guzikami. Wreszcie rozrywam ją sfrustrowana, guziki strzelają na wszystkie strony, ale zanim udaje mi się zerwać materiał z jego ciała, on wciąga mnie na swoje kolana. Owija moje nogi wokół swoich bioder i powoli odchyła mnie do tyłu, aż dotykam głową materaca. Już po chwili zbliża się do mnie, otaczając dłońmi moją twarz. Jego kciuki biorą w nawias moje usta. Przyciąga mnie z powrotem do siebie i całuje, całuje, aż czas przestaje płynąć, a moja głowa, wirując, pogrąża się w zapomnieniu.

To gwałtowny, niewiarygodny pocałunek.

To pocałunek, który każe gwiazdom wspinać się na niebo i rozświetlać świat. Taki, który trwa wiecznie, a jednocześnie nie trwa ani chwili. Dłonie Warnera otulają moje policzki. Odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy, pierś mu faluje.

– Moje serce chyba tego nie wytrzyma – mówi.

Tak bardzo, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, chciałabym zatrzymać chwilę takie jak ta, żeby móc odwiedzać je w nieskończoność.

Bo one są wszystkim.

Warner przesypia cały ranek.

Nie idzie ćwiczyć. Nie idzie pod prysznic. Nie idzie nigdzie. Leży na brzuchu, obejmując poduszkę.

Obudziłam się o ósmej rano i od dwóch godzin wpatruję się w niego.

Zwykle wstaje o piątej trzydzieści. Czasem wcześniej.

Martwię się trochę, że może mieć jakieś ważne sprawy. Jakieś spotkania czy miejsca, w których powinien się dzisiaj znaleźć. Że jakieś plany legły w gruzach dlatego, że zaspał. Może ktoś zaraz przyjdzie go obudzić.

Zasnęliśmy bardzo późno.

Przesuwam palcami po jego plecach, wciąż nie rozumiejąc wytatuowanego na nich słowa ZAPŁONAĆ. Staram się spojrzeć na jego ciało pod takim kątem, aby zobaczyć w pokrywających je bliznach coś innego niż tylko bezlitosne maltretowanie, które musiał znosić przez całe życie. Nie mogę sobie poradzić z koszmarną prawdą. Przywieram do niego, opieram twarz na jego plecach, obejmuję go mocno. Zostawiam pocałunek na linii kręgosłupa. Czuję jego oddech: wdech i wydech, taki równy. Taki spokojny.

Warner przesuwają się odrobinę.

Siadam. Powoli odwraca się, wciąż w półśnie. Trze oczy pięścią. Mruga kilka razy.

A potem dostrzega mnie.

Uśmiecha się.

To taki senny uśmiech.

Uśmiech sam ciśnie mi się na usta. Czuję się, jakby ktoś wypełnił mnie w środku blaskiem słońca. Jeszcze nigdy nie widziałam Warnera zaspanego. Nigdy nie obudziłam się w jego ramionach. Zawsze był rozbudzony, czujny i bystry.

Teraz wygląda niemal leniwie.

To urocze.

– Chodź tutaj – mówi, wyciągając rękę.

Wczołguję się w jego ramiona i przywieram do niego, a on przyciska mnie do siebie.

Całuje czubek mojej głowy.

– Dzień dobry, kochanie – szepcze.

– Podoba mi się to – mówię cicho, uśmiechając się, choć on tego nie widzi. – Podoba mi się, kiedy mówisz do mnie kochanie.

Jego ramiona drżą od śmiechu. Przewraca się na plecy, wyciągając ręce na boki.

Ależ on oszałamiająco wygląda bez ubrania.

– Nigdy w życiu tak dobrze nie spałem – mówi cicho. Uśmiecha się szeroko, przymyka oczy. Na obu jego policzkach pojawiają się dołeczki. – Czuję się tak dziwnie.

– Spałeś bardzo długo – mówię, splatając palce z jego palcami.

Łypie na mnie jednym okiem.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Jest późno. Wpół do jedenastej.

Warner zastyga w bezruchu.

– Naprawdę?

Jeszcze raz kiwam głową.

– Nie chciałam cię budzić.

Wzdycha.

– Obawiam się, że powinienem już iść. Delalieu dostanie wylewu.

Cisza.

– Aaronie – zaczynam niepewnie. – Kim właściwie jest Delalieu? Dlaczego tak mu ufasz, jeśli chodzi o nasze plany?

Głęboki oddech.

– Znam go od wielu, wielu lat.

– To wszystko? – pytam, odsuwając się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Tyle wie o nas i o tym, co robimy, że czasem mnie to martwi. Mówiłeś, że twoi żołnierze cię nienawidzą. Nie powinieneś być ostrożniejszy? Mniej mu ufać?

– Rzeczywiście – mówi cicho. – Mogłoby się wydawać, że powinienem.

– Ale wcale tak nie uważasz.

Warner patrzy mi w oczy.

– To ojciec mojej matki, skarbie – mówi cicho.

Sztywnieję i odsuwam się od niego.

– Co?

Warner spogląda na sufit.

– Jest twoim dziadkiem? – Siadam na łóżku.

Warner kiwa głową.

– Jak długo go znasz? – pytam gorączkowo.

– Całe życie. – Warner wzrusza ramionami. – Zawsze był w pobliżu. Odkąd byłem dzieckiem. Widywałem go w domu, na zebraniach Komitetu Odnowy, które zwoływał mój ojciec.

Jestem tak oszołomiona, że nie wiem, co powiedzieć.

– Ale... traktujesz go, jakby był...

– Moim asystentem? – Warner wyciąga szyję. – Cóż, jest nim.

– Przecież należy do twojej rodziny...

– Został przydzielony do tego sektora przez mojego ojca, nie miałem podstaw sądzić, że cokolwiek różni się od człowieka, któremu zawdzięczam połowę swojego DNA. Nigdy nie odwiedzał mojej matki. Nigdy o nią nie pytał. Nigdy nie okazał najmniejszego zainteresowania jej losem. Delalieu potrzebował dziewiętnastu lat, żeby pozyskać moje zaufanie, zresztą dopiero teraz pozwoliłem sobie na tę słabość, bo wyczuwam jego szczerą od wielu lat. – Warner milknie. – I choć osiągnęliśmy pewien poziom zażyłości, on nigdy nie uznał i nie uzna, że łączą nas więzy krwi.

– Ale dlaczego?

– Bo nie czuje się moim dziadkiem bardziej, niż ja czuję się synem swojego ojca.

Długo przyglądam się Warnerowi. Wreszcie zdaję sobie sprawę, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Bo chyba go rozumiem. On i Delalieu darzą się nawzajem jedynie dziwnym, oficjalnym szacunkiem. A więzy krwi nie wystarczą, żeby uznać kogoś za członka rodziny.

Dobrze o tym wiem.

– Więc musisz już iść? – szepczę. Żałuję, że w ogóle poruszyłam temat Delalieu.

– Jeszcze nie. – Uśmiecha się. Dotyka mojego policzka.

Oboje milczymy chwilę.

– O czym myślisz? – pytam.

Nachyla się, całuje mnie delikatnie. Kręci głową.

Dotykam opuszką palca jego warg.

– Tu są sekrety – mówię. – Chcę, żeby stamtąd wyszły.

Próbuje ugryźć mój palec.

Cofam go.

– Czym tak ładnie pachniesz? – pyta z uśmiechem, ignorując moje pytanie. Znowu się nachyla, zostawia delikatne pocałunki na linii mojej szczęki. Pod brodą. – Ten zapach doprowadza mnie do szaleństwa.

– Podkradałam twoje mydło – mówię.

Unosi brew.

– Przepraszam. – Czuję, że się czerwienię.

– Nie przepraszaj – mówi, nagle poważniejąc. – Wszystko, co mam, jest twoje. Wszystko.

Powaga w jego głosie zaskakuje mnie i wzrusza.

– Naprawdę? – upewniam się. – Bo uwielbiam to mydło.

Uśmiecha się szeroko. Zerka na mnie szelmowsko.

– No co? – pytam.

Kręci głową. Odsuwa się i wstaje z łóżka.

– Aaronie...

– Zaraz wrócę – mówi.

Patrzę, jak idzie do łazienki. Słyszę szum wody płynącej z kranu i wypełniającej wannę.

Serce zaczyna mi bić jak oszalałe.

Wraca do pokoju, a ja chwytam się kurczowo pościeli, protestując przeciwko temu, co najwyraźniej zamierza zrobić.

Ciągnie za koc. Pochyla głowę.

– Puść, proszę.

– Nie.

– Dlaczego?

– Co chcesz zrobić? – pytam.

– Nic.

– Kłamca.

– W porządku, skarbie. – Jego oczy drwią sobie ze mnie. – Nie wstydź się.

– Tu jest za jasno. Zgaś światło.

Śmieje się głośno. Zrywa ze mnie kołdrę.

Powstrzymuję krzyk.

– Aaronie...

– Jesteś doskonała – mówi. – Każdy centymetr twojego ciała jest doskonały – powtarza. – Nie chowaj się przede mną.

– Cofam to, co powiedziałam – mówię w panice, przyciskając poduszkę do ciała. – Nie chcę twojego mydła. Cofam...

Ale on wyszarpuje poduszkę z moich ramion, bierze mnie na ręce i niesie do łazienki.

Mój strój jest gotowy.

Warner dopilnował, żeby Winston i Alia dostali wszystko, co potrzebne, żeby go ukończyć, i choć widziałam, jak ich praca co dzień posuwa się naprzód, nie sądziłam, że wszystkie te materiały mogą zamienić się w coś takiego.

Wygląda jak skóra węża.

Materiał jest zarazem czarny i szary jak spiz, ale w pewnym oświetleniu wydaje się niemal złoty. Wzór dostosowuje się do każdego mojego ruchu. Patrząc na zbiegające i rozchodzące się włókna, mam wrażenie, że płyną razem, a chwilę później się rozdzielają.

Tkanina układa się tak, że daje lekki dyskomfort, ale także oparcie. Przylega do skóry i z początku wydaje się trochę sztywna, lecz kiedy zaczynam poruszać rękami i nogami, doceniam jej elastyczność. W rzeczywistości jest zupełnie inna, niż mogłoby się wydawać. Ten strój jest jeszcze lżejszy od poprzedniego, ledwo zauważam, że w ogóle mam coś na sobie, a jednak wydaje się o wiele wytrzymalszy, trwalszy. Mam wrażenie, że nic mi nie grozi, choćby pchnięto mnie nożem. Choćby wleczono mnie dwa kilometry po asfalcie.

Mam też nowe buty.

Są bardzo podobne do starych, ale te sięgają łydek, nie kostek. Mają płaskie, sprężyste podeszwy i mogę się w nich przemieszczać całkowicie bezszelestnie.

Nie poprosiłam o rękawiczki.

Poruszam gołymi rękami, przechodzę przez pokój tam i z powrotem, uginam kolana i przyzwyczajam się do nowego stroju. Ma pełnić inną funkcję niż poprzedni. Nie chodzi już o to, żeby zakryć przed światem moją skórę. Ma tylko wzmocnić moją naturalną siłę.

Czuję się w nim świetnie.

– To dla ciebie – mówi Alia z uśmiechem, czerwieniąc się. – Pomyślałam, że może ci się przydać nowy komplet. – Podaje mi ochraniacze na dłonie, identyczne jak te, które zrobiła dla mnie poprzednio.

Tamte zawieruszyły się wśród wojennej zawieruchy, podczas przegranej bitwy.

Te ochraniacze znaczą dla mnie więcej niż cokolwiek innego. Są jak druga szansa. Jak możliwość zrobienia wszystkiego jak należy.

– Dziękuję – mówię z nadzieją, że ona wie, jak bardzo jestem jej wdzięczna.

Zakładam ochraniacze na gołe ręce, zaciskam pięści.

Podnoszę wzrok. Rozglądam się.

Wszyscy na mnie patrzą.

– Co wy na to? – pytam.

– Twój strój wygląda zupełnie jak mój. – Kenji marszczy czoło. – To ja miałem chodzić w czarnym kombinezonie. Dlaczego nie możesz mieć różowego? Albo złotego...

– Bo nie jesteśmy porąbanymi Power Rangers – mówi Winston, przewracając oczami.

– A kto to u licha jest Power Rangers? – pyta Kenji.

– Uważam, że wyglądasz szalowo – mówi James z uśmiechem. – O wiele lepiej niż przedtem.

– Rewelacja – przytakuje Lily. – Podoba mi się.

– Przeszliście samych siebie – mówi Brendan do Winstona i Alii. – Powaga. A to na ręce... – Kręci głową, wskazując na moje dłonie. – Prawdziwa wisienka na torcie. Genialne.

– Wygląda pani zabójczo – mówi Castle. – Dosłownie i w przenośni.

Uśmiecham się szeroko.

Warner dotyka moich pleców. Nachyla się i szepcze:

– Czy to się aby łatwo zdejmuje?

Usiłuję nie patrzeć na niego ani na jego uśmiech. Znowu bawi się moim kosztem. To straszne, że wciąż udaje mu się wywołać mój rumieniec.

Błądzą wzrokiem po sali.

A d a m.

Przygląda mi się z niespodziewanym spokojem. Odprężony. Na ułamek sekundy udaje mi się pochwycić spojrzenie chłopaka, którego kiedyś znałam. Tego, w którym się zakochałam.

Odwraca się.

Nie tracę nadziei, że się wreszcie otrząśnie, ma tylko dwanaście godzin na to, żeby wziąć się w garść. Dziś wieczorem ostatni raz omawiamy plan.

A jutro wszystko się zaczyna.

- Aaronie... – szepczę.
 Światło jest zgaszone. Leżymy w łóżku – ja z głową na jego piersi wpatruję się w sufit.
 Gładzi moje włosy, wplata w nie palce.
 – Twoje włosy są jak woda – szepcze. – Jak jedwab.
 – Aaronie.
 Całuje mnie w czubek głowy. Rozciera moje ramiona.
 – Zimno ci? – pyta.
 – Nie możesz w nieskończoność tego unikać.
 – Nie musimy niczego unikać – mówi. – Nie ma czego unikać.
 – Chciałabym tylko wiedzieć, czy wszystko w porządku – mówię. – Martwię się o ciebie.
 – Dotąd nie wspomniał o swojej matce. Nie wypowiedział słowa przez cały czas, który spędziliśmy w jej pokoju, nie wracał do tego później. Nie zrobił najmniejszej aluzji. Ani razu.
 Teraz też nic nie mówi.
 – Aaronie...
 – Tak, skarbie.
 – Nie zamierzasz o tym rozmawiać?
 Milczy bardzo długo. I kiedy już mam odwrócić głowę, żeby na niego spojrzeć, mówi cicho:
 – Przynajmniej nie cierpi. To dla mnie wielka pociecha.
 Nie zadaję więcej pytań.
 – Julio – mówi.
 – Tak?
 Słyszę jego oddech.
 – Dziękuję ci – szepcze. – Za to, że jesteś moją przyjaciółką.
 Odwracam się. Przytulam się do niego, muskam nosem jego szyję.
 – Jestem przy tobie. Będę przy tobie zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebował – mówię.
 Mój głos ginie w mroku. – Pamiętaj. Nigdy o tym nie zapominaj.
 Sekundy toną w ciemności. Czuję, że zapadam w sen.
 – Czy to się dzieje naprawdę? – słyszę jego szept.
 – Co? – Mrugam, próbując powstrzymać senność.
 – Wydajesz się taka realna – mówi. – Twój głos wydaje się prawdziwy. Tak bardzo chcę, żeby to była prawda.
 – To jest prawda – mówię. – Wszystko będzie dobrze. Znacznie lepiej niż teraz. Obiecuję.
 Nabiera powietrza w ściśniętą pierś.
 – Najbardziej boję się tego, że po raz pierwszy w życiu w to wierzę – mówi bardzo cicho.
 – To dobrze – odpowiadam cicho, wtulając twarz w jego pierś. Zamykam oczy.
 Ramiona Warnera mnie otaczają i przyciągają bliżej.
 – Po co ci tyle ubrań? – szepcze.
 – Mmm?
 – Nie lubię ich – mówi. Ciągnie za moje spodnie.
 Muskam wargami jego szyję. To lekki jak piórko pocałunek.
 – Więc je zdejmij.
 Odrzuca kołdrę.
 Powstrzymuję dreszcz. Warner już klęczy między moimi nogami. Znajduje gumkę od

spodni i zsuwa mi je z bioder, na uda. Bardzo wolno.

Serce zadaje mi najróżniejsze pytania.

Zwija moje spodnie w kulkę i ciska na koniec pokoju.

A potem jego ramiona wślizgują się pod moje plecy. Przyciąga mnie do siebie. Jego dłonie wspinają się po linii mojego kręgosłupa, unosząc do góry koszulkę.

Po chwili koszulki już nie ma.

Łąduje w tym samym miejscu co spodnie.

Lekko drzę. Warner kładzie mnie na poduszkach, ostrożnie, żeby nie przygnieść mnie swoim ciężarem. Jak cudownie jest czuć ciepło jego ciała, jego żar. Odchylam głowę. Wciąż nie otwieram oczu.

Moje wargi same się rozchylają.

– Chcę czuć twoje ciało – szepcze mi prosto do ucha. – Chcę, żeby twoja skóra dotykała mojej. – Jego czułe dłonie zsuwają się coraz niżej. – Jesteś taka delikatna – mówi ochrypłym ze wzruszenia głosem.

Całuje moją szyję.

Kręci mi się w głowie. Czuję na przemian zimno i gorąco, coś budzi się we mnie do życia. Moje dłonie sięgają do jego piersi w poszukiwaniu czegoś, czego mogłyby się uchwycić, moje powieki próbują się unieść, ale są zmuszone się poddać. W przeblysku świadomości wypowiadam szeptem jego imię.

– Tak, skarbie?

Chcę powiedzieć coś więcej, ale usta mnie nie słuchają.

– Śpisz? – pyta.

Tak, chyba tak. Nie wiem. Tak.

Kiwam głową.

– To dobrze – mówi cicho. Unosi mi głowę i odgarnia włosy z szyi, a ja wtulam twarz w poduszkę. Przesuwa się i kładzie obok mnie.

– Potrzebujesz więcej snu – mówi.

Znowu kiwam głową, przewracam się na bok i zwijam w kłębek. Okrywa mi kołdrą ramiona.

Całuje krzywiznę mojej szyi. Zostawia kolejne pocałunki na moich plecach, a każdy z nich jest delikatniejszy od poprzedniego.

– Będę przy tobie każdej nocy – szepcze. Jego słowa są tak delikatne, pełne udręki. – Żeby cię ogrzać. Będę cię całował, dopóki starczy mi sił.

Moją głowę spowija mgła.

Czy słyszysz moje serce?, chcę go zapytać.

Chcę znaleźć się na liście twoich ulubionych rzeczy.

Ale zasypiam, zanim udaje mi się poruszyć ustami. Tracę kontakt z rzeczywistością. Czas płynie dokoła mnie, a ja pozostaję zanurzona w tej jednej chwili.

A Warner nie przestaje mówić. Cicho, łagodnie. Myśli, że już śpię. Myśli, że go nie słyszę.

– Czy wiesz – szepcze – że budzę się każdego ranka przekonany, że cię przy mnie nie będzie?

Obudź się, powtarzam sobie. Obudź się. Słuchaj.

– Że to wszystko – mówi – te chwile okażą się jakimś wyjątkowym snem? A potem słyszę twój głos. Patrzę ci w oczy i czuję, że to się dzieje naprawdę. Poznają to po twoich uczuciach i po twoim dotyku – szepcze, głaszcząc mój policzek wierzchem dłoni.

Moje powieki się unoszą. Mrugam raz, drugi.

Jego usta układają się w łagodny uśmiech.

– Aaronie – szepczę.

– Kocham cię – mówi.

Serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

– Mam wrażenie, że wszystko zupełnie inaczej wygląda – mówi. – Jest inne w dotyku.

Ma inny smak. Przywróciłaś mi życie. – Milknie na chwilę. – Nie miałem pojęcia, że można czuć taki spokój. Taką ulgę. I czasem boję się – mówi, spuszczać wzrok – że przestraszę cię swoją miłością.

Podnosi wzrok, bardzo wolno, unosi złote rzęsy, odsłaniając więcej smutku i piękna, niż kiedykolwiek zdarzyło mi się oglądać. Nie miałam pojęcia, że człowiek może tyle wyrazić jednym spojrzeniem. Niezwykły ból. Niezwykłą namiętność.

Wszystko to zapiera mi dech.

Ujmuję w dłonie jego twarz i całuję go, bardzo powoli.

Jego powieki opadają. Jego usta odwzajemniają pocałunek. Wyciąga ręce, żeby przyciągnąć mnie bliżej, ale go powstrzymuję.

– Nie – szepczę. – Nie ruszaj się.

Opuszcza ręce.

– Połóż się na plecach – szepczę.

Odwraca się.

Całuję go całego. Jego policzki. Brodę. Czubek nosa i przerwę między brwiami. Czoło i linię szczęki. Każdy centymetr jego twarzy. Te lekkie, miękkie pocałunki mówią znacznie więcej, niż można wyrazić słowami. Chcę, żeby wiedział, co czuję. Chcę, żeby wiedział to tak, jak tylko on może to wiedzieć, wyczuwając całą głębię miłości ukrytej w każdym moim geście. Chcę, żeby wiedział, co czuję, i nigdy w to nie wątpił.

I nie chcę się spieszyć.

Moje usta zsuwają się na jego szyję. Wydaje zduszony okrzyk, a ja wdycham zapach jego skóry, smakuję ją i zsuwam dłonie po jego piersi, całując centymetr po centymetrze jego tors. Próbuje mnie objąć, próbuje mnie dotknąć, a ja każę mu przestać.

– Proszę – mówi. – Chcę cię dotykać...

Delikatnie odsuwam jego ręce.

– Jeszcze nie. Nie teraz.

Moje dłonie zsuwają się do jego spodni. Jego oczy się otwierają.

– Zamknij oczy – upominam go.

– Nie – mówi z trudem.

– Zamknij oczy.

Kręci głową.

– Dobrze.

Rozpinam mu spodnie. Odsuwam zamek.

– Julio – szepcze. – Co...

Zsuwam mu spodnie.

Siada.

– Połóż się. Proszę.

Wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Wreszcie opada na łóżko.

Ściągam do końca jego spodnie. Rzucam je na podłogę.

Jest w samej bieliźnie.

Przesuwam palcem po miękkim szwie na środku jego bokserek, śledząc krzyżujące się

brzezi zachodzących na siebie warstw bawełny. Słyszę jego przyspieszony oddech, widzę ruch jego piersi. Jego powieki są zaciśnięte. Głowa odchylona do tyłu. Usta rozchylone.

Dotykam go znowu, najdelikatniej jak potrafię.

Powstrzymuje jęk, zanurza twarz w poduszkę. Drży na całym ciele, zaciska ręce na pościeli. Chwytam za jego nogi powyżej kolan i rozsuwam je, robiąc miejsce pocałunkom wspinającym się w górę jego ud. Mój nos muska jego skórę.

Wygląda, jakby to sprawiało mu ból. Nieznośny ból.

Odnajduję gumkę jego bokserek. Ciągnę w dół.

Powoli.

Powoli.

Spod bokserek wylania się tatuaż.

piekło jest puste

wszystkie diabły są tu

Pocałunkami toruję sobie drogę przez te słowa.

Scałowuję diabły.

Scałowuję ból.

Siedzę na brzegu łóżka. Łokcie opieram o kolana, twarz ukrywam w dłoniach.

– Jesteś gotowa? – pyta Warner.

Podnoszę wzrok. Wstaję. Kręcę głową.

– Oddychaj, skarbie. – Staje przede mną, ujmuje w dłonie moją twarz. Oczy mu błyszczą, poważne, spokojne, pełne wiary. We mnie. – Jesteś wspaniała. Jesteś wyjątkowa.

Chcę się roześmiać, ale jakoś mi to nie wychodzi.

Warner dotyka czołem mojego czoła.

– Nie bój się. Nie martw się. Niczego nie żałuj, wszystko przemija – mówi miękko.

Odchylam głowę i patrzę pytająco.

– Tylko w taki sposób potrafię żyć – mówi. – Na świecie, na którym jest tyle powodów do żalu, a tak niewiele do wzięcia. Nie żałuję niczego. Biorę wszystko.

Wpatruję się w jego oczy. Trwa to chyba całą wieczność.

Zbliża usta do mojego ucha. Zniża głos.

– Musisz zapłonać, skarbie. Zapłonać.

Warner zarządził zbiórkę.

Mówi, że to rutynowa procedura. Zazwyczaj żołnierze stawiają się w czarnych mundurach polowych.

– Nie będą uzbrojeni – powiedział Warner.

Kenji, Castle i pozostali przyjdą popatrzeć, dzięki Kenjie-mu pozostaną niewidzialni, ale tylko ja mam dzisiaj mówić. Powiedziałam im, że chcę objąć dowodzenie. Powie-działam im, że jestem gotowa podjąć ryzyko.

Więc oto jestem.

Warner wyprowadza mnie ze swojego pokoju.

Korytarze są puste. Żołnierze patrolujący jego kwatery już poszli, czekają w szeregach na przybycie dowódcy. Powoli do mnie dociera, co zamierzam zrobić.

Ale cokolwiek z tego wyniknie, dzisiaj wystąpię publicznie. To wiadomość ode mnie do Andersona. Wiadomość, którą z pewnością otrzyma.

Żyję.

Wykorzystam twoich własnych żołnierzy, żeby cię wytropić.

I zabić.

Na samą myśl o tym czuję się absurdalnie szczęśliwa.

Wsiadamy do windy, a Warner bierze mnie za rękę. Ścis-kam jego palce. Uśmiecha się, patrząc przed siebie. Wysia-damy z windy, mijamy kolejne drzwi i wychodzimy prosto na otwarty dziedziniec, na którym byłam jak dotąd tylko raz.

Jakie to dziwne, myślę, że wróciłam na ten dach. I tym razem nie jestem więźniem. Tylko kimś, kto pokonał swój strach. Trzymając za rękę tego samego jasnowłosego chłopaka, który przyprowadził mnie tu poprzednio.

Jaki ten świat jest dziwny.

Warner przystaje na chwilę, zanim ukazuje się żołnierzom. Spogląda na mnie, oczekując potwierdzenia. Kiwam głową. Wypuszcza moją dłoń.

Razem robimy krok naprzód.

===LUIgTCVLIA5tAm9PeE11R3VVMkAhWyJMLQNsH3AHdB9+Pkk5F2cL

Wśród stojących poniżej żołnierzy przetacza się stłumiony okrzyk.

Nie ulega wątpliwości, że mnie pamiętają.

Warner wyciąga z kieszeni kwadratowe urządzenie z metalowej siatki i przyciska do niego usta, tylko raz. Gdy po chwili zaczyna mówić, trzymając mikrofon w dłoni, jego wzmocniony głos niesie się ponad tłumem.

– Sektor 45! – zaczyna Warner.

Poruszają się. Ich prawe pięści unoszą się w górę i opadają na piersi, lewe dłonie luźno zwisają wzdłuż boków.

– Niewiele ponad miesiąc temu powiedziano wam, że wygraliśmy bitwę z grupą buntowników z organizacji o nazwie Punkt Omega – mówi. – Powiedziano wam, że większość rebeliantów zginęła podczas ataku na ich siedzibę, a pozostałych mężczyzn i kobiety wymordowaliśmy na polu bitwy. Powiedziano wam, żebyście nigdy nie wątpili we władzę Komitetu Odnowy. Jesteśmy niepokonani. Niedoścignieni pod względem potęgi militarnej i kontroli nad terytorium. Po-wiedziano wam, że my jesteśmy przyszłością. Jediną nadzieją.

Jego głos rozbrzmiewa nad tłumem, oczy omiatają twarze żołnierzy.

– I mam nadzieję – dodaje – że w to nie uwierzyliście.

Żołnierze wpatrują się oszołomieni w przemawiającego Warnera. Wyglądają, jakby bali się zareagować na wypadek, gdyby jego słowa miały się okazać jakimś podstępny dowcipem albo prowokacją Komitetu Odnowy. Wpatrują się w Warnera, nie starają się już udawać stoickiego spokoju.

– Julia Ferrars żyje – mówi. – Wbrew temu, co twierdzi nasz naczelny dowódca, jest tutaj, stoi obok mnie i ma się dobrze. W rzeczy samej, Anderson osobiście strzelił jej w pierś. I zostawił ją, żeby umarła. Ale ona zdołała przeżyć zamach na swoje życie i przybyła tu dzisiaj, żeby złożyć wam propozycję.

Biorę metalową siatkę z ręki Warnera, dotykam jej ustami tak jak on i trzymam ją w dłoni.

Oddycham głęboko. I wypowiadam cztery słowa.

– Chcę zniszczyć Komitet Odnowy.

Mój głos brzmi niezwykle donośnie, wystrzela ponad tłumem z taką siłą, że w pierwszej chwili jestem zaskoczona. Żołnierze wpatrują się we mnie z przerażeniem i niedowierzaniem. Wstrząśnięci. Zdumieni. Zaczynają szeptać.

– Chcę poprowadzić was do bitwy – mówię. – Chcę walczyć...

Nikt mnie już nie słucha.

Idealne szeregi rozsypują się. Ludzie skupiają się w jedną masę, mówiąc, krzycząc i próbując się naradzać. Próbują zrozumieć, co się dzieje.

Nie mogę uwierzyć, że tak szybko przestali mnie słuchać.

– Nie wahaj się – mówi do mnie Warner. – Musisz reagować. Natychmiast.

Miałam nadzieję, że zachowam to na później.

Teraz jesteśmy tylko niecałe pięć metrów nad ziemią, ale Warner na wszelki wypadek powiedział mi, że budynek ma jeszcze cztery poziomy. Na najwyższym znajdują się głośniki, przez które nadawane są komunikaty dla okolicznej ludności. Jest tam również niewielka platforma do konserwacji urządzeń, korzystają z niej technicy.

Już się na nią wspinam.

To przyciąga uwagę żołnierzy, którzy pokazują sobie palcami, jak wchodzę po schodach.

Wciąż nie milkną głośne rozmowy. Nie mam pojęcia, czy to możliwe, żeby wieści o tym incydencie dotarły już do cywilów albo szpiegów, którzy zrelacjonują wszystko naczelnemu. Nie mam czasu, żeby się tym teraz martwić, bo jeszcze nie skończyłam wygłaszać przemówienia, a już straciłam posłuch.

To niedobrze.

Wreszcie docieram na szczyt, stoję teraz jakieś trzydzieści metrów nad ziemią. Ostrożnie wchodzę na platformę, przede wszystkim uważając, żeby nie patrzeć zbyt długo w dół. I kiedy wreszcie staję na szczycie, podnoszę wzrok i rozglądam się wśród tłumu.

Znowu na mnie patrzą.

Zaciskam palce na siatce mikrofonu.

– Chcę wam zadać tylko jedno pytanie – mówię. Moje słowa płyną w dal głośno i wyraźnie. – Co Komitet Odnowy dla was zrobił?

Teraz są naprawdę skupieni. Słuchają.

– Ludzie u władzy nie dali wam nic oprócz głodowych pensji i obietnic, które nigdy nie zostaną spełnione. Podzielili wasze rodziny i rozproszyli je po zrujnowanej ziemi. Głodzą wasze dzieci, zniszczyli wasze domy. Wciąż was okłamują, zmuszają do podejmowania pracy w swojej armii, żeby mogli was kontrolować. A wy nie macie wyboru – mówię. – Żadnej alternatywy. Więc walczycie w ich wojnach, zabijając swoich przyjaciół tylko po to, żeby nakarmić rodziny.

Tak, teraz rzeczywiście mnie słuchają.

– Człowiek, któremu pozwalacie rządzić tym krajem, jest tchórzem – ciągnę. – To słaby człowiek, boi się pokazać publicznie swoją twarz. Żyje w ukryciu, chowa się przed ludźmi, którzy są od niego zależni, a nauczył was, żebyście się go bali. Nauczył was kulić się ze strachu na dźwięk jego imienia. Może jeszcze go nie poznaliście. Ale ja tak. I nie zrobił na mnie wrażenia.

Nie mogę uwierzyć w to, że nikt jeszcze mnie nie zastrzelił. Nieważne, że mieli nie być uzbrojeni. Ktoś z pewnością ma broń. A jeszcze nikt mnie nie zastrzelił.

– Dołączcie do nowego ruchu oporu – wołam do tłumu. – Jest nas więcej, możemy się zjednoczyć. Czy chcecie dalej tak żyć? – pytam, wskazując na widoczne w oddali osiedla. – Chcecie dalej głodować? Bo oni będą dalej was okłamywać! Świat można jeszcze naprawić. To nie jest niemożliwe. Stwórzmy własną armię. Zjednoczmy siły. Dołączcie do mnie, a obiecuję, że wszystko się zmieni.

– Jak? – słyszę czyjś krzyk. – Jak zamierzasz spełnić taką obietnicę?

– Nie boję się Komitetu Odnowy – odpowiadam. – I mam większą moc, niż moglibyście się spodziewać. Mam władzę, jakiej naczelnemu dowódcy nie zdoła się przeciwstawić.

– Wiemy już, co potrafisz! – krzyczy ktoś. – Ostatnio to nie wystarczyło!

– Nie – mówię. – Nie wiecie, co potrafię. Nie macie pojęcia.

Wyciągam ramiona przed siebie, dłońmi w stronę tłumu. Próbuję znaleźć odpowiednie miejsce. I koncentruję się.

Poczuj swoją moc, powiedział mi kiedyś Kenji. Jest częścią ciebie. Częścią twojego ciała i umysłu. Będzie cię słuchała, jeśli nauczysz się ją kontrolować.

Rozstawiam nogi. Przygotowuję się.

A potem odpycham tłum na boki.

Powoli.

Kieruję energię na poszczególnych żołnierzy i pozwalam, żeby poruszała się wśród nich płynnie i delikatnie, nie napierając i nie naciskając ich gwałtownie. Moja moc uczepia się ich postaci, tak jak zrobiłyby to moje palce, odnajduje środek i dzieli grupę na pół. Żołnierze już patrzą na siebie z przeciwnych stron dziedzińca, próbując zrozumieć, coż to za niewidzialne

ściany nie pozwalają im się ruszyć, odsuwając ich od siebie.

A kiedy energia jest już odpowiednio zlokalizowana, otwieram szeroko ramiona.

Napinam się.

Żołnierze zostają odepchnięci do tyłu. Połowa na lewo, połowa na prawo. Nie dość mocno, żeby zostali ranni, ale wystarczająco silnie, żeby się przestraszyli. Chcę, żeby poczuli drżącą we mnie moc. Chcę, żeby zrozumieli, że się powstrzymuję.

– Mogę was chronić – rozbrzmiewa donośnie mój głos. – I mam przyjaciół, którzy potrafią jeszcze więcej. Którzy będą walczyli po waszej stronie.

Wtedy, jakby na zawołanie ni stąd, ni zowąd na środku placu, tam, gdzie właśnie zrobiłam miejsce, pojawia się grupa ludzi.

Żołnierze odskakują oszołomieni, odsuwają się dalej w stronę rogów dziedzińca.

Castle wyciąga ręce do góry i wyrwa z korzeniami ros-nące w oddali niewielkie drzewo. Kiedy już mu się to udaje, drzewo przechyla się, nabiera rozpędu i szybuje w powietrzu, aż jego gałęzie furkoczą na wietrze. Castle przyciąga je do siebie, szarpie nim wyłącznie siłą swojego umysłu.

Podrzuca je wyżej ponad głowami obecnych, a Brendan podnosi ręce.

Mocno klaszcze w dłonie.

W pień drzewa trafia piorun, uderzając je z taką siłą, że zostają z niego same drzazgi, opadające na ziemię jak deszcz.

Nie spodziewałam się tego. Nie mieli mi dzisiaj pomagać. A oni przygotowali dla mnie idealne preludium.

Teraz. W tej chwili.

Wszyscy żołnierze patrzą. Na dziedzińcu jest miejsce. Odnajduję twarz Kenjiego w dole i szukam w niej potwierdzenia.

Kiwa głową.

Skaczę.

Spadam trzydzieści metrów, oczy mam zamknięte, nogi wyprostowane, ramiona wyciągnięte na boki. I czuję, że płynie przeze mnie większa moc niż kiedykolwiek wcześniej. Panuję nad nią. Steruję nią.

I ląduję na ziemi, aż czuję jej drżenie pod stopami.

Kucam, uginając kolana, jedną rękę wyciągam przed siebie. Dziedziniec drży tak mocno, że przez sekundę nie jestem pewna, czy nie wywołałam kolejnego trzęsienia ziemi.

Wreszcie prostuję się i rozglądam dokoła. Teraz znacznie lepiej widzę żołnierzy. Ich twarze i malujące się na nich obawy. Przyglądają mi się ze zdumieniem i odrobiną lęku szeroko otwartymi oczami.

– Nie zostaniecie sami – mówię do nich, obracając się powoli, żeby widzieć ich twarze. – Nie musicie się już bać. Chcemy odzyskać nasz świat. Chcemy ratować życie członków naszych rodzin, naszych przyjaciół. Chcemy, żeby wasze dzieci miały przed sobą lepszą przyszłość. Chcemy walczyć. Chcemy zwyciężyć. – Patrzę im prosto w oczy. – I prosimy was o pomoc.

Zapada cisza.

A po chwili wśród obecnych panuje absolutny chaos.

Wiwaty. Krzyki i wołania. Tupanie.

Wyrzucam wysoko w powietrze kwadratowy mikrofon. Po chwili urządzenie ląduje w dłoni Warnera.

– Gratuluję, panowie – zwraca się do swoich ludzi. – Po-wiadomcie swoje rodziny. Przyjaciół. Jutro wszystko się zmieni. Naczelnny przybędzie tu w ciągu kilku dni – mówi. – Przygotujcie się do wojny.

A potem, niespodziewanie, Kenji sprawia, że znikamy.

Przebiegamy przez dziedziniec i wpadamy do budynku, a kiedy tylko znajdujemy się poza zasięgiem wzroku żołnierzy, Kenji sprawia, że na powrót stajemy się widzialni. Rzuca się naprzód, prowadząc nas do sali gimnastycznej, klucząc, lawirując i pędząc przez magazyn, a potem strzelnicę. Wreszcie wbiegamy niemal jednocześnie do sali, gdzie czeka na nas James.

Wstaje, szeroko otwierając oczy.

– Jak poszło? – pyta.

Kenji podbiega do niego i porywa go w ramiona.

– A jak myślisz?

– Hmm. Dobrze? – śmieje się James.

Castle klepie mnie po plecach. Odwracam się do niego. Uśmiecha się promiennie. Oczy mu błyszczą. Jeszcze nigdy nie widziałam w nich takiej dumy.

– Dobra robota, pani Ferrars – mówi cicho. – Dobra robota.

Brendan i Winston podchodzą uśmiechnięci od ucha do ucha.

– To było naprawdę odlotowe – mówi Winston. – Jakbyś-my byli jakimiś celebrytami, czy coś.

Dołączają do nas Lily, Ian i Alia. Dziękuję im wszystkim za tę demonstrację poparcia.

– Naprawdę myślicie, że to zadziała? – pytam. – Myślicie, że to wystarczy?

– Z całą pewnością to dobry początek – mówi Castle. – Teraz będziemy musieli działać szybko. Sądzę, że wieść już się rozniosła, ale sąsiednie sektory najprawdopodobniej ustąpią, zanim przybędzie naczelny. – Castle patrzy na mnie. – Mam nadzieję, że rozumie pani, co to oznacza. Wojnę z oddziałami z całego kraju.

– Chyba że pozostałe sektory do nas dołączą – mówię.

– Cóż za pewność siebie – mówi Castle, patrząc na mnie, jakbym była obcym, przybyszem z kosmosu. Którego nie rozumie ani nie rozpoznaje. – Zaskakuje mnie pani.

Dźwięk dzwonka sygnalizuje przyjazd windy.

To Warner.

Podchodzi prosto do mnie.

– Budynek został zabezpieczony – mówi. – Blokada obowiązuje do chwili przybycia mojego ojca. Do tego czasu nikt nie wejdzie na teren bazy ani go nie opuści.

– Więc co teraz robimy? – pyta Ian.

– Czekamy – odpowiada Warner. Przygląda nam się. – Nawet jeśli jeszcze o niczym nie wie, dowie się w ciągu najbliższych pięciu minut. Przekona się, że niektórzy członkowie waszej grupy żyją. Że Julia żyje. Zrozumie, że mu się przeciwstawiłem, i w dodatku zrobiłem to publicznie. I będzie bardzo, bardzo zły. Tyle mogę wam zagwarantować.

– Więc ruszamy na wojnę – mówi Brendan.

– Tak – Warner jest spokojny, zupełnie spokojny. – Będzie-my walczyć. Wkrótce.

– A żołnierze? – pytam. – Czy oni naprawdę są z nami?

Patrzy mi w oczy o sekundę za długo.

– Tak – mówi. – Wyczuwam siłę ich gniewu. Szacunek dla ciebie. Jest wśród nich wielu takich, którzy ciągle się boją, a także tacy, którzy pozostają sceptyczni, ale miałaś rację, skarbie. Może i czują lęk, ale nie chcą już być żołnierzami. Nie na takich zasadach jak teraz. Nie chcą pracować dla Komitetu Odnowy. Są gotowi do nas dołączyć.

– A cywile? – pytam zdumiona.

– Pójdą za nami.

– Jesteś pewien?

– Niczego nie mogę być pewien – mówi cicho. – Ale jeszcze nigdy, przez cały czas, jaki spędziłem w tym sektorze, nie zdarzyło mi się czuć u swoich ludzi tak silnej, tak wszechobecnej nadziei. Wciąż ją wyczuwam, nawet stąd. Moja krew aż od niej wibruje.

Oddycham z trudem.

– Julio, skarbie – mówi, patrząc mi w oczy. – Właśnie rozpętałaś wojnę.

Warner odciąga mnie na bok. Z dała od pozostałych.

Stoimy w rogu sali gimnastycznej, on zaciska dłonie na moich ramionach. Patrzy na mnie tak, jakbym właśnie wyciągnęła książkę z kieszeni.

– Muszę iść, skarbie – mówi gorączkowo. – Trzeba wprawić w ruch wiele rzeczy, muszę spotkać się z Delalieu. Zajmę się całą militarną stroną operacji. Dopilnuję, żebyś miała wszystko, czego będziesz potrzebowała, a moi ludzie byli odpowiednio wyposażeni, niezależnie od sytuacji.

Kiwam głową z wdzięcznością.

Ale on wciąż mi się przygląda, patrzy mi w oczy, jakby znalazł w nich coś, co nie pozwala mu odejść. Jego dłonie wędrują do mojej twarzy, głaszcząc kciukiem mój policzek. Jego głos jest bardzo łagodny.

– Będziesz kimś wielkim – szepcze. – Nie zasługuję na ciebie.

Moje serce.

Nachyla się, całuje mnie w czoło. Tak delikatnie.

A potem wychodzi.

Kiedy tak stoję, wpatrując się w zamykające się drzwi windy, kątem oka dostrzegam Adama. Podchodzi do mnie.

– Hej – mówi. Wydaje się spięty, skrępowany.

– Cześć.

Kiwa głową, wpatrując się w swoje stopy.

– Cóż – mówi. Wypuszcza powietrze. Nadal na mnie nie patrzy. – Niezłe widowisko. Nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Więc nie odpowiadam.

Adam wzdycha.

– Naprawdę się zmieniłaś – szepcze. – Prawda?

– Tak. Rzeczywiście.

Kiwa głową, tylko raz. Śmieje się dziwnie. I odchodzi.

Znowu siedzimy wszyscy razem.

Rozmawiamy. Dyskutujemy. Zastanawiamy się i planujemy. James chrapie w najlepsze w swoim kącie.

Nasze nastroje balansują pomiędzy ekscytacją a przerażeniem, jednak ekscytacja zwycięża. Robimy w końcu coś, co wszyscy w Punkcie Omega planowali od dawna. Dołączyli do Castle'a z nadzieją, że pewnego dnia do tego dojdzie.

Pojawia się szansa pokonania Komitetu Odnowy.

Po to trenowali. Nawet Adam, który wreszcie dojrzał do tego, aby do nas dołączyć. Wcześniej był żołnierzem. Kenji także. Wszyscy są w świetnej formie. Wszyscy są wojownikami, także Alia, której cicha zewnętrzna powłoka tak wiele kryje. Nie mogłabym sobie wyobrazić lepiej dobranej grupy ludzi.

– Więc kiedy waszym zdaniem on się tu zjawi? – pyta Ian. – Jutro?

– Może – mówi Kenji. – Ale nie sądzę, żeby potrwało to dłużej niż dwa dni.

– Myślałam, że on jest na statku? Na środku oceanu? – dziwi się Lily. – Jak ma się tu dostać w ciągu dwóch dni?

– To chyba nie jest taki statek, o jakim myślisz – mówi do niej Castle. – Podejrzewam, że zaszył się na jakimś okręcie wojennym, lotniskowcu. Jeśli wezwie odrzutowiec, będzie mógł tu szybko przylecieć.

– Proszę. – Brendan odchyła się do tyłu, opiera na dłoniach. – Więc to się naprawdę dzieje. Naczelnym dowódcą Komitetu Odnowy. Winston i ja nigdy go nie widzieliśmy. Ani razu, chociaż jego ludzie nas więzili. – Kręci głową. Zerka na mnie. – Jak on wygląda?

– Jest zabójczo przystojny – mówię.

Lily śmieje się głośno.

– Poważnie – zapewniam. – Jest tak przystojny, że to aż niesmaczne.

– Naprawdę? – Winston wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

Kenji kiwa głową.

– Wyjściowy koleś.

Lily nie przestaje się na mnie gapić.

– I powiedziałaś, że nazywa się Anderson? – upewnia się Alia.

Kiwam głową.

– To dziwne – mówi Lily. – Zawsze myślałam, że Warner nazywa się Warner, nie Anderson. – Zastanawia się przez chwilę. – Więc on się nazywa Warner Anderson?

– Nie. Masz rację. Warner nazywa się Warner, inaczej niż ojciec. Przyjął nazwisko matki. Nie chciał być kojarzony z ojcem – wyjaśniam.

Adam parska.

Wszyscy spoglądają na niego.

– Więc jak Warner ma na imię? – pyta Ian. – Wiesz?

Kiwam głową.

– Więc? – wtóruje mu Winston. – Nie powiesz nam?

– Sami go zapytajcie – mówię. – Jeśli zechce, to na pewno wam powie.

– Jasne, akurat – odpowiada Winston. – Nie ma mowy, żebym zadał temu gościowi osobiste pytanie.

Powstrzymuję śmiech.

– Więc... jak ma na imię Anderson? – pyta Ian. – A może to też jest tajemnica? To

wszystko jest nieźle pokręcone, nie wydaje się wam? Robić takie halo wokół swoich imion?

– Och – mówię zaskoczona. – Nie wiem. W imieniu jest chyba wielka siła. – Kręcę głową. – Nie, nie wiem, jak Ander-son ma na imię. Nie pytałam.

– Niewiele straciłaś – mówi Adam poirytowany. – To głupie imię. – Wpatruje się w swoje buty. – Ma na imię Paris.

– Skąd to wiesz?

Odwracam się. W otwartych drzwiach windy stoi Warner. Jeszcze słyhać dzwonek sygnalizujący jej przybycie. Drzwi zamykają się za jego plecami. Wpatruje się poruszony w Adama.

Adam mruga szybko, zerka na Warnera, potem na nas. Wyraźnie nie wie, co zrobić.

– Gdzie się tego dowiedziałeś? – dopytuje się Warner. Mija naszą grupę, podchodzi prosto do Adama i chwyta go za koszulę. Porusza się tak szybko, że Adam nie ma czasu zareagować.

Przyciska go do ściany.

Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby Warner tak podniósł głos. Nigdy nie widziałam, żeby był taki zdenerwowany.

– Komu służysz, żołnierzu? – krzyczy. – Kto jest twoim dowódcą?

– O czym ty mówisz?! – wrzeszczy Adam. Próbuje się uwolnić, a Warner chwyta go obiema rękami, przyciskając mocniej do ściany.

Ogarnia mnie panika.

– Jak długo dla niego pracujesz? – krzyczy znowu Warner. – Od jak dawna infiltrujesz moją bazę...

Zrywam się na nogi. Kenji idzie w moje ślady.

– Warner – mówię – przestań, on nie jest szpiegiem...

– Inaczej nie mógłby się tego dowiedzieć – mówi Warner, nie odrywając wzroku od Adama. – Chyba że jest członkiem Gwardii Przybocznej, a i wtedy byłoby to wątpliwe. Szeregowy żołnierz nie ma dostępu do tego rodzaju informacji...

– Nie służę w Gwardii Przybocznej – protestuje Adam. – Przysięgam...

– Łżesz! – warczy Warner, przyciskając go mocniej do ściany. Koszula Adama zaczyna pękać. – Po co cię tu przysłał? Jaka jest twoja misja? Jesteś tu, żeby mnie zabić?

– Warner! – wołam błagalnym tonem. Podbiegam do nich, tak żeby Warner mnie widział. – Proszę... on nie pracuje dla naczelnego, ręcę za to...

– Skąd wiesz? – Warner zerka na mnie przelotnie. – Mówię ci, niemożliwe, żeby to wiedział...

– On jest twoim b r a t e m – wykrztuszam wreszcie. – Pro-szę. On jest twoim bratem. Macie tego samego ojca.

Warner sztywnieje.

Odwraca się do mnie.

– Co? – szepcze.

– To prawda. – Serce mi pęka, gdy to mówię. – Przecież wiesz, że nie kłamię. – Kręcę głową. – On jest twoim bratem. Twój ojciec prowadził podwójne życie. Porzucił Adama i Jamesa dawno temu. Po śmierci ich mamy.

Warner puszcza Adama.

– Nie – mówi. Nawet nie mruga. Tylko patrzy. Ręce mu drżą.

Odwracam się do Adama. Patrzę na niego, ze wzruszenia zaciskam powieki.

– Powiedz mu – proszę rozpaczliwie. – Powiedz mu prawdę.

Adam milczy.

– Do diabła, Adamie, powiedz mi!

– Wiedziałaś o tym od początku? – pyta Warner, odwracając się do mnie. – Wiedziałaś i nic nie powiedziałaś?

– Chciałam... naprawdę chciałam, ale uważałam, że nie powinnam...

– Nie – przerywa mi. Kręci głową. – Nie, to nie ma najmniejszego sensu. Jak... jak to w ogóle możliwe? – Podnosi wzrok, rozgląda się. – To nie...

Milknie.

Spogląda na Adama.

– Powiedz prawdę – mówi. Podchodzi do niego. Wygląda, jakby zamierzał nim potrząsnąć. – Powiedz mi! Mam prawo wiedzieć!

Wszystkie chwile świata padają trupem, bo właśnie się ocknęły i zrozumiały, że nigdy nie będą takie ważne jak ta.

– To prawda – mówi Adam.

Dwa słowa, które zmieniają świat.

Warner cofa się o krok, z ręką we włosach. Przeciera oczy, przesuwa dłonią po czole, zsuwa ją na usta, szyję. Dyszy ciężko.

– Jak? – pyta wreszcie.

I wtedy.

I wtedy.

Prawda.

Słowo za słowem wyciąga ją z Adama. Stopniowo. Przyglądamy się im, James nadal śpi, a ja milknę, kiedy dwaj bracia prowadzą najtrudniejszą rozmowę, jakiej zdarzyło mi się w życiu przysłuchiwać.

Warner siedzi w jednym kącie. Adam w drugim. Obaj prosili, żeby zostawić ich w spokoju.

Obaj wpatrują się w Jamesa.

Jamesa, który leży zwinięty w niewielki pochrapujący kłębek.

Adam wydaje się wyczerpany, ale nie pokonany. Zmęczony, ale nie rozgniewany.

Wygląda, jakby się od czegoś uwolnił. Jego czoło nie jest zmarszczone. Pięści nie są zaciśnięte. Ma bardzo spokojną twarz, zdaje się, że od bardzo dawna takiej jej nie widziałam.

Wygląda, jakby odczuł ulgę.

Jakby dotąd dźwigał wielki ciężar i obawiał się, że dłużej go nie uniesie. Jakby sądził, że podzielenie się prawdą z Warnerem może zapoczątkować wojnę, którą będą prowadzili z sobą do końca życia: on i jego nowy biologiczny brat.

Ale Warner wcale nie jest zły. Nie jest nawet zdenerwowany.

Jest tylko głęboko poruszony.

Jeden ojciec, myślę. Trzech braci. Którzy o mało się nie pozabijali, a wszystko dlatego, że dorastali w takim świecie. Słuchali tak wielu słów, tylu kłamstw.

Słowa są jak ziarno, myślę, szczególnie te zasiane w naszych sercach w młodym wieku.

Kiełkują i zapuszczają korzenie w naszych duszach. Dobre słowa rosną dobrze. Kwitną. Wytwarzają pień, który staje się podporą naszego kręgosłupa, podtrzymując nas, kiedy czujemy się słabi, pomagają nam stać mocno na ziemi, kiedy najbardziej potrzebujemy oparcia. Złe słowa źle rosną. Ich pnie są atakowane i niszczone przez choroby. W końcu pustoszeją w środku i zagnieżdżają się w nich potrzeby innych, zajmując miejsce naszych własnych. A my jesteśmy zmuszeni jeść owoce zrodzone z tych słów rosnących w niewoli. Na gałęziach, które porastają nasze ramiona i oplatają nasze szyje, dusząc nas niepostrzeżenie, słowo za słowem.

Nie wiem, jak Adam i Warner zamierzają przekazać tę wiadomość Jamesowi. Może nie powiedzą mu nic, dopóki nie będzie na tyle duży, żeby umieć zaakceptować swoje pochodzenie. Nie wiadomo, jak James zareaguje na wiadomość, że jego ojciec jest masowym mordercą i odrażającym potworem, który niszczył życie każdemu, do kogo się zbliżył.

Nie.

Może lepiej, że James o niczym nie wie. Na razie.

Może na razie wystarczy, że Warner poznał prawdę.

Przychodzi mi na myśl, że to zarazem piękne i bolesne, że Warner w ciągu jednego tygodnia stracił matkę i zyskał dwóch braci. I choć rozumiem, dlaczego prosił, żeby zostawić go samego, nie mogę się powstrzymać. Podchodzę do niego. Nie powiem ani słowa, obiecuję sobie. Po prostu chcę być teraz blisko niego.

Więc siadam obok i opieram głowę o ścianę. Oddycham.

– Powinnaś była mi powiedzieć – szepcze.

Milczę.

– Nie masz pojęcia, ile razy chciałam to zrobić – mówię w końcu.

– Powinnaś była mi powiedzieć.

– Przepraszam. – Opuszczam głowę. Zniżam głos. – Na-prawdę mi przykro.

Cisza.

Wciąż cisza.

I nagle.

Szept.

– Mam dwóch braci.

Podnoszę głowę. Patrzę na niego.

– Mam dwóch braci – powtarza bardzo cicho. – I jednego z nich o mało nie zabiłem.

Wpatruje się w jakiś odległy punkt. Czoło ma ściągnięte, na jego twarzy maluje się ból, dezorientacja i coś, co przypomina żal.

– Powinienem być się domyślić – wzdycha. – Może cię dotknąć. Mieszka w tym samym sektorze. Jego oczy zawsze wydawały mi się dziwnie znajome. Teraz zdaję sobie sprawę, że mają ten sam kształt co oczy mojego ojca.

Wzdycha.

– To mi jest zupełnie nie na rękę – mówi. – Zamierzałem nienawidzić go do końca życia.

Wzdrygam się zaskoczona.

– Chcesz powiedzieć... że już go nie nienawidzisz?

Warner opuszcza głowę. Jego głos jest tak cichy, że prawie go nie słyszę.

– Czy mogę nienawidzić jego gniewu, skoro tak dobrze wiem, skąd się wziął?

Wpatruję się w niego oszołomiona.

– Doskonale sobie wyobrażam jego relację z moim ojcem – mówi Warner, kręcąc głową. – Że też w ogóle udało mu się to przetrwać, w dodatku zachowując więcej człowieczeństwa, niż mnie się udało. – Cisza. – Nie. Nie potrafię go nienawidzić. Szczerze mówiąc, podziwiam go.

Mam wrażenie, że się rozplaczę.

Mijają nas minuty, milczące, spokojne. Przystają tylko po to, żeby posłuchać naszych oddechów.

– Chodź – szepczę wreszcie, biorąc go za rękę. – Chodźmy do łóżka.

Warner kiwa głową, wstaje, ale zaraz się zatrzymuje. Niezdecydowany. Jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę. Patrzy na Adama. Adam odwzajemnia jego spojrzenie. Przyglądają się sobie długo.

– Wybacz mi, proszę – mówi Warner.

A ja przyglądam się zaskoczona, jak rusza w jego stronę. Adam natychmiast wstaje, gotów się bronić, niepewny. Ale odnoszę wrażenie, że mięknie, w miarę jak Warner się do niego zbliża.

Stoją twarzą w twarz. Warner coś mówi.

Adam zaciska zęby. Wzrok ma utkwiony w podłódze.

Kiwa głową.

Warner wciąż mówi.

Adam przetyka ślinę. Znowu kiwa głową.

Podnosi wzrok.

Obaj długo się sobie przyglądają. A potem Warner kładzie dłoń na ramieniu Adama.

Chyba śnię.

Zamieniają jeszcze parę słów, po czym Warner obraca się na pięcie i odchodzi.

- Co mu powiedziałeś? – pytam, kiedy tylko zamykają się drzwi windy.
Warner bierze głęboki oddech. Milczy.
- Nie powiesz mi?
– Wolałbym nie – mówi cicho.
Biorę go za rękę. Ściskam.
Drzwi windy się rozsuwają.
- Czy to będzie dla ciebie niezręczne? – pyta Warner. Wy-daje się zaskoczony własnym pytaniem, jakby nie mógł uwierzyć, że w ogóle je zadał.
- Czy co będzie dla mnie niezręczne?
– To, że Kent i ja jesteśmy... braćmi.
– Nie – mówię. – Wiem o tym już od jakiegoś czasu. Ni-czego to dla mnie nie zmienia.
– To dobrze – mówi cicho.
Kiwam głową zdezorientowana.
Jesteśmy już w sypialni. Siedzimy na łóżku.
- Więc nie przeszkadzałoby ci to? – pyta Warner.
Wciąż nie rozumiem.
- Gdybyśmy on i ja spędzali razem trochę czasu?
– Co?! – Nie potrafię ukryć niedowierzania. – Nie – dodaję szybko. – Nie, oczywiście, że nie... Myślę, że to byłoby cudowne.
- Warner wpatruje się w ścianę.
- Więc... chcesz spędzać z nim czas? – Nie chcę być natrętna, ale po prostu nie mogę się powstrzymać.
- Chciałbym poznać swojego brata. Tak.
– A James? – pytam.
Warner śmieje się cicho.
– Tak. Jamesa też.
– Więc... cieszysz się z tego wszystkiego?
Nie odpowiada od razu.
– Nie jestem nieszczęśliwy.
- Wspinam się na jego kolana. Otaczam dłońmi jego twarz, unosząc jego podbródek tak, żeby widzieć jego oczy. Uśmiecham się głupio.
- Uważam, że to cudowne – mówię.
– Naprawdę? – Śmieje się. – To ciekawe.
Kiwam głową. Nie mogę przestać. Całuję go raz, bardzo delikatnie.
Warner zamyka oczy. Uśmiecha się lekko, na jego policzku ukazuje się dołeczek.
- Wygląda teraz, jakby był pogrążony w rozmyślaniach.
- Jakże to wszystko zrobiło się dziwne.
Mam wrażenie, że mogłabym umrzeć ze szczęścia.
Warner unosi mnie do góry i kładzie na łóżku. Wczołguje się na mnie.
- A dlaczego jesteś taka podekscytowana? – pyta, powstrzymując śmiech. – Wprost promieniejesz.
- Chcę, żebyś był szczęśliwy – mówię, szukając jego spojrzenia. – Chcę, żebyś miał rodzinę. Chcę, żeby otaczali cię ludzie, którzy się o ciebie troszczą. Zasługujesz na to.
– Mam ciebie – mówi, dotykając czołem mojego czoła. Zamyka oczy.

– To za mało.
– Nie – szepcze. Kręci głową. Muska nosem mój nos.
– Tak.
– A co z tobą? I twoimi rodzicami? – pyta. – Nigdy nie chciałaś ich odnaleźć?
– Nie – mówię cicho. – Nigdy nie byli dla mnie prawdziwymi rodzicami. Poza tym mam przyjaciół.

– I mnie – mówi.
– Jesteś moim przyjacielem – mówię.
– Ale nie twoim najlepszym przyjacielem. Kenji jest twoim najlepszym przyjacielem. Usiłuję powstrzymać śmiech, słysząc zazdrość w jego głosie.
– Tak, ale ty jesteś moim ulubionym przyjacielem.
Warner pochyla się, omijając moje usta.
– Dobrze – szepcze, całując moją szyję. – A teraz obróć się – mówi – na brzuch.
Wpatruję się w niego.
– Proszę – mówi. Uśmiecha się.
Obracam się. Bardzo wolno.
– Co robisz? – szepczę, zerkając na niego przez ramię.
Delikatnie daje mi znak, żebym się położyła.
– Chcę, żebyś wiedziała – mówi, pociągając za suwak mojego kombinezону – jak bardzo cenię sobie twoją przyjaźń. Zamek się rozpiną, wystawiając moją skórę na działanie żywiołów. Powstrzymuję dreszcz.

Suwak zatrzymuje się u dołu moich pleców.
– Ale chciałbym, żebyś jeszcze raz rozważyła mój tytuł – mówi Warner. Zostawia na środku moich pleców miękki pocałunek. Jego dłonie wędrują w górę i zsuwają strój z moich ramion. Nie przestaje mnie całować po łopatkach i karku. – Bo moja przyjaźń – szepcze – wiąże się z korzyściami, jakich Kenji nigdy nie będzie w stanie ci zaoferować.

Nie mogę oddychać. Nie mogę.
– Nie sądzisz? – pyta Warner.
– Tak – odpowiadam zbyt szybko. – Tak.
A potem zaczynam wirować, zatracam się w doznaniach. Uświadamiam sobie, że wkrótce będziemy musieli obejść się bez tych chwil, i zastanawiam się, jak długo to potrwa, zanim uda nam się je odzyskać.

Nie wiem, dokąd zmierzamy, on i ja, ale wiem, że chcę się tam znaleźć. Zamieniamy się w godziny i minuty, sięgamy po te same sekundy, trzymamy się za ręce i wirując, mkniemy ku nadchodzącym dniom i obietnicom czegoś lepszego.

Ale choć poznamy przyszłość i poznaliśmy już przeszłość, nigdy nie poznamy teraźniejszości. Ta chwila i następna, a nawet ta, która jest teraz, miną, już odeszły, pozostawiając nam tylko te zmęczone ciała, jedyny dowód na to, że żyliśmy przez jakiś czas i przetrwaliśmy go.

To będzie tego warte. Na koniec.
Walka o całe życie, takie jak to.

Wystarczył dzień.

– Chcę jeden. – Przyglądam się arsenałowi broni w sali gimnastycznej. – Który jest najlepszy?

Delalieu pojawił się tego ranka, żeby przekazać nam wieści. Naczelnym już tu jest. Przebył ocean odrzutowcem, a teraz jest na jednym z okrętów wojennych Sektora 45, zacumowanym w porcie.

Jego gwardia jest w drodze. Za nią przybędzie jego armia.

Czasem nie jestem pewna, czy nie umrzemy.

– Nie potrzebujesz broni – mówi Warner zaskoczony. – Oczywiście możesz wziąć pistolet, ale jestem pewien, że nie będzie ci potrzebny.

– Chcę dwa.

– W porządku – śmieje się. Ale tylko on.

Pozostali usiłują opanować strach. Zachowujemy ostrożny optymizm, ale jesteśmy pełni obaw. Warner już zmobilizował oddziały, cywile zostali powiadomieni. Dla tych, którzy zechcą do nas dołączyć, powstały specjalne punkty, w których wydawana jest broń i amunicja.

Wystarczy okazać Identyfikator Komitetu Odnowy na dowód, że jest się mieszkańcem Sektora 45. W koszarach utworzono schrony i centra pierwszej pomocy. Mogą się tam ukryć pozostali mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy, którzy nie mogą lub nie chcą przystąpić do walki. Znajdą tam schronienie i będą mogli przeczekać rozlew krwi.

Warner wszystko zorganizował.

– A co, jeśli on wszystko zbombarduje? – pyta Ian, przerywając ciszę. – Tak samo jak Punkt Omega?

– Nie zbombarduje – mówi Warner. – Jest na to zbyt arogancki, a ta wojna zrobiła się dla niego za bardzo osobista. Będzie chciał się nami pobawić. Będzie to przeciągał jak najdłużej. Zawsze był zafascynowany koncepcją tortur. To będzie dla niego zabawa.

– Taaak, poprawiłeś mi nastrój – mówi Kenji. – Świetna przemowa zagrzewająca do walki.

– Do usług – mówi Warner.

Kenji prawie wybucha śmiechem. Prawie.

– Więc on jest teraz na innym statku? – pyta Winston. – Tutaj?

– Tak to rozumiem – mówi Warner. – Normalnie przebywałby w bazie, ponieważ jednak aktualnie jesteśmy wrogami, sytuacja się skomplikowała. Najwyraźniej przyznał również żołnierzom z całego kraju specjalne przepustki, żeby mogli do niego dołączyć. Ma swoją własną elitarną straż, a także oddziały strzegące stolicy, ale wygląda na to, że mobilizuje ludzi w innych sektorach. Nie ma nas aż tylu, żeby potrzebował tych ludzi. Chce nas tylko nastraszyć.

– Cóż, udało mu się – mówi Ian.

– Czy jesteś pewien, że nie będzie go na polu walki? Na sto procent? – pytam. Ta część planu jest najważniejsza. Kluczowa.

Warner kiwa głową.

Anderson nigdy nie bierze udziału w swoich wojnach. Nigdy nie pokazuje twarzy. Jego tchórzostwo to nasza szansa, nasz największy atut. Bo chociaż niewykluczone, że przewiduje zamach na swoje życie, mamy nadzieję, że nie spodziewa się niewidzialnych zamachowców.

Warner ma dowodzić armią. Castle, Brendan, Winston, Lily, Alia i Adam będą mu pomagać. James zostanie w bazie.

Kenji i ja udajemy się do samego źródła.
Jesteśmy gotowi. W pełnym rynsztunku i uzbrojeniu, pod wpływem dużej dawki kofeiny.
Słyszę szcęk ładowanej broni.
Obracam się.
Warner na mnie patrzy.
Pora iść.

Kenji chwyta mnie za ramię.

Pozostali wjeżdżają windą na górę i wychodzą przez pokój Warnera, tylko Kenji i ja wychodzimy tylnym wyjściem, nie rzucając się w oczy. Chcemy, aby wszyscy, łącznie z żołnierzami, sądzili, że jesteśmy na polu bitwy. Nie chcemy się pokazywać tylko po to, żeby zniknąć, nie chcemy, żeby ktokolwiek zauważył naszą nieobecność.

Więc czekamy, aż nasi przyjaciele wsiądą do windy i wjadą na główne piętro. James wciąż macha, choć drzwi się już zamknęły i zostaliśmy sami.

Moje serce zamiera.

Kenji całuje Jamesa na pożegnanie. To okropny, głośny pocałunek w czubek głowy.

– Zabezpieczaj tyły, dobra? – mówi do Jamesa. – Jeżeli pojawią się żołnierze, masz skopać im tyłki.

– Jasne – mówi James. Śmieje się, żeby nie było widać, że płacze.

– Mówię poważnie – mówi Kenji. – Po prostu spuść im manto. Zlej ich na kwaśne jabłko.

– Wykonuje bezładne ruchy rękami, naśladując ciosy. – Lej, gdzie popadnie. Pokonaj świrów ich własną bronią...

– Nikt tu nie przyjdzie, James – mówię, mierząc wzrokiem Kenjiego. – Nie martw się, nie będziesz musiał się bronić. Jesteś tu całkowicie bezpieczny. A potem my wrócimy.

– Na pewno? – pyta James, spoglądając na mnie. – Wszyscy?

Spryciarz.

– Tak – kłamię. – Wszyscy wrócimy.

– Dobra – szepcze. Przygryza drżącą wargę. – Powodzenia.

– Łzy zbyt cenne – mówi Kenji, ściskając go serdecznie. – Niedługo wrócimy.

James kiwa głową.

Kenji puszcza Jamesa.

A potem wychodzimy drzwiami w ścianie z bronią.

Pierwsza część będzie najtrudniejsza, myślę. Całą drogę do portu musimy pokonać pieszo, bo nie możemy ryzykować kradzieży pojazdów. Nawet gdyby Kenjiemu udało się sprawić, że czołg będzie niewidzialny, musielibyśmy porzucić go w widzialnej postaci, a dodatkowy nadprogramowy czołg w porcie zbytnio rzuciłby się w oczy.

Miejsce pobytu Andersona z pewnością znajduje się pod ścisłym nadzorem.

Kenji i ja idziemy w milczeniu. Kiedy Delalieu powiedział nam, że naczelny będzie stacjonował w porcie, Kenji od razu wiedział, w którym miejscu. Podobnie jak Warner, Adam, Castle i właściwie wszyscy oprócz mnie.

– Jakiś czas pływałem na jednym z tych statków – powiedział Kenji. – Niezbyt długo. Za złe sprawowanie. – Uśmiechnął się. – Znam drogę.

Więc idziemy pod rękę, on prowadzi.

Jeszcze nigdy nie było tak zimno. Powietrze nigdy nie było tak lodowate.

Ten statek wygląda jak pływające miasto. Jest tak ogromny, że nie widzę jego końca. Obserwujemy jego burty, próbując ocenić, jak trudno będzie przedostać się na pokład.

Niezwykle trudno.

To prawie niemożliwe.

To słowa Kenjiego.

No, prawie.

– Cholera! – mówi. – To jakiś absurd. W życiu nie widziałem takich zabezpieczeń. To nie

do przejścia.

I ma rację. Wszędzie są żołnierze. Na nabrzeżu. Na trapie. Na pokładzie. Uzbrowieni po zęby, aż czuję się głupio ze swoimi dwoma ręcznymi pistoletami w kaburach na szelkach, które mam na ramionach.

– Więc co robimy?

Milczy chwilę.

– Umiesz pływać?

– Co? Nie.

– Cholera.

– Przecież nie wskoczmy do oceanu, Kenji...

– Hmm. Nie żebyśmy umieli latać.

– Może uda nam się ich pokonać?

– Chyba cię pogięło. Wydaje ci się, że poradzimy sobie z dwustoma żołnierzami? Może i jestem niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, Dzej, ale nie jestem Bruce'em Lee.

– Kto to jest Bruce Lee?

– Kto to jest Bruce Lee? – powtarza Kenji zgorszony. – O, Boże. To koniec naszej przyjaźni.

– Dlaczego? Czy on był twoim przyjacielem?

– Wiesz co – mówi – lepiej już przestań. Po prostu... nie rozmawiam z tobą.

– Więc jak się tam dostaniemy?

– Zabij mnie, nie mam pojęcia, jak się pozbyć ze statku tych wszystkich gości.

– Och – wykrzykuję. – O, Boże. Kenji... – Chwytam za jego niewidzialne ramię.

– Taaak, to moja noga. Nie pozwalaj sobie, księżniczko.

– Kenji, mogę ich przecież zrzucić – mówię, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Mogę ich po prostu zepchnąć do wody. Co ty na to?

Cisza.

– Więc? – pytam.

– Twoja ręka jest ciągle na mojej nodze.

– Och. – Odskakuję. – Więc? Co o tym sądzisz? Dobry pomysł?

– Nie najgorszy – mówi Kenji zirytowany. – Do roboty. Tylko szybko.

Biorę się do roboty.

Cofam się i kieruję całą swoją energię w górę, w ramiona.

Moc: okiełznana.

Ramiona: wycelowane.

Energia: wyrzucona.

Robię ręką taki ruch, jakbym zrzuciła rzeczy ze stołu.

I wszyscy żołnierze wpadają do wody.

Stąd wydaje się to niemal komiczne. Wyglądają jak zepchnięte z biurka zabawki.

Podskakują na wodzie, próbując zrozumieć, co się przed chwilą stało.

– Chodźmy – mówi nagle Kenji, chwytając mnie za ramię. Ruszamy przed siebie, biegniemy po trzydziestometrowym pirsie. – Oni nie są głupi. Ktoś włączy alarm i zaraz odetną nam drogę. Mamy najwyżej minutę.

Więc pędzimy.

Pokonujemy portowy pomost i wchodzimy po trapie na pokład statku. Kenji ciągnie mnie za ramię i daje znaki, dokąd mam się kierować. Stajemy się coraz bardziej świadomi swoich ciał. Wyczuwam jego obecność obok siebie, chociaż go nie widzę.

– Na dół! – krzyczy. Spoglądam w dół i dostrzegam coś, co przypomina wąski, okrągły

właz z przymocowaną od spodu drabiną. – Schodzę – mówi. – Odczekaj pięć sekund i rób to samo!

Słyszę już dźwięk alarmu, wyjące w oddali syreny. Statek wydaje się zrośnięty z nabrzeżem, ale woda sięga nieskończoności, niknąc w oddali, przy krawędzi ziemi.

Moje pięć sekund minęło.

Zaczynam schodzić za Kenjim.

Nie mam pojęcia, gdzie się podział Kenji.

Pod pokładem jest ciasno, a już słyszę łomot zbliżających się kroków, krzyki i nawoływania odbijające się echem od ścian korytarza. Widocznie już wiedzą, że coś się stało na pokładzie. Bardzo się staram nie wpadać w panikę, ale nie jestem pewna, jaki powinien być mój następny krok.

Nie przewidywałam, że będę musiała działać sama.

Wciąż powtarzam szeptem imię Kenjiego w nadziei, że usłyszę odpowiedź, ale nic z tego. Nie mogę uwierzyć, że już go zgubiłam. Przynajmniej nadal jestem niewidzialna, co oznacza, że on nie może być dalej niż piętnaście metrów ode mnie, ale żołnierze są zbyt blisko, żebym mogła pozwolić sobie na jakiegokolwiek ryzyko. Nie wolno mi zwracać na siebie uwagi, nie wolno mi zrobić niczego, co groziłoby ujawnieniem mojej obecności. Albo Kenjiego.

Więc muszę zachować spokój.

Problem polega na tym, że nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nie mam pojęcia, co to za część statku. Jeszcze nigdy na żadnym nie byłam, nie mówiąc o okręcie wojennym tych rozmiarów.

Ale muszę spróbować zrozumieć swoje otoczenie.

Stoję na środku czegoś, co przypomina bardzo długi korytarz. Podłoga wyłożona jest biegnącymi w poprzek drewnianymi deskami, podobnie jak ściany, a nawet niski sufit nad moją głową. Po obu stronach co półtora metra znajdują się niewielkie wnęki, jakby ściana w niektórych miejscach została wydrążona.

Zdaję sobie sprawę, że to drzwi.

Zastanawiam się, dokąd prowadzą. Dokąd będę musiała pójść.

Buty łomoczą coraz głośniej.

Moje serce przyspiesza, staję pod ścianą, ale korytarze są za wąskie. Oni mnie nie widzą, ale nie ma szans, żeby udało mi się prześliznąć obok nich. Już widzę zbliżającą się grupę żołnierzy, słyszę wykrzykiwane rozkazy. Lada chwila na mnie wpadną.

Błyskawicznie robię w tył zwrot i biegnę na palcach, starając się robić możliwie najmniej hałasu. Zatrzymuję się z poślizgiem. Wpadam na ścianę. Korytarzami pędzi teraz coraz więcej żołnierzy wyraźnie postawionych w stan gotowości i przez sekundę czuję, że moje serce tego nie wytrzyma. Tak bardzo się martwię o Kenjiego.

Powtarzam sobie, że póki jestem niewidzialna, to znaczy, że Kenji jest w pobliżu. Żyje.

Ta myśl dodaje mi otuchy. Tymczasem żołnierze się zbliżają.

Patrzę w lewo. Potem w prawo. Okrążają mnie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie mam pojęcia, dokąd biegną – może wracają na górę, na pokład – ale teraz muszę szybko coś zrobić, a nie chcę zwracać na siebie ich uwagi. Jeszcze nie. Za wcześnie na to, żeby ich wyeliminować. Wprawdzie Alia zapewniła mnie, że kule nie mogą mnie zranić, dopóki podtrzymuję swoją energię na wysokim poziomie, ale moje doświadczenia z postrzałem w pierś pozostawiły po sobie tak dotkliwą traumę, że jestem gotowa na wszystko, byle tylko nie sprawdzać tego na własnej skórze.

Robię więc jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

Wskakuję do jednej z wnęk i zapieram się rękami o framugę, przyciskając plecy do drzwi. Proszę proszę proszę, myślę, proszę, niech za tymi drzwiami nikogo nie będzie. Jeśli ktoś je otworzy, będę martwa.

Żołnierze się zbliżają.

Wstrzymuję oddech, kiedy mnie mijają.

Jeden z nich ociera się łokciem o moje ramię.

Serce wali mi jak szalone. Kiedy tylko znikają za rogiem, wyskakuję z wnęki i pędzę korytarzem, który łączy się z kolejnymi korytarzami. To miejsce jest jak labirynt. Nie mam pojęcia, gdzie jestem, nie mam pojęcia, co się dzieje.

Nie mam żadnego pomysłu, gdzie szukać Andersona.

A żołnierze nie przestają się mnożyć. Są wszędzie, zbliżają się ze wszystkich stron naraz, a potem znikają, a ja skręcam w kolejne odnogi i biegam to w jedną, to w drugą stronę, usiłując im uciec. Aż nagle dostrzegam swoje dłonie.

Nie jestem już niewidzialna.

Powstrzymuję okrzyk.

Rzucam się do kolejnych drzwi w nadziei, że wnęka zasłoni mnie przed ich wzrokiem, ale strach mnie paraliżuje, nie wiem, co się stało z Kenjim, nie wiem, co się stanie ze mną. Jakie to głupie. Jestem taka głupia. Nie wiem, co sobie wyobrażałam.

Nie wiem, dlaczego myślałam, że to może się udać.

Buty.

Tupią coraz bliżej. Zbieram się w sobie, mierzę się z własnym strachem i staram się przygotować. Nie uda mi się już pozostać niezauważoną. Gromadzę energię, czuję, jak napływa, jak wrze, wprawiając w drzenie moje ciało. Ogarnia mnie ekscytacja. Jeśli zdołam podtrzymać ten stan, dopóki tu jestem, uda mi się obronić. Teraz potrafię walczyć. Umieję obezwładnić człowieka, odebrać mu broń. Tak wiele się nauczyłam.

Jednak wciąż jestem przerażona, poza tym chyba jeszcze nigdy tak bardzo nie potrzebowałam łazienki.

Myśl, powtarzam sobie. Myśl. Co możesz zrobić? Dokąd możesz iść? Gdzie Anderson może się ukrywać? Głębiej? Niżej?

Gdzie mogą być największe kajuty na tym statku? Raczej nie na najwyższym pokładzie. Trzeba zejść niżej.

Ale jak?

Żołnierze są coraz bliżej.

Zastanawiam się, co znajduje się w tych kajutach, dokąd prowadzi korytarz. Jeśli na jego końcu jest jedynie kolejna kajuta, to ślepy zaułek. Ale jeśli prowadzi do większych pomieszczeń, może to być jakaś szansa. Jeśli ktoś jest za tymi drzwiami, będę miała kłopoty. Nie wiem, czy warto ryzykować.

Okrzyk.

Wrzask.

Strzał.

Zauważyli mnie.

Walę łokciem w drzwi za moimi plecami. Dokoła fruwią drzazgi. Odwracam się i pięścią toruję sobie drogę przez to, co zostało z drzwi, kopię je w nagłym przypływie adrenaliny, a kiedy dostrzegam, że kajuta jest jedynie niewielkim schowkiem i donikąd nie prowadzi, robię jedyną rzecz, jaka przychodzi mi do głowy.

Podskakuję.

I spadam.

Przelatuję przez podłogę.

Koziołkuję, w ostatniej chwili udaje mi się stanąć na nogi. Żołnierze zeskakują za mną, nawołują się, krzyczą. Łomot butów nie cichnie. Szarpnięciem otwieram jakieś drzwi i wybiegam na korytarz. Wszędzie rozlegają się alarmy, ich dźwięk jest tak głośny i tak nieznośny, że nie słyszę własnych myśli. Czuję się, jakbym znalazła się w labiryncie, syreny błyskają czerwonymi światłami, omiatając nimi korytarze, piskiem i światłem sygnalizują obecność intruza.

Mogę liczyć tylko na siebie.

Skrećam w kolejne odnogi korytarzy, pokonuję zakręty, próbując się zorientować w rozkładzie pomieszczeń, szukając różnicy między poziomami statku. Wydaje mi się, że nie ma żadnej. Wyglądają zupełnie tak samo, a żołnierze są równie agresywni.

Strzelają teraz na prawo i lewo, ogłuszający huk strzałów zderza się z wyciem syren. Chwilami nie jestem pewna, czy nie straciłam słuchu.

Nie mogę uwierzyć, że wciąż pudłują.

To się wydaje statystycznie niemożliwe, że tak wielu żołnierzy nie może trafić do celu z tak niewielkiej odległości. To nie może być prawda.

Znowu przebijam się przez podłogę.

Tym razem ląduję na ugiętych nogach.

Rozglądam się i widzę, że ten poziom jest inny. Prostuję się. Korytarze są szersze, drzwi do kajut znajdują się dalej od siebie. Szkoda, że nie ma tu Kenjiego. Szkoda, że nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy, na czym właściwie polega różnica pomiędzy poziomami. Chciałabym wiedzieć, gdzie zacząć szukać.

Otwieram kopnięciem drzwi.

Nic.

Biegnę, kopię w następne drzwi.

Nic.

Biegnę dalej. Otaczają mnie wnętrza statku. Silniki, rury, stalowe dźwigary, potężne zbiorniki, obłoki pary. To zły kierunek.

Tylko że nie mam pojęcia, ile poziomów ma ten okręt i czy da się zejść jeszcze niżej.

Wciąż do mnie strzelają, ledwo udaje mi się uciec. Ostrożnie wychylam się zza ostrych zakrętów, przywieram do ściany, skręcam w różne zakamarki w poszukiwaniu kryjówek.

Gdzie jest Kenji? Zastanawiam się gorączkowo. Gdzie on jest?

Muszę szukać w innej części statku. Nie potrzebuję kotłowni ani zbiorników z wodą. To nie może być tutaj. Wszystko jest tutaj inne. Nawet drzwi wyglądają inaczej. Są ze stali, nie z drewna.

Otwieram kopniakiem kilkoro z nich, dla pewności.

Kabina radiooperatorów, pusta.

Sala spotkań, pusta.

Nie. Szukam prawdziwych kajut. Z przestronnymi biurami i pomieszczeniami

mieszkalnymi. Anderson nie siedziałby w takim miejscu. Nie przebywałby w sąsiedztwie instalacji gazowych, nie słuchał warkotu silników.

Wychodzę na palcach ze swojej ostatniej kryjówki. Wystawiam głowę.

Krzyki. Wołania.

Kolejne strzały.

Wycofuję się. Biorę głęboki oddech. Ujarczmiam całą moc, jaką posiadam, i dochodzę do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko sprawdzić teorię Alii.

Wyskakuję i biegnę korytarzem.

Mknę jak jeszcze nigdy w życiu. Pociski świszczą mi nad głową i siekają moje ciało, trafiają mnie w twarz, plecy, ramiona. Zmuszam się, żeby biec dalej, zmuszam się, żeby oddychać, nie czując bólu, nie czując strachu, uczepiam się swojej energii jak liny ratunkowej i nie pozwalam, żeby cokolwiek mnie zatrzymało. Przewracam żołnierzy i przebiegam po nich, odpycham ich łokciami, nie waham się przed niczym, nie poprzestaję na usunięciu ich ze swojej drogi.

Trzech rzuca się na mnie, próbują mnie przewrócić na ziemię, ale odpycham ich wszystkich. Ktoś do mnie podbiega, uderzam go pięścią w twarz, czując, że łamię mu nos metalowym ochroniaczem. Inny próbuje złapać mnie za ramię, ale miażdżę mu palce, po czym chwytam go za przedramię, przyciągam bliżej i rzucam nim o ścianę. Robi w niej dziurę na wylot i przelatuje na drugą stronę. Obracam się, żeby stawić czoło pozostałym, a oni wpatrują się we mnie w panice i z przerażeniem w oczach.

– Chcecie ze mną walczyć? – rzucam. W moich żyłach płynie krew, zniecierpliwienie i adrenalina jakiegoś szalonego rodzaju. – Tylko spróbujcie.

Pięciu z nich unosi broń i mierzy w moją twarz.

Strzelają.

Raz za razem, w kółko przeladowując pistolety. Odruchowo chciałabym osłonić się przed pociskami, ale przecież muszę skupić się na nich, na ich ciałach i ich rozwścieczonych, wykrzywionych twarzach. Muszę zamknąć na sekundę oczy, bo nic nie widzę przez siekący moje ciało grad kul. A kiedy jestem gotowa, przyciskam pięść do piersi, czując, jak wzbiera we mnie energia, i wyrzucam ją przed siebie, całą za jednym zamachem, przewracając siedemdziesięciu pięciu żołnierzy, jakby byli ludzikami z zapalek.

Korzystam z chwili, żeby odetchnąć.

Pierś mi faluje, serce wali młotem, rozglądam się dokoła, wyczuwając spokój w oku cyklonu. Mrugam energicznie, oślepiona błyskaniem czerwonych świateł alarmów, i przekonuję się, że żołnierze się nie ruszają. Wiem, że żyją, ale są nieprzytomni. Na chwilę spuszczam wzrok.

Jestem otoczona.

Pociski. Setki kul. Stoję w kałuży pocisków. Wszystkie leżą u moich stóp. Odbijają się od mojego kombinezону.

Od mojej twarzy.

W ustach czuję coś zimnego i twardego. Wypluwam to na dłoń. To tylko pognieciony, pęknięty kawałek metalu, który okazał się zbyt kruchy, żeby dać mi radę.

Sprytny mały pocisk, myślę.

A potem biegnę.

W korytarzach panuje teraz cisza. Nie słysząc już tylu kroków.
 Wrzuciłam do oceanu dwustu żołnierzy.
 Powaliłam może ze stu następnych.
 Nie mam pojęcia, ilu ludzi Anderson postawił na straży tego statku. Ale zamierzam się tego dowiedzieć.
 Oddycham ciężko, torując sobie drogę przez labirynt. Smutna prawda jest taka, że choć nauczyłam się walczyć i przenosić swoją energię, w bieganiu jestem do niczego.
 Jak na osobę obdarzoną nadludzką mocą, mam żenująco kiepską kondycję.
 Rozwalam pierwsze drzwi, jakie dostrzegam.
 Jeszcze jedno.
 Następne.
 Jeśli będzie trzeba, zdemoluję cały ten statek, żeby znaleźć Andersona. Rozwalę go własnymi rękami, jeśli będę musiała. Bo on ma Sonyę i Sarę. I być może ma Kenjiego.
 Po pierwsze: uratować przyjaciół.
 Po drugie: zabić naczelnego.
 Kopię w kolejne drzwi.
 Wszystkie kajuty są puste.
 Dostrzegam dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe na końcu korytarza i przebiegam przez nie w poszukiwaniu oznak życia.
 To kuchnia.
 Noże, Kuchenki i stoły. Niezliczone rzędy puszek z żywnością. Notuję w pamięci, żeby po to wrócić. Szkoda by było, gdyby tyle jedzenia się zmarnowało.
 Wybiegam z powrotem wahadłowymi drzwiami.
 I podskakuję. Wkładając w to całą swoją energię. Przelatuję przez podłogę, modląc się, żeby poniżej był jeszcze jeden poziom.
 Oby był.
 Łąduję chwiejnie na palcach, na chwilę tracę równowagę i zataczam się do tyłu. W samą porę udaje mi się ją odzyskać.
 Rozglądam się.
 Tak, myślę sobie. To co innego. To wygląda jak należy.
 Korytarze są tu potężne. W ścianach znajdują się iluminatory. Podłoga jest znowu drewniana, z długich, wąskich desek polakierowanych na wysoki połysk. Ładnie tu. Elegancko. Czysto. Na tym poziomie dźwięk syren jest przytłumiony jak niejasna groźba z oddali i zdaję sobie sprawę, że muszę być blisko.
 Słyszę kroki. Obracam się.
 W moją stronę biegnie żołnierz, ale tym razem nawet nie próbuję się kryć. Ruszam mu na spotkanie, chowam głowę i uderzam prawym ramieniem w jego pierś z taką siłą, że posyłam żołnierza na koniec korytarza.
 Ktoś strzela do mnie z tyłu.
 Obracam się i podchodzę do niego, opędzając się od kul jak od much. A potem chwytam go za ramiona, przyciągam do siebie i uderzam kolanem w krocze. Zgina się wpół, dysząc, jęcząc i kuląc się na podłodze. Pochyliłam się, zabieram mu z ręki broń i chwytam za jego koszulę. Podnoszę go jedną ręką. Uderzam nim o ścianę. Przyciskam pistolet do jego czoła.
 Znudziło mi się szukanie.

– Gdzie on jest? – pytam.

Nie odpowiada.

– Gdzie?! – krzyczę.

– N-nie w-wiem – mówi wreszcie drżącym głosem. Jego ciało wije się i drży w moim uścisku.

Z jakiegoś powodu mu wierzę. Próbuję wyczytać coś z jego oczu, ale widzę w nich tylko strach. Upuszczam go na podłogę. Zgniatam w dłoni jego broń. Rzucam mu ją na kolana.

Kopniakiem otwieram kolejne drzwi.

Jestem już tak porytowana, taka wściekła i przerażona z powodu Kenjiego, że cała się trzęsę. Sama już nie wiem, od czego zacząć. Kogo szukać najpierw.

Sonyi.

Sary.

Kenjiego.

Andersona.

Stoję przed kolejnymi drzwiami, przybita. Żołnierze przestali się pojawiać. Syreny nadal wyją, ale ich dźwięk dobiega z oddali. I nagle przychodzi mi do głowy, że to wszystko może okazać się stratą czasu. Nawet nie wiem, czy Anderson w ogóle jest na tym statku. Nawet nie wiem, czy to właściwy statek.

Sama nie wiem, dlaczego tym razem nie kopię w drzwi.

Z jakiegoś powodu postanawiam najpierw nacisnąć klamkę.

Drzwi nie są zamknięte.

Za nimi znajduje się ogromne łóżko. W kajucie jest duże okno z pięknym widokiem na ocean. Przestronne i okazałe pomieszczenie wygląda po prostu pięknie. Jeszcze piękniejsze są przebywające w niej osoby.

Patrzę na mnie Sonya i Sara.

Są całe i zdrowe. Żyją.

I wyglądają pięknie jak zawsze.

Podbiegam do nich z taką ulgą, że prawie wybucham płaczem.

– Nic wam nie jest? – dyszę, nie mogąc się opanować. – Jesteście całe?

Padamy sobie w ramiona. Mają takie miny, jakby przeszły prawdziwe piekło, a ja chciałabym po prostu wynieść je z tego statku i zabrać do domu.

Ale kiedy mija mi początkowa zadyszka, Sonya mówi coś, co sprawia, że serce mi zamiera.

– Kenji cię szukał – mówi. – Był tu niedawno i pytał, czy cię widzieliśmy...

– Powiedział, że się rozdzieliliście – dodaje Sara.

– I że nie wie, co się z tobą stało – mówi Sonya.

– Tak bardzo się martwiłyśmy, że nie żyjesz – mówią jednocześnie.

– Nie – odpowiadam. Czuję, że tracę rozum. – Nie, nie zginęłam. Ale muszę iść.

Zostańcie tutaj – mówię do nich. – Nie ruszajcie się stąd. Nigdzie nie idźcie. Zaraz wrócę, obiecuję. Muszę tylko odnaleźć Kenjiego... muszę znaleźć Andersona...

– Drugie drzwi – mówi Sara z szeroko otwartymi oczami.

– Te na samym końcu korytarza – mówi Sonya.

– Te niebieskie – dodają obie.

– Czeka! – Zatrzymuje mnie Sonya, kiedy odwracam się, żeby wyjść.

– Uważaj! – woła Sara. – Słyszałyśmy coś...

– Podobno przywiózł z sobą jakąś broń – mówi Sonya.

– Jaką broń? – pytam. Moje serce naprawdę przestaje bić.

– Nie wiemy – mówią chórem.

– Ale był bardzo zadowolony z siebie – szepcze Sara.

– Tak, bardzo zadowolony – potwierdza Sonya.

Zaciskam pięści.

– Dziękuję – mówię. – Dziękuję, do zobaczenia wkrótce – dodaję. – Niedługo... –

I wycofuję się, wychodzę na korytarz. Biegając, słyszę jeszcze, jak wołają, żebym na siebie uważała, życzą mi szczęścia.

Ale już nie potrzebuję szczęścia. Potrzebuję swoich dwóch pięści i kręgosłupa ze stali. Nie tracąc ani chwili, pędzę do niebieskiej kajuty. Już się nie boję.

Nie waham się. Nie zawaham się. Nigdy więcej.

Kopniakiem otwieram drzwi.

– Julio! Niiieee...!

Głos Kenjiego uderza mnie jak cios pięścią w gardło.

W tej samej chwili coś mnie rzuca na ścianę.

Moje plecy, myślę. Coś się stało z moimi plecami. Ból jest tak niewiarygodny, że przychodzi mi do głowy, że mam złamany kręgosłup. Kręci mi się w głowie i moje reakcje chyba są spóźnione, wszystko wiruje, słyszę dziwne dzwonięcie w uszach.

Próbuję stanąć.

Znowu coś we mnie uderza z miażdżącą siłą. Sama nie wiem, co mnie boli. Mrugam wciąż nie dość szybko, nie mogę zatrzymać zawrotów głowy ani odnaleźć się w tym chaosie.

Wszystko się przechyła.

Usiłuję się otrząsnąć.

Jestem silniejsza niż to. Lepsza. Praktycznie niezwyciężona.

Wstaję, jeszcze raz.

Powoli.

Coś trafia mnie tak mocno, że znowu ląduję na ścianie. Zsuwam się na podłogę. Leżę zgięta w pół, trzymając się za głowę. Próbuję mrugać, próbuję zrozumieć, co się dzieje.

Nie rozumiem, co może we mnie uderzać.

T a k m o c n o.

Nic nie powinno uderzać we mnie tak mocno. W dodatku wielokrotnie.

Mam wrażenie, że ktoś woła mnie po imieniu, ale właściwie nie słyszę jego głosu. Wszystko wydaje się stłumione, chwiejne, wytracone z równowagi, jakby tam było, tylko znajdowało się poza moim zasięgiem, jakbym niczego nie mogła odnaleźć. Poczuć.

Potrzebuję planu awaryjnego.

Nie wstaję. Zostaję na kolanach, poruszam się na czworakach i tym razem, kiedy nadchodzi uderzenie, próbuję je odbić. Z całej siły wypycham energię przed siebie, ale przez te wszystkie ciosy w głowę nie mogę odzyskać równowagi. Sięgam po swoją energię z maniacką desperacją i choć nie posuwam się naprzód, nie pozwalam już, żeby odrzuciło mnie do tyłu.

Usiłuję podnieść głowę.

Powoli.

Przede mną nic nie ma. Żadnej maszyny. Żadnego tajemniczego urządzenia, które mogłoby wytworzyć taką moc. Mrugam szybko, czekając, aż ustanie dzwonięcie w uszach, aż wróci mi ostrość widzenia.

Kolejny cios.

Siła uderzenia jest tak wielka, że o mało nie zmusza mnie do odwrotu. Wbijam palce w podłogę, robiąc dziury w deskach i przywieram do nich.

Krzyczałabym, gdybym tylko mogła. Gdybym miała jeszcze na to siłę.

Znowu podnoszę głowę. Jeszcze raz próbuję coś dostrzec.

I tym razem w polu mojego widzenia pojawiają się dwie postacie.

Jedną z nich jest Anderson.

Drugiej nie rozpoznaję.

To przysadzisty blondyn o krótko ostrzyżonych włosach i kamiennym spojrzeniu. Wygląda dziwnie znajomo. Stoi obok Andersona z aroganckim uśmieszkiem na twarzy, wyciągając ręce przed siebie.

Klaszcze w dłonie.

Tylko raz.

Jakaś siła odrywa mnie od podłogi i znowu rzuca na ścianę.
Fale dźwiękowe.
Zdaję sobie sprawę, że to uderzenia fal dźwiękowych.
Anderson znalazł sobie zabawkę.
Kręcę głową, próbuję się znowu skupić, ale uderzenia są teraz częstsze. I silniejsze.
Dotkliwsze. Zmuszają mnie do zamknięcia oczu. Próbuję się czołgać, dziurawiąc podłogę, żeby się czegoś złapać.
Kolejny cios.
Silny. W głowę.
Zupełnie jakby blondyn wywoływał eksplozję za każdym razem, kiedy klaszcze w dłonie, ale to, co mnie odrzuca, to nie siła wybuchu. To nie bezpośrednie uderzenie. To przypomina wahania ciśnienia wywołane wybuchem bomby.
Wciąż, wciąż, wciąż od nowa.
Wiem, że dotąd udawało mi się to wytrzymać wyłącznie dzięki mojej nadludzkiej sile.
Ale co z Kenj i m?
Kenji musi być gdzieś w tym pokoju. To on mnie wołał, próbował mnie ostrzec. Musi tu być, gdzieś tutaj, a skoro mnie z takim trudem udaje się to wytrzymać, nie wiem, jak on sobie poradzi.
Nie może sobie poradzić.
Nie ma prawa.
Ta myśl działa cuda. Czuję nowy przyływ siły, rozpaczliwej, zwierzęcej siły, która wzbiera we mnie i zmusza mnie, żebym wstała. Udaje mi się utrzymać na nogach pomimo kolejnych uderzeń, choć po każdym z nich w mojej głowie rozlega się łoskot, po każdym dzwoni w uszach.
Mimo to idę.
Krok za krokiem, idę.
Słyszę strzał. Trzy. Pięć kolejnych. Ktoś do mnie strzela. Pociski odbijają się od mojego ciała.
Blondyn się porusza. Wycofuje się. Próbuje przede mną uciec. Zwiększa częstotliwość kłaśnieć, chce mnie powstrzymać, ale zaszłam już za daleko, żeby przegrać tę walkę. Już nawet nie myślę, działam w amoku, skupiona wyłącznie na tym, żeby do niego dotrzeć i uciszyć na zawsze. Możliwe, że zabił Kenjiego. Możliwe, że sama zginę. Nie mam pojęcia, jak długo jeszcze będę mogła to znieść.
Ale muszę spróbować.
Jeszcze krok, mówię sobie.
Rusz nogą. Teraz stopa. Ugnij kolano.
Jesteś prawie na miejscu, mówię sobie.
Pomyśl o Kenjim. Pomyśl o Jamesie. Przypomnij sobie, co obiecałaś temu dziecku, mówię sobie. Przyprowadź Kenjiego do domu. Sama wróc do domu.
Proszę, jest. Masz go przed sobą.
Wyciągam rękę, jakbym zanurzała ją w chmurze. I zacis-kam palce na jego karku.
Ściskam.
Ściskam, aż fale dźwiękowe ustają.
Słyszę trzask.
Blondyn upada na podłogę.
A ja padam z nóg.

Nade mną stoi Anderson z bronią wycelowaną w moją twarz.

Strzela.

Znowu.

Jeszcze raz.

Zamykam oczy i sięgam w głąb siebie po resztki mocy, bo mój instynkt samozachowawczy jakimś cudem jeszcze nie zanikł, wciąż głośno wzywa do walki. Sonya i Sara powiedziały mi kiedyś, że nasza energia może się wyczerpać. Że możemy się nadwyrężyć. Że pracują nad lekiem, który byłby skuteczny w takich wypadkach.

Bardzo by mi się teraz przydał.

Mrugam. Postać Andersona ma rozmazane krawędzie. Stoi nade mną, dotykając czubka mojej głowy noskami błyszczących butów. Nie słyszę prawie nic poza echem, które rozlega się w moim ciele, nie widzę nic poza gradem sypiących się na mnie pocisków. On nie przestaje strzelać. Posyła w moim kierunku kolejne kule i czeka. Wie, że nadejdzie chwila, kiedy nie będę już mogła wytrzymać.

Umieram, chyba. Z pewnością. Myślałam, że już wiem, jak to jest, ale musiałam się pomylić. Bo to jest zupełnie inny rodzaj umierania. Zupełnie inny rodzaj bólu.

Ale przypuszczam, że skoro już muszę umrzeć, to równie dobrze zanim odejdę, mogę zrobić jeszcze jedną rzecz.

Wyciągam ręce. Chwytam Andersona za kostki. Zaciskam pięści.

I gołymi rękami miażdżę mu kości.

Jego krzyk dostatecznie długo przeszywa mgłę spowijającą mój umysł, żeby przywrócić mnie do przytomności. Mrugam szybko, rozglądam się i po raz pierwszy zaczynam widzieć wyraźnie. Kenji leży w kącie. Blondyn obok mnie na podłodze.

Anderson stracił stopy.

Moje myśli nagle wyostrzają się, jakbym nieoczekiwanie odzyskiwała siły. Nie wiem, czy nadzieja ma moc przywracania ludzi do życia, ale widok Andersona wijącego się z bólu na podłodze ma na mnie zbawienny wpływ. Zaczynam wierzyć, że nie wszystko stracone.

Czołga się do tyłu, wrzeszcząc i odpychając się rękami od podłogi. Wypuścił broń, wyraźnie zbyt sparaliżowany bólem, żeby po nią sięgnąć. Widzę cierpienie w jego oczach. Słabość. Przerażenie. Dopiero teraz dociera do niego groza i nieuchronność tego, co się z nim stanie. I to, że zginie z rąk tej samej głupiutkiej dziewczynki, która, jak twierdził, jest zbyt wielkim tchórzem, żeby się obronić.

Nagle zdaję sobie sprawę, że próbuje mi coś powiedzieć. Próbuje mówić. Może błaga. Może płacze. Może prosi o litość. Ale ja już nie słucham.

Nie mam mu też zupełnie nic do powiedzenia.

Wyciągam rękę i sięgam do kabury po broń.

Strzelam mu w czoło.

Dwa razy.
Raz za Adama i raz za Warnera.

Wsuwam pistolet z powrotem do kabury. Podchodzę do bezwładnego, lecz wciąż oddychającego Kenjiego i zarzucam go sobie na ramię.

Otwieram kopniakiem drzwi.

Wychodzę na korytarz.

Kopniakiem otwieram drzwi do kajuty Sonyi i Sary i rzucam Kenjiego na łóżko.

– Wyleczcie go – mówię, prawie nie oddychając. – Proszę, pomóżcie mu.

Opadam na kolana.

Sonya i Sara natychmiast są w pełnej gotowości. Nic nie mówią. Nie płaczą. Nie krzyczą. Nie załamują się. Biorą się do pracy, a ja chyba jeszcze nigdy nie kochałam ich bardziej niż w tej chwili. Układają Kenjiego płasko na łóżku, Sara stoi z jednej jego strony, Sonya z drugiej, najpierw kładą ręce na jego głowie. Potem na sercu.

Później zamieniają się miejscami, uzdrawiając kolejne części jego ciała, aż Kenji zaczyna się poruszać, jego powieki drżą, lecz się nie unoszą. Szarpie głową to w jedną, to w drugą stronę.

Zaczynam się martwić, ale ze strachu i zmęczenia nie mogę się poruszyć ani o centymetr.

Wreszcie dziewczęta robią krok do tyłu.

Oczy Kenjiego wciąż są zamknięte.

– Udało się? – pytam, bojąc się usłyszeć odpowiedź.

Sonya i Sara kiwają głowami.

– Śpi – mówią.

– Przyjdzie do siebie? Czy będzie zupełnie zdrowy? – pytam zrozpaczona.

– Mamy nadzieję – mówi Sonya.

– Ale będzie spał przez kilka dni – mówi Sara.

– Obrażenia były bardzo poważne – mówią razem. – Co się stało?

– To były fale dźwiękowe – szepczę. – Cudem przeżył ich uderzenia.

Sonya i Sara patrzą na mnie wyczekująco.

Zmuszam się, żeby wstać.

– Anderson nie żyje.

– Zabiłaś go – szepczą. To nie jest pytanie.

Kiwam głową.

Wpatrują się we mnie z otwartymi ustami, jak ogłuszone.

– Chodźmy – mówię. – Bitwa się skończyła. Musimy powiedzieć pozostałym.

– Ale jak się stąd wydostaniemy? – pyta Sara.

– Wszędzie są żołnierze – mówi Sonya.

– Już nie – mówię zbyt zmęczona, żeby wszystko dokładnie wyjaśnić, ale bezgranicznie wdzięczna za ich pomoc. Za to, że są i że przeżyły. Posyłam im słaby uśmiech, po czym podchodzę do łóżka, dźwigam ciało Kenjiego i zarzucam sobie na ramiona. Jego tułów opiera się na moich plecach, jedna ręka jest przerzucona przez moje lewe ramię, druga zwisa przede mną. Prawą ręką przytrzymuję go za nogi.

Podnoszę go wyżej.

– Gotowe? – pytam, patrząc na nie.

Kiwają głowami.

Wychodzimy na korytarz i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że nie znam drogi do wyjścia. Korytarze opustoszały. Wszyscy są ranni, nieprzytomni albo nie żyją. Omijamy leżące na podłodze ciała, odsuwamy czyjeś ręce i nogi. Zostaliśmy sami.

Ja – niosąca Kenjiego.

Sonya i Sara – idące za mną.

Wreszcie znajduję drabinę. Sonya i Sara przytrzymują Kenjiego, a ja wspinam się pierwsza, wyciągam z góry rękę, żeby go podnieść. Musimy zrobić to jeszcze trzykrotnie, zanim wreszcie docieramy na górny pokład, gdzie ostatni raz zarzucam go sobie na ramiona.

Idziemy w milczeniu przez opuszczony statek, wracamy pirsem na stały ląd. Tym razem nie zastanawiam się, czy ukraść czołg. Nie obchodzi mnie, czy ktoś nas zobaczy. Nie obchodzi mnie nic poza odnalezieniem przyjaciół. I zakończeniem tej wojny.

Przy drodze stoi porzucony czołg. Sprawdzam właz.

Otwarty.

Dziewczęta wspinają się do środka, pomagają mi wciągnąć Kenjiego i ułożyć go na ich kolanach. Zamykam za nimi właz. Wsiadam od strony kierowcy. Przyciskam kciuk do skanera, żeby zapalić silnik. Cieszę się, że Warner załatwił nam dostęp do tego systemu.

Dopiero wtedy przypominam sobie, że nadal nie nauczyłam się prowadzić.

Może to i lepiej, że jedziemy czołgiem.

Nie przejmuję się znakami stopu ani tym, że kończy się droga. Zjeżdżam z niej i kieruję się prosto do serca sektora, w kierunku, z którego przyszliśmy. Za mocno przyspieszam, zbyt gwałtownie hamuję, ale mój umysł jest teraz w jakimś miejscu, w którym nic już nie ma znaczenia.

Miałam cel. Etap pierwszy został zakończony pomyślnie.

A teraz doprowadzę sprawę do końca.

Wysadzam Sonyę i Sarę w bazie, wynosimy Kenjiego. Tu będzie bezpieczny. One również będą tu mogły odpocząć. Dla mnie jednak to jeszcze nie koniec.

Kieruję się prosto do windy, tej samej, z której wysiedliśmy, kiedy przemawiałam do żołnierzy. Wjeżdżam na górę, Trzaskam jednymi drzwiami po drugich, wychodzę na dziedziniec i wspinam się na sam szczyt budynku. Trzydzieści metrów nad ziemią.

Tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Na platformę, z której mam dostęp do rozmieszczonych w całym sektorze głośników. Przypominam sobie o tym. Przy-pominam sobie teraz o wszystkim, choć mój mózg jest otępiąły, ręce nadal mi drżą, a z twarzy kapie na szyję czyjaś krew.

Ale taki był plan.

Muszę działać zgodnie z planem.

Wystukuję na panelu kod dostępu i czekam na trzask. Otwiera się skrzynka dla techników. Przyglądam się bezpiecznikom i przełącznikom, przestawiam ten oznaczony napisem: „WSZYSTKIE GŁOŚNIKI”. Biorę głęboki oddech. Wciskam przycisk interkomu.

– Uwaga, mieszkańcy Sektora 45 – mówię. W moich uszach rozbrzmiewają donośnie wypowiedane ochrypłym głosem, zlewające się z sobą słowa. – Naczelný dowódca Komitetu Odnowy nie żyje. Stolica się poddała. Wojna skończona. – Trzęsę się teraz tak mocno, że palec ześlizguje mi się z przycisku. Usiłuję utrzymać go w miejscu. – Powtarzam: naczelný dowódca Komitetu Odnowy nie żyje. Stolica się poddała. Wojna skończona.

Dokończ to, mówię sobie.

Dokończ to.

– Jestem Julia Ferrars i przejmuję władzę nad krajem. Rzucam wyzwanie każdemu, kto mi się przeciwstawi.

Robię krok naprzód. Nogi mi drżą, grożąc, że odmówią posłuszeństwa, ale nie zatrzymuję się. Ostatkiem sił wracam do budynku, wchodzę do windy i zjeżdżam na dół tylko po to, żeby wydostać się na zewnątrz i skierować na pole bitwy.

Nie trwa to długo.

Na ziemi leżą setki ciał, splątanych, zakrwawionych. Znacznie więcej jest jednak żywych, więcej, niż miałam nadzieję zobaczyć. Wieści rozniosły się niespodziewanie szybko. Mam wrażenie, że ludzie już od pewnego czasu wiedzą, że bitwa się skończyła. Ocalali żołnierze ze statku Andersona stoją obok naszych, niektórzy zupełnie mokrzy i przemarznięci. Widocznie udało im się wydostać na brzeg i przekazać wieść o zamachu na Andersona. Wszyscy rozglądają się wstrząśnięci, patrzą na siebie nawzajem, wpatrują się w swoje dłonie albo podnoszą oczy ku niebu. Inni szukają wśród poległych ciał swoich przyjaciół i członków rodziny, z mieszaniną ulgi i strachu wypisaną na twarzach. Są zmęczeni, chcą, żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

Drzwi do koszar otwierają się gwałtownie i wylewają się z nich pozostali cywile, wybiegają na powitanie bliskich. Ta scena jest zarazem tak ponura i tak piękna, że nie wiem, czy krzyżeć z bólu czy z radości.

Nie krzyczę wcale.

Idę, zmuszam kończyny, aby się poruszały, błagam ciało, żeby wytrzymało, żeby niosło mnie do końca tego dnia, do końca moich dni.

Chcę odnaleźć przyjaciół. Chcę się przekonać, że nic im się nie stało. Chcę na własne oczy zobaczyć, że są cali.

Ale kiedy wkraczam w tłum, żołnierzy Sektora 45 ogarnia szaleństwo.

Zakrwawieni i pobici krzyczą i wiwatują na polu bitwy, choć otacza ich śmierć. Salutują mi, gdy ich mijam. I kiedy się rozglądam, zdaję sobie sprawę, że teraz to są moi żołnierze. Zaufali mi, walczyli u mojego boku, a teraz ja im zaufam. Mam dla kogo walczyć. To pierwsza z wielu bitew, które nadejdą. Będzie jeszcze wiele dni takich jak ten.

Cała jestem we krwi, mój strój jest podarty, tkwią w nim drzazgi i odłamki metalu. Moje dłonie drżą tak mocno, że z trudem je rozpoznaję.

A mimo to czuję spokój.

Niewiarygodny spokój.

Jakby to, co się właśnie stało, jeszcze do mnie w pełni nie dotarło.

Idąc przez pole bitwy, nie mogę się nie ocierać o wyciągnięte dłonie i ramiona. To ciekawe. Nie mam oporów przed dotykiem ludzi, nie próbuję ukryć dłoni, nie boję się ich zranić.

Mogą mnie dotykać, jeśli chcą, może się zdarzyć, że to zaboli, ale moja skóra nikogo już nie zabije.

Bo nigdy więcej nie pozwolę jej wymknąć się spod kontroli.

Umiem już nad nią panować.

Osiedla są takie ponure, takie szare, myślę, idąc między blokami. One pierwsze powinny zniknąć. Nasze domy powinny zostać odbudowane. Zwrócone właścicielom.

Musimy zacząć od nowa.

Wspinam się na jeden z budynków mieszkalnych. Na drugie piętro. Sięgam rękami do góry i podciągam się na dach. Kopnięciem zrzucam na ziemię baterię słoneczną i staję na szczycie, na samym środku. Rozglądam się wśród tłumu.

Szukam znajomych twarzy.

Mam nadzieję, że mnie zobaczą i przyjdą do mnie.

Mam nadzieję.

Czuję się tak, jakbym stała na dachu tego budynku od wielu dni, miesięcy, lat, ale dostrzegam tylko twarze żołnierzy i członków ich rodzin. Nikogo z przyjaciół.

Zaczynam się chwiać, zawroty głowy przybierają na sile, mój puls przyspiesza i staje się coraz gwałtowniejszy. Jestem gotowa się poddać. Stoję tu już tak długo, że ludzie zaczynają pokazywać mi palcami, rozpoznają moją twarz, mówią innym, że tu stoję, że na coś czekam. Na kogoś. Na kogokolwiek.

Już mam z powrotem zanurzyć się w tłum, zacząć ich szukać wśród ciał poległych, kiedy nagle w moje serce wstępuje nadzieja.

Jeden po drugim pojawiają się z różnych stron pola bitwy, wyłaniają się z wnętrza koszar, idą przez osiedle. Zakrwawieni i posiniaczeni. Adam, Alia, Castle, Ian, Brendan i Winston. Idą w moją stronę, przystają, odwracają się i czekają na pozostałych. Winston szlocha.

Sonya i Sara pomagają Kenjiemu wyjść z koszar, podtrzymując go i ciągnąc krok za krokiem. Otworzył oczy, tylko odrobinę. Uparciuch. Oczywiście nie śpi, teraz, kiedy powinien.

James biegnie w ich stronę.

Wpada na Adama, uczepia się jego nóg, a Adam podnosi brata do góry i bierze go w ramiona, szczęśliwy jak nigdy dotąd. Castle kiwa do mnie głową, uśmiechając się promiennie. Lily posyła mi całusa. Ian robi jakiś dziwny ruch ręką, jakby naśladował pistolet, a Brendan macha. Alia nigdy jeszcze nie była taka rozpromieniona.

Patrzę w dal z wymuszonym uśmiechem.

Wciąż się rozglądam, czekam, aż zobaczę ostatniego z moich przyjaciół. Czekam, aż nas odnajdzie.

Ale jego nie ma.

Szukam go wśród setek osób stojących na tej lodowatej równinie, lecz nigdzie go nie widzę. Groza tej chwili przypomina kopnięcie w brzuch, które pozbawia mnie tchu i nadziei. Mrugam szybko i próbuję się nie załamać.

Metalowa konstrukcja pod moimi stopami zaczyna drżeć.

Z bijącym sercem odwracam się w stronę, z której dochodzi dźwięk, i dostrzegam rękę, która wyłania się ponad krawędź dachu.

Patrzę, jak wdrapuje się na dach i podchodzi do mnie powoli. Spokojnie, jakbyśmy nic więcej nie mieli dziś w planie, nic poza staniem tu razem i przyglądaniem się zasłanej ciałami poległych równinie i biegającym po niej szczęśliwym dzieciom.

– Aaronie – szepczę.

Bierze mnie w ramiona.

A ja się osuwam.

Każdy fragment, każdy mięsień i nerw mojego ciała miękną pod wpływem jego dotyku.

Uczepiam się go i trzymam ze wszystkich sił.

– Wiesz, że przyjdzie tu po nas cały świat? – szepcze wprost do mojego ucha.

Odsuwam się. Patrzę mu w oczy.

– Niech tylko spróbuje. Nie mogę się doczekać.

PODZIĘKOWANIA

Dotarłam do końca.

I właśnie teraz, przy tych ostatnich liniijkach, poczułam się bezradna. Niezależnie od tego, ilu użyłabym słów, i tak nie zdołam wymienić wszystkich osób, które mi pomogły, które przyłożyły rękę do powstania tej książki, które wpłynęły na kształt tej historii. A jednak byliście ze mną przez cały ten czas, czytaliście moje słowa, pisaliście do mnie i motywowaliście mnie do pracy. Pomagaliście mi przetrwać trudne chwile, trzymaliście mnie za rękę. Dziękuję moim licznyim drogim przyjaciołom z HarperCollins i Writers House, mojej Rodzinie, na którą zawsze mogłam liczyć, a także Ransomowi Riggsowi – aniołowi na ziemi, Tarze Weikum – czarodziejce i Jodi Reamer – niemal świętej.

I Wam, Drodzy Czytelnicy, przede wszystkim Wam.

Jestem Waszą dłużniczką, dziękuję Wam za wsparcie, miłość, przyjaźń, jakie mi okazywaliście, czytając i komentując moje książki, również za pośrednictwem internetu. Dziękuję Wam wszystkim za to, że zechcieliście wraz ze mną towarzyszyć Julii w jej podróży. Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ten tom wystarczy, by spłacić moje zobowiązanie.

